

Patricia Highsmith

# Carol

Przełożyła Mirosława Czarnecka



W stołówce zakładowej u Frankenberga tłok spowodowany przerwą obiadową osiągnął swój szczyt. Przy żadnym z długich stołów nie było już wolnych miejsc, a ludzie, których wciąż napływało coraz więcej, czekali przy drewnianej barierce obok kasy. Ci, którzy dostali już swoje tace z jedzeniem, wędrowali wśród stołów, wypatrując jakiejś luki, w którą mogliby się jeszcze wcisnąć lub miejsca, które ktoś akurat zwolnił. Na ogół wszystko było pozajmowane. Postukiwania naczyńiami, krzesłami, hałas rozmów, szurających nóg i skrzypienie obrotowych krzyżaków przypominały miarowy pomruk wielkiej maszyny.

Teresa jadła nerwowo, wpatrując się w oparty o cukierniczkę przewodnik: „Witamy u Frankenberga”. Przeczytała tę grubą broszurę w ubiegłym tygodniu, w pierwszym dniu kursu wprowadzającego, ale nie miała przy sobie niczego innego do czytania, na czym mogłaby skoncentrować uwagę. Tak więc po raz kolejny czytała o ułatwieniach urlopowych, o trzytygodniowym wypoczynku dla pracowników z piętnastoletnim stażem u Frankenberga, i jadła swój ciepły posiłek - szarą wołowinę z purée ziemniaczanym, polanym brązowym sosem pieczeniowym, do tego porcję grochu oraz nieco chrzanu na małym tekturowym spodeczku.

Próbowała sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby przepracowała w domu towarowym Frankenberga piętnaście lat i stwierdziła, że nie byłaby do tego zdolna. Osoby z dwudziestopięcioletnim stażem otrzymują cztery tygodnie urlopu, informował przewodnik. Frankenberg daje też swoim pracownikom do dyspozycji letni i zimowy ośrodek wypoczynkowy. Powinni mieć jeszcze kościół, pomyślała, i własną klinikę położniczą. Dom towarowy zorganizowany był jak więzienie, przerażała ją za każdym razem myśl, że sama też do niego należy.

Przerzuciła pośpiesznie kilka kartek i zobaczyła napis, biegnący poprzez dwie strony grubymi, czarnymi literami: „Jest Pan naszym człowiekiem? Jest Pani naszym człowiekiem?”

Spojrzała w kierunku okien, starając się myśleć o czymś innym. O pięknym, ciemnoczerwonym swetrze w norweski wzór, który zobaczyła u Saksa, i który chciała kupić dla Richarda na Gwiazdkę, gdyby nie znalazła jakiejś ładniejszej saszetki niż ta za dwadzieścia dolarów. Albo o perspektywie wyjazdu w następną sobotę z Kellymi do West Point na mecz hokejowy. Wielkie kwadratowe okno na drugim końcu sali wyglądało jak obraz - no, jakże on się nazywa? - Mondriana. Mały lufcik w rogu otwierał się na białe niebo. I nie było żadnego ptaka, który wleciałby do środka lub wyfrunął na zewnątrz. Jaka

scenografię można by zaprojektować do sztuki, która rozgrywałaby się w domu towarowym? Znowu do niego wróciła.

„Ale z Tobą to zupełnie coś innego, Terry”, powiedział do niej Richard. „Ty masz przecież tę pewność, że za kilka tygodni stamtąd odejdziesz, inni tego nie mają.” Richard mówił, że mogliby być we Francji latem następnego roku. Całkiem możliwe. Chciał, żeby z nim pojechała i właściwie nic nie stało temu na przeszkodzie. A przyjaciel Richarda, Phil McElroy, napisał mu, że może w przyszłym miesiącu załatwi dla niej pracę w jednym teatrze. Teresa nie poznała jeszcze Phila, ale nie bardzo wierzyła, że mogłby to zrobić.

Od września szukała pracy po całym Nowym Jorku, wciąż zaczynała od początku i szukała dalej, ale bezskutecznie. Któż przyjmie w środku zimy niedokształconego scenografa? Tak samo niewiarygodne wydawało się to, iż może następnego lata znaleźć się z Richardem w Europie, siedzieć z nim w jakiejś małej ulicznej kafejce, wędrować przez Arles i odnajdywać te wszystkie miejsca, które malował Van Gogh; że zatrzyma się z Richardem w tym lub innym mieście i będzie malować. To wszystko stało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne w ostatnich dniach, od kiedy podjęła pracę w domu towarowym.

Wiedziała, co ją tutaj niepokoi. Było to coś takiego, czego nawet nie próbowałyby wytłumaczyć Richardowi. Dom towarowy wyolbrzymił tylko pewne sprawy, które, jak daleko sięgała pamięć, zawsze napawały ją lękiem. Owe zbędne działania, bezsensowne czynności, które zdawały się powstrzymywać ją od tego, co naprawdę chciała robić, tutaj stanowiły skomplikowane procedury z portfelami, kontrole płaszczy i karty zegarowe, powstrzymujące ludzi nawet przed tym, żeby swoje obowiązki służbowe wykonywali tak dobrze, jak to tylko możliwe. Było to uczucie, że jeden od drugiego jest odizolowany i żyje na zupełnie innej płaszczyźnie, i jakkolwiek sens, posłanie, miłość lub inne uczucie, nigdy nie mogą zostać wyrażone. Przypominało to rozmowy przy stole lub w salonie z ludźmi, których słowa, ślizgając się po martwych, nieruchomych przedmiotach, nigdy nie poruszały żadnej dźwięcznej struny. A gdy poruszyło się taką żywą strunę, przyglądali się z tym zawsze jednakowym, marionetkowym wyrazem twarzy, czyniąc uwagę tak skończenie banalną, iż trudno byłoby nawet przyjąć, że starają się tylko za nią ukryć. A samotność potęgował jeszcze fakt, że dzień po dniu oglądało się w domu towarowym te same oblicza, tych niewiele twarzy, do których można by się odezwać, a jednak nigdy się tego nie robiło, albo nie można było tego zrobić. To było coś innego niż twarz w przejeżdżającym obok autobusie, która wydaje się nam coś mówić, którą widzi się tylko raz i która znika potem na zawsze.

Każdego ranka, kiedy stała w kolejce przed zegarem w podziemiach domu towarowego, a spojrzenie jej oddzielało bezwiednie tych zatrudnionych na stałych etatach od

pracujących na krótki okres, zadawała sobie pytanie, jak do tego doszło, że tutaj wylądowała - oczywiście zgłosiła się na ogłoszenie w gazecie, ale to przecież nie wyjaśniało losu - i co też czeka ją w następnej kolejności zamiast pracy scenografa. Miała dziewiętnaście lat, i była pełna niepokoju.

„Musisz nauczyć się ufać ludziom, Tereso. Pomyśl o tym”, powtarzała jej często siostra Alicja. I Teresa próbowała często, nawet bardzo często, postępować według tej rady.

„Siostra Alicja”, wyszeptała Teresa, i dźwięczne głoski podziały na nią kojąco.

Teresa wyprostowała się i wzięła do ręki widelec, gdyż młody mężczyzna, który sprzątał ze stołów, zbliżał się w jej kierunku.

Mogła przywołać w pamięci twarz siostry Alicji, pociągłą i zaczerwienioną, jak różowy kamień, kiedy oświetlają go promienie słońca, a także usztywnioną, bufiastą niebieskość jej piersi. Jej wysoką, kościstą postać skręcającą w zaułek korytarza, pomiędzy białymi nakrytymi stołami w jadalni; siostra Alicja w tysiącu innych miejscach, z tymi jej małymi, niebieskimi oczyma, które zawsze potrafiły odnaleźć ją wśród innych dziewcząt, patrzące na nią inaczej, o czym Teresa wiedziała, niż na pozostałe dziewczęta, siostra Alicja o bladoróżowych wargach, tworzących zawsze tę samą prostą linię. Widziała siostrę Alicję, jak wręcza jej na ósme urodziny zrobione na drutach zielone rękawiczki, zapakowane w jedwabny papier. Czyni to bez uśmiechu, prawie bez słów. Zupełnie jakby mówiła do niej tymi samymi surowymi ustami, że Teresa musi zdać egzamin z rachunków. Kogóż innego interesowałoby czy go zda? Teresa przechowywała te zielone rękawiczki na dnie swojej szkolnej blaszanej szafki jeszcze przez wiele lat po wyjeździe siostry Alicji do Kalifornii.

Jedwabny papier zwiotczał i już nie szeleścił, a ona wciąż jeszcze nie zakładała tych rękawiczek. W końcu zrobiły się za małe.

Ktoś przesunął cukiernicę i oparta o nią broszura upadła płasko na stół.

Teresa spojrzała na parę rąk naprzeciwko, na pogrubiałe, starzejące się dłonie kobiety, która mieszała swoją kawę, z drżącym pośpiechem rozcinała bułkę i łączywie maczała jej połówki w brązowym sosie na talerzu, wyglądającym identycznie jak ten, który jadła Teresa. Ręce uniosły się, w poprzecznych fałdach na stawach palców widać było brud, ale prawą dłoń zdobił rzucający się w oczy srebrny pierścionek z błyszczącym zielonym oczkiem, zaś lewą obrączka; na brzegach paznokci widniały ślady czerwonego lakieru. Teresa obserwowała rękę, która podnosiła do góry widelec pełen grochu i nie musiała popatrzeć na twarz, żeby wiedzieć, jak wygląda. Z pewnością tak jak wszystkie twarze pięćdziesięcioletnich kobiet, które pracują u Frankenberga: naznaczone przez nieustające zmęczenie i lęk, oczy zniekształcone przez szkła okularów powiększających lub pomniejszających, policzki z

plamami różu, który nie jest w stanie rozjaśnić szarości cery. Teresa nie mogła się im przyglądać.

„Pani tutaj nowa, prawda?” Głos docierał ostro i wyraźnie poprzez panujący hałas. Brzmiał dobrotliwie.

„Tak”, odpowiedziała Teresa i spojrzała wyżej. Przypomniała sobie tę twarz. To była twarz, w której mogła rozpoznać zmęczenie wszystkich pozostałych. Była to kobieta, którą Teresa widziała jednego wieczoru o wpół do siódmej, już po zamknięciu sklepu, jak schodziła z półpiętra po marmurowych schodach. Jej ręce opierały się mocno na szerokiej marmurowej balustradzie, żeby cały ciężar ciała nie spoczywał na nogach z zaognionymi pęcherzami. Teresa pomyślała: Ona nie jest chora, nie jest też żebraczką - ona po prostu tutaj pracuje.

„Daje sobie pani ze wszystkim radę?”

I kobieta rzeczywiście się wtedy do niej uśmiechnęła, razem z tymi jej strasznymi zmarszczkami wokół oczu i ust. Oczy jej były teraz całkiem ożywione i niemal serdecznie patrzyły na Teresę.

„Daje pani sobie radę?” powtórzyła kobieta, gdyż hałas głosów i naczyń wokół nich był okropny.

Teresa zwilżyła wargi językiem. „Tak, dziękuję”.

„Podoba się pani tutaj?”

Teresa skinęła głową.

„Skończone?” Młody mężczyzna w białym fartuchu sięgnął nerwowo po talerz kobiety.

Pozwoliła mu na to drżącym ruchem i przysunęła do siebie salaterkę z kompotem brzoskwiniowym z puszki. Plasterki brzoskwiń ześlizgiwały się jak śluzowate, małe, pomarańczowe rybki przez brzeg łyżki za każdym razem, kiedy podnosiła ją do ust - wszystkie oprócz jednej, którą kobieta zjadała.

„Jestem na trzecim piętrze w dziale swetrów. Jeśli miałaby pani jakieś pytania”, zaczęła nieco nerwowo i niepewnie kobieta, jakby chciała jej coś przekazać, zanim im przerwą lub rozdzielią „proszę wpaść na górę i porozmawiać trochę ze mną. Nazywam się Robichek. Ruby Robichek, numer czterdzieści pięć.”

„Bardzo dziękuję!” odpowiedziała Teresa. I nagle cała brzydota kobiety znikła, gdyż jej zaczerwienione brązowe oczy spoglądały zza okularów ciepło i z oddaniem. Teresa czuła, że serce zabiło jej mocniej, jakby nagle ożyło. Patrzyła na wstającą z krzesła kobietę, na jej oddalającą się przysadzistą postać, znikającą wśród masy ludzi za barierką.

Teresa nie odwiedziła pani Robichek, ale każdego ranka, kiedy o ósmej czterdzieści

pięć pracownicy jeden za drugim wchodzili do budynku, a także w windach i w kantine, wypatrywała jej. Nigdy jej nie dostrzegła, ale przyjemnie było rozglądać się za kimś w domu towarowym. Dzięki temu wszystko stawało się znośniejsze.

Prawie każdego ranka, kiedy zaczynała pracę na siódmym piętrze, zatrzymywała się na chwilę przed rozłożoną dziecinną kolejką. Kolejka miała swoje miejsce na stole przy windach. Nie była tak duża ani elegancka jak inne, które jeździły po podłodze w tylnej części działu z zabawkami. Ale w uderzeniach jej maleńkich tłoków była jakaś siła, której nie miały większe pociągi. Jej gniew i frustracja, kiedy tak podążała po zamkniętym owalu torów, urzekały Teresę. Trr-trr-rr! robiła lokomotywa, wpadając do tekturowego tunelu i ur-rr-rr! kiedy z niego wyjeżdżała. Mała lokomotywa jeździła bez przerwy - rano, gdy Teresa wychodziła z windy i wieczorem, kiedy kończyła pracę. Teresa miała wrażenie, że przeklina rękę, która ją codziennie włącza. W nagłych szarpnięciach lokomotywy biorącej zakręty, a później pędzącej po prostym odcinku torów, widziała histeryczne ale daremne zamiary jakiegoś władcy-tyrana.

Lokomotywa ciągnęła trzy wagony osobowe, w których okienkach ukazywały swój ostry profil małe ludziki, za nimi pędził otwarty wagon towarowy z prawdziwymi miniaturowymi drewnianymi budowlanymi, następnie wagon towarowy z węglem, ten nie był prawdziwy, oraz wagon służbowy, który chwiało się na zakrętach, czepiając się uciekającego pociągu jak dziecko matczynej spódnicy. Kolejka przypominała kogoś, kto zwariował w niewoli, był już właściwie martwy, ale nie do końca, podobnie jak te filigranowe lisy o sprężystych nogach w ZOO, które zawsze powtarzają te same ruchy, kręcąc się w kółko po swoich klatkach.

Tego ranka Teresa gwałtownie odwróciła się od kolejki i poszła do działu lalek, gdzie pracowała.

Dział zabawek, zajmujący wielką kwadratową powierzchnię domu towarowego, pięć po dziewiątej ożywał powoli. Wszędzie ściągano z długich lad zielone pokrowce. Mechaniczne zabawki wyrzucały piłki w powietrze i znowu je łapały. Strzelcy, na baczność, wypalali, a ich cele obracały się. Na stoisku z domowymi zwierzkami rozlegało się gdakanie, kwakanie i rzenie. Za plecami Teresy rozległo się zmęczone rratтта, to trąbił duży ołowiany żołnierz, stojący w wojowniczej pozycji naprzeciwko wiatru, trąbił tak przez cały dzień. Ponad stołem z robótkami ręcznymi i układankami unosił się zapach świeżej modeliny, przypominający pracownię rysunku w szkole, kiedy była bardzo mała, a także wzniesienie na podwórzu szkolnym, gdzie zawsze wtykała nos pomiędzy żelazne pręty, gdyż dochodził stamtąd zapach prawdziwego grobu.

Pani Hendrickson, kierowniczka działu, zajęta była wyjmowaniem lalek z półek i usadawianiem ich z rozkraczonymi nogami na szklanej płycie lady.

Teresa pozdrowiła stojącą przy kasie panią Martucci, która tak pochłonięta była liczeniem banknotów i monet ze swego worka z pieniędzmi, że jej rytmicznie poruszająca się głowa mogła odwzajemnić pozdrowienie tylko jednym gwałtownym kiwnięciem. Teresa odliczyła dwadzieścia dolarów i pięćdziesiąt centów z własnego portfela, zanotowała sumę na kartce białego papieru, służącego za okładkę na rachunki i włożyła oznaczone jej nazwiskiem pieniądze do szuflady automatycznej kasy rozliczeniowej.

Pierwsi klienci wysiadali z wind, zatrzymywali się na chwilę z tym zaskoczonym i podnieconym wyrazem twarzy, jaki zawsze mają ludzie, gdy wchodzi na piętro z zabawkami, a potem ruszali zygzakiem dalej.

„Czy ma Pani siusiające lalki?” pytała Teresę jakaś kobieta.

„Chciałabym tę lalkę, ale w żółtej sukience”, mówiła inna klientka, podsuwając jej zabawkę. Teresa podała żadaną lalkę z półki.

Kobieta miała rysy twarzy podobne do jej matki, lekko dziobate policzki pokryte ciemnoróżowym pudrem i usta o cienkich, czerwonych wargach, pociętych małymi pionowymi liniami.

„Czy te lalki są wszystkie tej samej wielkości?”

Sprzedawanie lalek nie wymagało szczególnej sztuki. Ludzie chcieli lalek na prezenty gwiazdkowe. Wystarczyło się tylko nachylić i szukając lalki z brązowymi zamiast niebieskimi oczami, powyciągać kartony albo zawołać panią Hendrickson, żeby otworzyła swoim kluczem okno wystawowe, co czyniła pomrukując z niezadowolenia, kiedy ponad wszelką wątpliwość stwierdzała, że właśnie żądanej lalki nie ma na składzie. Należało przejść tylko wzdłuż lady, położyć zakupioną lalkę na górze kartonów, która stale rosła i przewracała się na stanowisku pakowania, niezależnie od tego, jak często przychodzili ludzie z działu wysyłkowego, aby zabrać paczki. Dzieci prawie wcale nie podchodziły do jej stoiska. To przecież Święty Mikołaj przynosił lalki, tak się mówiło, Święty Mikołaj, którego zastępowały tutaj pożądlive oczy i łapczywe ręce. Jednak musiało temu towarzyszyć coś takiego jak dobra wola, myślała Teresa, ukrytego nawet w tych zimnych, wypudrowanych twarzach kobiet w norkach czy sobolach, które - ogólnie rzecz biorąc - były najbardziej aroganckimi klientkami i porywczo kupowały największe i najdroższe lalki. Lalki z czerwonymi włosami i ubrankami na zmianę. Z całą pewnością miłość kierowała biednymi ludźmi, którzy czekali na swoją kolejkę, a potem spokojnie pytali o cenę lalki i kręcąc z ubolewaniem głową, odchodzili od lady.

Trzynaście pięćdziesiąt za taką małą lalkę! „Proszę ją wziąć”, powiedziałyby chętnie Teresa, „ona jest rzeczywiście za droga, dam ją pani, a Frankenberg przez to nie zbiednieje.”

Kobiety w tanich płaszczach z materiału, skromni mężczyźni, owinięci nędznymi szalikami znikali szybko, rzucając jeszcze tylko po drodze do windy, tęskne spojrzenia na inne stoiska. Bo gdy tacy ludzie chcą kupić lalkę, to nie chcą niczego innego. Lalka była szczególnym prezentem pod choinkę, była czymś prawie żywym, jak małe dziecko.

Prawie nie pojawiały się tutaj dzieci, tylko od czasu do czasu przychodziły jakieś, najczęściej małe dziewczynki, prowadzone za rękę przez ojca lub matkę. Teresa pokazywała wtedy dziecku lalki, które, jak jej się zdawało, mogłoby polubić. Była wyrozumiała i cierpliwa, aż w końcu któraś zabawka w zaczarowany sposób odmieniała wyraz twarzy dziecka. Najczęściej była to lalka, którą dziecko zabierało w końcu ze sobą.

Kiedyś, wieczorem po zamknięciu sklepu, Teresa ujrzała panią Robichek w małej kawiarence naprzeciwko. Teresa często wypijała tam filiżankę kawy przed powrotem do domu. Pani Robichek siedziała z tyłu na końcu długiego baru i moczyła pączek w filiżance herbaty.

Teresa przepychała się do niej pośród kelnerek i filiżanek. Kiedy dotarła do łokci pani Robichek, wysapała „hallo!” i zwróciła się w stronę baru, jak gdyby myślała tylko o swojej filiżance kawy. „Hallo” odpowiedziała pani Robichek tak obojętnie, że Teresa poczuła się całkiem zdruzgotana.

Nie odważyła się nawet spojrzeć na panią Robichek. Lecz ich ramiona były dosłownie przyciśnięte do siebie. Teresa wypila swoją kawę tylko do połowy, kiedy pani Robichek odezwała się obojętnie: „Wracam metrem. Ciekawe tylko, jak się stąd wydostaniemy.” Jej głos był zmęczony, inny niż wtedy w kantynie.

Teresa przypomniała sobie, jak schodziła przygarbiona po schodach.

„Jakoś sobie poradzimy”, powiedziała zachęcająco.

Torowała z zapalem drogę do drzwi. Ona także pojedzie metrem. Przy wejściu do kolejki podziemnej zostały wchłonięte przez leniwą masę ludzi, poruszającą się powoli lecz nieubłaganie schodami w dół, wciągnięte niby odpadki przez rynnę ściekową. Stwierdziły, że obie wysiądą przy Lexington Avenue, chociaż pani Robichek mieszkała na Pięćdziesiątej Piątej, zaraz na wschód od Trzeciej Avenue.

Teresa odprowadziła panią Robichek do delikatesów, gdzie tamta zamierzała kupić coś na kolację. Sama też powinna była zrobić zakupy, ale jakoś nie mogła tego uczynić w obecności pani Robichek.

„Ma pani w domu coś do jedzenia?”



„Nie, ale później coś sobie przyniosę.”

„Może pójdzie pani do mnie i zjemy razem? Mieszkam sama. No, chodźmy.” Pani Robichek wzruszyła ramionami, jakby było to mniejszym wysiłkiem od uśmiechu.

Pierwszy impuls Teresy, żeby grzecznie odpowiedzieć „nie” minął szybko.

„Dziękuję, chętnie z panią pójde.” Wtedy zobaczyła leżący na ladzie, opakowany w celofan kawałek ciasta. Był to owocowy placek, niby duża, brązowa cegła z czerwonymi wiśniami na górze. Kupiła go dla pani Robichek.

Budynek przypominał ten, w którym mieszkała Teresa, tyle że był z brązowego piaskowca i o wiele bardziej ponury. Na klatkach schodowych nie było w ogóle żarówek, a kiedy pani Robichek zapaliła światło na trzecim piętrze, Teresa przekonała się, że wokół jest dosyć brudno. Także mieszkanie pani Robichek nie było zbyt czyste, a łóżko niezasłane. Czyżby ona wstawiała tak samo zmęczona, jak kładła się spać? pomyślała Teresa.

Teresa zatrzymała się na środku pokoju, podczas gdy pani Robichek, biorąc od niej siatkę z zakupami, poczłapała do niszy kuchennej. Teraz, w domu, gdy nikt na nią nie patrzył, mogła sobie pozwolić na to, żeby wyglądać na tak zmęczoną, jak w rzeczywistości była.

Teresa nie mogła sobie przypomnieć, jak rozpoczęła się ich rozmowa. W każdym razie pani Robichek odeszła na bok i mrucząc coś do siebie, jak w transie, położyła się na niezasłanym łóżku. I właśnie te niekończące się pomruki, ten przepraszający, nikły uśmiech i owa wstrząsająca brzydota jej krótkiego, ciężkiego ciała z wydętym brzuchem i przechyloną na bok głową, która wciąż spoglądała na nią, jakby prosząc o wybaczenie, sprawiały, że Teresa nie mogła zmusić się do słuchania.

„Miałam kiedyś własny sklep z sukienkami w Queens. O tak, piękny, duży”, zaczęła pani Robichek. Teresa wyczuła w jej głosie samochwalczy ton i zaczęła się z niechęcią przysłuchiwać. „Może Pani wie, takie sukienki w kształcie litery V, z wieloma małymi guziczkami. Trzy albo pięć lat temu...”. Pani Robichek objęła się niezgrabnie sztywnymi rękami w pasie; ręce o krótkich palcach nie mogły objąć nawet w połowie jej brzucha. Wyglądała bardzo staro w świetle lampy, wydobywającym czarne cienie pod jej oczyma. „Nazywały się suknie Katarzyny. Pamięta pani? To ja je zaprojektowałam. Wyszły z mojego sklepu w Queens. Były znane.”

Pani Robichek wstała z łóżka i podeszła do małej skrzyni, stojącej pod ścianą.

Nie przerywając opowieści, otworzyła ją i wyjęła sukienki z ciemnego, ciężkiego materiału. Wszystkie rzucała na podłogę, oprócz jednej, ciemnoczerwonej z aksamitu, z białym kołnierzem i maleńkimi, białymi guzikami, tworzącymi z przodu na górze literę V.

„Widzi pani, mam ich jeszcze dużo. Sama je zrobiłam. A inne sklepy je skopiowały.”

Pani Robichek przekrzywiła głowę, przytrzymując sukienkę pod brodą. „Podoba się pani? Dam pani jedną. Proszę, niech pani ją przymierzy.”

Myśl o tym, że miałyby założyć jedną z tych sukienek, napawała Teresę odrazą.

Wolałyby, żeby pani Robichek znowu się położyła i odpoczywała, a mimo to posłusznie, jakby bezwolnie, wstała i podeszła do niej.

Drżącymi lecz upartymi rękami pani Robichek wcisnęła jej czarną aksamitną sukienkę i Teresa wiedziała już, w jaki sposób obsługuje swoich klientów w domu towarowym, jak pośpiesznie zarzuca ich swetrami, gdyż z całą pewnością nie była w stanie inaczej się zachowywać. Pani Robichek mówiła, jak sobie Teresa przypomniała, że od czterech lat pracuje u Frankenberga.

„Może woli pani tę zieloną? Niech pani przymierzy.” A gdy Teresa zwlekała przez chwilę, rzuciła sukienkę na podłogę i podniosła inną, ciemnoczerwoną.

„Pięć takich sprzedalam dziewczynom z domu towarowego, ale pani dam jedną w prezencie. Nie jest to wprawdzie ostatni krzyk mody, ale za to uniwersalna. Która się pani bardziej podoba?”

Teresie podobała się bardziej czerwona. Kochała czerwień, zwłaszcza w odcieniu granatów, i kochała też czerwony aksamit. Pani Robichek popychała ją lekko do kąta, gdzie mogła zdjąć ubranie i położyć je na oparciu fotela.

Wcale nie chciała tej sukienki, nie chciała takiego prezentu. Przypominał jej sierociniec, gdzie dostawała ubrania, znoszone sukienki, gdyż uważano ją za jedną z sierot, które stanowiły połowę uczennic szkoły i nigdy nie dostawały paczek z domu. Teresa zdjęła sweter i poczuła się zupełnie naga.

Skrzyżowała ręce na piersiach, czując swoje zimne i odrętwiałe ciało.

„Szyłam”, powiedziała w uniesieniu pani Robichek sama do siebie, „i to jeszcze jak szyłam, od rana do wieczora! Miałam cztery pomocnice. Ale oczy zaczęły mi słabnąć. Na jedno ośleplam - o, na to. Niech pani włoży sukienkę.” Opowiedziała Teresie o operacji oczu. Ośleplą tylko częściowo. Ale miała bardzo silne bóle.

Katarakta. Do dzisiaj ją bołą. Oczy i plecy. A także nogi. Zaognione odciski.

Teresa uświadomiła sobie, że pani Robichek opowiada jej o wszystkich swoich kłopotach i swoim pechu po to, żeby ona, Teresa, pojęła, dlaczego tak nisko upadła, żeby pracować w domu towarowym.

„Pasuje, co?” zapytała pani Robichek z nadzieją. Teresa spojrzała w lustro na drzwiach szafy. Zobaczyła w nim wysoką szczupłą postać z wąską głową, której kontury wydawały się stać w płomieniach, jasnożółty ogień otaczał ją aż po szerokie czerwone sprzączki na

ramionach. Sukienka opadała w prostych, udrapowanych fałdach niemalże do kostek. Była to sukienka, jaką noszą w bajkach dobre wróżki, o czerwieni bardziej czerwonej niż krew. Cofnęła się, przytrzymując szeroką sukienkę z tyłu tak, iż przylegała teraz do piersi i talii, i popatrzyła w swoje orzechowo brązowe oczy, odbijające się w lustrze. Oto ona - nie ta dziewczyna w długiej spódnicy w kratę i beżowym swetrze, nie ta dziewczyna z działu zabawek u Frankenberga.

„Podoba się pani?” zapytała pani Robichek.

Teresa przyglądała się uważnie swoim zaskakująco spokojnym ustom, których wykrój wyraźnie się odznaczał, chociaż nie było na nich śladu szminki, tak jakby ją ktoś pocałował. Zapragnęła pocałować tę postać w lustrze, aby w ten sposób obudzić ją do życia, lecz stała nadal nieporuszona, jak obraz.

„Jeśli pani chce, może ją pani zatrzymać”, namawiała niecierpliwie pani Robichek, przyglądając się jej, oparta o szafę, tak jak to czynią sprzedawczynie, przyglądając się klientkom, kiedy te przymierzają płaszcze lub sukienki przed lustrami w domu towarowym.

Ale Teresa wiedziała, że to nie będzie długo trwało. Wystarczy, że się poruszy i obraz zniknie. Zniknąłby nawet jeśli zatrzymałaby tę sukienkę, gdyż była to sprawa tylko tej chwili. Nie chciała sukienki. Próbowwała ją sobie wyobrazić w swojej szafie, pomiędzy innymi rzeczami - i nie mogła. Zaczęła rozpinać guziki.

„Chce ją pani, tak?”, zapytała pani Robichek, ciągle jeszcze pełna nadziei.

„Tak”, odpowiedziała Teresa zdecydowanie.

Nie mogła odpiąć haftki przy kołnierzu. Pani Robichek musiała jej pomóc, a ona nie mogła się tego doczekać. Miała uczucie, że się dusi. Co ona tutaj właściwie robi? Jak doszło do tego, że włożyła tę sukienkę? Nagle pani Robichek i jej mieszkanie stały się strasznym koszmarem, który właśnie śniła. Pani Robichek była garbatym strażnikiem w więzieniu. A ona została tutaj doprowadzona na tortury.

„Co się stało? Ukłuła się pani?”

Teresa otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale jej umysł był zbyt daleko stąd, w jakimś odległym odmęcie, podążającym w kierunku sceny, w słabo oświetlonym, strasznym pomieszczeniu, gdzie one obie stały naprzeciw siebie w jakimś desperackim pojedynku. I wiedziała, że to, co napawało ją takim przerażeniem, to nic innego, jak brak nadziei. Owa beznadziejność schorowanego ciała pani Robichek i jej pracy w domu towarowym, tych sukienek w skrzyni i ich brzydoty, beznadziejność, która całkowicie wypełniała jej kończące się życie. Ale był to zarazem i jej własny brak nadziei na to, że kiedykolwiek stanie się osobą, jaką chciałaby być i będzie robić rzeczy, jakie ta osoba by robiła. Czyż jej całe życie nie było

li tylko snem, a to tutaj rzeczywistością? Przerazenie ową beznadziejnością sprawiło, że zapragnęła zrzucić z siebie sukienkę i uciec, zanim będzie za późno, zanim łańcuchy wokół niej zamkną się na dobre.

Być może już było za późno. Jak pogrążona w koszmarnym śnie, Teresa stała na środku pokoju, w białych majtkach, drżąc z zimna, niezdolna wykonać najmniejszego ruchu.

„Co z panią? Zimno pani?? Przecież tutaj gorąco...”

Było gorąco. Ogrzewanie syczało. W pokoju unosił się stęchły zapach czosnku, starości, lekarstw i czegoś metalicznego - swoisty zapach pani Robichek.

Teresa najchętniej opadłaby zemdlna na fotel, na którym leżało jej ubranie.

Może gdyby położyła się na swoim ubraniu, kto wie, może wtedy nie byłoby tak źle. Ale nie wolno jej było się położyć. Gdyby to zrobiła, byłaby zupełnie stracona. Łańcuchy zamknęłyby się wokół niej i połączyły ją z tym garbusem.

Teresa drżała. Nagle straciła całe opanowanie. Dreszcze ogarnęły ją, nie tylko ze strachu czy zmęczenia.

„Niech pani usiądzie”, dobiegł ją z daleka głos pani Robichek, mówiącej przerażająco obojętnym i znudzonym tonem, jak gdyby była do tego przyzwyczajona, że młode dziewczyny mdleją w jej pokoju, a jej suche palce z szorstkimi paznokciami sięgnęły z oddali w kierunku ramienia Teresy.

Ta wciąż walczyła z myślą o fotelu, wiedząc doskonale, iż nie może zwyciężyć i uświadamiając sobie, że właśnie dlatego ją przyciągał. Opadła na fotel, czując jak pani Robichek szarpie i ściąga z niej spódnicę, lecz nie była w stanie się poruszyć.

Wciąż znajdowała się w tym samym punkcie swojej świadomości, niezdolna do myślenia, choć ciemne ramiona fotela zaciskały się wokół niej.

„Za długo stoi pani za ladą. Okres przedświąteczny jest bardzo męczący. Już cztery razy to przeżyłam. Musi pani się nauczyć trochę oszczędzać swoje siły.”

Człapiąc po schodach w dół i opierając się na ich poręczy. Jedząc obiady w stołówce. Zdejmując buty z nabrzmiąłych nóg, jak kobiety, które przesiadywały na kaloryferach w pokoju dla obsługi. Walcząc o ten skrawek kaloryfera, żeby, położywszy nań gazetę, usiąść tam na pięć minut.

Mózg Teresy pracował bardzo jasno. Zadziwiające, że pracował z taką dokładnością, chociaż wiedziała, że gapi się tak po prostu przed siebie i nie może się poruszyć, nawet gdyby chciała.

„Jest pani po prostu wyczerpana, moje dziecko”, powiedziała pani Robichek, przykrywając jej ramiona wełnianym kocem. „Potrzebuje pani spokoju, po całym dniu na

nogach...”

Teresie przyszło do głowy zdanie z *Richardsa* T.S. Eliota. To nie to, co miałam na myśli. To wcale nie to. Chciała wypowiedzieć te słowa, ale nie mogła otworzyć ust. Coś słodkiego i palącego tkwiło w środku. Pani Robichek stała przed nią, nalala coś z butelki na łyżeczkę i wsunęła ją jej między wargi. Teresa połknęła posłusznie, było jej obojętne, czy to trucizna. Mogłaby teraz otworzyć usta, wstać z fotela, ale nie chciała się ruszyć. W końcu ułożyła się wygodnie, pozwalając, żeby pani Robichek nakryła ją kocem i udała, że zasypia.

Przez cały czas jednak obserwowała jej przygarbioną postać. Chodziła tu i tam po pokoju, posprzątała ze stołu i zaczęła się rozbierać do snu. Widziała, jak pani Robichek ściąga ciężki, ozdobiony koronkami gorset, a potem zdejmuje swego rodzaju szelki, które oplatały jej ramiona i plecy. Teresa zamknęła z przerażenia oczy, zaciskając mocno powieki, aż skrzypienie sprężyn i długie westchnienie, brzmiące niby krzyk, zasygnalizowały jej, że pani Robichek położyła się do łóżka. Ale to jeszcze nie wszystko. Pani Robichek sięgnęła po budzik, nakręciła go i nie podnosząc nawet głowy z poduszki, szukała ręką z budzikiem krzesła przy łóżku. W ciemności Teresa wyczuwała, jak ramię tamtej czterokrotnie unosiło się i opadało w pustkę, zanim natrafiła budzikiem na krzesło.

Poczekam piętnaście minut, a potem pójdę, pomyślała Teresa.

A ponieważ była zmęczona, musiała pohamować w napięciu owo nagłe, przypominające spazm uczucie, które było jak padanie, i które pojawiała się co noc, i zapowiadało sen na długo zanim zasypiała. Przeszło. A więc ubrała się po piętnastu minutach i cicho podeszła do drzwi. To było bardzo łatwe, otworzyć drzwi i po prostu wyjść. Pomyślała, że było to takie proste, gdyż nie była to prawdziwa ucieczka.

Terry, czy pamiętasz tego chłopaka, Phila McElroya, o którym ci opowiadałem? Tego z towarzystwa akcyjnego? No więc, jest tutaj i powiedział, że za kilka tygodni dostaniesz pracę.”

„Prawdziwą pracę? Gdzie?”

„Przy przedstawieniu w Village. Phil chce się dzisiaj wieczorem z nami spotkać. Opowiem ci wszystko, jak się zobaczymy. Będę u ciebie za jakieś dwadzieścia minut, właśnie skończyłem zajęcia.”

Teresa wbiegła po trzech schodach do swojego pokoju. Była właśnie w trakcie mycia i mydło zaschło jej na twarzy. Wpatrywała się w pomarańczową myjkę na umywalce.

„Praca!” szeptała do siebie. Magiczne słowo.

Ubrała sukienkę, założyła krótki, srebrny łańcuszek z wisiorkiem, przedstawiającym świętego Krzysztofa, prezent urodzinowy od Richarda, i uczesała włosy, mocząc je nieco w wodzie, żeby lepiej wyglądały. Potem położyła kilka osobnych szkiców oraz jeden model z tektury na brzegu szafki, żeby mieć do nich łatwy dostęp na wypadek, gdyby McElroy chciał je obejrzeć. Nie, właściwie nie ma zbyt dużo doświadczenia, będzie musiała to przyznać i serce jej zadrżało. Nie zaliczyła żadnego stażu, pomijając pracę w Montclair, kiedy to przez dwa dni siedziała nad projektem, wykorzystanym w końcu przez amatorską grupę teatralną, jeśli to w ogóle można nazwać pracą. Brała udział w dwóch kursach scenografii w Nowym Jorku, a poza tym bardzo dużo czytała na ten temat. Słyszała już niemal McElroya - zapewne jest to dynamiczny i pracowity młody człowiek - jak się denerwuje, że przyszedł na darmo i mówi z żalem, że to niestety nie to, o co mu chodziło. Jednak jeśli Richard będzie przy tym obecny, to nie będzie to aż tak druzgoczące, jak gdyby była sama, myślała Teresa. Od kiedy go poznała, już pięciokrotnie zmieniał pracę; dobrowolnie lub nie. Nic go tak mało nie obchodziło jak strata pracy i poszukiwanie nowej. Teresa zaś do teraz drżała na wspomnienie tego, jak przed miesiącem wypowiedziano jej pracę w Pelican Press. Nawet jej nie uprzedzono, a jedyną przyczyną zwolnienia, jak się domyślała, był fakt, że badania, które jej powierzono, zostały zakończone. Kiedy chciała porozmawiać z dyrektorem, dr. Nussbaumem, o tym, że zwolniono ją niezgodnie z umową, nie wiedział lub też udawał, że o niczym nie wie. „Bez uprzedzenia? Doprawdy?”, powiedział obojętnym tonem, a ona obróciła się na pięcie i wypadła z biura ze strachu, że się przy nim rozplacze.

Richardowi było dużo łatwiej - mieszkał ze swoją rodziną, która mogła go pocieszyć.

Łatwiej też było mu zaoszczędzić parę groszy. W czasie dwuletniej służby w marynarce odłożył jakieś dwa tysiące dolarów, a w następnym roku jeszcze tysiąc. Ile czasu upłynie, zanim ona zaoszczędzi te półtora tysiąca, potrzebne na pokrycie członkostwa w związku scenografów? Po prawie dwóch latach pobytu w Nowym Jorku udało jej się odłożyć niecałe pięćset dolarów.

„Módl się za mnie”, powiedziała do drewnianej madonny, stojącej na półce z książkami. Madonna to jedyny piękny przedmiot w jej mieszkaniu. Kupiła ją w pierwszym miesiącu pobytu w Nowym Jorku i chciałaby móc zapewnić jej jakieś lepsze miejsce niż ten ohydny regał. Wyglądał jak czerwone skrzynki po owocach, poustawiane jedna na drugiej. Marzył jej się regał z prawdziwego drewna, pięknie wywoskowany, gładziutki w dotyku.

Zeszła na dół do sklepu spożywczego i kupiła sześć puszek piwa oraz kawałek pleśniowego sera. Później, już na schodach, przyszło jej do głowy, że właściwie powinna była kupić coś na kolację dla siebie i Richarda, bo zamierzali zjeść coś razem w domu. Oczywiście wszystko mogło się zmienić, ale nie lubiła sama odstępować od wspólnych planów, nie pytając Richarda o zdanie. Już miała zawrócić do sklepu po kawałek mięsa, kiedy Richard, jak zwykle gwałtownie, zadzwonił do drzwi. Nacisnęła domofon.

Richard wbiegł radośnie po schodach. „Dzwonił Phil?”

„Nie”, odpowiedziała.

„Dobra. A więc przyjdzie.”

„Kiedy?”

„Myślę, że za parę minut. Nie zostanie chyba długo.”

„Czy on naprawdę miał na myśli prawdziwą pracę?”

„Jeśli tak powiedział.”

„Czy wiesz, o jaką sztukę chodzi?”

„Nie wiem nic, poza tym, że potrzebują kogoś do scenografii - no, to dlaczego nie ciebie?” Richard obejrzał ją z góry na dół i uśmiechnął się. „Wyglądasz dzisiaj wspaniale. Tylko się nie denerwuj. To jedynie mała grupa teatralna w Village, a ty masz z całą pewnością więcej talentu niż wszyscy inni razem wzięci.”

Chwyciła płaszcz, który rzucił na krzesło, i powiesiła do szafy. Pod płaszczem leżała rolka papieru rysunkowego, którą przyniósł z akademii. „Udało ci się dzisiaj coś dobrego?”

„Tak sobie. Popracuję nad tym jeszcze w domu”, odpowiedział swobodnie.

„Malowaliśmy dzisiaj tę rudą modelkę, którą lubię.”

Teresa chętnie obejrzała jego szkic, ale wiedziała, że Richard nie uważał go za wystarczająco dobry. Kilka jego pierwszych obrazów było udanych, na przykład ten z latarnią

morską w niebieskich i czarnych odcieniach, który wisiał nad jej łóżkiem. Richard namalował go jeszcze w marynarce, kiedy dopiero zaczynał próbować swoich sił. W rysunkach geometrycznych nie był zbyt dobry i Teresa wątpiła w to, że zrobi kiedykolwiek postępy. Na kolanie jego jasnobrązowych bawełnianych spodni znowu pojawiła się nowa, czarna plama od węgla kreślarskiego. Nosił T-shirt pod czerwono-czarną koszulą i skórzane mokasyny, w których jego duże stopy wyglądały jak bezkształtne łapy niedźwiedzia.

Wyglądał raczej na drwala lub atlete, pomyślała Teresa. Łatwiej mogła go sobie wyobrazić z siekierą w dłoni niż z pędzlem. Raz widziała go z siekierą, jak ścinał drzewo za swoim domem w Brooklynie. Jeśli nie udowodni swojej rodzinie, że zrobił postępy w malarstwie, będzie musiał zapewne jeszcze tego lata przyłączyć się do firmy ojca, handlującego butlami gazowymi i otworzyć filię na Long Island, zgodnie z jego oczekiwaniami.

„Pracujesz w sobotę?” zapytała, unikając lekliwie rozmowy na temat jej pracy.

„Mam nadzieję, że nie. A ty masz wolne?”

Przypomniała sobie, że nie. „Mam wolny piątek”, powiedziała z rezygnacją w głosie. „W sobotę pracujemy do wieczora”.

Richard uśmiechnął się. „Wszystko sprzysięgło się przeciw nam.” Przestał chodzić niespokojnie tam i z powrotem po pokoju, chwycił jej ręce i objął się nimi w pasie. „A może w niedzielę? Rodzina pytała, czy nie przyszłabyś na obiad, ale nie musielibyśmy długo siedzieć. Mógłbym pożyczyć ciężarówkę i wyskoczylibyśmy gdzieś po południu.”

„Dobrze”. Lubiała to, i Richard także, siedzieć z przodu w dużej, pustej ciężarówce i jechać dokądkolwiek - tak wolni, jak na skrzydłach motyli. Uwolniła się z objęć. Zawsze, kiedy oplatała tak Richarda ramionami, miała jakieś niepewne i głupie uczucie, jakby obejmowała pień drzewa. „Kupiłam dla nas stek na kolację, ale ktoś mi go ukradł w domu towarowym.”

„Ukradł? Gdzie?”

„Z regału, na którym przechowujemy nasze torebki. Pomocnice zatrudnione na okres przedświąteczny nie dostają normalnych zamykanych szafek.” Teraz mogła się z tego śmiać, ale po południu prawie się rozplakała. Wilki, myślała, stado wilków, potrafią ukraść ci taką głupią torebkę z kawałkiem mięsa, tylko dlatego, że jest w niej coś do żarcia, darmowy posiłek. Wypytywała wszystkie sprzedawczynie, czy nie widziały jej zakupów, ale zaprzeczyły. Pani Hendrickson powiedziała z oburzeniem, że nie wolno przynosić mięsa do domu towarowego. A co ci pozostaje, kiedy wszystkie sklepy mięsne zamykają o szóstej? Richard wyciągnął się na tapczanie. Miał wąskie usta o niewyraźnych konturach, wygięte



lekko ku dołowi, co nadawało jego twarzy dwuznaczny wygląd, czasami wesoły, a czasami zgorzkniały, kontrast, którego nie mogły zmienić jego błyszczące, szeroko otwarte, niebieskie oczy. Z wahaniem i kpina zapytał: „Byłaś w biurze rzeczy znalezionych? Zgubiono pół kilo wołowiny. Reaguje na imię Frykadelki”.

Teresa uśmiechnęła się, lustrując przy tym wzrokiem regały w niszy kuchennej.

„Pewnie myślisz, że to dowcipne? Pani Hendrickson rzeczywiście powiedziała mi, że powinnam zapytać w biurze rzeczy znalezionych.”

Richard roześmiał się pogardliwie i wstał.

„Mam puszkę kukurydzy i zieloną sałatę. Poza tym chleb i masło. Wyjąć kilka kotletów baranich z zamrażarki?”

Richard sięgnął ręką ponad jej plecami i zdjął z półki paczuszkę pumpernika. „To nazywasz chlebem? Sama pleśń, popatrz tylko - taka niebieska jak dupa mandryla. Czemu nie jesz tego chleba, jeśli go już kupujesz?”

„Używam go, żeby lepiej widzieć w ciemności. Ale jeśli ty tego nie lubisz...” Wzięła od niego chleb i wrzuciła do kosza na śmieci. „To oczywiście nie jest chleb, który mam tak czy owak.”

„To pokaż mi ten, który masz.”

Dzwonek rozdzwięczał się dokładnie obok lodówki i Teresa pognęła, żeby otworzyć.

„To oni”, powiedział Richard.

Byli to dwaj młodzi mężczyźni. Richard przedstawił ich jako Phila McElroya i jego brata Danniego. Phil był zupełnie inny, niż Teresa sobie wyobrażała. Nie wyglądał ani dynamicznie, ani poważnie, nawet niezbyt inteligentnie. W czasie prezentacji prawie na nią nie spojrzał. Dannie stał, z płaszczem przerzuconym przez ramię, aż Teresa wzięła go od niego. Nie mogła znaleźć wieszaka żeby powiesić płaszcz Phila, więc zabrał go z powrotem i rzucił na krzesło, tak że zwiślał, dotykając podłogi. Był to stary, brudny płaszcz z wielbłądziej wełny. Teresa postawiła na stole piwo, ser i krakersy, czekając aż Phil i Richard zaczną mówić o jej pracy. Lecz oni rozmawiali o tym, co się wydarzyło od ich ostatniego spotkania w Kingston, w Nowym Jorku. Richard pracował tam dwa tygodnie przy dekoracji ścian w pewnej restauracji, w której Phil był kelnerem.

„Czy ty też masz coś wspólnego z pracą w teatrze?” zapytała Teresa.

„Nie”, odrzekł Dannie. Wydawał się onieśmielony, albo po prostu znudzony, jakby nie mógł się doczekać końca wizyty. Był starszy od Phila i potężniej zbudowany. Jego ciemnobrązowe oczy wędrowały w zamyśleniu po sprzętach w pokoju.

„Oni mają do tej pory tylko reżysera i trzech aktorów”, odezwał się Phil do Richarda,

rozpierając się na tapczanie. „Jeden chłopak, z którym pracowałem kiedyś w Filadelfii, Raymond Cortes, reżyseruje. Jak cię polecę, na pewno się do nich dostaniesz”, powiedział spoglądając na Teresę. „Obiecał mi rolę drugiego brata w tej sztuce. Nazywa się «Deszczyk»,,

„Komedia?” zapytała Teresa.

„Tak, komedia w trzech aktach. Robiłaś już kiedyś samodzielnie scenografię?”

„Ile dekoracji będzie potrzebnych?” wtrącił się Richard, zanim zdążyła odpowiedzieć.

„Najwyżej dwie, a może wystarczy nawet jedna. Główną rolę gra Georgia Halloran. Widzieliście może tę sztukę Sartre’a, którą wystawiano tutaj ostatniej jesieni? Ona tam grała.”

„Georgia?” Richard uśmiechnął się. „Co się stało z nią i Rudim?”

Teresa zauważyła ku swojemu rozczerowaniu, że rozmowa skoncentrowała się na Georgii i Rudim oraz innych znajomych. Georgia mogła być jedną z dziewczyn, z którymi Richard kiedyś chodził. Kiedyś opowiadał jej coś o pięciu dziewczynach w jego życiu. Żadnego imienia, oprócz Celi, nie mogła sobie jednak przypomnieć.

„Czy to jeden z twoich projektów?”, zapytał Dannie, przyglądając się tekturowemu modelowi, wiszącemu na ścianie, a kiedy skinęła potakująco głową, wstał, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Tymczasem Richard z Philem rozmawiali o jakimś facecie, który miał u Richarda długi. Phil powiedział, że widział go poprzedniego wieczoru w San Remo. Teresa pomyślała, że pociągła twarz Phila, z krótko przystrzyżonymi włosami, wyglądała jak na obrazie El Greco, ale te same rysy twarzy u jego brata przypominały raczej Indianina. Jednak sposób mówienia Phila niszczył całkowicie każdą iluzję o podobieństwie do El Greco. Mówił jak wszyscy ludzie, którzy przesiadują w barach w Village, owi młodzi ludzie, uchodzący za pisarzy czy aktorów, którzy z reguły w ogóle nic nie robią.

„To bardzo udane”, odezwał się Dannie, zaglądając za małą figurkę, przytwierdzoną do tektury.

„To projekt do «Pietruszki», scena na jarmarku”, wyjaśniła Teresa, zastanawiając się czy on zna ten balet. Mógłby być adwokatem, pomyślała, albo nawet lekarzem. Na palcach miał żółte plamy, które nie pochodziły jednak od nikotyny.

Richard napomknął, że jest głodny, a Phil dodał, że po prostu umiera z głodu, lecz żaden z nich nie tknął nawet leżącego na stole sera.

„Musimy tam być za pół godziny”, powtórzył Dannie.

Po chwili wszyscy byli już na nogach i ubierali swoje płaszcze.

„Zjedzmy coś na mieście, Terry”, odezwał się Richard. „Co sądzisz na przykład o tej

czeskiej restauracji przy Drugiej ulicy?”

„Zgoda”, odpowiedziała, starając się, aby zabrzmiało to sympatycznie. No, to by było na tyle. Nic nie zostało rozstrzygnięte. Już była gotowa bezpośrednio zaatakować Phila, ale zrezygnowała.

A potem poszli do centrum miasta zamiast w drugą stronę. Richard szedł z Philem, oglądając się tylko od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy ona tam jeszcze jest. Przy krawężnikach i brudnych śliskich miejscach, które, ani to śnieg, ani lód, pozostały jeszcze od ostatnich opadów śniegu sprzed trzech tygodni, Dannie brał ją pod rękę.

„Jesteś lekarzem?” zapytała go.

„Nie, fizykiem”, odpowiedział. „Właśnie przygotowuję się do egzaminu na Uniwersytecie Nowojorskim.” Uśmiechnął się do niej, ale na tym ich rozmowa urwała się na pewien czas.

Potem powiedział: „To coś zupełnie innego niż tworzenie scenografii, prawda?”

Teresa pokiwała głową. „Tak, rzeczywiście.” Chciała go właśnie zapytać, czy przyjąłby pracę, która miałaby coś wspólnego z bombą atomową, ale dała temu spokój, bo cóż to za różnica czy by to zrobił, czy nie? „Wiesz, dokąd my właściwie idziemy?”, zapytała.

W odpowiedzi uśmiechnął się szeroko, pokazując rząd zdrowych, białych zębów.

„Tak, do stacji metra. Ale Phil chce przedtem jeszcze coś zjeść.”

Poszli w dół Trzecią Avenue. Richard opowiadał Philowi, że w lecie przyszłego roku wybierają się do Europy. Teresa odczuła nagle pewne zażenowanie, ciągnąc się tak jakby na doczepkę za Richardem, gdyż oczywiście Phil i Dannie uważają ją za stałą dziewczynę Richarda. A ona nią nie była i Richard zapewne nie myślał, że zostanie nią w Europie. Był to dosyć dziwny związek - kto by w to uwierzył? W Nowym Jorku, jak słyszała, sypia każdy z każdą, z którą spotka się raz lub dwa razy. A ci dwaj, z którymi spotykała się przed Richardem - Angelo i Harry - po prostu ją rzucili, kiedy odkryli, że jej wcale na takim związku nie zależało. Od kiedy poznała Richarda, próbowała trzy lub cztery razy pójść z nim do łóżka, lecz zawsze z negatywnym rezultatem. Richard stwierdził, że woli raczej zaczekać, mając przy tym na myśli, że ona go bardziej pokocha. Richard chciał się z nią ożenić, była pierwszą dziewczyną, której złożył propozycję małżeństwa, zapewniał. Wiedziała, że zapyta ją o to jeszcze raz, zanim pojedą do Europy, ale ona nie kochała go dość, żeby wyjść za niego. A jednak chętnie przyjąłaby od niego tę sporą sumę pieniędzy, której brakowało jej na podróż, pomyślała z poczuciem winy. I wtedy pojawił się przed nią obraz pani Semco, matki Richarda, jak uśmiecha się do nich, wyrażając zgodę na ich małżeństwo - Teresa bezwiednie potrząsnęła głową.

„Co ci jest?” zapytał Dannie.

„Nic.”

„Zimno ci?”

„Nie, wcale nie.”

Lecz on przycisnął na wszelki wypadek mocniej jej ramię. Marzła i w ogóle nie czuła się najlepiej. Wiedziała, że przyczyną był ten na pół luźny, na pół stały związek z Richardem. Widywali się coraz częściej, nie stali się jednak sobie bliżsi. Wciąż jeszcze, po tych dziesięciu miesiącach, nie była w nim zakochana i być może nigdy nie będzie. Lubiła go rzeczywiście najbardziej ze wszystkich ludzi, jakich знаła, a na pewno ze wszystkich mężczyzn. Czasami zdawało się jej, że jest w nim zakochana, kiedy rano budziła się ze wzrokiem utkwionym w suficie, przypominając sobie jego promieniejącą radością twarz, być może dlatego, że jakimś gestem dała mu do zrozumienia, że go lubi. Było tak zanim w tej zaspanej pustce zadawała sobie pytanie, która godzina, jaki dzień i co ma do roboty, a więc o ten cały wojskowy porządek, z którego składało się życie. Lecz to uczucie nie miało nic wspólnego ze wszystkim, czego nazywała się o miłości. Miłość, pisano, była pewnego rodzaju szczęśliwym zwariowaniem.

Ale przecież Richard także nie zachowywał się jak szczęśliwy wariat.

„Ach, tam wszystko nazywa się Saint-Germain-Des-Pres!”, krzyknął Phil, wykonując dezaprobujący ruch ręką. „Dam wam kilka adresów przed wyjazdem. Jak długo zamierzacie tam zostać?”

Ciężarówka z brzęczącymi, stukającymi łańcuchami przeciwnieowymi skręciła przed nimi i Teresa nie dosłyszała odpowiedzi Richarda. Phil przyglądał się wystawie sklepu Rikera przy Trzydziestej Piątej ulicy.

„Nie musimy tutaj jeść. Phil chciał się tu tylko na chwilę zatrzymać.” Richard objął ją w przejściu. „Wielki dzień, co, Terry? Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Twoja pierwsza prawdziwa praca!”

Richard był o tym przekonany i Teresa bardzo chciała w to wierzyć, że jest to istotnie ważny moment. Lecz już nie była tego taka pewna jak wtedy, gdy - po telefonie Richarda, wpatrywała się w pomarańczową myjkę na umywalce. Oparła się o barowy stółek obok Phila, który siedział rozmawiając dalej z Richardem. Ostre białe światło błyszczało na wyłożonych kafelkami ścianach i podłodze jaśniej niż słoneczne, gdyż nie było tutaj żadnego cienia.

Mogła w każdym razie dostrzec połyskujące czarne włoski na brwiach Phila i chropowate oraz gładkie miejsca na fajce, którą Dannie trzymał niezapaloną w dłoni. Widziała każdy szczegół ręki Richarda, zwisającej ospale z rękawa jego płaszcza, i znowu

rzuciło się jej w oczy, jak bardzo nie pasuje ona do jego gibkiego ciała o długich kościach. Były to silne, prawie niezgrabne ręce, poruszające się zawsze w ten sam niezdarny, niemalże ślepy sposób, obojętnie czy sięgały akurat po solniczkę, czy po ucho walizki. Albo też głaskały ją po włosach, pomyślała. Wewnętrzna strona jego dłoni była niezwykle miękka, prawie dziewczęca, i trochę wilgotna. Najgorsze było to, że zawsze zapominał wyczyścić paznokcie, nawet wtedy, gdy starał się elegancko ubrać. Teresa powtarzała mu to wielokrotnie, ale teraz uznała, że gdyby jeszcze raz mu to powiedziała, rozdrażniłaby go tylko.

Dannie obserwował ją. Przez moment wytrzymała jego zamyślane spojrzenie, po czym spuściła wzrok. Teraz już wiedziała, dlaczego tego wcześniejszego uczucia radości nie da się ponownie wskrzesić; po prostu nie wierzyła, że Phil mógłby jej przez swoje wstawiennictwo załatwić pracę.

„Martwisz się o tę pracę?” Dannie stał obok niej.

„Nie.”

„Bo i nie powinnaś. Phil może udzielić ci kilku wskazówek.” Włożył ustnik fajki między wargi i wydawało się, że chce jeszcze coś dodać, ale w końcu odwrócił się.

Jednym uchem przysłuchiwała się rozmowie, którą prowadził Phil z Richardem. Mówili o rezerwacji biletów na statek.

„A poza tym teatr Black Cat jest tylko parę bloków od Morton Street, gdzie mieszkam. Phil mieszka ze mną. Wpadnij kiedyś do nas na lunch.”

„Chętnie.” Pewnie nigdy do tego nie dojdzie, ale było to miłe z jego strony, że ją zaprosił.

„Jak myślisz, Terry, czy marzec to za wcześnie na Europę?”, zapytał Richard.

„Chyba lepiej pojechać wcześniej, zamiast czekać, aż wszystko będzie przepełnione.”

„Marzec nie jest zły”, odpowiedziała.

„Nic nie może nas przed tym powstrzymać, prawda? Jest mi obojętne czy semestr zimowy w akademii się wtedy już skończy, czy nie.”

„Nie, nic nam nie przeszkodzi”. Tak łatwo się to mówi. Jakże łatwo w to wszystko uwierzyć i równie łatwo nie zrobić tego. Ale jeśli to wszystko okaże się prawdą, jeśli ta praca naprawdę będzie i sztuka odniesie sukces, jeśli pojedą do Francji... Teresa chwyciła spontanicznie rękę Richarda i przesunęła swoją dłoń aż do jego palców. Richard był tym tak zaskoczony, że przerwał w pół zdania.

Następnego popołudnia Teresa wykręciła numer Watkina, który dał jej Phil.

Odezwał się różnie brzmiący kobiecy głos. Pana Cortesa nie ma, ale Phil McElroy

opowiadał mu o niej. Może mieć tę pracę i zacząć 28 grudnia za pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Może też wpaść wcześniej i pokazać panu Cortesowi kilka swoich prac, jeśli chce, ale nie jest to konieczne, bo przecież Phil McElroy tak usilnie ją polecał.

Teresa zatelefonowała do Phila, żeby mu podziękować, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Napisała do niego kilka słów na adres teatru Black Cat.

Roberta Walls, młoda pomocnica z działu zabawek, zatrzymała się na moment wśród porannej bieganiny obok Teresy, żeby wyszeptać do niej: „Jeśli nie sprzedamy dzisiaj tego kuferka za dwadzieścia cztery pięćdziesiąt, trzeba go będzie przecenić, a to oznacza stratę dwóch dolarów dla naszego działu!” Roberta wskazała brodą na stojącą na ladzie tekturową walizeczkę, wcisnęła szare kartony do rąk pani Martucci i popędziła dalej.

Teresa patrzyła, jak sprzedawczynie ustępują jej miejsca na korytarzu. Roberta dosłownie oblatywała stoły z góry na dół, z jednego kąta piętra do drugiego i tak przez cały dzień, od dziewiątej rano do szóstej wieczorem! Teresa słyszała, że Roberta stara się o awans. Nosila rzucające się w oczy okulary z czerwonymi oprawkami i podwijiała, jak żadna z kobiet, rękawy swego fartucha aż do łokci.

Teraz pędziła wzdłuż korytarza i zatrzymała panią Hendrickson, aby, gestykułując gwałtownie, przekazać jej jakąś ciekawą wiadomość. Pani Hendrickson kiwnęła głową, a Roberta ścisnęła ją poufale za ramię i Teresa poczuła lekką zazdrość. Zazdrość, choć właściwie nie darzyła pani Hendrickson sympatią.

„Czy ma pani szmacianą lalkę, która potrafi płakać?”

Teresa nie wiedziała, czy mają takie lalki na składzie, ale klientka była przekonana, że Frankenberg je sprzedaje, gdyż widziała je na ogłoszeniu reklamowym. Teresa wyjęła z ostatniego miejsca, gdzie taka lalka mogłaby ewentualnie być, jeden karton, ale niestety, nie było jej tam.

„Czego szukasz?” zapytała pani Santini przez nos. Pani Santini była przeziębiona.

„Szmacianej lalki, która płacze”, odpowiedziała Teresa. Pani Santini była ostatnio dla niej szczególnie uprzejma. Teresa pomyślała o skradzionym kawałku mięsa.

Lecz dzisiaj pani Santini uniosła tylko brwi, wydeła swoje błyszczące czerwone usta, wzruszyła ramionami i poszła dalej.

„Szmacianą z warkoczami?” pani Martucci, szczupła, włoska dziewczyna z brzydkimi włosami i długim, wilczym nosem, spojrzała na Teresę. „Nic nie mów o tym Robercie, w ogóle nikomu, ale te lalki są na dole, na parterze.”

„Ach.” Dział zabawek z piętra był skłócony z działem zabawek z parteru. Należało do taktyki domu towarowego sprowokowanie klientów do robienia zakupów na siódmym piętrze, gdzie wszystko było droższe. Teresa powiedziała klientce, że takie lalki mają na parterze.

„Niech pani się postara to jeszcze dzisiaj sprzedać”, powiedziała pani Davis, przechodząc za jej plecami, a jej ręka z pomalowanymi na czerwono paznokciami poklepała wybrzuszoną walizkę z materiału imitującego skórę krokodyla. Teresa skinęła głową.

„Ma pani taką lalkę ze sztywnymi nogami, która umie stać?”

Teresa spojrzała na kobietę w średnim wieku, wspierającą się na kulach, które wznosiły jej ramiona do góry. Jej twarz była inna niż wszystkie pozostałe twarze przy ladzie, była sympatyczna, a jej oczy wydawały się rzeczywiście dostrzegać to, co widziały.

„Ta jest trochę za duża”, powiedziała, kiedy Teresa pokazała jej lalkę, „przepraszam, ale może ma pani mniejszą?”

„Myślę, że tak.” Teresa poszła korytarzem, a kobieta o kulach podążyła za nią, omijając z daleka tłum ludzi stojący przy ladzie, żeby zaoszczędzić Teresie drogi powrotnej. I wtedy Teresa zapragnęła zrobić wszystko, żeby znaleźć dokładnie taką lalkę, jakiej życzyła sobie ta kobieta. Ale także ta druga lalka nie była odpowiednia. Nie miała prawdziwych włosów. Teresa poszukała jeszcze w innym miejscu i znalazła wreszcie taką z prawdziwymi włosami. Umiała nawet płakać, kiedy się ją pochylało do przodu. Teresa zapakowała lalkę ostrożnie w jedwabny papier i włożyła do nowego pudełka.

„Dokładnie takiej chciałam”, powtarzała kobieta. „Wyślę ją swojej przyjaciółce do Australii, ona jest pielęgniarką. Kończyłyśmy razem szkołę, dlatego uszyłam dla lalki taki mundurek, jaki wtedy nosiłyśmy. Bardzo dziękuję! I życzę pani Wesołych Świąt!”

„Wesołych Świąt!” odpowiedziała Teresa i uśmiechnęła się. Zdarzyło się to pierwszy raz, że klientka składała jej życzenia świąteczne.

„Robiła już pani przerwę, panno Belivet?” Pytanie pani Hendrickson zabrzmiało ostro, jak zarzut.

Teresa nie miała jeszcze przerwy. Z półki pod ladą do pakowania wzięła swój notes i powieść, którą właśnie czytała. Był to *Portret artysty z czasów młodości* Jamesa Joyce’a, gorąco polecany przez Richarda. Nie mógł pojąć, jak można czytać Gertrudę Stein, nie znając Joyce’a. Czuła się zawsze trochę pokonana, kiedy Richard rozprawał o książkach. Wprawdzie myszkowała po szkolnej bibliotece, ale zbiory klasztoru świętej Małgorzaty, jak to sobie teraz uświadomiła, nie były duże, choć zdarzały się takie autorki jak Gertruda Stein, których trudno było się tam spodziewać. Korytarz przed pokojem wypoczynkowym zablokowały wózki z paczkami do wysyłki, załadowane całkowicie kartonami. Teresa musiała zaczekać, żeby móc przejść.

„Jedenasteczko!” zawołał na nią jeden z młodych ludzi z działu wysyłkowego. Teresa uśmiechnęła się lekko, bo było to takie głupie. Nawet na dole, w szatni, wołano za nią rano



czy wieczorem „Jedenasteczko”.

„Jedenasteczko, zaczekasz na mnie?” Czyjś nieokrzesany głos przebił się poprzez hałas wpadających na siebie wózków towarowych.

Przedostała się pomiędzy nimi, uciekając przed jednym, na którym stał jakiś pracownik i pędził szybko prosto na nią.

„Tutaj się nie pali!” rozległ się oburzony, męski głos kogoś z kierowników. Dziewczyny, stojące przed Teresą i palące papierosy, wypuściły dym w powietrze i odpowiedziały chórem - zanim zdążyła skryć się w pokoju wypoczynkowym dla kobiet: „Cóż on sobie właściwie myśli, że jest samym panem Frankenbergiem, czy co?”

„Hej, Jedenasteczko! Chyba tracę tylko czas dla ciebie. Jedenasteczko!” zabrzmiało z wózka z przodu. Wpadł w poślizg, kalecząc jej nogę metalowym brzegiem.

Poszła dalej nie spojrzawszy nawet na ranę na nodze, chociaż ból wzmagął się, jak powolna eksplozja. Wkroczyła do kuchni czarownic, pełnej kobiecych głosów, kobiecych ciał i zapachu środków dezynfekujących. Krew spływała do buta a na pończosze widniała wyszarpana dziura. Przycisnęła kawałek odartej skóry i zrobiło się jej słabo. Oparła się o ścianę i przytrzymała rury kanalizacyjnej.

Stała tak przez kilka sekund przysłuchując się mieszaninie głosów dziewcząt stojących przed lustrem. Potem namoczyła papier toaletowy i tak długo wycierała nogę, aż plamy krwi zniknęły z pończochy, ale po chwili znowu się pojawiły.

„Już dobrze, dziękuję”, powiedziała do dziewczyny, która nachyliła się nad nią na chwilę i zaraz odeszła.

W końcu nie pozostało jej nic innego, jak kupić w automacie podpaszkę. Wyjęła z niej trochę waty i przywiązała za pomocą gazy do nogi. I już musiała wracać na górę do swojego stoiska.

Ich spojrzenia spotkały się w tym momencie, gdy Teresa podniosła wzrok znad kartonu, który właśnie otwierała, a kobieta odwróciła głowę, tak że patrzyła prosto na nią. Była wysoką blondynką, jej szczupła sylwetka wyglądała elegancko w szerokim, rozpiętym futrze, które przytrzymywała jedną ręką. Oczy w kolorze przezroczystej szarości rozpromieniały jak światło i ogień i oczarowywały tak, że Teresa nie mogła odwrócić od nich wzroku.

Słyszała, jak jakaś klientka powtórzyła swoje pytanie, ale stała zupełnie głucha na wszystko. Tamta kobieta także patrzyła na Teresę, z wyrazem rozbawienia na twarzy, jakby tylko po części zajęta zakupami. I choć rozdzielał je cały rząd sprzedawczyń, Teresa była pewna, że podejdzie właśnie do niej. Potem ujrzała, jak kobieta wolno ruszyła w jej stronę,

poczuła, że serce zaczęło mocniej bić, twarz oblewa rumieniem.

„Czy mogę obejrzeć ten kuferek?” zapytała, opierając się o ladę i spoglądając przez szybę.

Wybrzuszona walizka leżała w odległości kilku centymetrów. Teresa sięgnęła po najniżej leżący karton, ten, który jeszcze nie był nigdy otwierany.

Kiedy się wyprostowała, kobieta patrzyła na nią swymi spokojnymi, szarymi oczyma, których spojrzenia nie mogła wytrzymać ani też odwrócić wzroku.

„Chciałabym ten tutaj, ale z pewnością nie mogę go dostać - prawda?” zapytała kobieta, wskazując ruchem głowy na walizkę stojącą za Teresą.

Miała jasne brwi, układające się wzdłuż łuku jej czoła. Jej usta są mądre, tak jak jej oczy, pomyślała Teresa, a jej głos głęboki i miękki, tak jak jej futro, i jakiś tajemniczy.

„Ależ oczywiście”, powiedziała Teresa.

Poszła do magazynu po klucz. Wisiał na gwoździu na drzwiach i nikt, oprócz pani Hendrickson, nie miał prawa go dotykać.

Pani Davis spojrzała na nią i zaniemówiła z wrażenia, ale Teresa powiedziała tylko: „Potrzebuję go” i wyszła.

Otworzyła witrynę, wyjęła walizkę i postawiła na ladzie.

„Daje mi pani egzemplarz z wystawy?” Kobieta uśmiechnęła się z uznaniem. I oparta o ladę oglądała wnętrze walizki, mówiąc przy tym: „Będą wściekli - prawda?”

„Nic nie szkodzi”, zapewniła Teresa.

„Dobrze. Wezmę go... A co z sukienkami - należą do niego?”

Do wieczka walizki przytwierdzone były zapakowane w celofan sukienki dla lalki.

„Nie”, odrzekła Teresa, „Są osobno. Ale jeśli potrzebuje pani ubranek dla lalki - te są równie dobre, jak tamte w dziale z ubrankami po przeciwnej stronie.”

„Ach tak. Czy zostanie to dostarczone do New Jersey jeszcze przed Świątami?”

„Tak, w poniedziałek będzie na miejscu.” A jeśli nie, pomyślała Teresa, to sama je tam zawiozę.

„Pani H.F. Aird”, zabrzmiał delikatny, jasny głos kobiety i Teresa zapisała nazwisko drukowanymi literami na zielonym kwicie wysyłkowym.

Nazwisko, adres, miasto, które spływały spod stałówki jej pióra, wydawały się upojną tajemnicą, którą Teresa zawsze zachowa w pamięci.

„I nie może być mowy o żadnej pomyłce, prawda?” zapytała kobieta.

Wtedy po raz pierwszy poczuła zapach jej perfum i zamiast odpowiedzi pokręciła tylko głową. Spojrzała na kwit, na którym starannie zanotowała wszystkie potrzebne dane i

zapraęnęła z całej siły, żeby kobieta powiedziała: „Czy pani naprawdę się cieszy, że mnie poznała? Dlaczego nie miałybyśmy się znowu zobaczyć? Czy nie mogłybyśmy zjeść dzisiaj razem lunchu?” Jej głos był tak swobodny, że mogłaby to tak lekko powiedzieć. Ale nic takiego nie nastąpiło, nic, co mogłoby zmniejszyć zawstydzenie Teresy, że została przejrzana jako niedoświadczona pomocnica sprzedawczyni zatrudniona na okres przedświąteczny, która popełnia masę błędów.

Teresa podsunęła książkę zamówień do podpisu.

Kobieta sięgnęła po swoje rękawiczki, odwróciła się i powoli odeszła, a Teresa patrzyła, jak odległość między nimi staje się coraz większa i większa. Widoczne spod futra nogi nieznajomej były niezwykle wąskie w kostce. Nosiła gładkie, skórzane buty na wysokich obcasach.

„Czy to kwit wysyłkowy?”

Teresa spojrzała na wstrętą, pospolitą twarz pani Hendrickson. „Tak, pani Hendrickson.”

„Czy pani nie wie, że należy wręczyć klientowi górną część kwitu? Jak ma potwierdzić odbiór zakupów, kiedy je dostarczą? Gdzie ta klientka? Może ją pani jeszcze dogonić?”

„Tak.” Była tylko parę metrów stąd, po drugiej stronie, w dziale z ubrankami dla lalek. Teresa zwlekąła przez chwilę, trzymając wciąż w ręce zielony formularz, a potem zmusiła się do pójścia śladem nieznajomej, gdyż nagle zawstydziła się swojego wyglądu, swojej starej, niebieskiej spódnicy i bawełnianej bluzki - i tych poniżających butów na płaskim obcasie. I do tego jeszcze ten wstrętny opatrunek na nodze, przez który na pewno znowu przesiąknęła krew.

„Zapomniałam pani to oddać”, powiedziała kładąc nędzny, mały odcinek zlecenia obok dłoni klientki opartej o kant lady i odeszła.

Gdy znalazła się znowu za swoim stoiskiem, zaczęła przyglądać się szufladom z zapasami, w zamyśleniu wyciągała je i wsuwała z powrotem, jakby czegoś szukała.

Czekała, aż nieznajoma załatwi zakupy przy sąsiedniej ladzie i odejdzie. Miała świadomość, że czas ucieka nieodwołalnie wraz z niewysłowionym szczęściem, bo w tych ostatnich sekundach mogłaby się odwrócić i spojrzeć jeszcze raz w tę twarz, której nigdy więcej nie zobaczy. Niewyraźnie docierały do niej, przejmujące zgrozą, uparte, stare głosy klientek przy ladzie, które dopominały się o informację, poradę, jak również szum małej kolejki - wszystko to było częścią orkanu, który coraz bardziej ją pochłaniał i oddzielał od tamtej kobiety.

Kiedy się w końcu odwróciła, znów ujrzała ją przed sobą.

Kobieta podeszła i wskazała na lalkę, którą chciała obejrzeć.

Teresa wyjęła lalkę z pudełka i położyła ją głośno na ladzie. Kobieta spojrzała jakby trochę zdziwiona.

„Jest nie do rozbicia.”, skonstatowała.

Teresa uśmiechnęła się.

„Tak, wezmę ją.” odrzekła kobieta tym swoim spokojnym, powolnym głosem, wprowadzającym spokój w panującym wokół tłumie. Ponownie podała nazwisko i adres, a Teresa odczytywała je z jej ust, jakby nie znała ich już na pamięć.

„Czy to na pewno dojdzie przed Świętami?”

„Będzie najpóźniej w poniedziałek, czyli dwa dni przed Bożym Narodzeniem”.

„Dobrze. Nie chcę pani denerwować.”

Teresa zawiązała węzeł na sznurku oplatającym pudełko, ale w jakiś tajemniczy sposób znowu go rozwiązała. W końcu udało jej się, w tym głębokim, nie dającym się ukryć zmieszaniu, zaciągnąć mocno węzeł.

„Okropna praca, nieprawdaż?”

„Tak.” Teresa zawinęła kwit wysyłkowy wokół sznurka i przypięła go szpilką.

„Proszę wybaczyć, że się naprzykrzałam.”

Teresa obrzuciła kobietę szybkim spojrzeniem i znowu odniosła wrażenie, że ją skądś zna, że zaraz sobie przypomni i będą śmiać się, wspominając. „Wcale się pani nie naprzykrza. A paczka dojdzie na pewno.” Teresa popatrzyła na stoisko, przy którym kobieta przed chwilą stała i zauważyła zielony kwit wysyłkowy, porzucony na ladzie. „Naprawdę powinna go pani zachować.”

Jej oczy były zupełnie inne, kiedy się uśmiechała, błyszczały jak przezroczysty, szary ogień, który urzekł Teresę. „Już często otrzymywałam przesyłki i bez tego. Zawsze go gubię.” Ale pochyliła głowę, żeby podpisać drugi kwit.

Teresa patrzyła, jak odchodzi tym samym powolnym krokiem, jakim nadeszła, patrzyła, jak spogląda na inne stoiska, uderzy dwa, trzy razy czarnymi rękawiczkami po powierzchni dłoni i znika w windzie.

Teresa zwróciła się w końcu do następnej klientki. Pracowała z niezmierną cierpliwością, ale cyfry na wypisywanych przez nią kwitach wysyłkowych były powykrzywiane w miejscach, gdzie długopis gwałtownie wyślizgiwał się z jej rąk. Poszła do biura pana Logana, i choć zdawało się, że trwało to całe godziny, kiedy spojrzała na zegarek, przekonała się, że upłynął zaledwie kwadrans i nadszedł czas, żeby odświeżyć się do obiadu.

Stała sztywno przed automatem z ręcznikami, susząc ręce. Miała poczucie całkowitego wyizolowania. Pan Logan zapytał, czy po świętach chce tutaj dalej pracować i zaproponował miejsce na dole, w dziale kosmetycznym. Teresa odmówiła.

Po południu zeszła na pierwsze piętro i na stoisku papierniczym kupiła kartkę świąteczną. Nie była wyjątkowa, ale przynajmniej prosta, w skromnym odcieniu bieli i złota. Stała pochylona nad kartką z piórem w ręce, myśląc o tym, co też mogłaby napisać - „Jest pani cudowna!” albo „Kocham panią” - i napisała pośpiesznie, nudno aż do bólu i bezosobowo: „Pozdrowienia od Frankenberga, z najlepszymi ukłonami.” Zamiast podpisu dołączyła swój numer służbowy, 645-A. Potem poszła na parter na pocztę, zwlekała chwilę przed skrzynką na listy, bo kiedy jej ręka z kopertą już prawie dosięgała otworu w skrzynce, straciła zupełnie głowę. Cóż to może panią H. F. Aird obchodzić? Może tylko uniesie jasne brwi, obrzuci kartkę przelotnym spojrzeniem i zaraz o niej zapomni. Wrzuciła jednak kopertę do skrzynki na listy.

W drodze do domu przyszedł jej do głowy pomysł na scenografię: wewnątrz domu, który jest głębszy niż szerszy, z okrągłym miejscem na środku, od którego promieniście rozchodzą się pokoje. Chciała jeszcze tego samego wieczoru wykonać papierowy model, ale zdołała tylko opracować szkice ołówkiem. Chciała się z kimś zobaczyć - jednak ani nie z Richardem, ani z Jackiem czy Alice Kelly, którzy mieszkali piętro niżej. Może ze Stellą, Stellą Overton, scenografem, którą poznała w pierwszych tygodniach swego pobytu w Nowym Jorku. Nie widziały się od czasu cocktail-party, jakie urządziła przed swoją przeprowadzką z poprzedniego mieszkania. Stella była jedną z tych osób, które nie znały jej nowego adresu. Teresa szła właśnie na dół do telefonu, gdy usłyszała trzy krótkie dzwonki do jej drzwi, co oznaczało, że ktoś do niej telefonuje.

„Dziękuję”, zawołała na dół do pani Osborne. Był to - jak zwykle koło dziewiątej - telefon od Richarda. Chciał się dowiedzieć, czy miałyby ochotę pójść z nim jutro wieczorem do kina. W Sutton grali film, którego jeszcze nie widzieli. Teresa powiedziała, że nie ma żadnych planów, ale chciałaby skończyć szyć powłoczkę na poduszkę. Alice Kelly zaproponowała, żeby wpadła do niej jutro i skorzystała z jej maszyny do szycia. A poza tym musi umyć sobie głowę.

„Umyj dzisiaj wieczorem a jutro chodźmy razem do kina.”

„Już późno. Nie mogę iść z mokrymi włosami do łóżka.”

„To sam umyję ci je jutro rano. Tym razem nie będzie nam potrzebna wanna, wystarczy kilka wiader wody.”

Uśmiechnęła się. „Lepiej nie.” Kiedyś wpadła do wanny, gdy Richard mył jej głowę.

Naśladował spływ wody z całym bulgotem i sykiem, a ona śmiała się tak, że aż pośliznęła się na posadzce i wpadła do wanny.

„A co powiesz na wystawę rysunków? Otwarcie jest w sobotę popołudniu.”

„W sobotę muszę pracować do dziewiątej. Nie wyjdę przed wpół do dziesiątej.”

„Też dobrze, to zostaną dłużej w szkole i spotkamy się o wpół do dziesiątej na rogu Czterdziestej Piątej i Piątej Avenue. Pasuje?”

„Pasuje.”

„Było coś nowego dzisiaj?”

„Nie, a u ciebie?”

„Nie. Jutro zorientuję się w sprawie rezerwacji miejsc na statek. Zadzwonię wieczorem.”

Teresa nie zatelefonowała do Stelli.

Następnego dnia był piątek, ostatni piątek przed Świątami i najbardziej pracowity dzień od kiedy była u Frankenberga, chociaż wszyscy mówili, że w sobotę będzie jeszcze gorzej. Ludzie w okropnym ścisku tłoczyli się przy szklanych ladach, klientki, które właśnie zaczynała obsługiwać, porywała pełzająca rzeka, która wypełniła korytarze. Trudno było sobie wyobrazić, że jeszcze więcej ludzi może pomieścić się na piętrach, ale windy bez przerwy wypluwały następnych.

„Nie rozumiem, dlaczego nie zamkną drzwi na dole”, odezwała się Teresa do panny Martucci, kiedy pochyliły się obok siebie przed regałem.

„Co?”, odpowiedziała pytaniem panna Martucci, gdyż nic nie mogła zrozumieć.

„Panna Belivet”, krzyknął ktoś i rozległ się gwizdek.

To pani Hendrickson. Posługiwała się tego dnia gwizdkiem, żeby zwrócić na siebie uwagę. Teresa torowała sobie do niej drogę, pomiędzy ekspedientkami i pustymi kartonami, porzucanymi na podłodze.

Jest pani proszona do telefonu”, poinformowała ją pani Hendrickson, wskazując na aparat stojący na stole do pakowania.

Teresa uczyniła bezradny gest, którego pani Hendrickson z braku czasu nawet nie zauważyła. Trudno było cokolwiek zrozumieć przez telefon. Myślała, że to Richard robi jej kawał. Już kiedyś do niej tutaj telefonował.

„Hallo?” powiedziała.

„Hallo, czy to pracownica sześć-czterdzieści pięć-A, Teresa Belivet?” poprzez stukot i szum dobiegł ją głos telefonistki, „proszę mówić.”

„Hallo?” powtórzyła Teresa nie rozumiejąc odpowiedzi. Wzięła aparat ze stołu i

odeszła kilka metrów do magazynu. Sznur ledwo wystarczył, więc musiała kucnąć na podłodze. „Hallo?”

„Hallo”, odezwał się głos w słuchawce. „Chciałam pani podziękować za kartkę świąteczną.”

„Ach - ach, to pani...”

„Tu mówi pani Aird.” powiedziała kobieta. „Czy to pani ją do mnie wysłała?”

„Tak.” odrzekła Teresa, nagle całkiem zeszywniała z poczucia winy, jakby przyłapano ją na jakimś występku. Przymknęła powieki i zaplątała się w sznur telefoniczny, widząc przed sobą, tak jak wczoraj, te inteligentne, śmiejące się oczy. „Przykro mi, jeśli to panią poirytowało”, powiedziała mechanicznie takim tonem, jakim zwracała się do klientów.

Kobieta roześmiała się. „To bardzo komiczne”, dodała, a Teresa wyczuła znowu ten lekki, niedbały sposób mówienia, który wczoraj od razu pokochała, i też się uśmiechnęła.

„Dlaczego?”

„Pani musi być tą dziewczyną z działu zabawek.”

„Tak.”

„To bardzo miło z pani strony, że przysłała mi pani życzenia”, powiedziała kobieta uprzejmie.

Wtedy Teresa zrozumiała. Ona myślała, że ta kartka jest od mężczyzny, od któregoś z pracowników, który ją także obsługiwał. „Z przyjemnością panią obsługiwałam”, odezwała się Teresa.

„Tak? Dlaczego?” Może się z niej naśmiewała. „No cóż - ponieważ są Święta, może spotkałybyśmy się i wypily filiżankę kawy albo wpadły gdzieś na drinka?”

Teresa zadrzała, gdyż ktoś otworzył gwałtownie drzwi i ukazała się jedna ze sprzedawczyń. „Tak, byłoby miło”.

„Kiedy?” zapytała kobieta. „Przyjadę jutro przed południem do Nowego Jorku. Może zjemy razem obiad? Będzie miała pani jutro trochę czasu?”

„Oczywiście. Mam godzinną przerwę na obiad od dwunastej do pierwszej”, odpowiedziała Teresa, patrząc na nogi stojącej przed nią ekspedientki, w znoszonych płaskich mokasynach, na jej niekształtne kostki i łydki w grubych bawełnianych pończochach, kiedy przestępowała z nogi na nogę jak słoń.

„Czy mam czekać na panią o dwunastej przy Trzydziestej Czwartej na dole przy wejściu?”

„Tak, proszę. Ja...” Teresa przypomniała sobie w tej chwili, że nazajutrz zaczyna punktualnie o pierwszej. Ma więc wolne przedpołudnie. Podniosła ramię, żeby zasłonić się

przed spadających właśnie lawiną pudełek, spowodowaną przez tracącą równowagę stojąca przed nią ekspedientkę.

„Halo?” krzyknęła Teresa do słuchawki poprzez hałas spadających kartonów.

„Przepraszam”, wymamrotała pani Zabriskie, torując sobie drogę do drzwi.

„Halo?” powtórzyła Teresa.

Telefon milczał.



„Hallo”, powiedziała kobieta.

„Hallo.”

„I co?”

„Nic.” Przynajmniej mnie rozpoznała, pomyślała Teresa.

„Czy ma pani jakąś szczególnie ulubioną restaurację?” zapytała tamta, kiedy szły obok siebie po chodniku.

„Nie. Byłoby dobrze znaleźć coś spokojnego, ale w tej okolicy nic takiego nie ma.”

„Nie wystarczy pani zapewne czasu na mały skok na East Side? Nie, oczywiście, że nie, bo przecież ma pani tylko godzinną przerwę na obiad. Myślę, że znam tu jedną restaurację, kilka metrów dalej na zachód na tej ulicy. Czy wystarczy pani czasu?”

„Tak, z pewnością.” Było już piętnaście po dwunastej. Teresa wiedziała, że się strasznie spóźni, ale było jej to obojętne.

Po drodze nie zadawały sobie żadnego trudu, żeby nawiązać rozmowę. Od czasu do czasu rozdzielał je tłum; raz kobieta obrzuciła Teresę badawczym wzrokiem ponad zawieszonym ubraniami samochodem dostawczym i uśmiechnęła się. Weszły do restauracji z ozdobionym drewnianymi belkami sufitem i stołami nakrytymi białymi obrusami, która nawet w połowie nie była zajęta. Usiadły w dużej niszy, kobieta zamówiła dla siebie „Old-Fashioned” bez cukru i zaproponowała Teresie, żeby zamówiła to samo. Kiedy Teresa zwlekała, po prostu kazała kelnerowi przynieść jeszcze jednego drinka.

Zdjęła kapelusz, przygładziła palcami swoje jasne włosy i popatrzyła na Teresę. „Jak wpadła pani na ten miły pomysł, żeby wysłać do mnie kartkę z życzeniami?”

„Myślałam o pani”, powiedziała Teresa. Patrzyła na małe perłowe kolczyki w jej uszach, które miały prawie taką samą barwę jak jej włosy i oczy.

Teresa uznała, że jest piękna, choć widziała jej twarz jakby przez mgłę, nie mogąc zdobyć się na to, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. Kobieta poszperała w swej torebce i wyjęła puderniczkę oraz szminkę w kształcie okrętu. Była cała ze złota. Teresa chętnie przypatrzyłaby się dokładniej ustom tej kobiety, ale bała się przenikliwych szarych oczu.

„Pani tam chyba długo nie pracuje, prawda?”

„Nie, dopiero od dwóch tygodni.”

„I pewnie nie zagrzeje tam pani miejsca, jak sędzę.”

Zaproponowała Teresie papierosa.

Teresa poczęstowała się. „Nie, będę miała wkrótce inną pracę.” Pochyliła się nad zapalniczką, którą jej podsunęła, nad jej szczupłą dłonią z owalnymi, polakierowanymi na czerwono paznokciami i lekkimi śladami piegów na grzbiecie.

„Czy często się pani zdarza wysyłać kartki?”

„Kartki?”

„Świąteczne.” Kobieta uśmiechnęła się.

„O, nie ,, powiedziała Teresa.

„Wesołych Świąt.” Stuknęła lekko w kieliszek Teresy i wypila.

„Gdzie pani mieszka? Na Manhattanie?”

Teresa odpowiedziała. Sześćdziesiąta Trzecia ulica. Jej rodzice nie żyją, mówiła. Jest od dwóch lat w Nowym Jorku, przedtem była w szkole w New Jersey.

Teresa nie powiedziała, że była to szkoła na wpół kościelna. Nie nadmieniła też nic o siostrze Alicji, którą uwielbiała i o której tak często myślała, o siostrze Alicji z jasnoniebieskimi oczami i brzydkim nosem, o jej surowej miłości. Ale od wczoraj siostra Alicja została daleko w tyle za tą kobietą, która siedziała teraz naprzeciwko niej.

„A co robi pani z wolnym czasem?” Światło lampy nad stołem sprawiało, że jej oczy połyskiwały srebrzyście, wypełniając się płynną światłością. Nawet perła w płątku ucha wydawała się ożywać, jak kropelka wody, którą zniszczyć mogło najmniejsze poruszenie.

„Ja...” Czy ma jej powiedzieć, że zazwyczaj pracuje nad swoimi modelami? Że czasami rysuje albo maluje, rzeźbi malutkie główki kociąt i figurki do scen baletowych, ale że najchętniej chodzi na długie spacery, dokądkolwiek, a już najbardziej lubi oddawać się marzeniom? To wszystko było z pewnością zbyteczne. Czowała, że oczy tej kobiety nie potrafią na coś patrzeć, nie zgłębiając tego jednocześnie.

Teresa wypila łyk zamówionego drinka. Smakował jej, choć uznała, że jest taki, jak ta kobieta - napawający lękiem i mocny.

Kobieta dała kelnerowi znak i przyniósł dwa następne drinki.

„Podoba mi się to.”

„Co?”, zapytała Teresa.

„To, że ktoś, kogo nie znam, przysyła mi kartkę. Tak powinno być w Boże Narodzenie. A w tym roku podoba mi się to szczególnie.”

„Cieszę się.” Teresa uśmiechnęła się trochę zażenowana.

„Jest pani bardzo ładna i bardzo wrażliwa - zgadza się?”

Zabrzmiało to tak, jakby mówiła o jakiejś lalce, pomyślała Teresa, tak mimochodem powiedziała jej, że jest ładna. „Jest pani wspaniała”, odrzekła Teresa, nieco odważniejsza po

drugim drinku, i było jej obojętne, jak to zabrzmiało, gdyż zdawała sobie doskonale sprawę, że ta kobieta i tak o tym wie.

Kobieta roześmiała się, odchylając do tyłu głowę. Jej śmiech dźwięczał piękniej niż muzyka. W kącikach oczu utworzyły się małe zmarszczki, a usta, w których trzymała papierosa, ściągnęły się. Łokcie wsparte na stole, a podbródek na dłoni, trzymającej papierosa. Od talii jej obcisłego czarnego kostiumu biegła długa linia ku szerokim plecóm, ku jasnej głowie z upiętymi do góry delikatnymi, niesfornymi włosami. Teresa oceniała ją na trzydzieści, trzydzieści dwa lata, jej córka, dla której kupiła walizeczkę i lalkę, musiała mieć sześć lub osiem lat. Teresa wyobraziła sobie to dziecko: blond włosy, opalona, szczęśliwa buzia i szczupłe, proporcjonalnie zbudowane ciało, wciąż zajęte zabawą. Ale twarz dziecka nie wyróżniała się niczym szczególnym, w przeciwieństwie do nordyckiej w typie twarzy matki. A mąż? Teresa nie potrafiła go sobie wyobrazić.

„Zapewne myślała pani, że to jakiś mężczyzna napisał tę kartę - prawda?”, zapytała Teresa.

„Zgadza się”, odrzekła kobieta z uśmiechem. „Myślałam, że to jeden sprzedawca z działu sportowego.”

„Przykro mi.”

„Wręcz przeciwnie, mnie to cieszy! Wątpię, czy poszłabym z nim na obiad. Nie, to mnie bardzo cieszy.”

Teresa znowu poczuła woń jej wytwornych i trochę słodkawych perfum, przywołujący na myśl ciemnozielony jedwab. Woń należąca tylko do niej, jak zapach konkretnego kwiatu. Teresa pochyliła się w jej kierunku, patrząc przy tym w swój kieliszek. Najchętniej przewróciłaby teraz stół i rzuciwszy się w jej ramiona, wtuliła swoją twarz w jej złocistozielony szal, zawiązany mocno na szyi. Raz jeden ich dłonie dotknęły się i Teresa poczuła, jak jej skóra w tym miejscu ożyła i rozpalila się. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Spojrzała na przekrzywioną nieco na bok twarz kobiety i znowu ogarnęło ją uczucie, że już kiedyś ją widziała. Jednocześnie miała świadomość, że to nieprawda. Nigdy przedtem nie widziała tej kobiety. Bo czyż mogłaby ją zapomnieć? Milczały, czekając obie, aż druga zacznie rozmowę. Podano talerze - śmietankowy szpinak z jajkiem na górze, dymiący i pachnący masłem.

„Jak to się stało, że żyje pani sama?” zapytała kobieta. I zanim się Teresa obejrzała, już opowiedziała jej historię swego życia.

Ale bez zbyt wielu szczegółów. W sześciu zdaniach, tak, jakby wszystko, co mówiła, było dla niej niewiele ważniejsze od jakiejś historii, którą kiedyś przeczytała. Bo jakie

znaczenie mogło mieć to, czy jej matka była Francuzką czy Angielką albo Węgierką, a jej ojciec irlandzkim malarzem albo też czeskim prawnikiem; to czy był bogaty lub nie i czy matka oddała ją do zakonu Świętej Małgorzaty dlatego, że była trudnym, krnąbrnym dzieckiem albo melancholijnie usposobioną ośmiolatką. Jak i to, czy była tam szczęśliwa.

Ponieważ teraz była szczęśliwa, od dzisiaj. Nie potrzebowała ani rodziców ani ojczyzny.

„Nie ma nic nudniejszego od historii z przeszłości”, powiedziała Teresa.

„Chyba, że przyszłość, która nigdy nie stanie się historią.”

Teresa nie musiała się nad tym zastanawiać. To była prawda. Wciąż jeszcze się uśmiechała, jakby się tego dopiero teraz nauczyła i nie mogła przestać. Także kobieta śmiała się rozbawiona; może się z niej naśmiewa, pomyślała ze strachem Teresa.

„Co to za nazwisko” - Belivet?” zapytała kobieta.

„Czeskie. Ale zmienione”, wyjaśniła Teresa nieco zakłopotana. „Początkowo...”

„Jest bardzo dziwne.”

„Jak pani się nazywa, jak ma pani na imię?” zapytała Teresa.

„Na imię? Carol. Tylko niech mnie pani nie nazywa Carolą, proszę.”

„A pani niech nigdy nie mówi na mnie Teresa”, odpowiedziała, wymawiając swoje imię z angielska.

„To jak mam mówić? Therese?”

„Tak. Właśnie tak, jak je pani wymawia”, odrzekła. Carol wymawiała jej imię z francuska - właśnie „Therese”. Była przyzwyczajona do dwunastu wariantów wymawiania swego imienia i nawet sama mówiła raz tak, a raz tak. Polubiła sposób, w jaki Carol je wymawiała i polubiła jej usta, kiedy wymawiały to imię.

To nieokreślone pożądanie, które dotychczas tylko czasami niejasno sobie uświadamiała, przerodziło się w dające się jasno sprecyzować pragnienie.

Pragnienie tak absurdalne, że Teresa natychmiast przytłumiła je w swej świadomości.

„Co robi pani jutro?” zapytała Carol.

„Jeszcze dokładnie nie wiem. Nic szczególnego. A pani?”

„Nic - od niedawna. Jeśli będzie pani miała ochotę mnie odwiedzić - to bardzo proszę, w każdej chwili. Tam, gdzie mieszkam, jest przynajmniej trochę przestrzeni. Miałyby pani ochotę wybrać się za miasto w przyszłą sobotę?”

Szare oczy patrzyły prosto na nią i po raz pierwszy Teresa wytrzymała to spojrzenie. Patrzą tak wesoło, pomyślała Teresa. I jak jeszcze? Z zaciekawieniem, a także wyzywająco.

„Tak”, odpowiedziała.

„Cóż z pani za dziwna dziewczyna.”

„Jak to?”

„Jakby wyjęto panią z ram czasu i przestrzeni”, powiedziała Carol.

Richard stał na rogu ulicy i przestępując z zimna z nogi na nogę, czekał na nią.

Tego wieczoru wcale nie czuła zimna, chociaż inni ludzie na ulicach opatulali się swoimi płaszczami. Ujęła Richarda pod ramię, przytulając się czule.

„Byłeś w środku?” zapytała. Spóźniła się dziesięć minut.

„Nie, skądże. Czekałem.” Przycisnął swoje zmarznięte usta i nos do jej policzka.  
„Miałaś ciężki dzień?”

„Nie.”

Noc była bardzo ciemna, pomimo świątecznych lampionów na kilku latarniach.

Obserwowała twarz Richarda w blasku zapalki: gładkie czoło uwypuklało się nad wąsko osadzonymi oczyma, okrągłe i mocne, jak czoło czarnego delfina, wystarczająco silne, żeby w coś uderzyć. Jego twarz była jak wycięta w drewnie, prosta i tylko powierzchownie wygładzona. Otworzył oczy - były one jak promienie z mocno zaciągniętego chmurami nieba.

Uśmiechnął się do niej. „Jesteś dzisiaj w dobrym humorze. Przejdźmy za blok. Tutaj nie można zapalić. Chcesz papierosa?”

„Nie, dziękuję.”

Stali przed galerią; był to rząd oświetlonych okien na drugim piętrze dużego budynku, a w każdym oknie adwentowy wianek. Jutro znowu zobaczę się z Carol, myślała Teresa, jutro o jedenastej; tylko jakieś dziesięć domów stąd, za około dwanaście godzin zobaczę ją znowu. Chciała ponownie wziąć Richarda za rękę, lecz nagle poczuła się nieswojo. Na wschodzie, przy końcu Czterdziestej Trzeciej ulicy świecił Orion, dokładnie pośrodku fragmentu nieba między budynkami.

Kiedyś obserwowała go zawsze z okien szkoły, potem z okna swego pierwszego nowojorskiego mieszkania.

„Dostałem dzisiaj potwierdzenie naszej rezerwacji”, powiedział Richard, „na «Prezydencie Taylorze» siódmego marca. Rozmawiałem z człowiekiem od biletów i jak go odpowiednio przycisnę, da nam na pewno zewnętrzne kabiny.”

„Siódmego marca?” Usłyszała podniecenie w swoim własnym głosie, chociaż teraz wcale już nie chciała jechać do Europy.

„Jeszcze dziesięć tygodni” rzekł Richard i wziął ją za rękę.

„Czy możesz oddać bilety, gdyby się okazało, że nie będę mogła pojechać?”

Równie dobrze mogła mu powiedzieć od razu, że nie chce jechać, ale wtedy znowu

zaczęły ją namawiać, tak jak ostatnim razem, gdy naszły ją wątpliwości.

„Ależ oczywiście, Terry!” I zaczął się śmiać.

Richard szedł wymachując jej ręką w przód i w tył. Jak para zakochanych, pomyślała Teresa. To, co czuła do Carol, także by można nazwać miłością, tylko że Carol była kobietą. Nie było to szaleństwo, ale poczucie szczęścia. Co za głupie słowo, czyż mogła być bardziej szczęśliwa niż teraz, niż była od czwartku? „Chciałbym, żebyśmy mieli wspólną”, odezwał się Richard.

„Co wspólnego?”

„Kabinę!” parsknął śmiechem i Teresa zauważyła, że dwoje ludzi idących chodnikiem obejrzało się za nimi. „Może wstąpimy gdzieś się czegoś napić, ot, tak dla uczczenia tego dnia? Może pójdziemy do «Mansfield» tam na rogu.”

Najpierw jednak postanowili obejrzeć wystawę, kupując zniżkowe bilety, dzięki legitymacji studenckiej Richarda. Galeria składała się z wielu wysokich, wyłożonych welurową wykładziną pomieszczeń - w sam raz oprawa dla komercyjnej grafiki reklamowej, rysunków, litografii, ilustracji czy też innych rzeczy, zawieszonych gęsto na ścianach. Richarda zaciekały niektóre z nich, ale Teresa uznała je za bardzo nędzne.

„Czy widziałaś to tutaj?” zapytał Richard, wskazując na skomplikowany rysunek przedstawiający elektryka, który reperuje kabel telefoniczny. Teresa widziała już podobne i nie miała ochoty oglądać czegoś takiego dzisiejszego wieczoru.

„Tak”, odrzekła. Myślała akurat o czymś innym. Jeśli przestanie tak bardzo oszczędzać i odkładać na podróż do Europy - co jest głupotą, bo przecież i tak nie pojedzie - mogłaby sprawić sobie nowy płaszcz. Zaraz po świętach jest wyprzedaż. W tym czarnym, sportowym płaszczu, który teraz nosi, wygląda opłakanie.

Richard wziął ją za rękę. „Nie wykazujesz należnego respektu dla umiejętności technicznych, moja mała.”

Zmarszczyła drwiąco czoło i ujęła Richarda pod rękę. Nagle poczuła się bardzo mu bliska, ciepła i szczęśliwa, jak pierwszego wieczoru, gdy spotkała go na prywatce na ulicy Christophera, dokąd zabrał ją Francis Cotten. Richard był wtedy troszkę wstawiony, co mu się zresztą nie zdarzyło nigdy potem, i rozprawiał o książkach, polityce i różnych ludziach w sposób o wiele bardziej szczerzy niż kiedykolwiek później. Przez cały wieczór rozmawiał tylko z nią, a ona bardzo go polubiła, bo umiał się zachwycać, miał górnolotne plany, konkretne upodobania i niechęci. Ponadto była to jej pierwsza prawdziwa prywatka, a on przyczynił się do tego, że mogła się nią tak bardzo rozkoszować.

„Wcale nie oglądasz”, powiedział Richard.

„Męczy mnie to. Mam dość - jeśli i ty także.”

Przy drzwiach spotkali kilku znajomych Richarda - chłopaka z dziewczyną i młodego Murzyna. Richard przedstawił ich Teresie. Mogła się założyć, że Richard wcale nie był z nimi bliżej zaprzyjaźniony, a jednak opowiadał wszystkim: „Jedziemy w marcu do Europy.”

I wszyscy patrzyli na nich z zazdrością.

Piąta Avenue wyglądała jak wymarła, jak dekoracja przed pierwszym aktem.

Teresa maszerowała szybko obok Richarda z rękami w kieszeniach. Gdzieś podziła swoje rękawiczki. Myślała o jutrzejszym dniu, godzinie jedenastej. Czy jutro o tej porze będzie razem z Carol?

„A co z jutrem?”

„Jutro?”

„Przecież wiesz. Rodzina zaprosiła cię na obiad.”

Teresa zawahała się, wreszcie sobie przypomniała. Odwiedzali państwa Semco cztery czy pięć razy w sobotę. Koło drugiej podawano wystawny obiad, a później pan Semco, przysadzisty mężczyzna z łysiną, puszczał płyty z polkami i ludowymi tańcami rosyjskimi i chciał z nią tańczyć.

„Wiesz przecież, że mama chciała uszyć ci sukienkę”, ciągnął Richard. „Już kupiła materiał. Chciała wziąć miarę.”

„Sukienkę - ależ to tyle roboty.”

Teresa miała przed oczyma bluzkę wyhaftowaną przez panią Semco, białą bluzkę z wieloma rządkami haftu. Pani Semco była bardzo dumna ze swych robótek.

Teresa uważała, że nie może przyjąć czegoś, co wymagało tyle trudu.

„Ona lubi to robić”, odrzekł Richard. „No, jak będzie z jutrzejszym dniem? Odpowiada ci koło dwunastej?”

„Wiesz, może lepiej nie w tę sobotę. Mam nadzieję, że nie robili żadnych wielkich przygotowań?”

„Nie”, powiedział Richard rozczarowany. „Pewnie wolisz popracować?”

„Tak, właśnie.”

Nie chciała, żeby Richard dowiedział się o Carol, ani żeby się z nią kiedykolwiek spotkał.

„A może gdzieś pojedziemy?”

„Dziękuję, lepiej nie.”

Teresa nie chciała, żeby dłużej trzymał ją za rękę. Jego dłoń była wilgotna i lodowato zimna w dotyku.



„I na pewno nie zmienisz zdania?”

Teresa pokręciła przecząco głową.

„Nie.”

Mogła powiedzieć coś uspokajającego, przepraszającego, ale nie chciała. Richard westchnął głośno i szli kawałek obok siebie w milczeniu.

„Mama ci chce uszyć białą sukienkę z haftem. Jest bardzo przejęta, bo w rodzinie nie ma żadnych dziewcząt poza Esther.”

Była to zamężna kuzynka, którą Teresa widziała tylko raz czy dwa.

„Co słyhać u Esther?”

„Po staremu.”

Teresa uwolniła swoje palce z uścisku Richarda. Poczula nagle głód. Przerwę obiadową poświęciła na to, żeby napisać coś w rodzaju listu do Carol, którego ani nie wysłała, ani też nigdy nie wysłała. Przy Trzeciej Avenue wsiedli do autobusu, jadącego na północ, a potem przeszli jeszcze kawałek od przystanku aż do mieszkania Teresy. Teresa nie chciała zaprosić go na górę, ale w końcu to zrobiła.

„Nie, dziękuję, zmywam się”, odpowiedział Richard. Postawił nogę na pierwszym stopniu schodów. „Jesteś dzisiaj w dziwnym nastroju. Daleka o całe mile.”

„Nie, nie jestem”, odrzekła i czując, że nie potrafiła się właściwie wyrazić, zdenerwowała się.

„Jesteś. Przecież to widzę. W końcu...”

„W końcu co”, wpadła mu w słowo.

„W ten sposób nie posuniemy się do przodu - nie uważasz?” powiedział nagle zupełnie poważnie. „Jeśli nie chcesz być ze mną nawet w soboty, to jak mamy wytrzymać ze sobą całe miesiące w Europie?”

„Dobrze, Richard, jeśli chcesz wszystko odwołać...”

„Terry, przecież ja cię kocham.” Zdenerwowany przejechał ręką po włosach.

„Oczywiście, że nie chcę niczego odwoływać, ale...” urwał znowu.

Wiedziała, co chce powiedzieć: że nie okazuje mu żadnej sympatii, ale nie powie tego głośno, bo wie, że ona nie jest w nim zakochana, dlaczego więc miałby oczekiwać czułości? Ale właśnie to, że nie była w nim zakochana, zawsze wywoływało w Teresie poczucie winy, gdy coś od niego przyjmowała - prezent urodzinowy albo zaproszenie na obiad u jego rodziny, lub nawet wtedy, gdy zajmowała mu czas. Teresa przycisnęła gwałtownie czubki palców do balustrady schodów. „Dobrze, wiem. Nie jestem w tobie zakochana”, powiedziała.

„Nie to miałem na myśli, Terry.”

„Jeśli chcesz przestać - to znaczy, przestać widywać się ze mną, to zrób to, proszę.” Nie mówiła tego po raz pierwszy. „Terry, przecież wiesz, z nikim innym na świecie nie chcę być bardziej niż z tobą. To jest właśnie całe piekło...”

„Dobrze, jeśli to ma być piekło...”

„Czy ty mnie w ogóle w jakiś sposób kochasz, Terry? Jakie uczucia masz dla mnie?”

Pozwól mi przeanalizować wszystkie możliwości, pomyślała.

„Nie kocham cię, ale cię lubię. Właśnie dziś wieczorem, jeszcze przed paroma minutami, zauważyłam, że jesteś mi bliższy niż kiedykolwiek przedtem, naprawdę.” Wypowiedziała te słowa, nie zważając na to, jak zabrzmiały, gdyż była to prawda.

Richard patrzył na nią z lekkim niedowierzaniem. „Naprawdę?”

Wspiął się powoli po schodach i stanął przed nią. „No to - dlaczego nie chcesz, żebym po prostu został dzisiaj z tobą, Terry? Pozwól nam po prostu spróbować, proszę.”

Przy pierwszym kroku, jaki zrobił w jej kierunku, wiedziała już, że ją o to poprosi. Czowała się podle i było jej wstyd, współczuła mu, i sobie samej także, gdyż było to zupełnie niemożliwe. Było jej głupio, bo przecież wcale nie chciała takiego obrotu sprawy. Coś się w niej zamknęło, nie miała odwagi, żeby spróbować choć raz, jeszcze i za każdym razem, kiedy o to pytał, nie odczuwała nic innego poza tym, że to wszystko jest tak żałośnie głupie. Wspomniała pierwszą noc, kiedy u niej został i już na samą myśl o tym dostała skurczów. Nie było w tym nic przyjemnego; w trakcie tego zapytała: „Czy tak jest dobrze?” Jak może być dobrze, kiedy to takie nieprzyjemne, myślała wtedy. A Richard śmiał się długo, głośno i serdecznie, i wprawiło ją to we wściekłość. Za drugim razem było jeszcze gorzej, chyba dlatego, że Richard myślał, że wszystkie przeszkody zostały już usunięte. Bolało ją tak bardzo, że aż się rozplakała i Richard przeproszał ją, uważając, iż zachował się jak dzikus. Zaprzeczyła. Doskonale wiedziała, że był aniołem w porównaniu z Angelo Rossi, który, stojąc na tych samych schodach, zapytał ją kiedyś o to, czy pójdzie z nim do łóżka.

„Terry, kochanie...”

„Nie”, powiedziała Teresa, odzyskawszy znowu głos. „Po prostu dzisiaj nie mogę, i nie mogę też pojechać z tobą do Europy”, zakończyła zdanie z rozbrajającą i bezwzględną szczerością.

Richard aż usta otworzył ze zdumienia.

Teresa nie odważyła się spojrzeć w jego pociemniałą nagle twarz.

„Dlaczego nie?”

„Dlatego. Bo nie mogę”, powiedziała, a każde słowo sprawiało ból. „Bo nie chcę z tobą spać.”

„Ach, Terry!” Richard roześmiał się. „Przepraszam, że cię o to zapytałem. Zapomnij o tym, kochanie, proszę. I w Europie też.”

Teresa spojrzała w drugą stronę, znowu dostrzegła Oriona, tym razem pod lekko zmienionym kątem i odwróciła się z powrotem do Richarda. Ale ja nie mogę, pomyślała. Muszę się nad tym zastanowić, bo to jest dla ciebie ważna sprawa. Zdawało się jej, że wypowiedziała te słowa i że zawisły one niczym drewniane kołki w powietrzu między nimi, chociaż ich nie słyszała. To samo powiedziała mu już kiedyś, w jej pokoju, a drugi raz w Prospect Park, gdy puszczała latawce. Ale wtedy nie przyjął tego do wiadomości. Co powinna zrobić? Powiedzieć to samo jeszcze raz? „Nie wejdiesz na chwilę na górę?” zapytała masochistycznie pełna zmieszania, którego nie potrafiła sobie dobrze wytłumaczyć.

„Nie”, odpowiedział Richard z lekkim uśmiechem, który zawstydził ją jeszcze bardziej, gdyż był pełen tolerancji i wyrozumiałości...

„Nie, pójdę już. Dobranoc, mój skarbie. Kocham cię, Terry.” I rzuciwszy jej ostatnie spojrzenie odszedł.

## 6

Teresa wyszła na ulicę i rozejrzała się dookoła. Ulice były puste, jak zwykle w sobotę. Wiatr szalał wokół betonowych rogów budynku Frankenberga, jakby z wściekłości, że nie spotkał żadnej ludzkiej istoty, z którą mógłby się zmierzyć.

Nikogo oprócz mnie, pomyślała Teresa i roześmiała się nagle z siebie samej. Mogła zaproponować jakieś bardziej sympatyczne miejsce spotkania. Czuła lodowaty wiatr nawet na zębach. Carol spóźniała się już pół godziny, ale ona gotowa była czekać na nią i cały dzień albo dłużej, aż do nocy. Ktoś wynurzył się z głębi metra; rozwichrzona, szczupła, śpiesząca się postać kobiety w długim, czarnym płaszczu, pod którym tak szybko poruszała nogami, iż wydawało się, że to cztery nogi pedałują na rowerze.

Teresa odwróciła się i zobaczyła Carol w samochodzie, który zatrzymał się u wylotu ulicy. Teresa podeszła do niej.

„Hallo” zawołała Carol, odchylając się do tyłu, aby otworzyć jej drzwi.

„Hallo, już myślałam, że pani nie przyjedzie.”

„Strasznie mi przykro, że się spóźniłam. Bardzo pani zmarzła?”

„Nie.” Teresa wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi. W środku było ciepło.

Był to długi, ciemnozielony wóz z ciemnozieloną skórzaną tapicerką. Carol jechała powoli w zachodnim kierunku.

„Pojeździemy do domu, czy może chciałaby pani gdzieś indziej?”

„To bez znaczenia”, odparła Teresa. Odkryła piegi na nosie Carol. Jej krótkie, jasne włosy, które przypominały Teresie perfumy oglądane pod światło, upięte były do góry za pomocą zielonożółtego szala, przewiązanego na głowie jak opaska.

„Pojeźdźmy do domu, tam za miastem jest bardzo ładnie!”

Zdawało się, jakby jechały we wnętrzu toczącej się góry, która zmiata wszystko przed sobą, ale jest Carol całkowicie posłuszna.

„Lubi pani jeździć samochodem?” zapytała Carol, nie patrząc na Teresę.

Prowadziła z papierosem w ustach, ręce lekko oparte na kierownicy, jak gdyby nigdy nic, jakby siedziała rozluźniona w jakimś fotelu i paliła.

„Dlaczego pani nic nie mówi?”

Wjechały z hukiem do tunelu Lincolna. Jakieś dzikie, niezrozumiałe podniecenie ogarnęło Teresę, kiedy patrzyła przez szybę samochodu. Zapragnęła, żeby tunel pogrążył je w sobie niczym w jaskini i zgładził, tak żeby ich ciała trzeba było razem wyciągać. Od czasu do

czasu czuła na sobie spojrzenie Carol.

„Jadła pani śniadanie?”

„Nie”, odpowiedziała Teresa. Chyba była blada.

Zaczęła śniadanie, ale butelka z mlekiem wpadła do zlewu, więc zrezygnowała z posiłku.

„Ale napije się pani kawy. Jest tam w termosie.”

Wyjechały z tunelu i Carol zatrzymała samochód na skraju drogi.

„Tutaj”, powiedziała Carol, wskazując brodą na termos stojący między nimi na siedzeniu. Potem nałala do kubeczków trochę kawy, dymiącej i jasnobrązowej.

Teresa spojrzała z wdzięcznością na swoją kawę. „Skąd się ona tutaj nagle wzięła?”

Carol roześmiała się. „Zawsze chce pani wiedzieć, skąd się wszystko bierze?”

Kawa była bardzo mocna i lekko posłodzona. Czuła, jak jej wracają siły. Kiedy wypila do połowy, Carol ruszyła. Teresa milczała. O czym miałyby rozmawiać? O tym złotym, czterolistnym liściu, przyklejonym na desce rozdzielczej przy kluczykach? O stoisku z choinkami, obok którego przejeżdżały? O ptaku, który zupełnie samotnie przelatywał nad tą bagnistą, jak się wydawało, okolicą? Nie.

Była tylko jedna rzecz, o której warto było rozmawiać, mianowicie to, co Teresa napisała w niewysłanym liście do Carol, ale rozmowa o tym była niemożliwa.

„Lubi pani wieść?” zapytała Carol, kiedy skręciły na węższą drogę.

Właśnie minęły jakieś małe miasteczko. Teraz podjeżdżały pod szeroki, półkolisty podjazd przed dwupiętrowym, białym domem, który wspierał się na bocznych skrzydłach niczym lew na swych łapach.

Przed domem leżała metalowa wycieraczka, błyszcząca mosiężna skrzynka na listy wisiała na murze; z drugiej strony domu, gdzie za kilkoma drzewami widać było biały garaż, dobiegało głuche szczekanie psa. W domu unosił się zapach korzennej przyprawy, z którym mieszał się inny zapach o jakiejś wyjątkowej słodkości, ale nie były to perfumy Carol. Drzwi zamknęły się za nimi z lekkim, zdecydowanym trzaskiem. Kiedy Teresa odwróciła się, spostrzegła, że Carol patrzy na nią zmieszana, jej usta były lekko rozchylone, jakby ze zdziwienia. W następnej chwili Teresa pomyślała, że zaraz zapyta ją: „Co pani tutaj właściwie robi?”, jakby zapominając, że sama ją tutaj przywiozła.

„Nie ma tutaj nikogo, poza służącą, a ta jest daleko”, odezwała się Carol, niejako odpowiadając na pytanie Teresy.

„Piękny dom”, powiedziała Teresa i zauważyła lekki, nieco poirytowany uśmiech Carol.

„Proszę zdjąć płaszcz.” Carol odwinęła szal z głowy i przejechała palcami po włosach. „Może pani coś zje - już prawie dwunasta.”

„Nie, dziękuję.”

Carol rozejrzała się po pokoju i jej twarz przybrała ten sam nieprzyjemnie zaskoczony wyraz jak przed chwilą. „Chodźmy na górę. Tam jest przytulniej.”

Teresa weszła za nią po białych schodach, mijając olejny obraz, przedstawiający małą dziewczynkę o złotych włosach i mocnym podbródku, takim samym jak u Carol, przeszła obok okna, w którym na moment ukazały się wijąca się dróżka i fontanna z błękitno zieloną rzeźbą, i zaraz zniknęły. Z małego korytarza na górze rozchodziły się drzwi do czterech czy pięciu pokoi. Carol weszła do pokoju z zielonym dywanem i zielonymi ścianami i sięgnęła po papierosa do pudełka stojącego na stoliku. Zapalając go popatrzyła na Teresę. Teresa nie wiedziała, co ma powiedzieć albo zrobić i czuła, że Carol czegoś od niej oczekuje.

Rozejrzała się po pokoju, dostrzegła ciemnozielony dywan i stojącą pod ścianą długą kanapę z masą poduszek. Na środku pokoju stał prosty stół z jasnego drewna. Pokój wypoczynkowy, pomyślała Teresa, chociaż wyglądał raczej na gabinet, tyle tu było książek i albumów płytowych, a na ścianach nie było wcale obrazów.

„To mój ulubiony pokój”, powiedziała Carol. „Ale mój własny jest tutaj, po drugiej stronie.”

Teresa zajrzała do przeciwległego pokoju. Meble miały bawełniane pokrowce w kwiatki i jasne, drewniane ramy, tak jak stół w poprzednim pokoju. Nad toaletką wisiało proste wysokie lustro, a cały pokój sprawiał wrażenie bardzo słonecznego, choć słońce wcale nie świeciło. Łóżko było podwójne, a na ciemnej komodzie leżały szczotki, wyglądające na męskie. Na darmo Teresa wypatrywała zdjęcia tego domniemanego mężczyzny. Na toalecie stała fotografia Carol z małą jasnowłosą dziewczynką na rękach oraz druga, w srebrnej ramce, przedstawiająca kobietę o ciemnych kręconych włosach i szczerym uśmiechu.

„Ma pani małą córeczkę, prawda?”

Carol otworzyła drzwiczki w wyłożonym boazerią przedpokoju. „Tak”, odpowiedziała. „Napije się pani coli?”

Brzęczenie lodówki słychać było bardzo wyraźnie. W całym domu nie było żadnych odgłosów poza tymi, które same wywoływały. Teresa właściwie nie przepadała za zimnymi napojami, ale wzięła butelkę i zniosła ją na dół, podążając za Carol po schodach, przez kuchnię do ogrodu, leżącego po drugiej stronie, który widziała wcześniej z okna. Za fontanną było bardzo dużo roślin, wysokich na jakiś metr i owiniętych w szare lniane worki, które Teresie coś przypominały, ale nie była w stanie powiedzieć co. Carol poprawiła jeden

rozwiązany przez wiatr sznurek; i kiedy pochyliła się w swojej grubej zimowej spódnicy i niebieskim wełnianym swetrze, ciało jej zdawało się być tak silne jak jej twarz, jednak zupełnie inaczej niż jej szczupłe kostki. Wydawało się, że Carol zapomniała na chwilę o jej obecności, chodziła dookoła powoli, zdecydowanym krokiem w swych sportowych płaskich butach, jakby nareszcie poczuła się dobrze w tym wyziębionym ogrodzie bez kwiatów. Było okropnie zimno, zwłaszcza bez płaszcza, ale to zdawało się nie przeszkadzać Carol i Teresa starała się ją naśladować.

„Co chciałaby pani teraz robić?”, zapytała Carol. „Pospacerować? Posłuchać muzyki?”

„Tak jest zupełnie dobrze”, odpowiedziała Teresa.

Czuła, że coś zaprzęta myśli Carol i zastanawiała się, czy przypadkiem nie żałuje, że ją do siebie zaprosiła.

„A jak się pani podoba praca?” zapytała Carol z kuchni. Zabrzmiało to bardzo obojętnie i niezobowiązująco. Zajrzała do lodówki i wyjęła dwa przykryte folią talerze. „Mam ochotę teraz coś zjeść - a pani?”

Teresa miała zamiar opowiedzieć jej trochę o swojej pracy w teatrze Black Cat.

Może coś z tego wyniknie, była to jedyna ważna rzecz, którą mogła o sobie opowiedzieć. Ale nie był to odpowiedni moment.

„Myślę, że to całkiem niezła szkoła. Uczę się, jak można być jednocześnie złodziejem, kłamcą i poetą”, powiedziała Teresa powoli, starając się, żeby jej słowa brzmiały tak samo obojętnie jak słowa Carol, ale słyszała przede wszystkim pobrzmiewającą w nich nieśmiałość. Oparła się wygodnie na krześle, tak że jej głowa znalazła się we wpadających do środka promieniach słońca. „I kochać”, chciała jeszcze dodać.

Przed Carol nie kochała jeszcze nikogo, nawet siostry Alicji.

Carol patrzyła na nią. „Jak zostaje się poetą?”

„Chyba wtedy, kiedy wszystko odczuwa się zbyt mocno”, odpowiedziała Teresa z naciskiem.

„A jak zostaje się złodziejem?” Carol oblizała palec i zmarszczyła czoło. „Pani pewnie też nie przepada za kremem karmelowym - a może?”

„Nie, dziękuję. Wprawdzie nic jeszcze nie ukradłam, ale jest to z pewnością bardzo proste. Wszędzie dookoła stoją książki, można sobie jedną po prostu wziąć. Nawet mięso, kupione na kolację, można ukraść.” Teresa roześmiała się.

Przy Carol można się z tego śmiać. Z nią można się śmiać ze wszystkiego. Jadły kurczaka na zimno z sosem z czerwonej borówki, zielone oliwki i chrupiące surowe selery. Carol wstała od stołu i przyniosła szklanekę z odrobiną whisky, do której dołała wody. Teresa

przyglądała się jej. Długo patrzyły na siebie, Carol w drzwiach a Teresa przy stole, wpatrzona w coś ponad plecami Carol.

„Czy poznaje pani wielu ludzi pracując przy stoisku? Czy zastanawia się pani, z kim pani rozmawia?”

„O, tak.” Teresa uśmiechnęła się.

„Albo z kim pani idzie na obiad?” Oczy Carol błyszczały. „Może pani przecież wpaść w ręce jakiegoś porywacza.”

Zakołysała swoją szklanką z whisky bez lodu i wypila jednym haustem, a jej srebrne bransoletki na ręce zadźwięczały, uderzając o szkło. „No, cóż - poznaje pani dużo osób w ten sposób?”

„Nie”, odpowiedziała Teresa.

„Ile? Trzy, może cztery?”

„Tak jak panią?” spytała Teresa wytrzymując wzrok Carol.

A ona patrzyła twardo, jak gdyby chciała od Teresy usłyszeć coś jeszcze, jakieś znaczące słowo czy zdanie. Potem postawiła swoją szklankę na kuchence i odwróciła się. „Gra pani na pianinie?”

„Troszeczkę.”

„Niech pani coś zagra.” A kiedy Teresa zwlekała, powiedziała zdecydowanie: „Ach, nie chodzi mi o to, jak pani gra. Proszę po prostu coś zagrać.”

Teresa zagrała utwór Scarlattiego, którego nauczyła się w internacie. Carol słuchała, siedząc rozluźniona i bez ruchu w fotelu w drugim kącie pokoju, nie tknąwszy whisky, której sobie dołała. Teresa grała sonatę C-dur, która była powolna i bardzo łatwa do zagrania, pełna łamanych oktaw. Z początku wydała jej się nudna, to znowu interesująca w pasażach z ozdobnikami. Przestała grać. Nagle miała dość: jej dłonie na klawiszach, na których zazwyczaj grała Carol, Carol, obserwująca ją spod wpeł przymkniętych powiek, jej dom wokół i ta muzyka, czyniąca ją tak bezbronną, muzyka, przy której zatracała się zupełnie.

„Jest pani zmęczona?” zapytała spokojnie Carol.

Pytanie wydawało się nie dotyczyć jedynie zmęczenia, było bardziej ogólne. „Tak.”

Carol podeszła i położyła ręce na jej ramionach. Teresa miała te ręce doskonale w pamięci - były gibkie i silne, a kiedy naciskały na jej ramiona, uwidaczniały się na nich delikatne ścięgna. Zdawało się jej, że trwa to całą wieczność, gdy ręce Carol przesuwały się po jej plecach i pod brodą, całą wieczność, która wzburzała ją od środka i wymazywała wszystko, także owo uczucie błogości, gdy Carol odchyliwszy jej głowę do tyłu, pocałowała ją lekko w czoło u nasady włosów. Teresa wcale nie poczuła tego pocałunku.



„Chodźmy”, powiedziała Carol.

Teresa poszła za nią na górę, opierając się na poręczy schodów, i nagle pomyślała o pani Robichek.

„Mała sješta z pewnością nie zaszkodzi”, odezwała się Carol, zdejmując kolorowe nakrycie z łóżka i odsuwając kołdrę.

„Dziękuję, ale naprawdę nie jestem...”

„Niech pani zdejmie buty”, powiedziała Carol łagodnie, tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Teresa spojrzała na łóżko. Poprzedniej nocy prawie nie zmrzyła oka. „Nie wiem, czy będę mogła zasnąć, ale jeśli...”

„Obudzę panią za pół godziny.” Kiedy się położyła, Carol nakryła ją kołdrą i przysiadła na brzegu łóżka. „Ile pani ma lat, Tereso?”

Teresa popatrzyła na nią, niezdolna znieść jej spojrzenia, a jednak chłonąc je, i było jej obojętne czy w następnej chwili umrze, czy Carol ją udusi, jak leżała tak cudownie bezbronna, ona, intruz.

„Dziewiętnaście.” Jakże poważnie to zabrzmiało, poważniej niż dwadzieścia jeden.

Carol zmarszczyła czoło, uśmiechając się przy tym blado i Teresa poczuła, że ona o czymś intensywnie myśli, i że ta myśl niemal się materializuje w powietrzu między nimi. Potem Carol włożyła swoje ręce pod jej ramiona, pochyliła się nad Teresą, a ta poczuła, jak ciało Carol odprężyło się z westchnieniem, które pieściło ciepłem jej krtań i przywiało zapach włosów Carol.

„Jest pani dzieckiem”, powiedziała Carol i zabrzmiało to jak zarzut. Podniosła głowę. „Ma pani na coś ochotę?”

Teresa przypomniała sobie, o czym myślała w restauracji i ze wstydu zagryzła wargi.

„Podać pani coś?” powtórzyła Carol.

„Nie, nic, dziękuję.”

Carol wstała, podeszła do toaletki i sięgnęła po papierosa. Teresa obserwowała ją spod przymkniętych powiek. Ta nieustanna krzątanina Carol działała jej na nerwy, chociaż lubiła papierosy, lubiła patrzeć na nią, kiedy paliła.

„Chce pani się czegoś napić?”

Teresa wiedziała, że miała na myśli wodę. Wyczuła to w zatroskanej delikatności jej głosu, jakby była chorym dzieckiem w gorączce. Potem powiedziała: „Napiłabym się chętnie gorącego mleka.”

Usta Carol rozciągnęły się w uśmiechu. „Gorącego mleka”, powtórzyła z lekką ironią i

wyszła z pokoju.

A Teresa leżała na łóżku z uczuciem senności i niepokoju zarazem, aż wreszcie Carol wróciła z mlekiem. W jednej ręce trzymała spodeczek, a w drugiej filiżankę w kształcie garnuszka. Zamknęła za sobą drzwi nogą.

„Zagotowałam je i teraz ma kozuch”, odezwała się Carol poirytowanym głosem.

„Przykro mi.”

Ale Teresie spodobało się to, gdyż wiedziała, że Carol pochłonięta innymi myślami zapomniała o tym, że mleka nie trzeba gotować.

„Lubi je pani tak - bez niczego?”

Teresa skinęła głową.

„Phi”, parsknęła Carol, usiadła na oparciu fotela i popatrzyła na nią.

Teresa wsparła się na łokciu. Mleko było tak gorące, że jej wargi z trudem to wytrzymały. Małe łyki rozplływały się w ustach wyzwalając mieszaninę różnorodnych smaków. Mleko zdawało się smakować jak kości i krew, jak ciepłe mięso, jak włosy, było zupełnie bez soli niczym wapno, ale żywe, jak wzrastający embrion. Było gorące aż po samo dno filiżanki i Teresa wypila wszystko, jak postać z bajki pijąca napój, który ma ją zaczarować, albo jak niczego nie przeczuwający rycerz, który wypija puchar z trucizną. Carol odebrała od niej pustą filiżankę i Teresa usłyszała jeszcze w półśnie, jak zadała jej trzy pytania.

Pierwsze dotyczyło szczęścia, drugie odnosiło się do domu towarowego, a trzecie - przyszłości. Teresa słyszała, jak na nie odpowiadała. Słyszała, jak jej głos nabrzmiewa do swego rodzaju bełkotu, niczym wodospad, którego nie da się powstrzymać, i wtedy zrozumiała, że płacze. Powierzyła Carol swoje lęki, opowiedziała jej o swej samotności, o Richardzie i o strasznych rozczarowaniach.

A także o rodzicach. Jej matka wcale nie umarła. Ale Teresa nigdy jej nie widziała od kiedy skończyła czternaście lat.

Carol zadawała pytania a ona odpowiadała, chociaż wcale nie chciała rozmawiać o swojej matce. Ona nie była wcale taka ważna, nigdy jej nie rozczarowała. Za to ojciec był ważny. Ojciec był całkiem inny. Zmarł, kiedy miała sześć lat - był adwokatem, z pochodzenia Czechem, który przez całe życie marzył, żeby zostać malarzem. Był zupełnie inny, łagodny, wyrozumiały, nigdy nie podnosił głosu na swoją żonę, która wiecznie zrzędziła, bo nie był ani dobrym adwokatem, ani dobrym malarzem. Nie był silny i zmarł na zapalenie płuc, ale Teresa uważała, że to matka doprowadziła go do śmierci. Carol pytała i pytała, a Teresa opowiadała jej o tym, jak to matka oddała ją do internatu w Montclair, kiedy miała osiem lat, jak ją potem

coraz rzadziej odwiedzała, gdyż wiele podróżowała po kraju.

Była pianistką, nie, nie pierwszorzędną, jaką mogłaby zostać, ale zawsze znalazła pracę, bo wiedziała, czego chce. A kiedy Teresa miała dziesięć lat, matka ponownie wyszła za mąż. Teresa spędzała ferie zimowe w domu swojej matki na Long Island i matka zapytała ją, czy nie chciałaby u nich zostać, ale zrobiła to w taki sposób, jakby w rzeczywistości wcale tego nie chciała. I Teresa nie lubiła jej męża Nicka, bo był taki sam, jak matka, duży i ciemnowłosy, o donośnym głosie i gwałtownych, porywczym ruchach. Teresa była przekonana, że to małżeństwo jest dla matki dobre. Była wtedy w ciąży, chociaż miała już dwoje dzieci. Po tygodniu Teresa wróciła do internatu. Matka odwiedziła ją jeszcze cztery czy pięć razy i zawsze jej coś przywoziła: bluzkę, książkę, raz kosmetyczkę, której nienawidziła, gdyż przypominała jej sztywne od tuszu rzęsy matki. Matka wręczała jej prezenty z zakłopotaniem, niczym zakłamanie propozycje zawarcia pokoju. Kiedyś przyjechała ze swoim małym synkiem, przybranym bratem Teresy. I wtedy już wiedziała, że jest jej zupełnie obca. Matka nigdy nie kochała ojca, oddała ją w wieku ośmiu lat do internatu - po co więc zadawała sobie jeszcze trud, żeby ją tam odwiedzać, stawiać jeszcze jakieś wymagania? Teresa byłaby szczęśliwsza, gdyby w ogóle nie miała rodziców, tak jak połowa dziewcząt w internacie. W końcu powiedziała matce, że nie chce, aby ją odwiedzała i matka nigdy więcej już nie przyjechała.

Zawstydzony, cierpiętniczy wyraz twarzy, nerwowe spojrzenia na boki tych brązowych oczu, ślady uśmiechu i milczenie składały się na ostatni obraz matki, jaki zachowała w pamięci. Nadeszły jej piętnaste urodziny. Siostry w szkole wiedziały, że matka nigdy do niej nie pisała. Poprosiły więc, żeby napisała do Teresy list, ale córka nań nie odpowiedziała. A potem na zakończenie szkoły, miała wtedy siedemnaście lat, zwrócono się do jej matki o dwieście dolarów.

Teresa nie chciała od niej w ogóle żadnych pieniędzy; i tak była przekonana, że matka odmówi, ale w końcu coś tam przysłała i Teresa przyjęła te pieniądze.

„Żałuję, że je wzięłam. Nigdy jeszcze o tym nikomu nie opowiadałam - oprócz pani. Kiedyś oddam je matce.”

„Dziecinada”, powiedziała cicho Carol. Siedziała na oparciu fotela z dłońmi pod brodą, oczami skierowanymi na Teresę i uśmiechała się. „Wtedy była pani przecież wciąż jej dzieckiem. Kiedy pani zapomni o tym, że chciała je zwrócić - wtedy stanie się pani dorosła.”

Teresa nie odezwała się.

„Czy nie uważa pani, że chciałaby ją jeszcze kiedyś zobaczyć, może za kilka lat?”

Teresa pokręciła głową. Uśmiechała się, lecz z jej oczu płynęły łzy. „Nie chcę więcej o

tym rozmawiać.”

„Czy Richard wie o tym wszystkim?”

„Nie. Tylko to, że ona jeszcze żyje. A czy to ważne? To przecież nie ma znaczenia.”  
Wydawało się jej, że jeśli sobie popłacze, uwolni się od tego wszystkiego - od zmęczenia, samotności i od rozczarowania, jakby to wszystko zawarte było we łzach. I była zadowolona, że Carol jej na to pozwoliła. Carol stała przed toaletką, odwrócona plecami. Teresa leżała sztywno na łóżku, oparta na łokciu, wstrząsało nią przytłumione łkanie.

„Nigdy więcej nie będę płakać”, powiedziała.

„Ależ tak, będzie pani.” Trzasnęła złamana zapalka.

Teresa wzięła z nocnej szafki chusteczkę i wytarła sobie nos.

„Kto był jeszcze w pani życiu - oprócz Richarda?”

Uciekła od nich wszystkich. Była jeszcze Lily oraz pan i pani Anderson, u których mieszkała na początku swego pobytu w Nowym Jorku. Francis Cotten i Tim z Pelican Press. Lois Vavrica, dziewczyna, która była razem z nią w internacie.

Kto jeszcze? Małżeństwo Kellych, mieszkające na drugim piętrze w domu pani Osborn. No i Richard. „Kiedy w ubiegłym miesiącu straciłam pracę”, powiedziała Teresa, „było mi wstyd i wyprowadziłam się...” Przerwała.

„Dokąd?”

„Nikomu o tym nie powiedziałam, tylko Richardowi. Po prostu zwiałam. Wydaje mi się, że miałam taki pomysł, żeby zacząć nowe życie. Nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie się podziewam.”

Carol uśmiechnęła się. „Zwiałam! To mi się podoba. Jest pani szczęściarą, że może to pani tak po prostu zrobić. Jest pani wolna. Czy pani zdaje sobie właściwie z tego sprawę?”

Teresa milczała.

„Właśnie, że nie”, Carol sama odpowiedziała na swoje pytanie.

Na toalecie obok Carol tykał cicho kwadratowy szary zegar. Jak już tysiące razy w domu towarowym Teresa odczytała czas i przypisała mu pewne znaczenie.

Było około wpół do piątej i naszły ją wątpliwości, czy aby nie leży zbyt długo, czy Carol przypadkiem nie spodziewa się gości.

Zadzwoił telefon, długo i piskliwie, tak jakby za drzwiami na korytarzu zapiszczała histerycznie jakaś kobieta, i obie spostrzegły, że zadrżały.

Carol wstała, postukała jakimś przedmiotem po ręce, tak jak wtedy, w domu towarowym rękawiczkami. Telefon znowu zadzwieczał i Teresa była przekonana, że Carol rzuci za chwilę tym, co trzymała w dłoni, o ścianę. Ale Carol tylko się odwróciła, spokojnie

odłożyła trzymany przedmiot i wyszła z pokoju.

Jej głos dobiegał z korytarza na dole. Teresa nie chciała słyszeć tego, co Carol mówi. Wstała, ubrała spódnicę i buty. Teraz dostrzegła, co Carol trzymała w ręce. Była to łyżka do butów z brązowego drewna. Kto inny rzuciłby nią, pomyślała Teresa. Wtedy przyszło jej na myśl słowo, które dokładnie oddawało to, co myślała o Carol: duma. Słyszała, jak Carol kilkakrotnie powtarzała to samo, a kiedy Teresa otworzyła drzwi, żeby zejść na dół, usłyszała także te słowa: „Mam gościa”, odparowywała niewzruszenie Carol. „Uważam, że to, owszem, jest powód. Co lepiej?... Co ci jutro nie pasuje? Jeśli...”

I cisza, aż do chwili, gdy na dole na schodach rozległy się kroki Carol, i wiedziała już, że ten ktoś z drugiej strony odłożył słuchawkę. Któż mógłby się ośmielić...?

„Może lepiej już pójde?”

Carol spojrzała na nią takim wzrokiem, jak wtedy, gdy przestąpiły próg domu. „Tylko, jeśli pani tego chce. Nie. Zrobimy sobie później małą przejażdżkę, jeśli będzie pani chciała.”

Wiedziała, że Carol wcale nie miała ochoty wyjeżdżać. Zabrała się do ścielenia łóżka.

„Niech pani zostawi to łóżko.” Carol obserwowała ją z korytarza. „Proszę tylko zamknąć drzwi.”

„Kto przyjdzie?”

Carol odwróciła się i poszła do zielonego pokoju.

„Mój mąż”, odrzekła. „Harge.”

Rozległ się dzwonek u drzwi i w tym samym momencie zaskrzypiał klucz w zamku.

„To się dzisiaj nie skończy”, zamruczała Carol pod nosem. „Chodźmy na dół, Tereso.”

Teresa poczuła mdłości ze strachu, nie przed tym mężczyzną, ale dlatego, że Carol była zdenerwowana jego wizytą.

Wszedł po schodach na górę. Ujrzawszy Teresę, zwolnił kroku, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Spojrzał na Carol.

„Harge, to panna Belivet”, przedstawiła ich Carol. „Pan Aird.”

„Dzień dobry”, powiedziała Teresa.

Harge rzucił jej jedynie szybkie spojrzenie, lecz jego nerwowe, niebieskie oczy otaksowały ją dokładnie. Był mocno zbudowanym mężczyzną o lekko zaczerwienionej twarzy. Jedna jego brew była bardziej uniesiona od drugiej i miała pośrodku załamanie, pochodzące być może od jakiejś blizny. „Dzień dobry”, a potem do Carol: „Przepraszam, że ci przeszkadzam. Chciałem tylko zabrać kilka rzeczy.” Przeszedł obok niej i otworzył drzwi do pokoju, którego Teresa jeszcze nie widziała.

„Coś dla Rindy”, dokończył.

„Obrazy ze ściany?” zapytała Carol.

Mężczyzna milczał.

Carol z Teresą zeszły na dół. W salonie Carol usiadła, ale Teresa stała.

„Niech pani coś jeszcze zagra, jeśli ma pani ochotę”, odezwała się Carol.

Teresa pokręciła głową.

„Proszę zagrać”, powtórzyła Carol z naciskiem.

Teresa przeraziła się wściekłości w jej oczach. „Nie mogę”, powiedziała, uparcie niczym osioł.

Słyszały, jak Harge szybkim krokiem przeszedł przez korytarz na górę, przystanął, a potem powoli zaczął schodzić po schodach. Teresa zobaczyła najpierw jego ciemno odzianą postać, potem zaróżowioną, jasnowłosą głowę.

„Nie mogę znaleźć tych akwareli, myślałem, że są w moim pokoju”, odezwał się.

„Wiem, gdzie są.” Carol wstała jakby z zamiarem pójścia na górę.

„Na pewno chciałabyś, żebym jej coś od ciebie przywiózł”, powiedział Harge.

„Dziękuję, sama dam jej mój prezent.” Carol poszła po schodach na górę.

Są albo akurat po rozwodzie, albo na krótko przed, pomyślała Teresa.

Harge patrzył na Teresę, wydawało się, że ma zamiar podać jej papierośnicę, ale nie zrobił tego. Jego ruchliwa twarz wyrażała dziwną mieszaninę niepokoju i nudy. Mięśnie wokół jego ust były tak mocne i ciężkie i zlewały się tak dokładnie z konturem ust, że wydawało się, jakby ich w ogóle nie miał. Zapalił papierosa. „Pani jest z Nowego Jorku?” zapytał.

Teresa odebrała pogardę i nieuprzejmość tego pytania jak policzek. „Tak, z Nowego Jorku”, odpowiedziała.

Chciał właśnie zadać kolejne pytanie, kiedy nadeszła Carol. Teresą wstrząsnął cichy dreszcz ulgi, który nie umknął jego uwadze.

„Dziękuję”, powiedział Harge, odbierając od Carol pakunek. Podeszedł do czarnego płaszcza, który zostawił na małej sofie, a który swymi rozpostartymi rękawami zdawał się obejmować we władanie cały dom. Harge pożegnał się z nimi prostym „Dobranoc” i wyszedł, ubierając po drodze płaszczy.

„Przyjaciółka Abby?”, szepnął w drzwiach do Carol.

„Moja przyjaciółka”, odrzekła Carol.

„Przywieziesz prezenty dla Rindy? Kiedy?”

„A co będzie, jeśli jej nic nie podaruję, Harge?”

„Carol” - zatrzymał się w progu i Teresa usłyszała jeszcze, jak mówił, że ona czyni to

wszystko tak nieprzyjemnym. Potem: „Jadę do Cynthii. Mogę zajrzeć jeszcze w drodze powrotnej? Nie później niż o ósmej?”

„Z jakiego powodu, Harge?”

„Z powodu Rindy.” Później jego głos dobiegał już tak cicho, że nic więcej nie mogła zrozumieć.

Wreszcie Carol wróciła, zamknęła drzwi i oparła się o nie z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i obie nasłuchiwały, jak odjeżdża jego samochód. Carol musiała zgodzić się na to, że przyjedzie jeszcze raz tego wieczoru.

„Pójdę już”, powiedziała Teresa. Carol milczała. Śmiertelna cisza zaległa między nimi i Teresa poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. „Będzie lepiej jak sobie pójdę, prawda?”

„Tak. Przykro mi z powodu Harge’a. Nie zawsze jest taki nieuprzejmy. Popełniłam błąd mówiąc mu, że mam gościa.”

„Nic nie szkodzi.”

Carol zmarszczyła czoło i powiedziała z wysiłkiem: „Nie pogniewa się pani, jeśli odprowadzę panią do pociągu zamiast odwieźć ją do domu.”

„Nie.” Nie zniosłaby faktu, że Carol odwozi ją do domu, a potem wraca sama po nocy.

Milczały także w samochodzie. Gdy tylko zatrzymały się przed dworcem, Teresa otworzyła drzwi.

„Pociąg będzie za jakieś cztery minuty”, powiedziała Carol. Teresa wyrzuciła z siebie: „Czy zobaczę panią znowu?”

Carol uśmiechnęła się z lekkim wyrzutem, podciągając szybę. „Au revoir”, powiedziała.

Oczywiście. Oczywiście, że ją znowu zobaczy - co za niedorzeczne pytanie! - pomyślała Teresa.

Samochód ruszył szybko i zniknął w ciemności.

Teresa zatęskniła za domem towarowym, cieszył ją jutrzejszy dzień. Może Carol znowu tam przyjdzie. Jednak nie było to takie pewne. W czwartek była Wigilia. Naturalnie, może do niej w czwartek zatelefonować, choćby po to, żeby życzyć jej „Wesołych Świąt”. Nie było chwili, żeby myślami nie była przy Carol; wszystko, co zobaczyła, zdawała się spostrzegać jej oczyma. Tego wieczoru ciemne ulice Nowego Jorku, praca czekająca ją następnego dnia, rozbita butelka mleka w zlewie były zupełnie drugorzędne. Rzuciła się na łóżko i narysowała na papierze linię. A potem jeszcze jedną i jeszcze jedną, zupełnie beztrąsko. Wokół niej powstał świat, niczym jasny las z milionami błyszczących liści.

Mężczyzna oglądał to, trzymając niedbale między kciukiem a palcem wskazującym. Był łysy, aż po dwie spocone smugi czarnych włosów, które zaczynały się gdzieś na wysokości skroni i były przyklejone wokół nagiej czaszki. Kiedy Teresa podeszła do lady i zagadnęła go, wysunął do przodu dolną wargę z wyrazem pogardy i negacji, jaki pojawił się na jego twarzy.

„Nie”, rzekł w końcu.

„Nie może mi pan za to w ogóle nic dać?” zapytała Teresa.

Jego warga wysunęła się jeszcze bardziej do przodu. „No, może pięćdziesiąt centów”, i rzucił jej to z powrotem przez ladę.

Palce Teresy sięgnęły zachłannie. „Dobrze, a co z tym?” Z kieszeni płaszcza wyciągnęła srebrny łańcuszek z medalikiem, przedstawiającym świętego Krzysztofa. Ponownie kciuk i palec wskazujący dały wymowny wyraz swej pogardy, obracając medalik niczym jakiś śmieć. „Dwa dolary pięćdziesiąt.”

Ale to kosztowało co najmniej dwadzieścia dolarów, chciała właśnie powiedzieć Teresa, lecz nie zrobiła tego. „Dziękuję”, odrzekła, zabrała łańcuszek i wyszła.

Kim byli ci szczęśliwcy, którzy mogli zastawić swoje stare scyzoryki, zepsute zegarki i heblarki, jakie gęsto, jedno przy drugim, wyłożone były w oknie wystawowym? Nie mogła się oprzeć, zajrzała przez okno do sklepu i zobaczyła twarz mężczyzny pod rozwieszonymi nożami myśliwskimi. On także na nią spojrział i uśmiechnął się. Czuła, że umie zinterpretować każdy jej ruch. Teresa skrzywiła się pośpiesznie w boczną ulicę. Po dziesięciu minutach była tam z powrotem. Zastawiła srebrny łańcuszek za dwa dolary i pięćdziesiąt centów.

Potem pośpieszyła na zachód, przez Lexington Avenue, następnie przez Park Avenue aż do Madison. Ścisnęła małe pudełeczko w kieszeni swego płaszcza tak mocno, że skaleczyła palec o ostry kant. Siostra Beatrice podarowała jej tę szkatułkę, drewnianą skrzyneczkę ze wzorem szachownicy z brązowego drewna ozdobionego macicą perłową. Nie wiedziała, ile jest warte w przeliczeniu na pieniądze, ale zawsze uważała je za bardzo wartościowe. Teraz wiedziała już, że wcale tak nie było. Weszła do sklepu z galanterią skonaną.

„Chciałabym obejrzeć tę czarną torebkę z wystawy - tę z paskiem i złotymi okuciami”, powiedziała Teresa do sprzedawczynie.



Zobaczyła tę torebkę w ostatnią sobotę, po drodze na obiad z Carol. Od razu, pojęła, że pasuje znakomicie do Carol. Nawet jeśli Carol nie przyjdzie dzisiaj na spotkanie, nawet jeśli miałyby jej już nigdy nie zobaczyć - musi koniecznie ją kupić i wysłać jej.

„Biorę ją”, powiedziała Teresa.

„To będzie siedemdziesiąt jeden dolarów i osiemnaście centów - z podatkiem”, odparła sprzedawczynie. „Czy zapakować ją jak prezent?”

„Tak, proszę.” Teresa odliczyła sześć gładkich, nowych banknotów dziesięciodolarowych, resztę w banknotach jednodolarowych i położyła pieniądze na ladzie. „Czy mogę ją tu zostawić do wpół do siódmej?”

Wyszła ze sklepu z paragonem w kieszeni płaszcza. Wolą nie ryzykować, zabierając torebkę do domu towarowego. Ktoś mógłby ją ukraść - nawet w Wigilię. Teresa uśmiechnęła się. To jej ostatni dzień u Frankenberga. Za cztery dni zaczyna swoją pracę w teatrze Black Cat. Phil przyniesie jej po Świętach rękopis sztuki.

Przechodziła obok wystawy u Brentano. Witryna pełna była jedwabnych wstążek, książek oprawionych w skórę i obrazów z rycerzami w pełnej zbroi. Teresa zawróciła i weszła do środka, nie żeby coś kupić, tylko popatrzeć czy może znajdzie tam coś ładniejszego od skórzanej torebki.

Wpadła jej w oczy ilustracja w leżącej na jednym ze stołów otwartej książce.

Młody rycerz na białym koniu jechał przez las porośnięty kwiatami, za nim jego paziowie, z których ostatni trzymał poduszkę ze złotym pierścieniem. Wzięła do ręki oprawioną w skórę książkę. Na okładce podana była cena - pięćdziesiąt dolarów. Gdyby poszła po prostu do banku i podjęła z konta jeszcze pięćdziesiąt dolarów, mogłaby kupić tę książkę. Cóż to w końcu było pięćdziesiąt dolarów? Nie musiała wcale zastawiać srebrnego łańcuszka. Wiedziała, że zrobiła to tylko dlatego, że był od Richarda i nie chciała go już dłużej nosić.

Zamknęła książkę i przejechała palcem po wypukłym złotym sztychu na okładce.

Książka wyglądała jak odcisnięta sztaba złota. Ale czy taka książka ze średniowiecznymi wierszami miłosnymi spodobałaby się Carol? Nie miała pojęcia i nie mogła sobie też przypomnieć niczego, co mogłoby wskazywać na szczególne upodobania książkowe Carol, odłożyła więc pośpiesznie książkę i wyszła.

Na górze, w dziale zabawek, pani Santini chodziła wzdłuż stoisk, częstując wszystkich czekoladkami z dużej bombonierzy.

„Weź dwie”, powiedziała do Teresy. „Dostaliśmy je z działu słodczy.”

„Czemu nie”, odparła Teresa, gryząc pralinę z nugatem. Aż trudno uwierzyć, ale

świąteczny nastrój zapanował nawet w dziale zabawek.

Dzisiaj panowała w domu towarowym szczególna atmosfera. Przede wszystkim było niezwykle cicho. Wprawdzie klientów było sporo, ale nie śpieszyli się wcale, mimo 24 grudnia. Teresa spoglądała wciąż na windy, wypatrując Carol.

Jeśli Carol nie przyjdzie - a najprawdopodobniej tak będzie - Teresa zadzwoni do niej o wpół do siódmej, żeby złożyć jej życzenia świąteczne. Znała jej numer telefonu, zauważyła go wczoraj na aparacie w jej domu.

„Panna Belivet?” Głos pani Hendrickson dobiegł do jej uszu i aż dreszcz nią wstrząsnął. Ale pani Hendrickson przywołała ją tylko ruchem ręki, aby posłaniec mógł wręczyć jej telegram. Teresa wpisała swoje nazwisko do jego książki i otworzyła telegram.

*„SPOTKAM SIĘ Z PANIĄ O PIĄTEJ NA DOLE. CAROL”.*

Teresa zgmiotła telegram w palcach. Zaciskała go w dłoni, patrząc za posłańcem wchodzącym do windy.

Jego owijacze nieporządnie i luźno opinały nogi, szedł z trudem i tak przygarbiony, że jego kolana były zawsze daleko w przodzie.

„Wygląda pani na szczęśliwą”, zauważyła pani Zabriskie bez uśmiechu, kiedy ją mijiała. Teresa uśmiechnęła się. „Bo jestem”. Pani Zabriskie opowiadała Teresie, że ma dwumiesięczne dziecko, a jej mąż jest bez pracy. Teresa zastanawiała się, czy pani Zabriskie i jej mąż kochają się i czy są naprawdę szczęśliwi? Może byli, ale w niepozornej twarzy pani Zabriskie, ani też w jej ociężałych ruchach, nic na to nie wskazywało. Może pani Zabriskie była kiedyś tak szczęśliwa jak ona. Może to już minęło. Przypomniała sobie, że słyszała - także od Richarda - że miłość umiera zazwyczaj po dwóch latach małżeństwa. To straszne. Próbowała wyobrazić sobie, że twarz Carol, zapach jej perfum mogłyby stać się dla niej nagle obojętne. Ale przede wszystkim: czy mogła powiedzieć, że była w Carol zakochana? Było to pytanie, na które nie знаła odpowiedzi.

O czwartej czterdzieści pięć Teresa poszła do pani Hendrickson i poprosiła o pozwolenie wyjścia ze sklepu o pół godziny wcześniej. Pani Hendrickson zapewne pomyślała sobie, że jest to związane z telegramem i zgodziła się, nie karcąc jej nawet wzrokiem, co także czyniło ten dzień wyjątkowym.

Carol czekała przy wejściu, tam, gdzie się już raz spotkały.

„Halo!” zawołała Teresa. „Jestem wolna. Skończone!”

„Skończone? Co?”

„Praca tutaj.” Lecz Carol wydawała się być przygnębiona i to od razu przytłumiło entuzjazm Teresy. Dodała jeszcze tylko: „Bardzo się ucieszyłam z telegramu.”

„Nie wiem, czy nie ma pani innych planów dzisiaj wieczorem?”

„Oczywiście, że nie.”

Ruszyły powoli przez tłoczącą się masę ludzi, Carol w swoich delikatnych zamszowych czółenkach, w których wydawała się o kilka centymetrów wyższa od Teresy. Przed niespełną godziną zaczął padać śnieg, ale teraz znowu przestał. Tworzył pod nogami cienką warstwę, jak lekka, biała wełna, którą rozciągnięto na ulicach i chodnikach.

„Mogłybyśmy dzisiaj odwiedzić Abby, ale jest zajęta”, powiedziała Carol. „Ale zawsze możemy gdzieś pojechać, jeśli pani chce. Jest pani aniołem, że znalazła dla mnie czas dziś wieczorem. Wie pani?”

„Nie”, odparła Teresa, wciąż jeszcze szczęśliwa na przekór sobie, gdyż głos Carol zaniepokoił ją.

„Sądzi pani, że mogłybyśmy gdzieś tutaj w okolicy dostać filiżankę kawy?”

„Tak, tam trochę dalej na wschód.”

Teresa miała na myśli małą kafejkę z sandwichami między Piątą a Madison Avenue, ale Carol znalazła mały bar z markizami nad wejściem. Kelner wahał się początkowo, uważając, iż jest akurat czas na aperitif, ale gdy Carol zaczęła zbierać się do wyjścia, przyniósł jednak kawę. Teresa chciała koniecznie odebrać torebkę, lecz nie w obecności Carol, choć była przecież zapakowana.

„Czy coś się stało?” zapytała Teresa.

„Coś, czego nie da się wyjaśnić w kilku słowach.” Carol uśmiechnęła się do niej, lecz jej uśmiech był zmęczony i nastąpiło przykre milczenie, jakby nagle znalazły się na odległych krańcach świata.

Prawdopodobnie Carol musiała zrezygnować z jakiegoś spotkania, na którym jej zależało, pomyślała Teresa. Zapewne miała w Wigilię dużo do zrobienia.

„Chyba pani nie zatrzymuję?” zapytała Carol.

Teresa czuła, że mimowolnie udziela się jej nastrój rozdrażnienia. „Muszę odebrać paczkę przy Madison Avenue. To niedaleko. Zaraz będę z powrotem, jeśli zaczeka pani na mnie.”

„Dobrze.”

Teresa wstała. „Wezmę taksówkę i za trzy minuty wrócę. Pani pewnie nie zechce na mnie poczekać - prawda?”

Carol uśmiechnęła się i ujęła ją za rękę. Uścisnęła ją obojętnie i puściła. „Tak, zaczekam.”

Przycupnąwszy na skraju siedzenia w taksówce wciąż jeszcze miała w uszach ten znudzony ton głosu Carol. W drodze powrotnej trafiła na uliczny korek, wysiadła więc wcześniej i resztę drogi przebiegła.

Carol czekała, swoją kawę wypila tylko do połowy.

„Dziękuję za kawę”, powiedziała Teresa, gdyż wydawało się jej, że Carol chce już pójść.

„Zaparkowałam na dole, przy Battery, w podziemnym garażu. Pojedziemy tam taksówką.”

Pojechały do dzielnicy bankowej. Wyprowadzono samochód Carol. Ruszyły dalej w kierunku Autostrady Zachodniej.

„Tak jest lepiej”, odezwała się Carol, zdejmując płaszcz w czasie jazdy. „Może go pani rzucić na tylne siedzenie?”

Znowu milczały. Carol jechała szybko i zmieniała pasy, wyprzedzając inne samochody, jakby zdążyła do konkretnego celu. Teresa postanowiła, że się odezwie, powie cokolwiek - zanim dojadą do mostu Waszyngtona. Nagle przyszło jej do głowy, że Carol, jeśli rozwodzi się z mężem, przyjechała do miasta, żeby spotkać się ze swoim adwokatem. W dzielnicy bankowej roilo się od biur prawniczych. Dlaczego się rozwodzą? Czy dlatego, że Harge miał romans z kobietą o imieniu Cynthia? Było jej zimno. Carol otworzyła boczne okno i za każdym razem, gdy dodawała gazu, podmuch wiatru wpadał do środka, otaczając Teresę zimnymi ramionami.

„Tutaj mieszka Abby”, powiedziała Carol, wskazując ręką na drugą stronę rzeki.

Teresa nie mogła dostrzec nic szczególnego. „Kto to jest Abby?”

„Abby? To moja najlepsza przyjaciółka.” Carol spojrzała na nią. „Nie marznie pani przy otwartym oknie?”

„Nie, nie.”

„Ale przecież musi być pani zimno.” Carol zatrzymała się na światłach i podciągnęła szybę. Potem popatrzyła na Teresę tak, jakby ją tego wieczoru pierwszy raz naprawdę dostrzegła i pod tym spojrzeniem, wędrującym od jej twarzy do spoczywających na łonie rąk, Teresa poczuła się jak mały piesek, którego Carol zauważyła w jakimś schronisku dla zwierząt na rogu ulicy i właśnie w tej chwili sobie o nim przypomniała.

„Carol, co się stało? Czy pani się rozwodzi?”

Carol westchnęła. „Tak, rozwodzę się”, odrzekła zupełnie spokojnie i ruszyła dalej.

„I dziecko jest u niego?”

„Tylko dzisiaj wieczorem.”

Teresa chciała zadać jeszcze jedno pytanie, ale Carol powiedziała: „Mówmy o czymś innym.”

Wyprzedził je jakiś samochód, w którym wszyscy śpiewali nadawane przez radio kolędy.

A ona i Carol milczały. Przejeżdżały przez Yonkers i Teresa miała wrażenie, że wszelkie szanse podjęcia rozmowy z Carol są stracone. Nagle Carol uparła się, żeby coś zjeść, dochodziła już ósma. Zatrzymały się więc przed małą, przydrożną restauracją. Usiadły przy barze i zamówiły kanapki i kawę, ale Carol niczego nie tknęła. Wypytywała ją o Richarda, tak, jakby chciała przeszkodzić Teresie w zadawaniu pytań. Pytania Carol były bardzo osobiste, pomimo to Teresa odpowiadała mechanicznie, jakby dotyczyły kogoś zupełnie innego. Spokojny głos Carol był dużo cichszy od głosu młodego kelnera, rozmawiającego przy barze z jakimś klientem.

„Czy pani z nim sypia?” zapytała Carol.

„Spałam z nim trzy lub cztery razy.” Teresa opowiedziała jej o pierwszej nocy z Richardem i o trzech następnych. Nie czuła się skrępowana, mówiąc o tym.

Nigdy przedtem nie wydawało jej się to tak nudne i nieważne. Carol mogła sobie na pewno wyobrazić każdy szczegół owych nocy. Czuła jej rzeczowe, taksujące spojrzenie i wiedziała, że Carol nie uważa jej za szczególnie oziębłą emocjonalnie. Jednak Carol milczała, a Teresa wpatrywała się skrępowana w listę przebojów na małej szafie grającej. Przypomniła sobie, jak kiedyś ktoś powiedział, że ma namiętne usta, nie mogła sobie tylko przypomnieć, kto.

„Czasami te rzeczy wymagają czasu”, odezwała się Carol. „Nie uważa pani, że powinna dać mu jeszcze jedną szansę?”

„Dlaczego? To mi nie sprawia żadnej przyjemności. I nie jestem w nim zakochana.”

„Nie myśli pani, że to jeszcze mogłoby się stać, jeśli wam się kiedyś uda?”

„To tak się zakochuje?”

Carol patrzyła na głowę jelenia, wiszącą na ścianie za barem. „Nie”, odparła i uśmiechnęła się. „Co się pani w Richardzie podoba?”

„No więc, on jest...” Teresa nie była pewna czy słowo „szczerzy” jest odpowiednie. Nie traktował „szczerze” swego malarstwa. „Podoba mi się jego sposób bycia. Bardziej niż innych mężczyzn. Traktuje mnie jak człowieka, nie tylko jak dziewczynę, z którą może pójść do łóżka lub nie. I lubię też jego rodzinę, sam fakt, iż ją posiada.”

„Wielu ludzi ma rodzinę.”

Teresa próbowała dalej. „Jest ruchliwy, zmienia się. Nie tak jak inni mężczyźni, którym można przykleić etykietkę, na przykład „doktor” albo „agent ubezpieczeniowy”.

„Myślę, że zna go pani lepiej niż ja Harge’a po tylu miesiącach małżeństwa. Przynajmniej nie popełni pani tego samego błędu, co ja, nie wyjdzie pani za mąż tylko dlatego, że wtedy wśród moich znajomych po dwudziestce panował taki zwyczaj.”

„Czy chce pani przez to powiedzieć, że nie była pani w nim zakochana?”

„Ależ tak, nawet bardzo. I Harge także. Należy do mężczyzn, którzy potrafią sobie owinać kobietę wokół palca w przeciągu tygodnia i całkowicie ją zniewolić. Była pani już kiedyś zakochana, Tereso?”

Czekała, aż to słowo przejdzie jej przez usta, nieprawdziwe, z poczuciem winy i pustki. „Nie.”

„Ale chciałaby pani!” Carol roześmiała się.

„Czy Harge wciąż panią kocha?”

Carol spuściła niecierpliwie wzrok. Może ją teraz sprowokowałam, pytając tak prosto z mostu, zmartwiła się Teresa, ale głos Carol wcale się nie zmienił. „Nie mogłabym tego powiedzieć. W pewnym stopniu jest nadal taki jak kiedyś. Tylko teraz widzę, co się za tym kryje. Powiedział kiedyś, że jestem pierwszą kobietą, jaką w ogóle kochał. To z pewnością prawda, ale myślę, że on - w zwykłym znaczeniu tego słowa - nie był we mnie zakochany dłużej niż przez kilka miesięcy. Nigdy nie interesował się innymi kobietami, to prawda. Może to właśnie uczyniłoby go bardziej ludzkim. Mogłabym to zrozumieć i nawet wybaczyć mu.”

„Czy on kocha Rindy?”

„Ubóstwia ją.” Carol spojrzała na nią z uśmiechem. „Jeśli jest w kimś zakochany, to właśnie w Rindy.”

„Co to za imię?”

„Nerinda. Harge je wybrał. Chciał mieć syna, ale myślę, że jest jeszcze bardziej szczęśliwy z powodu córki. Ja wołałam dziewczynkę. Marzyłam o dwójce albo trójce dzieci.”

„A Harge - nie chciał?”

„To ja nie chciałam więcej.” Popatrzyła na Teresę. „Ale czy to rozmowa odpowiednia na święta?” Carol sięgnęła po papierosy, wzięła jednak morrissa, którego podała jej Teresa.

„Chciałabym się o pani dowiedzieć wszystkiego”, powiedziała Teresa.

„Nie chciałam więcej dzieci, bo obawiałam się, że nasze małżeństwo się popsuje - pomimo Rindy. Więc pani chce się zakochać? Prawdopodobnie wkrótce się to pani przydarzy, a kiedy to nastąpi, niech się pani z tego cieszy, później jest coraz trudniej.”

„Kochać kogoś?”

„Zakochać się. Albo nawet mieć ochotę pójść z kimś do łóżka. Myślę, że nasz popęd płciowy jest o wiele słabszy niż wszyscy - a szczególnie mężczyźni - uważamy. Pierwsze przygody seksualne nie są niczym innym, jak tylko zaspokojeniem ciekawości, a potem powtarza się już tylko wciąż to samo w poszukiwaniu czegoś.”

„Czego?”, zapytała Teresa.

„Czy można to określić jednym słowem? W poszukiwaniu przyjaciela, partnera lub być może po prostu kogoś, kto będzie przy tobie. Cóż znaczą tu słowa. Wydaje mi się, że ludzie często szukają poprzez seks czegoś, co mogliby dużo łatwiej znaleźć w inny sposób.”

Teresa wiedziała, że to, co Carol powiedziała o ciekawości, jest prawdą. „W jaki inny sposób?” zapytała.

Carol obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. „Myślę, że na to pytanie każdy sam musi sobie odpowiedzieć. Zastanawiam się tylko, czy mogę tutaj dostać drinka?”

W drodze powrotnej do Nowego Jorku Carol nie zatrzymywała się już nigdzie. Zapytała Teresę czy chce wracać do domu, czy może wpadnie do niej na chwilę, a Teresa odpowiedziała, że chętnie do niej pojedzie. Przypomniała sobie, że obiecała wpaść do Kellych na wino i kanapki z rybą, ale na pewno się nie obrażą, jeśli nie przyjdzie.

„Jestem złym kompanem”, odezwała się nagle Carol. „Najpierw sobota, a teraz to. Naprawdę nie jestem dzisiaj w formie. Na co miałyby pani ochotę? Może pojedziemy do restauracji w Newark, z choinką i kolędami? To nie jest żaden klub nocny. Mogłybyśmy tam dostać coś porządnego do jedzenia.”

„Wcale mi nie zależy na tym, żeby gdzieś pójść.”

„Przecież była pani cały dzień w tym okropnym domu towarowym i nawet nie uczciłyśmy jeszcze pani uwolnienia.”

„Lubię po prostu być z panią”, wyznała Teresa i uśmiechnęła się, gdyż zabrzmiało to jakby się usprawiedliwiała.

Carol pokręciła głową nie patrząc na nią. „Dziecko, dziecko - wciąż taka sama!” Kiedy były już na autostradzie do New Jersey, powiedziała: „Mam pomysł.” Zawróciła, wjechała na boczną drogę posypaną żwirem i zatrzymała auto.

„Chodźmy.”

Przed nimi znajdowało się rozświetlone stoisko z choinkami. Carol powiedziała, żeby wyszukała odpowiednią - nie za dużą i nie za małą. Położyły choinkę na tylnym siedzeniu, a Teresa siedziała z przodu, trzymając w rękach gałązki jodły i ostrokrzewu.

Wtuliła w nie twarz, chłonąc ciemnozielony, mocny zapach, aromatyczną czystość,

pachnącą lasem i wyobrażającą wszystko, co łączyło się z Bożym Narodzeniem. Ozdoby choinkowe, prezenty, śnieg, kolędy i ferie. Oznaczało to: koniec z domem towarowym i bycie z Carol. Cichy warkot samochodu i igły jodłowych gałązek, które czuła pod palcami. Jestem szczęśliwa, pomyślała Teresa.

„Ubierzmy choinkę od razu”, powiedziała Carol, jak tylko weszły do domu.

Włączyła radio w salonie i przygotowała drinki. Z radia płynęły kolędy i głośny dźwięk dzwonów; było tak, jakby znajdowały się w kościele.

Carol przyniosła białą wełnianą narzutę, która miała imitować śnieg leżący pod choinką, a Teresa rozsypała na niej cukier, żeby dodał mu blasku. Potem wycięła z żółtego papieru dużego aniołka i umocowała go na szczycie choinki, zgmiotła jedwabny papier i wycięła z niego łańcuch z aniołkami, który zawiesiła na gałązkach.

„Wspaniale pani to zrobiła”, pochwaliła Carol obserwując choinkę sprzed kominka. „Cudownie. Brakuje jeszcze tylko prezentów.”

Upominek dla Carol leżał na sofie obok płaszcza Teresy. Ale kartka, którą chciała do niego dołączyć została u niej w domu, co psuło jej całą przyjemność obdarowywania. Teresa cofnęła się do tyłu.

„Co jeszcze potrzebuje pani do przybrania drzewka?”

„Nic. Wie pani, która jest godzina?”

Program w radio właśnie się kończył. Teresa spojrzała na zegar stojący na kominku. Była pierwsza w nocy. „Jest Boże Narodzenie”, powiedziała.

„Niech pani lepiej zostanie tutaj na noc.”

„Dobrze.”

„Co pani jutro robi?”

„Nic...”

Carol sięgnęła po swego drinka, który stał na radiu. „Nie musi pani odwiedzić Richarda?”

Tak. Teresa była o dwunastej umówiona z Richardem. Miała spędzić ten dzień u niego w domu. Ale mogła przecież wymyślić jakieś usprawiedliwienie. „Nie, powiedziałam tylko, że może go odwiedzę. To nieważne.”

„Mogę panią jutro rano odwiedzić”.

„A pani ma coś w planie na jutro?”

Carol wypiła swojego drinka. „Tak.”, odpowiedziała.

Teresa zabrała się do sprzątanía bałaganu, zbierała skrawki papieru i małe kawałeczki wstążek. Nienawidziła sprzątać po swojej pracy.



„Pani przyjaciel Richard należy, jak sędzę, do tych mężczyzn, którzy potrzebują kobiety, dla której pracują, obojętnie czy się z nią ożenią czy nie”, powiedziała Carol. „Mam rację?”

Dlaczego musiała teraz mówić o Richardzie, pomyślała Teresa ze złością.

Zauważyła, że Carol polubiła Richarda - co zresztą było jej winą - i poczuła lekkie ukłucie zazdrości, ostre niczym szpilka.

„Podziwiam to bardziej, niż gdy mężczyźni żyją samotnie albo myślą, że żyją samotnie, a potem wplątują się w najgłupsze sytuacje z kobietami.”

Teresa wpatrywała się w paczkę papierosów leżącą na stoliku. Nie miała na ten temat absolutnie nic do powiedzenia. Zapach perfum Carol docierał do niej delikatnie poprzez intensywny zapach jodły i najchętniej podążyłaby za nim i wzięła Carol w ramiona.

„To nie ma nic wspólnego z tym, czy się bierze ślub czy nie.”

„Co?” Teresa spojrzała na nią i zauważyła, że Carol się lekko uśmiechnęła.

„Harge należy do tej kategorii mężczyzn, którzy nigdy nie pozwalają kobiecie przeniknąć w ich życie. Z drugiej strony bardzo możliwe, że pani przyjaciel Richard nigdy się nie ożeni. Ale będzie wiecznie żył w tej początkowej radości, myśląc, że się ożeni.” I lustrując Teresę od stóp do głów dodała: „Zawsze niewłaściwe kobiety.” A potem jeszcze: „Tańczy pani, Tereso? Lubi pani tańczyć?”

Nagle Carol wydała się Teresie tak zimna i wroga, że o mało się nie rozpląkała.

„Nie”, odparła. Nie powinna była opowiadać jej o Richardzie, pomyślała, ale cóż, stało się.

„Jest pani zmęczona, chodźmy spać.”

Carol zaprowadziła ją do pokoju, do którego w sobotę wchodził Harge i zdjęła narzutę z jednego z dwóch stojących tam łóżek. To mógł być pokój Harge’a, pomyślała Teresa. W każdym razie nic nie wskazywało na to, że to pokój dziecinny. Przypomniała sobie, jak Harge zabierał niedawno rzeczy Rindy z tego pokoju. Pewnie najpierw wyprowadził się ze wspólnej sypialni, a potem kazał Rindy przenieść jej rzeczy do swojego pokoju i tam zostawić, izolując w ten sposób ją i siebie od Carol.

Carol położyła piżamę na brzegu łóżka. „Dobranoc”, powiedziała w drzwiach. „Wesołych Świąt! Ma pani jakieś życzenie?”

Teresa roześmiała się nagle. „Nie.”

Tej nocy śniły jej się ptaki, rozciągnięte w locie błyszczące czerwono ptaki, podobne do flamingów, które przelatywały nad ciemnym lasem, zostawiając za sobą cienie w kształcie muszli, łuki w czerwieni, które wznosiły się w górę, tak jak ich krzyki.

Potem otworzyła oczy i słyszała je naprawdę, to znaczy, słyszała delikatny gwizd, który wzbierał, aby w końcu przebrzmieć w wyjątkowym tonie, a za nim prawdziwy, cichszy, ptasi świergot. Za oknem budził się brzask. Gwizdanie powtórzyło się i Teresa wstała z łóżka. Na dole obok podjazdu stał długi otwarty samochód, a w nim siedziała kobieta, która gwizdała. Teresa odniosła wrażenie, jakby patrzyła na sen, na scenę bez jakichkolwiek barw, o rozmywających się konturach.

Potem dobiegł ją szept Carol, ale tak wyraźny, jakby znajdowały się w jednym pomieszczeniu. „Kładziesz się dopiero do łóżka czy właśnie wstałaś?”

Kobieta w samochodzie, z nogą na siedzeniu, odpowiedziała tak samo cicho: „To i to.” Teresa usłyszała w jej głosie lekkie drżenie tłumionego śmiechu i od razu ją polubiła. „Przejedziemy się kawalek?”, zapytała kobieta. Z szerokim uśmiechem spojrzała do góry na Carol.

„Ty szalony człowieku!” szepnęła Carol.

„Jesteś sama?”

„Nie.”

„Ach, tak.”

„To wcale nie przeszkadza! Wejdiesz?”

Kobieta wysiadła z samochodu.

Teresa otworzyła drzwi swego pokoju. Carol przechodziła właśnie korytarzem, przewiązując szlafrok.

„Przepraszam, że panią obudziłam”, powiedziała. „Niech pani wraca szybko do łóżka.”

„Nic nie szkodzi. Czy mogę zejść na dół?”

„Ależ oczywiście.” Carol roześmiała się nagle. „Proszę wziąć sobie szlafrok z szafy.”

Teresa wyjęła szlafrok, prawdopodobnie Harge’a, i zeszła po schodach.

„Kto ubrał choinkę?”, pytała właśnie kobieta.

Były w salonie.

„Ona.” Carol odwróciła się do Teresy. „To Abby Gerhard - Teresa Belivet”.

„Hallo”, powiedziała Abby.

„Dzień dobry.” Teresa miała nadzieję, że to była ona. Abby przypatrywała się jej szeroko otwartymi oczyma w ten sam wesoły sposób, jaki Teresa dostrzegła już przed kilkoma minutami.

„Pięknie to pani zrobiła”, powiedziała Abby.

„Czy możecie przestać szeptać?” zapytała Carol.

Abby rozcierała sobie dłonie idąc za Carol do kuchni.

„Masz dla mnie filiżankę kawy, Carol?”

Teresa stała przy stole w kuchni i czuła się całkiem dobrze, gdyż Abby nie zwracała już na nią uwagi, zdjęła po prostu płaszcz i pomagała Carol parzyć kawę. Jej talia i biodra wydawały się zupełnie cylindryczne pod czerwoną wełnianą sukienką, bez przodu i tyłu. Jej ręce były raczej niezgrabne, stwierdziła Teresa, a stopy nie tak delikatne jak u Carol. Wyglądała starszej od Carol i miała na czole dwie zmarszczki, które pogłębiały się, kiedy się śmiała i podnosiła silnie zarysowane brwi. I śmiała się razem z Carol, kiedy parząc kawę i wyciskając pomarańcze, rozmawiały w telegraficznym skrócie o wszystkim i o niczym - w każdym razie o niczym istotnym, czemu warto byłoby się z uwagą przysłuchiwać.

Aż do chwili, kiedy Abby wyjmując pestkę ze szklanki z sokiem i wycierając starannie ręce o sukienkę, zapytała nagle, jakby od niechcienia: „A co słyhać u naszego starego Harge'a?”

„Po staremu”, odparła Carol, szukając czegoś w lodówce, na co Abby powiedziała coś, czego Teresa, całkowicie zajęta Carol, nie dosłyszała. Może było to jedno z owych skrótowych zdań, zrozumiałych tylko dla Carol. W każdym razie Carol wyprostowała się i wybuchnęła głośnym, gwałtownym śmiechem. Jej twarz zmieniła się całkowicie i Teresa pomyślała z nagłą zazdrością, że jej nie udało się tak rozśmieszyć Carol, jak umiała to zrobić Abby. „Przekażę mu to”, powiedziała Carol. „Nie omieszkam.”

Chodziło o coś takiego jak finka harcerska dla Harge'a.

„I powiedz mu jeszcze, proszę, od kogo to jest”, dodała Abby i popatrzyła na Teresę z tym swoim szerokim uśmiechem, jakby chciała włączyć ją do zabawy.

„Skąd pani jest?”, zapytała, kiedy usadowiły się w kuchni.

„Z Nowego Jorku”, odpowiedziała za nią Carol, a Teresa pomyślała, że Abby powie zaraz: „ach, tak, to niezwykle” albo coś równie głupiego, lecz Abby nie odezwała się, patrzyła tylko na Teresę z tym samym pełnym oczekiwania uśmiechem, jakby teraz ona musiała uczynić następny krok.

Z całego tego zamieszania wokół śniadania w końcu wynikł tylko sok pomarańczowy i kawa oraz kilka grzanek bez masła, których i tak nikt nie jadł. Abby zapaliła papierosa, zanim cokolwiek tknęła.

„Może pani już zapalić?” zapytała Teresę, częstując ją papierosem ze swojej paczki Craven A.

Carol odłożyła łyżeczkę. „Abby, co to ma znaczyć?” zapytała tak oburzonym tonem, jakiego Teresa u niej jeszcze nie słyszała.

„Dziękuję, chętnie”, powiedziała Teresa biorąc papierosa. Abby oparła łokcie na stole.  
„Co masz na myśli?” zapytała.

„Wydaje mi się, że jesteś na rauszu”, odparła Carol.

„Po czterech godzinach jazdy na świeżym powietrzu? Wyjechałam o drugiej z New Rochelle, w domu znalazłam wiadomość od ciebie, no i jestem.”

Ona ma z pewnością nieskończenie dużo czasu, pomyślała Teresa, i przez cały boży dzień robi tylko to, co jej akurat wpadnie do głowy.

„A więc?” zapytała Abby.

„No cóż - pierwszej rundy nie wygrałam”, powiedziała Carol.

Abby zaciągnęła się papierosem, nie wydawała się być tym zaskoczona.

„Na jak długo?”

„Na trzy miesiące.”

„Od kiedy?”

„Od zaraz, dokładnie mówiąc od wczorajszego wieczoru.” Carol spojrzała na Teresę, potem na swoją filiżankę i Teresa wiedziała, że nie powie już nic więcej na ten temat, dopóki ona przy tym będzie.

„Ale to przecież jeszcze nic pewnego?” zapytała Abby.

„Obawiam się, że tak”, odparła Carol mimo chodem tonem, przywodzącym na myśl wzruszenie ramionami. „Tak jest umówione - ale obawiam się, że już tak zostanie. Co robisz dziś wieczorem? To znaczy późnym wieczorem.”

„Przed południem nic nie robię. Obiad jest dzisiaj o drugiej.”

„Zadzwoń.”

„Jasne.”

Carol siedziała ze spuszczonego wzrokiem, spoglądając od czasu do czasu na trzymaną w ręce szklankę z sokiem pomarańczowym. Teresa zauważyła cień smutku w kącikach jej ust; przywodził na myśl porażkę.

„Ja bym wyjechała”, odezwała się Abby, „daleko stąd, gdziekolwiek”. Potem spojrzała na Teresę, znowu jednym z tych przypadkowych wesołych, sympatycznych spojrzeń, jakby chciała ją wtajemniczyć w coś, w co jednak nie mogła zostać wprowadzona; Teresa była jak sparaliżowana na myśl, że Carol mogłaby wyjechać bez niej.

„Nie jestem w nastroju”, odparła Carol, ale dla Teresy zabrzmiało to tak, jakby się jednak nad tym zastanawiała.

Abby kręciła się niespokojnie na ławie.

„Tutaj jest tak przytulnie jak w kopalni nad ranem, nie uważacie?”

Teresa nie mogła powstrzymać uśmiechu. Akurat, kopalnia - kiedy słońce właśnie zażółciło parapet, a w tle stała choinka.

Carol popatrzyła serdecznie na Abby, kiedy ta zapalała papierosa. Jak dobrze muszą się znać, pomyślała Teresa, jedna może mówić i robić, co chce, nie wzbudzając zaskoczenia drugiej, ani nie będąc przez nią źle rozumiana.

„Czy to było udane przyjęcie?”, zapytała Carol.

„No, tak”, odparła obojętnie Abby. „Znasz Boba Havershama?”

„Nie.”

„Był tam wczoraj wieczorem. Już go kiedyś spotkałam w Nowym Jorku. Dziwnym trafem okazało się, że zaczyna pracę u Rattner and Aird, w firmie maklerskiej.”

„Naprawdę?”

„Nie powiedziałam mu, że znam tam jednego z szefów.”

„Która godzina?”, zapytała Carol po chwili.

Abby spojrzała na swój mały zegarek w kształcie piramidy ze złotych płytek. „Dochodzi wpół do ósmej. Czemu pytasz?”

„Chce pani jeszcze trochę pospać, Tereso?”

„Nie, czuję się zupełnie dobrze.”

„Odwiozę panią do miasta w każdej chwili, kiedy pani powie, że musi jechać”, powiedziała Carol.

W końcu jednak to Abby odwiozła ją koło dziesiątej do domu, gdyż, jak powiedziała, nie miała nic do roboty i sprawiało jej to przyjemność.

Abby też lubi świeże powietrze, myślała Teresa, gdy dodała gazu na autostradzie. Bo ktoś jeździ w grudniu otwartym autem? „Gdzie poznała pani Carol?” krzyknęła Abby do Teresy.

Teresa uznała, że Carol opowiedziała Abby prawdę, a przynajmniej jej część.

„W domu towarowym”, odkrzyknęła Teresa.

Jechała nierówno, pędziła w tym za wielkim autem przyspieszając na zakrętach, gdy Teresa się tego w ogóle nie spodziewała.

„Lubi ją pani?”

„Oczywiście!” Co to za pytanie! To tak, jakby zapytała ją, czy wierzy w Boga.

Wreszcie stanęły przed domem Teresy. „Czy zrobiłaby pani coś dla mnie?” spytała. „Może pani tutaj chwileczkę zaczekać? Chciałam dać pani coś dla Carol”.

„Oczywiście”, odparła Abby.

Teresa pobiegła po schodach, znalazła kartkę, którą narysowała i włożyła ją pod

sznurek opasujący prezent dla Carol. „Zobaczy ją pani dzisiaj wieczorem?” zapytała Abby.

Abby skinęła z namysłem głową i Teresie wydawało się, że w jej ciekawych, czarnych oczach odkryła coś wyzywającego, gdyż ona spotka się dziś jeszcze z Carol, a Teresa nie - i nic nie mogła na to poradzić.

„Dziękuję bardzo za przekazanie tego.”

Abby uśmiechnęła się. „Jest pani pewna, że nie mogę pani nigdzie dalej podwieźć?”

„Nie, dziękuję”, odparła Teresa z uśmiechem.

Weszła do bramy i otworzyła swoją skrzynkę na listy. W środku były trzy czy cztery listy, kartki z życzeniami świątecznymi, między innymi od Frankenberga.

Kiedy znowu wyszła na ulicę, nie było już tam dużego kremowego auta, jakby istniało ono jedynie w jej wyobraźni, tak jak ptaki z jej snu.

„A teraz pomyśl sobie jedno życzenie”, powiedział Richard.

Teresa pomyślała. Życzyła sobie Carol. Richard położył ręce na jej ramionach.

Stali pod czymś, co zwisało z dachu i wyglądało jak ozdobiony perłami półksiężyc lub część gwiazdy polarnej. Było wstrętne, ale rodzina Semco przypisywała temu jakieś magiczne siły i zawieszała to w domu przy wyjątkowych okazjach. Dziadek Richarda przywiózł to z Rosji.

„Jakie było twoje życzenie?” Uśmiechnął się do niej władczo. Tutaj był jego dom i właśnie ją pocałował, chociaż drzwi do jadalni były otwarte i siedziało tam pełno ludzi.

„Tego nie wolno zdradzać”, odparła Teresa.

„W Rosji można.”

„No tak, ale ja nie jestem w Rosji.”

Radio zawyło jeszcze głośniejsze, śpiewano kolędy. Teresa wypila resztkę różowego ajerkoniaku.

„Chciałabym pójść na górę do twojego pokoju”, powiedziała.

Richard wziął ją za rękę i mieli właśnie pójść na górę, gdy nagle rozległo się wołanie.

„Richard?”

To ciotka z papierosem w lufce wołała go z jadalni. Richard odpowiedział coś, czego Teresa nie zrozumiała, a potem kiwnął na nią. Jeszcze na piętrze odczuwało się drzenie, wywołane dzikimi tańcami tam na dole, które nie miały nic wspólnego z muzyką. Teresa usłyszała, że poleciał kolejny kieliszek i wyobraziła sobie, jak spieniony, różowy likier rozlewa się po podłodze. To i tak jeszcze nic w porównaniu z prawdziwymi rosyjskimi świętami, które obchodzili w pierwszym tygodniu stycznia, wyjaśnił Richard. Uśmiechnął się do niej, zamykając drzwi swego pokoju.

„Podoba mi się mój nowy sweter”, powiedział.

„Cieszę się.” Teresa odgarnęła na bok swoją szeroką spódnicę i usiadła na łóżku Richarda. Gruby norweski sweter, który mu sprezentowała, leżał z tyłu za nią na jedwabnym papierze, w który był zapakowany. Richard podarował jej indyjską spódnicę, długą, wyszywaną zielonymi i złotymi nitkami.

Była piękna, ale Teresa nie miała pojęcia, na jaką okazję mogłaby ją założyć.

„Co powiesz na porządnego drinka? To na dole jest obrzydliwe.” Richard wyjął z szafki butelkę whisky, ale Teresa pokręciła przecząco głową. „Nie, dziękuję.”

„Dobrze ci robi.”

Znowu pokręciła głową i rozejrzała się po wysokim, niemalże kwadratowym pokoju: patrzyła na tapety z ledwie rozpoznawalnym wzorem w róże, na oba okna, wyglądające tak przyjaźnie z tymi nieco pożółkłymi muslinowymi firankami. Od drzwi biegły na zielonym dywanie dwie wydeptane ścieżki, jedna w stronę komody, a druga w stronę biurka w rogu. Pojemnik z pędzlami oraz duża teczka rysunkowa były jedynymi oznakami tego, że Richard malował. Tak, malarstwo zajmuje tylko jedną część jego umysłu, skonstatowała Teresa, zastanawiając się, jak długo jeszcze potrwa, zanim zdecyduje się na coś innego. I - jak już często przedtem - zadała sobie pytanie, czy Richard dlatego ją lubił bo ma więcej zrozumienia dla jego planów niż ktokolwiek inny, czy też ponieważ czuje, iż jej krytyka sprawia, że robi postępy. Teresa wstała niespokojnie i podeszła do okna. Lubiła ten pokój, bo był niezmienny i wszystko tutaj miało swoje miejsce.

Lecz dzisiaj czuła potrzebę ucieczki stąd. W jej życiu od trzech tygodni wszystko się zmieniło. Dzisiaj rano obudziła się w domu Carol. Carol stanowiła tajemnicę, która ją całkowicie przenikała, a także przenikała ten dom niczym światłość, jakiej nikt oprócz niej nie dostrzegał.

„Jesteś dzisiaj jakaś inna”, odezwał się Richard tak niespodziewanie, że odebrała to jak ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem.

„Może przez tę sukienkę”, powiedziała.

Miała na sobie niebieską suknię z tafty, bardzo starą, której nie zakładała od początku swego pobytu w Nowym Jorku. Usiadła znowu na łóżku i spojrzała na Richarda, który stał na środku pokoju z małą szklanką czystej whisky w dłoni, a jego jasne, niebieskie oczy przesuwają się od jej twarzy aż do nowych, czarnych szpilek i wędrowały z powrotem do góry.

„Terry.” Richard chwycił ją za rękę i przycisnął do łóżka. Jego miękkie, wąskie wargi wpiły się mocno w jej usta, a język o aromatycznym smaku świeżej whisky szybko przeniknął do środka. „Terry, jesteś aniołem”, usłyszała jego niski głos i przypomniała sobie, że Carol mówiła do niej to samo.

Patrzyła na niego, jak podnosi z podłogi szklankę i razem z butelką whisky chowa do szafki. Nagle poczuła jakąś niesamowitą przewagę nad nim i nad tymi wszystkimi ludźmi tam na dole. Była szczęśliwsza od nich wszystkich. Bycie szczęśliwym to trochę tak jak latanie, pomyślała, jakbym była tym latawcem, co wisi przede mną. Wszystko zależy tylko od tego, ile swobody da się sznurowi.

„Ładny?” zapytał Richard.



Teresa usiadła. „Przepiękny!”

„Zrobiłem go wczoraj w nocy. Pomyślałem, że dzisiaj byłby dobry dzień, żeby popuszczać go w parku.” Richard uśmiechał się jak chłopiec, dumny ze swego dzieła. „Spójrz na drugą stronę.”

Był to wspaniały latawiec, czterokątny i lekko wybrzuszony jak tarcza, wąska rama ponacinana była na rogach i złączona z tyłu. Z przodu Richard namalował rosyjską cerkiew z okrągłymi kopułami na tle czerwonego nieba. „Chodź, puścimy go zaraz”, powiedziała Teresa.

Kiedy znosili latawiec, wszyscy wylegli na korytarz - wujek, ciotki, kuzynki i kuzyni - wypełniając go ogłuszającym hałasem, a Richard musiał trzymać latawiec wysoko nad głową, żeby go nie zniszczyli. Ten harmider denerwował Teresę, ale Richard zdawał się nim delektować.

„Zostańcie jeszcze na szampana, Richard!” wołała jedna z ciotek, ubrana w satynową suknię, tak wąską, że jej zaokrąglona talia wyglądała niczym drugi biust.

„Nie możemy”, powiedział Richard, dodając coś po rosyjsku. Teresa zawsze miała wrażenie, widząc Richarda w otoczeniu rodziny, że coś się tu nie zgadza, że Richard jest sierotą, podrzutkiem zostawionym na progu, którego oni przyjęli jako syna. A przecież był tam jego brat Steven, który stał teraz przy wejściu i miał takie same niebieskie oczy jak Richard, tyle tylko, że był jeszcze wyższy i szczuplejszy.

„Z jakiego dachu?” zapytała piskliwym głosem matka Richarda. „Z naszego dachu?”

Paradoks polegał na tym, że dom nie miał takiego dachu, na którym można było stanąć, więc matka Richarda wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. Potem zaczął szczekać pies.

„Niedługo uszyję dla ciebie sukienkę!”, zawołała matka Richarda do Teresy i pogroziwszy jej palcem dodała: „Znam twoje wymiary.” Wymierzili ją centymetrem w jadalni, pośród śpiewania i rozpakowywania podarków, a kilku mężczyzn próbowało nawet przy tym pomagać. Pani Semco objęła Teresę w talii, a ona przytuliła się do niej niespodziewanie i pocałowała mocno w jej miękkie, upudrowane policzki i w ten pocałunek oraz kurczowy uścisk spłynęła cała sympatia, jaką Teresa rzeczywiście odczuwała dla tej kobiety, sympatia, która zniknie w momencie, gdy uwolni się z jej objęć. Wreszcie zostali z Richardem sami i wyszli na dwór. Tak samo byłoby, gdybyśmy byli małżeństwem i odwiedzali rodzinę w pierwszy świąteczny dzień, pomyślała Teresa. Richard puszczałby latawce, nawet gdyby był tak stary, jak jego dziadek, który robił to w Prospect Park jeszcze na rok przed śmiercią.

Dojechali metrem aż do parku, a potem poszli na pozbawione drzew wzgórze, gdzie przychodzili już z tuzin razy. Teresa rozejrzała się dookoła. Kilku chłopców grało w piłkę na płaskiej łące na skraju lasu, poza tym park był spokojny i cichy. Wiatr nie był silny, właściwie, zdaniem Richarda, za słaby, a pokryte białymi chmurami niebo zapowiadało śnieg.

Richard zajęczał, gdy mu się znowu nie udało. Biegł z latawcem w ręce, żeby pomóc mu wzbić się w górę.

Teresa siedziała na ziemi, obejmując kolana ramionami i przyglądała się, jak zadzierał głowę i poruszał nią na wszystkie strony, tak jakby coś zgubił w powietrzu. „Tutaj będzie dobrze!” Wskazała ręką.

„Tak, ale nie ma stałego wiatru.”

Mimo to Richard pobiegł we wskazanym przez nią kierunku. Latawiec zakołysał się najpierw na sznurku, a potem nagłym ruchem wzbił się w górę, jakby go ktoś popchnął. Zakreślił w powietrzu duży łuk, po czym zaczął wzbijać się w drugą stronę.

„Złapał wiatr!” krzyknęła Teresa.

„Tak, ale jest za słaby.”

„Mogę go trochę potrzymać?”

„Poczekaj, aż wzniesie się wyżej.”

Richard starał się silnymi ruchami ramion skierować go w górę, ale latawiec zatrzymał się w miejscu w zimnym, ciężkim powietrzu. Złotawe kopuły cerkwi kołysały się raz w tę, raz w tamtą stronę, jakby latawiec potrzasał swą grzywą niczym smok, a długi, ciągnący się za nim ogon naśladował jego ruchy. „Nic więcej nie możemy zrobić”, powiedział Richard.

Latawiec uspokoił się powoli i stanął, a wyglądało to tak, jakby cerkiew ciasno przywarła do zachmurzonego białego nieba. Carol nie spodobałby się pewnie ten latawiec, pomyślała Teresa. Puszczanie latawców nie sprawiłoby jej radości. Rzuciłaby nań jedno spojrzenie stwierdzając, że to głupie.

„Chcesz go potrzymać?”

Richard wcisnął jej szpulę ze sznurem do ręki, wstała. Zbudował latawiec wczoraj w nocy, gdy była u Carol - dlatego do niej nie zadzwonił i nie miał pojęcia, że nocowała poza domem. Gdyby telefonował, napomknąłby o tym. Bardzo szybko doszłoby do pierwszego kłamstwa.

Nagle latawiec opuścił swą przystań na niebie i szarpnął mocno za sznur, chcąc się wyrwać. Teresa popuściła szybko sznurek, ale latawiec był wciąż dosyć nisko. I teraz znowu uparcie stanął.

„Szarpnij”, zawołał Richard, „żeby poszedł w górę.”

Pociągała i pociągała za sznur, ale sznur był teraz tak długi i wiotki, że nie miała żadnego wpływu na położenie latawca.

Richard podszedł i wziął go od niej. Oddychała szybciej i czuła zmęczenie w ramionach. Usiadła na ziemi. Nie wygrała z latawcem, nie robił tego, czego chciała.

„Może sznurek jest za ciężki”, powiedziała. To był nowy sznurek, miękki i biały - niczym gruby robak.

„Sznur jest całkiem lekki. Patrz teraz. Wzbija się!”

Latawiec istotnie wzniósł się w kilku porywach, jakby nagle odkrył swoją własną wolę - wolę ucieczki.

„Popuść sznur!” krzyknęła.

Teresa wstała. Wpatrywała się w kwadrat latawca, który stawał się coraz mniejszy i przesuwiał się wciąż do tyłu, jak nadmuchany żagiel, kiedy łódź płynie pod wiatr. Czuła, że ma szczególne znaczenie, ten szczególny latawiec, w tej właśnie chwili.

„Richard!”

„Co?”

Obserwowała kątem oka, jak wyciągnął przed siebie ręce i ugiął lekko nogi, jakby stał na desce surfingowej.

„Ile razy byłeś zakochany?”

Richard roześmiał się, krótkim, zachrypniętym śmiechem. „Ani razu - przed tobą”.

„Na pewno byłeś. Sam mi opowiadałeś o dwóch razach.”

„Jeśli te zaliczyć, to równie dobrze mógłbym dodać jeszcze z tuzin innych”, odpowiedział Richard beztrząsco, gdyż zajęty był czymś innym.

Latawiec opadał dużym łukiem na dół.

Teresa starała się zapanować nad swoim głosem.

„Czy byłeś kiedyś zakochany w chłopcu?”

„W chłopcu?” powtórzył Richard zaskoczony.

„Tak.”

Upłynęło prawie pięć sekund zanim zdecydowanym i ostatecznym tonem powiedział: „Nie.”

Przynajmniej postarał się odpowiedzieć, pomyślała Teresa. Chciała zapytać, co by zrobił, gdyby tak było, ale to pytanie i tak do niczego nie prowadziło. Utkwiła wzrok w latawcu. Oboje patrzyli na niego - lecz z jakże różnymi myślami! „Słyszałeś kiedyś coś na ten temat?”

„Czy słyszałem? Masz na myśli «takich ludzi»? Oczywiście.”

Richard stał teraz wyprostowany, na baczność i nawijał ósemkami sznur na szpulę.

Ostrożnie, ponieważ rzeczywiście jej słuchał, Teresa powiedziała: „Nie mam na myśli «takich ludzi». Myślę o dwojgu ludziach, którzy zupełnie niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, zakochują się w sobie, powiedzmy dwóch mężczyzn albo dwie kobiety.”

Richard miał taki sam wyraz twarzy, jak gdyby rozmawiali na przykład o polityce. „Czy znałem kogoś takiego? Nie.”

Teresa odczekała, aż znowu zajął się puszczeniem latawca. „Ale coś takiego nie zdarza się ot, tak po prostu. Powody tego tkwią zawsze w warstwie osobistych doświadczeń.”

„Tak”, zgodziła się Teresa. Pomyślała właśnie o swoich osobistych doświadczeniach z przeszłości. Najbliższe „zakochaniu się” było chyba jej uczucie do pewnego chłopaka w Montclair, z którym kilka razy jechała w tym samym autobusie szkolnym. Miał kręcone, ciemne włosy i ładną poważną twarz, i miał wtedy może ze dwanaście lat, był więc od niej starszy. Pamięta krótki okres, kiedy o nim codziennie myślała. Ale to nie było nic takiego, co czuła do Carol. Była to więc miłość czy nie? Co za absurd, że nawet tego nie wie. Słyszała o dziewczynach, które zakochiwały się w sobie i wiedziała, jak wyglądają «tacy ludzie». Ani ona, ani Carol takie nie były. A jednak uczucie, jakie żywiła do Carol, zdało wszystkie testy i odpowiadało wszystkim opisom miłości. „Czy sądzisz, że coś takiego mogłoby mi się przydarzyć?” spytała po prostu Teresa, zanim jeszcze zdążyła się zastanowić, czy powinna odważyć się na to pytanie.

„Co?” Richard uśmiechnął się. „Że zakochasz się w innej kobiecie? Mój Boże, oczywiście, że nie. Chyba tego nie zrobiłaś - co?”

„Nie”, powiedziała Teresa dziwnie niezdecydowanym tonem, ale zdawało się, że Richard tego nie dostrzegł.

Latawiec poszybował w górę i szpula kręciła się w dłoniach Richarda szybciej i szybciej. W każdym razie jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem, pomyślała Teresa. I po co zadawać sobie trud definiowania wszystkiego i wszystkich.

„Hej!” Richard popędził za szpulą, która skakała jak oszalała po ziemi, jakby też chciała wznieść się w obłoki.

„Chcesz go potrzymać?”, zapytał, kiedy ją złapał. „Naprawdę szarpnie cię do góry!” Teresa chwyciła szpulę, nie było na niej już wiele sznurka, a latawiec był już prawie niewidoczny. Kiedy napięła mięśnie, odniosła wrażenie, że uniósł ją troszkę w górę - wspaniałe uczucie nieważkości, tak jakby latawiec, zebrawszy wszystkie swoje siły, mógł ją naprawdę pociągnąć ze sobą.

„Puść go!”

„Nie ma już więcej sznura!”

„Odetnę go!”

Teresa nie wierzyła własnym uszom, ale kiedy spojrzała na niego, zobaczyła, że grzebie w kieszeniach płaszcza, szukając scyzoryka. „Nie rób tego!”, powiedziała.

Richard nadbiegł śmiejąc się.

„Nie rób tego!”, powtórzyła ze złością. „Zwariowałeś?” Ręce jej omdlały, ale tym mocniej uczepliła się szpuli.

„Chodź, odetniemy go. Tak będzie zabawniej!” Richard dosłownie wpadł na nią, ponieważ gapił się w górę.

Teresa szarpnęła szpulą w bok, aby zniknęła z jego pola widzenia. Zaniemówiła ze złości i zaskoczenia. Przez chwilę bała się, że Richard naprawdę stracił rozum. A potem potknęła się i poleciała do tyłu - szarpanie ustało, w dłoniach trzymała pustą szpulę. „Zwariowałeś!” wrzeszczała. „Jesteś nienormalny.”

„To przecież tylko latawiec!” Richard śmiał się i wpatrywał w górę, w nicość.

Teresa na próżno szukała zwisającego sznura. „Dlaczego to zrobiłeś?” Jej głos dźwięczał ostro przez łzy. „To był taki piękny latawiec!”

„To przecież tylko latawiec!” powtarzał Richard. „Mogę zrobić nowy.”

Teresa miała się właśnie ubrać, ale zdecydowała inaczej. Była wciąż jeszcze w szlafroku i czytała tekst sztuki „Deszczyk”, który właśnie przyniósł jej Phil rozłożony teraz na całym tapczanie. Carol powiedziała, że jest na rogu Czterdziestej Ósmej i Madison Avenue i że przyjdzie do niej za dziesięć minut.

Teresa szybkim spojrzeniem zlustrowała pokój, a potem spojrzała na swe odbicie w lustrze i postanowiła zostawić wszystko tak, jak jest.

Wyniosła popielniczki do zlewu, umyła je i poukładała porządnie kartki tekstu sztuki na biurku. Zastanawiała się, czy Carol będzie miała ze sobą nową torebkę. Zatelefonowała do Teresy wczoraj z jakiegoś miejsca w New Jersey, gdzie była z Abby, i powiedziała, że torebka bardzo jej się podoba, ale że to zbyt drogi prezent. Teresa uśmiechnęła się na myśl o tym, że Carol zaproponowała jej, żeby oddała ją z powrotem do sklepu. Najważniejsze, że się jej podoba.

Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał krótko trzy razy.

Wyjrzała na klatkę schodową, zobaczyła, że Carol coś dźwiga, więc zbiegła na dół.

„Jest pusta”, powiedziała Carol z uśmiechem. „To dla pani.”

Była to zapakowana walizka. Carol puściła rączkę, oddając prezent Teresie.

Teresa postawiła ją na tapczanie i ostrożnie rozcięła brązowy papier pakowy.

Walizka była z jasnobrązowej, grubej skóry o doskonale prostych kształtach.

„Wygląda bajecznie!” zawołała Teresa.

„Podoba się pani? Nawet nie wiem, czy się pani przyda?”

„Czy mi się podoba?!” To była dokładnie walizka dla niej, ta i żadna inna. Miała jej inicjały, wypisane małymi, złotymi literami: T.M.B. Przypomniała sobie, że Carol pytała ją w Wigilię o jej drugie imię.

„Niech pani otworzy i zobaczy czy podoba się pani także wewnątrz.”

„Lubię jej zapach”, powiedziała Teresa.

„Jeśli jest pani zajęta, to pójdę sobie.”

„Nie. Proszę siadać. Czytam tylko pewną sztukę.”

„Jaką sztukę?”

„Sztukę, do której muszę przygotować scenografię.”

Uświadomiła sobie nagle, że nigdy nie rozmawiała z Carol o tej pracy.

„Scenografię?”

„Tak - jestem scenografem.” Wzięła od Carol płaszcz.

Carol była zaskoczona. „Dlaczego, do diabła, nic mi pani o tym nie mówiła?” zapytała spokojnie. „Ile jeszcze króliczków wyczaruje pani z kapelusza?”

„To moja pierwsza prawdziwa praca. I nie chodzi tu o sztukę z Broadwayu. Ta będzie wystawiona w Village. To komedia. Nie jestem jeszcze członkiem związku. Muszę najpierw poczekać, aż dostanę angaż na Broadwayu.”

Carol wypytywała ją o związek, o członkostwo juniorów i seniorów, które kosztuje tysiąc pięćset, lub też dwa tysiące dolarów. Chciała wiedzieć czy zaoszczędziła już wystarczająco dużo pieniędzy, aby to opłacić.

„Nie - jedynie kilkaset dolarów. Ale jak będę miała pracę, mogę zapłacić tę sumę w ratach.”

Carol usiadła w fotelu, w którym często siadywał Richard i obserwowała ją. Teresa mogła wyczytać z jej twarzy, że nagle urosła w jej oczach. Nie mogła pojąć, dlaczego dotąd nigdy nie nadmieniła, że jest scenografem i ma już nawet pracę. „A więc”, powiedziała Carol, „jeśli z tej sprawy wyniknie praca na Broadwayu, powinna się pani zastanowić, czy nie chciałaby pożyczyć ode mnie brakującej sumy pieniędzy? Po prostu jako handlową pożyczkę?”

„Bardzo dziękuję, ja...”

„Zrobię to chętnie dla pani. Nie powinna się pani zameczać tym, jak spłacić dwa tysiące dolarów.”

„Dziękuję. Ale taką pracę dostanę dopiero za kilka lat.”

Carol uniosła głowę i wydmuchała cienką smugę dymu. „Ach - to prace szkoleniowe nie następują jedna po drugiej?”

„Nie, oczywiście, że nie.” Teresa uśmiechnęła się. „Wypije pani drinka? Mam butelkę whisky.”

„O, świetnie, chętnie się napiję, Tereso.” Carol wstała i podczas gdy Teresa nalewała alkohol, przyglądała się półkom w niszy kuchennej. „Dobrze pani gotuje?”

„Tak, ale znacznie lepiej, kiedy gotuję dla kogoś innego. Umiem przyrządzać bardzo dobre omlety - lubi pani coś takiego?”

„Nie”, powiedziała Carol szczerze i Teresa roześmiała się. „Czemu nie pokaże mi pani kilku swoich prac?”

Teresa wyciągnęła zza szafy teczkę z rysunkami. Carol usiadła na kanapie i przeglądała dokładnie wszystkie prace, lecz z jej uwag i pytań Teresa wywnioskowała, że uważa je za zbyt fantastyczne, aby mogły znaleźć zastosowanie. Może nawet się jej nie

podobały. Projekt „Pietruszki”, wiszący na ścianie, podobał się jej najbardziej.

„Ależ to jest wszystko takie samo”, wyjaśniła Teresa. „Takie samo jak rysunki, tylko że ma już formę modelu.”

„No tak, może to sprawa pani rysunków. Są bardzo ekspresyjne. Lubię to w pani.” Carol podniosła swojego drinka z podłogi i rozparła się na tapczanie. „Widzi pani - a więc nie pomyliłam się - prawda?”

„W jakim sensie?”

„Co do pani.”

Teresa nie zrozumiała dokładnie, o co jej chodzi. Carol uśmiechnęła się do niej przez dym z papierosa, co poirytowało Teresę. „Czuła pani to wcześniej?”

„Nie”, powiedziała Carol. „Ile płaci pani za to mieszkanie?”

„Pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.”

Carol cmoknęła. „To nie zostaje pani zbyt wiele z pensji, prawda?”

Teresa pochyliła się nad teczką z rysunkami i zawiązała ją.

„Nie. Ale wkrótce będę więcej zarabiać, więc nie będę tutaj wiecznie mieszkać.”

„Z pewnością nie. I będzie też pani podróżować - tak samo, jak to robi pani w wyobraźni. Odkryje pani jakiś dom we Włoszech i zakocha się w nim. Albo może Francja spodoba się pani bardziej. Lub Kalifornia czy Arizona.”

Dziewczyna uśmiechnęła się. Pewnie nie będzie miała pieniędzy, kiedy coś takiego się zdarzy. „Czy ludzie zawsze zakochują się w tym, czego nie mogą mieć?”

„Zawsze”, odrzekła Carol, odwzajemniając uśmiech. Przejechała ręką po włosach.

„Myślę, że wyjadę na jakiś czas.”

„Na ile?”

„Na około dwa miesiące.”

Teresa wstawiła teczkę z powrotem za szafę.

„Kiedy chce pani wyjechać?”

„Zaraz. To znaczy, jak tylko wszystko zaaranżuję. A nie jest tego wiele.”

Teresa odwróciła się. Carol zgmiotła właśnie papierosa w popielniczkę. A więc nie miało dla niej żadnego znaczenia, że nie będą się widziały przez cały miesiąc, pomyślała Teresa. „Dlaczego nie pojedzie pani gdzieś z Abby?”

Carol spojrzała na nią, a potem na sufit... „Po pierwsze dlatego, iż nie sądzę, żeby miała czas.” Teresa patrzyła uważnie. Wiedziała, że dotknęła jakiejś czulej struny, wymieniając imię Abby.

Lecz z twarzy Carol nie można było nic wyczytać. „To bardzo miłe z pani strony, że



tak często ma pani dla mnie czas”, powiedziała Carol. „Właśnie teraz niechętnie spotykam się z ludźmi, z którymi zazwyczaj przebywam. To naprawdę niemożliwe. Wszędzie trzeba występować w parze.”

Jakaż ona krucha, pomyślała nagle Teresa, zupełnie inna niż w dniu naszego pierwszego wspólnego obiadu. Jakby czytając w jej myślach, Carol wstała i Teresa czuła jej udawaną pewność siebie, kiedy podniosła głowę i uśmiechnęła się do niej, przechodząc tak blisko, że ich ramiona dotknęły się.

„Może spotkamy się dziś wieczorem?” zapytała Teresa. „Mogłaby pani tutaj zostać, jeśli ma pani ochotę, a ja doczytam sztukę do końca. Mogłybyśmy spędzić razem wieczór.”

Carol nie odpowiedziała. Patrzyła na skrzynki z kwiatami, stojące na biblioteczce.

„Co to za rośliny?”

„Nie wiem.”

„Nie wie pani?”

Były tam różne kwiaty. Kaktus o grubych liściach, który kupiła przed rokiem i od tamtej pory w ogóle nie podrosł. A także karłowata palma i zielono czerwone pnącza, podparte patykami. „Po prostu rośliny.”

Carol odwróciła się i uśmiechnęła. „Po prostu rośliny”, powtórzyła.

„To co z dzisiejszym wieczorem?”

„Dobrze. Ale nie zostanę. Jest dopiero trzecia. Zadzwoń do pani o szóstej.”

Carol wrzuciła zapalniczkę do torebki; nie była to ta, którą podarowała jej Teresa. „Mam dzisiaj ochotę pooglądać meble.”

„Meble? W domach towarowych?”

„W domach towarowych lub u Parke-Berneta. To poprawi mi nastrój.” Carol wzięła swój płaszcz z fotela i Teresie znowu rzuciła się w oczy elegancka linia jej ciała.

Carol była piękna niczym akord muzyczny. Była tak piękna; dlaczego jej życie musiało być teraz takie puste, kiedy przecież była stworzona, żeby żyć razem z ludźmi, których kochała, przebywać w pięknym domu, w pięknych miastach, na błękitnych plażach z dalekim horyzontem i błękitnym niebem w tle.

„Na razie”, powiedziała Carol i zakładając płaszcz, objęła Teresę w pasie. Ręka Carol tak nieoczekiwanie dotykająca jej ciała była zbyt oszałamiająca, aby oznaczać ulgę albo koniec czy też początek, i była to tylko krótka chwila, zanim dzwonek z dołu poraził ich słuch. „Kto to?” zapytała Carol.

Teresa poczuła paznokiec Carol, wbijający się ostro w przegub jej ręki. „Prawdopodobnie Richard.” To mógł być tylko Richard, znała jego długi dzwonek.

„Dobrze. Chętnie go poznam.”

Teresa nacisnęła guzik domofonu i usłyszała, jak wchodził na górę, przeskakując po parę stopni. Otworzyła drzwi.

„Hallo” zawołał Richard. „Postanowiłem...”

„Richard, to pani Aird”, powiedziała Teresa. „Richard Semco.”

„Dzień dobry”, odezwała się Carol.

Richard pochylił głowę, jakby w ukłonie.

„Dzień dobry”, odpowiedział i szeroko otworzył swoje niebieskie oczy.

Patrzyli na siebie. Richard trzymał w rękach kwadratowe pudełko, a Carol stała z nie zapalonym papierosem, niezdecydowana czy ma zostać, czy wyjść. Potem Richard postawił karton na stole.

„Byłem w pobliżu i chciałem zajrzeć na chwileczkę”, powiedział i Teresa wyczuła pretensję w jego głosie, a w badawczym wzroku spontaniczną nieufność wobec Carol. „Musiałem zanieść prezent przyjaciółce mamy, a tutaj są pierniki.”

Wskazał na pudełko i uśmiechnął się rozbrajająco. „Może ktoś ma ochotę?”

Carol i Teresa podziękowały. Carol obserwowała Richarda, jak otwierał karton scyzorykiem. Lubi jego uśmiech, pomyślała Teresa. Lubi go, tego szczupłego, młodego mężczyznę z niesfornymi jasnymi włosami, chudymi, szerokimi ramionami i rozczłapanymi, sportowymi butami.

Proszę, niech pani usiądzie”, powiedziała Teresa do Carol.

„Nie, pójdę”, odparła.

„Zostawię ci połowę i też idę”, powiedział Richard.

Teresa spojrzała na Carol, która, uśmiechając się nieco z jej podenerwowania, usiadła na brzegu tapczanu.

„Ależ nie chcę pani wyganiać”, odezwał się Richard i przesunął kartonik z ciastkami na blat kuchenny.

„Wcale pan tego nie robi. Jest pan malarzem, Richardzie?”

„Tak.” Włożył do ust trochę polewy z pierników i popatrzył całkiem opanowany na Carol; bo on przecież wcale nie umie być inny, pomyślała Teresa. Jego spojrzenie było szczere, gdyż nie miał nic do ukrycia. „Pani też maluje?”

„Nie”, powiedziała Carol i znowu się uśmiechnęła. Ja w ogóle nic nie robię.”

„To jest najtrudniejsze”, oświadczył Richard spokojnie. „Może masz dla mnie piwo, Terry? Strasznie chce mi się pić.”

Teresa podeszła do lodówki i wyjęła obie puszki, jakie miała. Richard zapytał Carol,

czy ma ochotę na piwo, ale odmówiła. Potem Richard przeszedł z drugiej strony tapczanu, zobaczył walizkę oraz papier, w który była zapakowana i Teresa pomyślała, że zaraz zrobi jakąś uwagę, lecz zamiast tego powiedział: „Myślałem, Terry, że pójdziemy dzisiaj wieczorem do kina. Chciałbym zobaczyć ten film w Victorii. Pójdiesz ze mną?”

„Dziś wieczorem nie mogę. Jestem umówiona z panią Aird.”

„Ach, tak.” Richard spojrział na Carol.

Carol zgaszyła papierosa i wstała. „Muszę iść” i uśmiechając się do Teresy dodała: „Zadzwoń do pani koło szóstej. Nic nie szkodzi, jeśli pani zmieni plany. Do widzenia, Richardzie.”

„Do widzenia”, odparł Richard.

Schodząc po schodach, Carol mrugnęła do Teresy: „Niech pani będzie miła, Tereso!”

„Skąd masz tę walizkę?”, dopytywał się Richard, kiedy wróciła do pokoju.

„To prezent.”

„Co jest, Terry?”

„Nic.”

„Przeszkodziłem wam w czymś ważnym? Kim ona jest?”

Teresa wzięła pustą szklankę Carol. Na brzegu były ślady szminki. „Spotkałam ją w domu towarowym.”

„To ona podarowała ci tę walizkę?”

„Tak.”

„Bardzo porządny prezent. Jest bogata?”

Teresa obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Richard kategorycznie odrzucał wszystkich bogatych i mieszczańskich. „Bogata? Pytasz z powodu jej futra z norek? Nie wiem. Wyświadczyłam jej przysługę. Znalazłam coś, co zgubiła.”

„Ach tak? A co? Nie opowiadałaś mi o tym.”

Umyła szklankę Carol i postawiła na półce.

„Zostawiła na ladzie swój portfel, a ja jej go odniosłam. To wszystko.”

„No, co za wspaniała zapłata!” Zmarszczył czoło. „Terry, co jest? Jesteś jeszcze zła na mnie przez ten latawiec?”

„Nie, oczywiście, że nie”, odpowiedziała zniecierpliwiona, pragnąc, żeby już sobie poszedł. Włożyła ręce do kieszeni szlafroka i stanęła w miejscu, gdzie stała Carol, kiedy oglądała jej kwiaty. „Phil przyniósł mi dzisiaj rano tekst sztuki. Zaczęłam go czytać.”

„Czy to właśnie cię martwi?”

„A kto powiedział, że coś mnie martwi?”

„Znowu jesteś o kilometry stąd.”

„Nie jestem zatroskana, ani też daleko od ciebie.” Wzięła głęboki oddech. „To dziwne, że tak dokładnie zauważasz pewne nastroje, a innych wcale.”

Richard spojrział na nią. „No dobrze, Terry”, powiedział i wzruszył ramionami, jakby przyznawał jej rację. Usiadł w fotelu i wlał resztkę piwa do szklanki. „Cóż to za spotkanie z tą kobietą dziś wieczorem?”

Usta Teresy rozciągnęły się w uśmiechu, gdy je szminkowała. Przez chwilę wpatrywała się w pincetę do brwi, leżącą na półeczce zamocowanej wewnątrz szafy. Odłożyła szminkę na półkę. „Myślę, że to cocktail party. Uroczystość charytatywna z okazji świąt. W jakiejś restauracji”, powiedziała.

„Hm. Chcesz tam pójść?”

„Tak, zgodziłam się.”

Richard dopił piwo i patrzył nachmurzony w swoją szklankę. „A co robisz potem? Może zostanie tutaj i poczytam tę sztukę, jak cię nie będzie, a potem pójdziemy coś zjeść i do kina.”

„Potem lepiej poczytam sztukę. W sobotę zaczynam i muszę mieć już w głowie kilka pomysłów.”

Richard wstał. „No, to cześć”, powiedział od niechcienia i westchnął.

Teresa obserwowała, jak obchodzi tapczan dookoła i spogląda na tekst. Potem nachylił się, przeczytał stronę tytułową i obsadę. Spojrział na zegarek a potem na nią.

„Równie dobrze mógłbym ją teraz przeczytać”, powiedział.

„No to zrób to”, odrzekła szorstkim tonem, którego Richard albo nie dosłyszał, albo zlekceważył, gdyż położył się po prostu na tapczanie z rękopisem w ręce i zaczął czytać.

Sięgnęła po pudełko zapalek leżące na półce. Jej oddalanie się o kilometry dostrzegał więc tylko wtedy, kiedy mu się w ten sposób wymykała. Nagle znowu pomyślała o tym, jak to było, kiedy z nim spała, o tym odczuciu bycia daleko od niego, nie mającym nic wspólnego z intymnością, która powinna była się wytworzyć i o której wszyscy zawsze mówili. Richardowi to nie przeszkadzało, pomyślała, no, bo w końcu przecież była z nim w łóżku. I kiedy tak patrzyła na Richarda, całkowicie zatopionego w lekturze, podczas gdy jego silne, niezgrabne palce bawiły się lokiem nad czołem, ściągając go aż do nosa, tak, jak to robiły już po tysiącuroć, zrozumiała, że on uważa swoje miejsce w jej życiu za nietykalne, jej przywiązanie do niego za nierozdzielne i nie podlegające żadnej dyskusji, jako że był pierwszym mężczyzną, z którym się przespała. Teresa rzuciła zapaliki na półkę, aż jedna z buteleczek przewróciła się.

Richard usiadł, uśmiechnął się zaskoczony i zapytał: „Stało się coś, Terry?”

„Richard, chciałabym dzisiaj zostać sama przez resztę popołudnia. Nie gniewasz się?”

Wstał, ciągle jeszcze z tym samym wyrazem zaskoczenia na twarzy. „Ależ nie, oczywiście, że nie.” Położył manuskrypt na tapczanie. „Dobrze, Terry. Tak będzie z pewnością lepiej. Powinnaś chyba tę sztukę zaraz przeczytać - w spokoju”, powiedział takim tonem, jakby tym argumentem sam siebie musiał przekonać. I ponownie spojrzawszy na zegarek dodał: „Pójdę na chwilę na dół do Sama i Joan.”

Stała bez ruchu, myśląc tylko o tym, jak wytrzymać tych kilka sekund zanim on wyjdzie, podczas gdy Richard pogładził jej włosy swoją wilgotną i lepka ręką i nachylił się, aby ją pocałować. Nagle przyszła jej na myśl książka o Edgarze Degas, którą kupiła przed kilkoma tygodniami i którą Richard chciał mieć, lecz nigdzie nie mógł znaleźć. Wyjęła ją z najniższej szuflady swego biurka.

„Znalazłam książkę o Degas.”

„Ach, świetnie, dziękuję.” Obiema rękami sięgnął po książkę, która była jeszcze zapakowana. „Gdzie ją dostałaś?”

„U Frankenberga, tak się złożyło.”

„U Frankenberga.” Richard uśmiechnął się. „Kosztowała sześć dolarów, co?”

„Ach, daj spokój.”

Richard już wyjął portfel. „Przecież prosiłem cię, żebyś mi ją załatwiła.”

„Nie ma o czym mówić.”

Richard protestował, lecz nie przyjął pieniędzy. Po chwili wyszedł, obiecując, że zadzwoni następnego dnia o piątej.

Dziesięć po szóstej zatelefonowała Carol. Czy miałyby ochotę wybrać się z nią do Chinatown, zapytała. Oczywiście, odparła Teresa.

„Właśnie piję z kimś cocktail w St.Regis”, powiedziała Carol. „Niech pani tutaj po mnie przyjdzie. Siedzimy w małej sali, nie w tej dużej. W porządku, a później pójdziemy na tę imprezę teatralną, na którą mnie pani zapraszała, zgoda?”

„Może na ten charytatywny cocktail świąteczny?”

Carol roześmiała się. „Niech się pani pośpieszy.”

Teresa niemal biegła.

Przyjaciel Carol nazywał się Stanley Mc Veigh i był wysokim, atrakcyjnym mężczyzną pod czterdziestkę, z bokserem na smyczy. Carol zbierała się do wyjścia. Stanley odprowadził je, wsadził do taksówki i podał kierowcy przez okno pieniądze.

„Kto to?”, zapytała Teresa.

„Mój stary przyjaciel, z którym spotykam się od kiedy rozeszłam się z Hargem.”

Teresa popatrzyła na nią. Carol miała dziś wieczorem w oczach czarujący, lekki uśmiech. „Lubi go pani?”

„Tak sobie”, odrzekła Carol, potem zwróciła się do kierowcy: „Proszę jechać do Chinatown, zamiast pod ten poprzedni adres.”

Kiedy jadły kolację, zaczął padać deszcz. Carol stwierdziła, że zawsze pada, kiedy jest w Chinatown. Ale nie przeszkadzało im to za bardzo, gdyż chodziły od sklepu do sklepu, oglądając rzeczy i czasami coś kupując. Teresa zauważyła parę sandałów na płaskiej podeszwie, które bardzo się jej spodobały, a wyglądały raczej na perskie niż na chińskie i chciała kupić je dla Carol, lecz ta zaprotestowała, bo nie spodobałyby się Rindy. Rindy jest konserwatywna i nie lubi nawet, kiedy ona chodzi latem bez pończoch, a Carol kieruje się jej gustem. W tym samym sklepie były chińskie komplety z błyszczącego, czarnego materiału, z zupełnie prostymi spodniami i marynarką ze stójką i Carol kupiła jeden dla Rindy. Podczas gdy Carol podawała sprzedawcy adres, na który miał wysłać strój dla Rindy, Teresa kupiła sandały dla Carol. Znała jej rozmiar i Carol cieszyła się, że je dla niej kupiła. Potem spędziły szaloną godzinę w chińskim teatrze, gdzie kilku widzów przespało cały spektakl. Kolację zjadły w restauracji przy dźwiękach harfy - w sumie wspaniały wieczór, naprawdę świetny wieczór.

We wtorek, w piątym dniu swojej pracy, Teresa siedziała w pustym, małym pokoju bez sufitu, czymś w rodzaju przepierzenia na tyłach teatru Black Cat i czekała na pana Donohue, reżysera, który chciał obejrzeć jej projekt. Dzień wcześniej Donohue zastąpił reżysera Cortesa, skrytykował jej pierwszy projekt i wyrzucił Phila McElroya, który miał zagrać rolę drugiego brata. Phil wyszedł czerwony z wściekłości. Mam szczęście, że i mnie nie wyrzucono razem z projektem, pomyślała Teresa i teraz dokładnie trzymała się wskazówek pana Donohue. Nowy projekt nie miał żadnej sceny obrotowej, która umożliwiłaby zamianę sceny w pokoju w ostatnim akcie na scenę na tarasie. Pan Donohue zdawał się kategorycznie odrzucać wszystko, co niezwykle, nawet kiedy było proste.

Ponieważ w jego wersji cała sztuka rozgrywała się w pokoju, musiano zmienić dużą część dialogów w ostatnim akcie, przez co wypadło kilka najśmieszniejszych momentów. W nowym projekcie Teresy był kominek, duże drzwi werandowe, w środku jeszcze dwie inne pary drzwi, sofa, rząd krzeseł i biblioteczka. Gotowy, wyglądał prawie jak wzorcowy salon od Sloana, wierny aż po ostatnią popielniczkę.

Teresa wstała, przeciągnęła się i sięgnęła po swoją sztruksową kurtkę, która wisiała na gwoździu na drzwiach. W pomieszczeniu było lodowato zimno. Pan Donohue przyjdzie zapewne dopiero po południu, jeśli w ogóle. Nie było pośpiechu ze scenografią. Może była to nawet najmniej ważna część przedstawienia, długo siedziała wczorajszej nocy, pracując z zapalem nad nowym projektem.

Wyszła na zewnątrz i przystanąła z tyłu sceny. Aktorzy zebrali się w komplecie z tekstami swoich ról. Pan Donohue kazał przegrać całą sztukę, żeby się rozruszali, jak powiedział, ale zdawało się, że dzisiaj zdołał ich jedynie uspić. Zespół sprawiał wrażenie sparaliżowanego, jedynie wysoki, jasnowłosy mężczyzna, grający główną rolę męską, był może nawet zbyt żywy. Georgia Halloran miała straszny katar i musiała ciągle przerywać grę, żeby zakropić sobie nos i położyć się na chwilę. Geoffrey Andrews, mężczyzna w średnim wieku, grający ojca bohaterki, mruzczał coś wściekle między swoimi kwestiami, bo nie mógł ścierpieć pana Donohue.

„Nie, tak naprawdę nie może być”, powiedział reżyser już pewnie po raz dziesiąty tego ranka i przerwał próbę, a wszyscy opuścili teksty swoich ról i odwrócili się w jego stronę z podszytym rozdrażnieniem posłuszeństwem.

„Zaczynamy jeszcze raz od strony dwudziestej ósmej.”

Teresa obserwowała, jak machnął ręką, dając aktorom znak, żeby zaczęli grać, potem podniósł ręce, żeby ich uciszyć, przysłuchując się ze spuszczoną głową, jakby dyrygował orkiestrą. Tom Harding mrugnął do niej i przejechał ręką po grzbiecie nosa. Po chwili Teresa wróciła za przepierzenie, gdzie czuła się mniej niepotrzebna. Znała już sztukę prawie na pamięć. Była to ludowa komedia pomyłek: dwóch braci udaje pana i sługę, żeby zainteresować spadkobierczynię, w której zakochany jest jeden z nich. Dialog był wesoły i wcale niezły, ale ta nudna, naturalistyczna scenografia, jakiej chciał Donohue... Teresa miała nadzieję, że uda się jej coś niecoś uratować kolorami.

Pan Donohue zjawił się u niej zaraz po dwunastej. Przyjrzał się projektowi.

Oglądał go od dołu i z obu stron, a wyraz jego twarzy pozostał nerwowy i przygnębiony.

„Tak, teraz jest dobrze! Bardzo mi się podoba. Sama pani widzi, że teraz jest o wiele lepiej niż przedtem, z tymi gołymi ścianami?”

Teresa odetchnęła głęboko i z ulgą. „Tak”, powiedziała.

„Scenografia wyrasta z potrzeb aktorów. To nie jest balet, panno Belivet.”

Przytaknęła skinieniem głowy i przyjrzała się projektowi, próbując odkryć, w jakim stopniu jest lepszy, może bardziej celowy?

„Stolarz przyjdzie dzisiaj po południu około czwartej. Omówimy wtedy wspólnie całą sprawę.” Pan Donohue wyszedł.

Teresa patrzyła na tekturowy model. Przynajmniej będzie wykorzystany. Przynajmniej będzie mogła go razem ze stolarzem przekształcić w coś rzeczywistego. Podeszła do okna i spojrzała na wesołe, błyszczące zimowe niebo, na tyły kilku pięciopiętrowych domów, otoczonych schodami przeciwpożarowymi jak girlandami. Przed nimi był mały, pusty placyk z jednym karłowatym drzewem, którego pień skręcał się niby zdziczały drogowskaz. Chciała zadzwonić do Carol, żeby zaprosić ją na obiad. Ale Carol potrzebowałaby na przybycie tutaj samochodem półtorej godziny.

„Pani nazywa się Beliver?”

Teresa odwróciła się do młodej kobiety, która stała w drzwiach. „Belivet. Telefon do mnie?”

„Tak, telefon jest obok oświetlenia.”

„Dziękuję.” Teresa pośpieszyła, mając nadzieję, że to Carol, choć bardziej prawdopodobne było, że to Richard. Carol jeszcze tutaj do niej nie dzwoniła.

„Hallo, tu Abby.”

„Abby? Skąd pani wie, gdzie jestem?”



„Sama mi pani o tym powiedziała - nie pamięta pani? Chętnie się z panią zobaczę. Jestem w pobliżu. Czy pani już jadła?”

Umówiły się w „Palermo”, włoskiej restauracji oddalonej od teatru o kilka budynków.

Teresa pogwizdywała idąc; była tak szczęśliwa, jakby miała spotkać się z Carol.

Podłoga w restauracji wysypana była wiórami a na balustradzie przy barze bawiły się dwa czarne koty. Abby siedziała przy stoliku w głębi sali.

„Hallo”, powiedziała, kiedy Teresa do niej podeszła. „Wygląda pani na zadowoloną. Prawie pani nie poznałam. Wypije pani drinka?”

Teresa pokręciła głową. „Nie, dziękuję.”

„Czy to znaczy, że i bez drinka jest pani szczęśliwa?” zapytała rozbawiona Abby i wcale nie zabrzmiało to przykro.

Teresa sięgnęła po papierosa, którego jej zaproponowała. Abby wie o wszystkim, pomyślała. Teresa była ostrożna. Może Abby też była zakochana w Carol.

Powodowało to cichą rywalizację, która ją w szczególny sposób rozweselała, dając poczucie wyższości nad Abby - uczucie, którego Teresa dotąd nie знаła, o którym nawet nie odważyła się śnić, uczucie samo w sobie rewolucyjne. I tak oto ten wspólny obiad stał się dla niej prawie tak ważny jak spotkanie z Carol.

„Co słyhać u Carol?”, zapytała Teresa. Nie widziała jej od trzech dni.

Abby obserwowała ją. „Bardzo dobrze”, odrzekła.

Przyszedł kelner i Abby zapytała go, czy może polecić małże i medaliony z cielęciny.

„Są wspaniałe, madame!” Patrzył na nią rozpromieniony, jak na jakiegoś wyjątkowego gościa.

Leżało to w sposobie bycia Abby, jej rozświetlonej twarzy, jakby dzień dzisiejszy - a właściwie każdy dzień - był dla niej świętem. Spodobało się to Teresie.

Podziwiała niebiesko-czerwony kostium Abby, guziki przy mankietach, zakręcone „Gs”, jak srebrny filigran. Abby pytała o jej pracę w Black Cat. Teresa uważała ją za długotrwałą i nudną, lecz Abby była zachwycona. Jest zachwycona, ponieważ sama nic nie robi, pomyślała Teresa.

„Znam kilku ludzi, którzy parają się reżyserią”, powiedziała Abby. „W każdej chwili mogę szepnąć im słówko o pani.”

„Bardzo dziękuję.” Teresa bawiła się przykrywką od dużej czarki z tartym serem, która stała przed nią. „Czy zna pani kogoś o nazwisku Andronich? Chyba pochodzi z Filadelfii.”

„Nie”, rzekła Abby.

Pan Donohue powiedział jej, że powinna w następnym tygodniu odszukać Andronicha tu, w Nowym Jorku. Robi próby pewnej sztuki, która na wiosnę ma iść w Filadelfii, a potem na Broadwayu.

„Niech pani skosztuje małży.” Abby jadła z apetytem. „Carol też je lubi.”

„Od dawna zna pani Carol?”

„Hm, tak.” Abby skinęła głową i spojrzała na nią swymi lśnącymi, mądrymi oczyma, które niczego nie zdradzały.

„I oczywiście zna pani także jej męża.”

Abby znów skinęła głową i milczała dalej z uporem.

Teresa aż się uśmiechnęła. Abby miała zamiar wypytywać ją, nie mówiąc przy tym ani słowa o sobie czy o Carol.

„Może łyk wina? Lubi pani Chianti?” Abby strzeliła palcami. „Proszę podać nam butelkę Chianti”, poprosiła śpieszącego ku niej kelnera. „Ale dobrego. Pomaga na krążenie”, dodała odwracając się do Teresy.

Przyniesiono danie główne. Dwóch kelnerów podawało do stołu, odkorkowali butelkę, nalali wody i przynieśli świeże masło. Z radia w rogu rozbrzmiewało tango. Był to mały odbiornik radiowy, z uszkodzoną przednią częścią, który jednak na skinienie Abby przemienił się w orkiestrę smyczkową, grającą tylko dla niej; nic dziwnego, że Carol ją lubi, pomyślała Teresa. Ona była uzupełnieniem powagi Carol, przypominała o tym, że można się również śmiać.

„Czy pani zawsze żyła sama?” zapytała Abby.

„Tak. Od kiedy skończyłam szkołę.” Teresa upiła trochę wina. „Pani też? Czy mieszka pani ze swoją rodziną?”

„Z rodziną. Ale mam swoją własną część domu.”

„Czy pani pracuje?” odważyła się spytać Teresa.

„Wykonywałam różne prace. Dwie albo trzy. Carol nie opowiadała pani o tym, że miałyśmy kiedyś sklep z meblami? Tuż przed Elisabeth na autostradzie. Skupowałyśmy antyki lub po prostu starocie i odnawiałyśmy je. Nigdy później w swoim życiu nie pracowałam tak ciężko, jak wtedy.” Abby uśmiechnęła się chytrze, jakby ją właśnie w coś wtajemniczała. „Mam też zawód. Jestem entomologiem, niezbyt dobrym, ale wystarczająco, żeby wybrać robactwo ze skrzyń z cytrynami i tym podobne rzeczy. Lilie z Wysp Bahama aż roją się od robaków.”

„No właśnie, słyszy się o tym”, odparła Teresa z uśmiechem.

„Pani mi pewnie nie wierzy, co?”

„Ależ tak. Pracuje pani jeszcze w swoim zawodzie?”

„Jestem w rezerwie. Na złe czasy. Na przykład na Wielkanoc.”

Teresa patrzyła, jak Abby kroi widelcem swój sznycel na małe kawałki, zanim weźmie je do ust.

„Dużo pani podróżuje z Carol?”

„Czy dużo? Nie, dlaczego?”

„Mogę sobie wyobrazić, że ma pani na nią dobry wpływ. Carol jest taka poważna.”

Teresa chętnie skierowałaby rozmowę na właściwy temat, ale sama nie wiedziała dokładnie, co za temat. Wino płynęło powoli i ciepło w jej żyłach, aż do koniuszków palców.

„Nie zawsze”, dodała Abby, i znowu pod powierzchnią jej słów czaił się ten uśmiech tak, jak za pierwszym razem, gdy Teresa usłyszała jej głos.

Wino uderzyło jej do głowy, obiecując cudowną poezję, muzykę, obiecując prawdę, lecz ona stanęła w pół drogi. Nie przyszło jej do głowy ani jedno pytanie, jakie mogłaby postawić, gdyż wszystkie jej pytania były tak bezpośrednie.

„Jak poznała pani Carol?” zapytała Abby.

„Czy ona pani o tym nie opowiadała?”

„Tylko tyle, że spotkała panią u Frankenberga, kiedy pani tam pracowała.”

„Tak, dokładnie tak było”, potwierdziła Teresa niechętnie, czując przytłumiony gniew.

„Zagadnęła ją pani tak po prostu?” dopytywała się Abby, zapalając papierosa.

„Obsługiwałam ją”, odrzekła Teresa i zamilkła.

Abby czekała - na dokładny opis tego pierwszego spotkania, lecz ani ona, ani nikt inny tego się od niej nie dowie. To należało tylko do niej. Carol na pewno nic nie opowiedziała Abby o tej głupiej kartce z życzeniami świątecznymi.

Nie było to dla niej aż takie ważne, żeby o tym opowiadać.

„Nie powie mi pani, która z was pierwsza się odezwała?”

Teresa musiała się roześmiać. Sięgnęła po papierosa i zapaliła go, wciąż jeszcze się śmiejąc. Nie, Carol nie powiedziała jej nic o kartce z życzeniami i pytanie Abby wydało jej się śmieszne. „Ja”, odpowiedziała Teresa.

„Bardzo ją pani lubi, prawda?” zapytała Abby.

Teresa zastanawiała się, czy zabrzmiało to wrogo. Lecz nie była to wrogość, tylko zazdrość. „Tak.”

„A dlaczego?”

„Dlaczego ją lubię? A dlaczego pani ją lubi?” Oczy Abby wciąż się uśmiechały.

„Znam Carol od kiedy miała cztery lata.” Teresa milczała.

„Pani jest bardzo młoda - zgadza się? Dwadzieścia jeden?”

„Nie. Jeszcze nie.”

„Pani wie, że Carol ma właśnie teraz dużo kłopotów, prawda?”

„Tak.”

„I że jest teraz bardzo samotna”, dodała Abby, a jej oczy obserwowały Terese.

„Sądzi pani, że dlatego się ze mną spotyka?” zapytała spokojnie Teresa. „Czy chce pani przez to powiedzieć, że nie powinnam się z nią tak często widywać?”

Niewinne oczy Abby błysnęły.

„Nie, wcale nie; nie chciałabym sprawić pani bólu, ale też nie chciałabym, żeby pani sprawiała ból Carol.”

„Nie sprawiłabym Carol bólu”, powiedziała Teresa. „Czy myśli pani, że mogłabym?”

Abby obserwowała ją wciąż uważnie, nie odwracała od niej wzroku. „Nie, nie sądzę”, rzekła, tak jakby dopiero teraz doszła do takiego wniosku. I uśmiechnęła się, jakby jej się coś szczególnie spodobało. Ale Teresie nie podobało się ani spojrzenie, ani pytanie, a ponieważ zdawała sobie sprawę, że jej twarz odzwierciedla prawdziwe uczucia, ukryła wzrok w filiżance z gorącym zabaglione.

„Miałaby pani ochotę pójść ze mną dzisiaj wieczorem na cocktail-party, Tereso? Tak koło szóstej. Nie wiem wprawdzie, czy będą tam jacyś scenografowie, ale gospodynią jest aktorka.”

Teresa zgasła papierosa. „Czy Carol też przyjdzie?”

„Nie, nie zaproszono wielu ludzi, ale zobaczy pani, wszyscy są bardzo na luzie.”

„Dziękuję bardzo, ale lepiej nie. Prawdopodobnie dziś późno skończymy pracę.”

„No, w każdym razie chciałam zostawić pani adres, ale jeśli pani już teraz wie...”

„Tak”, odrzekła Teresa.

Po wyjściu z restauracji Abby miała jeszcze ochotę na mały spacer. Teresa zgodziła się, chociaż miała jej już dosyć. Abby z tą swoją pewnością siebie, tymi bezpośrednimi, beztruskimi pytaniami miała nad nią przewagę. A do tego jeszcze nie pozwoliła, żeby Teresa zapłaciła rachunek.

„Carol ma o pani bardzo dobre zdanie”, powiedziała Abby. „Uważa, że ma pani duży talent.”

„Naprawdę?” zapytała Teresa sceptycznie. „Nigdy mi tego nie mówiła.” Chciała iść szybciej, lecz Abby na to nie pozwoliła.

„Przecież musi pani wiedzieć, że panią ceni, jeśli chce z panią wyjechać.”

Teresa spojrzała szybko na Abby i zobaczyła, że ona uśmiecha się zupełnie bez

gniewu. „Także o tym nic mi nie mówiła”, odrzekła Teresa, chociaż jej serce zaczęło mocniej bić.

„Jeszcze powie. Pani z pewnością z nią pojedzie, prawda?”

Dlaczego Abby o tym wiedziała, a ona jeszcze nie, zastanawiała się Teresa, czując, że robi się czerwona ze złości. Co to wszystko ma znaczyć? Czy nienawidziła Abby? Dlaczego więc była taka niekonsekwentna? Po chwili złość jej przeszła, pozostawiając ją słabą, zranioną i bezbronną. Gdyby Abby przycisnęła ją teraz do ściany, mówiąc: „Jazda! Czego pani chce od Carol? Ile chce mi z niej pani odebrać?” wyjąkałaby wszystko, powiedziałyby. „Tak, chcę z nią być, i co to wszystko panią obchodzi, cóż ma to z panią wspólnego?”

„Czy to nie Carol powinna o tym ze mną porozmawiać? Dlaczego pani pyta mnie o to wszystko?” Teresa usiłowała mówić to obojętnym tonem, na próżno.

Abby przystanąła. „Przykro mi”, powiedziała i odwróciła się do niej. „Myślę, że teraz lepiej to rozumiem.”

„Rozumie pani - co?”

„Właśnie to - że pani zwycięży.”

„Zwyciężę? W czym?”

„Tak, w czym?”, powtórzyła Abby i spojrzała w górę, na róg bloku i na niebo, a Teresa poczuła nagle wściekłe zniecierpliwienie.

Chciała, żeby Abby sobie poszła, mogłaby wtedy zatelefonować do Carol. Teraz wszystko zależało od dźwięku głosu Carol. Tylko od Carol wszystko zależało.

Jakże mogła była zapomnieć o tym chociaż na jedną chwilę? „Nic dziwnego, że Carol tak panią ceni”, powiedziała Abby. Ale nawet jeśli ta uwaga miała być przyjazna - Teresa nie potrafiła jej tak odebrać. „A więc do zobaczenia, Tereso, na pewno jeszcze się spotkamy.” Abby wyciągnęła do niej rękę.

Teresa uściśnęła ją. „Do widzenia”, powiedziała. Patrzyła za Abby, jak szła teraz szybkim krokiem z wysoko uniesioną kędzierzawą głową w kierunku Washington Square.

Teresa pobiegła do sklepu na rogu ulicy i zatelefonowała do Carol. Najpierw zgłosiła się służąca, potem Carol.

„Co się stało?” zapytała Carol. „Ma pani smutny głos!”

„Nic, to tylko praca jest taka jałowa.”

„Ma pani już jakieś plany na dzisiejszy wieczór? Chciałaby pani gdzieś się wybrać?”

Teresa wyszła ze sklepu uśmiechnięta. Carol przyjedzie po nią o wpół do szóstej.

Upierała się przy tym, że po nią przyjedzie, gdyż jazda do niej pociągiem jest okropna.

Na przeciwległej stronie ulicy zobaczyła Danniego McElroya, jak idzie bez płaszcza, z

pustą butelką po mleku w ręce.

„Dannie!” krzyknęła.

Dannie odwrócił się i skierował w jej stronę. „Chodź do mnie na chwilę”, zawołał głośno.

Teresa już miała odmówić, jednak, kiedy stanął obok, wzięła go pod rękę. „Na minutę. Już i tak przeciągnęłam swoją przerwę obiadową.”

Dannie uśmiechnął się do niej. „A która to godzina? Zakuwałem tak, aż wszystko rozmyło mi się przed oczyma.”

„Już po drugiej.” Czuła, jak ramię Danniego napina się przed zimnem. Pod ciemnymi włosami na jego przedramieniu utworzyła się gęsia skórka. „Chyba zwariowałeś, żeby wychodzić bez płaszcza”, powiedziała.

„W ten sposób trochę się orzeźwię.” Otworzył żelazną bramę, prowadzącą do drzwi jego mieszkania. „Phil jest gdzieś w mieście.”

W pokoju unosił się zapach fajki, podobny do zapachu przegotowanej, gorącej czekolady. Mieszkanie mieściło się w suterenie i ogólnie było dosyć ponure. Jedyne lampy rzucały ciepły krąg światła na biurko, wyładowane jak zwykle po brzegi. Teresa spojrzała na pootwierane książki, strona po stronie wypełnione symbolami, których nie rozumiała, ale chętnie się im przyglądała. Wszystko, co oznaczały, było prawdziwe i dowiedzione. Znaki były bardziej zdecydowane i mocniejsze od słów. Czuła, jak umysł Danniego podążał po nich coraz wyżej, od jednego faktu do następnego, tak jakby przesuwiał się dłoń za dłonią po mocnym łańcuchu zawieszonym w kosmosie. Obserwowała go, jak przygotowywał kanapkę w kuchni. Jego ramiona wydawały się bardzo szerokie i muskularne pod białą koszulą, wznosiły się i opadały, kiedy na wielką kromkę razowca nakładał plasterki salami i sera.

„Powinnaś częściej przychodzić, Tereso. Jedyne w środę nie ma mnie w porze obiadowej w domu. Nie będziemy przeszkadzać Philowi, jak będziemy jeść, nawet jeśli będzie jeszcze spał.”

„Chętnie”, odpowiedziała Teresa. Usiadła na obrotowym krześle. Była tutaj raz na obiedzie i raz po pracy. Lubiła odwiedzać Danniego. Z nim nie trzeba uprawiać konwersacji. Tapczan Phila w rogu pokoju był nie zaścielony - kłębowisko prześcieradeł i kołder. Dwa razy, jak tutaj była, łóżko Phila albo nie było zaścielone, albo on jeszcze w nim leżał. Długa biblioteczka, która stała po prawej stronie przed łóżkiem, odgradzała kąć Phila od reszty pokoju. Panował w nim jakiś desperacki i nerwowy bałagan, zupełnie inny niż umotywowany pracą nieporządek na biurku Danniego.

Puszka piwa zasyczała w rękach Danniego. Oparł się o ścianę z piwem i kanapką w

ręce, ciesząc się w widoczny sposób z tego, że tu była. „Pamiętasz, jak wyraziłaś się o fizyce, że nie można jej zastosować do ludzi?”

„Hm, tak, mniej więcej.”

„Nie jestem pewien, czy masz rację”, powiedział, gryząc chleb. „Weź na przykład przyjaźnie. Mogę wyobrazić sobie wiele przypadków, w których dwoje ludzi nie ma ze sobą nic wspólnego. Myślę, że dla każdej przyjaźni istnieje konkretna przyczyna, tak samo jak istnieje konkretna przyczyna, że określone atomy łączą się ze sobą, a inne nie - pewne brakujące właściwości w jednym albo określone właściwości istniejące w drugim - co o tym sądzisz? Myślę, że przyjaźnie są wynikiem pewnych potrzeb, jakie dla obu stron mogą pozostać całkowicie ukryte, czasami nawet na zawsze.”

„Być może. Takie przypadki i mnie się zdarzały.” Richard i ona, na przykład.

Richard dobrze radził sobie z ludźmi, forsował swoją drogę przez świat w taki sposób, w jaki ona nie umiałaby tego robić. Zawsze pociągali ją ludzie, którzy byli tak pewni siebie jak Richard. „A na czym polega twoja słabość, Dannie?”

„Moja?” Wyszczrzył zęby. „Chcesz być moją przyjaciółką?”

„Tak, ale jesteś jednym z najsilniejszych ludzi, jakich znam.”

„Naprawdę? Mam ci wyliczyć moje braki?”

Roześmiała się. Młody, dwudziestopięcioletni mężczyzna, który znał swój cel już jak miał czternaście lat. Całą swoją energię koncentrował na jednej sprawie; dokładnie odwrotnie niż Richard.

„Mam sekretną i głęboko skrytą potrzebę posiadania kucharki”, powiedział Dannie, „i nauczycielki tańca, a także kogoś, kto przypominałby mi o takich drobnostkach, jak pranie bielizny albo o tym, że powinienem pójść do fryzjera obciąć włosy.”

„Ja też zawsze zapominam o praniu.”

„Ach”, odrzekł smutno. „To nic z tego. A już miałem nadzieję. Myślałem, że czuję coś jakby zrządenie losu. Bo wiesz, to, co powiedziałem o podobieństwie atomów, odnosi się też do przyjaźni - aż po przypadkowe spojrzenie na kogoś na ulicy - zawsze jest jakaś ściśle określona przyczyna. Myślę, że nawet poeci zgodziliby się ze mną.”

Uśmiechnęła się. „Nawet poeci?” Pomyślała o Carol, a potem o Abby i ich rozmowie przy obiedzie, która znaczyła dużo więcej niż tylko samo spojrzenie, ale też dużo mniej, oraz o różnych uczuciach, jakie w niej wywołała.

Zdeprymowało ją to. „Ale przecież trzeba też uwzględnić różne odchylenia u ludzi, to, czego nie sposób zrymować.”

„Odchylenia? To tylko wymówka. Coś takiego mówią poeci.”

„Myślałam, że raczej psychologowie”, powiedziała Teresa.

„Uważam, że uwzględnianie pewnych rzeczy - to tylko pusta fraza. Życie jest ścisłą nauką z własnymi prawami. Należy je tylko odkryć i dokładnie zdefiniować. Czego nie możesz sobie zrymować?”

„Ach, niczego. Tak tylko o czymś sobie pomyślałam, nic ważnego.” Znowu ogarnęła ją nagła złość, tak jak podczas spaceru po obiedzie.

„A więc co?” upierał się Dannie, marszcząc czoło.

„Na przykład ten obiad” powiedziała.

„Z kim?”

„To bez znaczenia. Inaczej już bym o tym opowiedziała. Straciłam coś, tak jak gdy się coś zgubi. Ale być może jest to coś, czego i tak wcale nie ma.” Chciała lubić Abby, ponieważ Carol ją lubiła.

„Chyba, że w twojej wyobraźni? Tam też można coś zgubić.”

„Tak - ale są ludzie, albo rzeczy tworzone przez ludzi, z których dla siebie nie możesz nic wydobyć, gdyż nie dochodzi do żadnego kontaktu.” Wolałyby rozmawiać o czymś innym, a nie o tym wszystkim. Nie o Abby i Carol, ale o tym, co było wcześniej. O tym, z czego wynikała doskonała zależność i sens.

Kochała Carol. Oparła czoło na rękę.

Dannie patrzył na nią przez chwilę, potem oderwał się od ściany, odwrócił w stronę pieca i wyjął z torby pudełko zapalek, a Teresa czuła, że ta rozmowa będzie się tak ciągnęła i ciągnęła bez końca, obojętnie, co by mówili. Miała także wrażenie, że Dannie potrafiłby, podczas gdy ona powtarzała każde słowo, jakie padło między nią i Abby, jednym stwierdzeniem zniszczyć wszystkie wymówki, tak jakby rozpylił w powietrzu jakieś chemikalia, które w oka mgnieniu rozpuściłyby mgłę. A może istniało jednak coś, czego nie obejmowała logika? Coś nielogicznego, skrytego w tym, co mówiła Abby, za zazdrością, niedowierzaniem i wrogością, coś, co określało właściwą Abby? „Nie wszystko jest takie proste, jak kombinacja różnych właściwości”, powiedziała Teresa.

„Pewne właściwości nie reagują ze sobą. Ale wszystko jest żywe.” Zwrócił się ku niej z szerokim uśmiechem na twarzy, jakby myślał właśnie o czymś innym.

Trzymał wysoko zapalną, która wciąż się jeszcze paliła. „Tak jak ta zapalnia. Nie mówię o zjawisku fizycznym, nie o niezniszczalności dymu. Jestem dziś naprawdę poetycko usposobiony.”

„W odniesieniu do zapalnika?”

„Wydaje mi się, że ona rośnie jak roślina, nigdy nie przemija. Wszystko na świecie



czasami musi mieć dla poety cechy rośliny. Nawet stół i moje własne ciało.” Dotknął ręką brzegu stołu. „To przypomina mi uczucie, którego kiedyś doznałem, gdy jechałem na koniu na wzgórze. Było to w Pensylwanii. Nie umiałem wtedy dobrze jeździć konno i jeszcze dziś mam przed oczami obraz, jak koń odwraca głowę, widzi wzgórze i decyduje się na nie wspiąć; jego tylne nogi zaparły się głęboko i nagle popędziliśmy jak błyskawica. Wcale się nie bałem, czułem się całkowicie złączony z koniem i przyrodą, jakbyśmy byli jednym drzewem, którego gałęziami porusza wiatr. Pamiętam też, że byłem wtedy pewien, że nic nie może mi się stać. I to napawało mnie wielkim szczęściem. Myślałem o tych wszystkich ludziach, którzy zawsze czują strach i chowają różne skarby i myślałem, że jeśli każdy na świecie uświadomiłby sobie to, co ja czułem, wspinając się na koniu na wzgórze, doszłaby wtedy do skutku gospodarcza forma życia, w zwyczajach, jak i w spożyciu. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?” Dannie zacisnął dłoń w pięść, ale jego oczy błyszczały, jakby śmiał się sam z siebie. „Miałaś kiedyś taki sweter, który szczególnie lubiłaś, który całkiem znosiłaś i w końcu wyrzuciłaś?”

Teresa przypomniała sobie zielone wełniane rękawiczki od siostry Alicji, których ani nie nosiła, ani ich nie wyrzuciła. „Tak”, powiedziała.

„No, to wiesz już, o co mi chodzi. I jeszcze te owieczki, które nie wiedzą, ile wełny straciły przy stryżeniu, bo im przecież odrosła. To wszystko jest bardzo proste.” Odwrócił się znowu w stronę kawy, którą podgrzewał i która się właśnie zagotowała.

„Tak.” Zrozumiała, co miał na myśli. Jak Richard i latawiec. Mógł przecież zrobić nowy. Gdy pomyślała teraz znowu o Abby, ogarnęło ją uczucie pustki, jakby obiad z nią został całkowicie wymazany. Jakby jej świadomość przepelniła się i rozplynęła w pustej przestrzeni. Wstała.

Dannie podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach, i choć czuła, że był to tylko gest, gest zamiast słów, czar prysnął. Czuła się nieswojo pod jego dotykiem i to niemile uczucie było całkiem konkretne. „Muszę wracać”, powiedziała. „Jestem już bardzo spóźniona.”

Jego ręce przesunęły się w dół po jej ramionach, przyciskając mocno łokcie do klatki piersiowej i nagle pocałował ją, gwałtownie przyciskając usta do jej ust, czuła przez chwilę jego ciepły oddech na dolnej wardze, zanim ją puścił.

„Tak”, powiedział i spojrzał na nią.

„Dlaczego to...” Przerwała jednak, bo pocałunek był tak czuły i niedelikatny jednocześnie, że nie wiedziała, jak ma zareagować.

„Ależ, Terry”, powiedział, odwracając się od niej z uśmiechem. „Masz mi to za złe?”

„Nie”, odrzekła.

„Czy Richard byłby zły?”

„Myślę, że tak.” Zapięła płaszcz. „Muszę iść”, powiedziała i odwróciła się do drzwi. Dannie przytrzymał jej drzwi, uśmiechając się w ten swój cichy sposób, jakby nic się nie stało. „Przydziesz jutro? Wpadnij na obiad.”

„Jutro jest sobota i nie pracuję.”

„Nie moglibyśmy zjeść razem?”

Pokręciła głową. „Nie sądzę.”

„Dobra, no to przyjdź w poniedziałek.”

„Tak, dobrze.” Uśmiechnęła się również i bezwiednie wyciągnęła do niego rękę, którą Dannie potrząsnął uprzejmie i tylko jeden raz.

Biegła wzdłuż obu budynków do teatru. Trochę jak ten koń, pomyślała. Ale za mało, za mało, żeby być doskonałą, bo to właśnie miał na myśli Dannie, doskonałość.

„Rozrywka dla leniwych”, powiedziała Carol i wyciągnęła nogi siadając na bujanym fotelu. „Już pora, żeby Abby znalazła sobie znowu jakąś pracę.”

Teresa nie odezwała się. Nie opowiedziała Carol całej rozmowy przy obiedzie, ale nie chciała też dłużej rozmawiać o Abby.

„Nie chce pani usiąść wygodniej?”

„Nie.” Teresa siedziała na skórzanej pufie obok bujanego fotela. Właśnie skończyły kolację i weszły na górę, do pomieszczenia, w którym Teresa jeszcze nigdy nie była: oszklonej werandy obok zielonego pokoju.

„Co jeszcze Abby takiego powiedziała, co panią zmartwiło?” zapytała Carol, patrząc prosto przed siebie i na swoje długie nogi w ciemnoniebieskich spodniach.

Carol wyglądała na zmęczoną. Ma inne, ważniejsze problemy, pomyślała Teresa.

„Nic. Czy ja panią tym denerwuję, Carol?”

„Czy pani mnie denerwuje?”

„Jest pani dla mnie inna dziś wieczorem.”

Carol obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. „Tak się pani tylko zdaje”, powiedziała, ale wesoły dźwięk w jej głosie zamarł.

To, co napisałam ostatniej nocy, myślała Teresa, nie ma nic wspólnego z Carol, nie jest dla niej.

«Czuję, że jestem zakochana w tobie i dlatego niech się stanie wiosna. Chciałabym, żeby promienie słońca uderzały w moją głowę niczym akordy muzyczne. Myślę o słońcu, które jest jak Beethoven, o wietrze jak Debussy i krzykach ptaków jak Strawinsky. Ale tempo nadaję ja sama.»

„Myślę, że Abby mnie nie lubi”, zauważyła Teresa. „I myślę, że nie podoba jej się to, że się spotykamy.”

„To nieprawda. Pani to sobie tylko wmawia.”

„Co nie znaczy, że ona tak powiedziała.”

Teresa starała się, aby jej głos był tak samo spokojny jak Carol.

„Była bardzo miła. Zaprosiła mnie na cocktail-party.”

„Do kogo?”

„Nie wiem. Mówiła, że gdzieś w pobliżu centrum. Powiedziała, że pani nie będzie, dlatego nie miałam szczególnej ochoty tam pójść.”

„Gdzie dokładnie?”

„Tego mi nie powiedziała. Tylko tyle, że gospodynią jest aktorka.”

Carol odłożyła z brzękiem zapalniczkę na szklany stół i Teresa czuła, że jest niezadowolona.

„A więc jednak” zamruczała Carol. „Niech pani przy mnie usiądzie, Tereso.”

Teresa podniosła się i usiadła w nogach bujaka.

„Proszę nie wierzyć w to, że Abby pani nie lubi. Znam ją wystarczająco dobrze, żeby to wiedzieć.”

„Więc dobrze”, powiedziała Teresa.

„Ale Abby ma czasami taki niewiarygodnie niezręczny sposób wysławiania się.”

Teresa nie chciała dłużej o tym myśleć. Carol była wciąż tak daleko, nawet jeśli do niej mówiła i na nią patrzyła. Wiązka światła padała z zielonego pokoju na głowę Carol, ale jej twarz pozostawała w cieniu. Carol szturchnęła ją stopą. „Wstawać, wstawać.”

Ale Teresa zareagowała zbyt wolno, tak że Carol przerzuciła swoje nogi ponad jej głowę i wyprostowała się w fotelu. Teresa usłyszała kroki w przyległym pokoju; służąca przyniosła tacę z kawą, a podłoga werandy zadrżała pod jej zwinnymi, służalczymi krokami.

„Śmietanka jest w środku, madame”, powiedziała okrągłutka istota w szarobiałym stroju, którą Teresa uważała ciągle za Irlandkę, i wskazała na dzbanuszek, nie pasujący wcale do serwisu. Florence spojrzała błyszczącymi, okrągłymi oczami z przyjaznym uśmiechem na Teresę. Miała koło pięćdziesiątki i pod sztywnym białym czepkiem nosiła włosy związane w węzeł na karku. Teresa nie potrafiła jej prawidłowo umiejscowić, nie wiedziała po czyjej jest stronie.

Dwukrotnie wymieniła przy niej nazwisko pana Aird i wydawało się, że jest mu bardzo oddana. Ale Teresa nie umiała powiedzieć czy należało to do jej obowiązków zawodowych, czy było prawdziwe.

„Czy jeszcze coś, madame?” zapytała Florence. „Pogasić wszędzie światła?”

„Nie, dziękuję. Sama to zrobię. Nic więcej nam nie potrzeba, Florence, dziękuję. Czy dzwonił pan Riordan?”

„Jeszcze nie, madame.”

„Gdyby dzwonił, proszę mu powiedzieć, że nie ma mnie w domu.”

„Tak, madame.” Florence zawahała się. „Mogę zapytać, czy przeczytała już pani tę wspaniałą nową książkę, madame? Tę o Alpach?”

„Proszę ją sobie wziąć z mojego pokoju, Florence, jeśli pani chce. Myślę, że nie przeczytam jej do końca.”

„Bardzo dziękuję, madame. Dobranoc, madame. Dobranoc, panienko.”

„Dobranoc” odpowiedziała Carol.

Kiedy Carol nalewała kawę, Teresa zapytała: „Czy pani już wie, kiedy wyjeżdża?”

„Tak, mniej więcej za tydzień.” Carol podała jej filiżankę kawy ze śmietanką. Dlaczego pani pyta?

„Tylko dlatego, że będzie mi pani brakowało, oczywiście.”

Carol zastygła na chwilę w bezruchu, po czym sięgnęła po papierosa, ostatniego, i zgmiotła paczkę. „Właściwie to miałam zamiar zapytać panią, czy nie chciałaby pani może pojechać ze mną? Co pani o tym myśli? Tak na około trzy tygodnie.”

No i załatwione, pomyślała Teresa i dodała jakby od niechcienia, jakby proponowała jej wspólny spacer. „Pani rozmawiała o tym z Abby, prawda?”

„Tak”, powiedziała Carol. „Czemu?”

Czemu? Teresa nie znalazła słów, żeby powiedzieć, dlaczego ją to tak zraniło.

„Wydaje mi się to dosyć dziwne, że powiedziała jej pani o tym, jeszcze zanim mnie pani o tym wspomniała.”

„Nie mówiłam jej o tym. Powiedziałam tylko, że chyba panią zapytam.” Carol podeszła do Teresy i położyła jej ręce na ramionach. „Widzi pani, nie ma powodu, żeby czuła pani niechęć do Abby - chyba że powiedziała przy obiedzie coś jeszcze, o czym mi pani dotąd nie mówiła.”

„Nie”, odrzekła Teresa. Nie, ale chodziło o to, co nie zostało powiedziane; to było jeszcze gorsze. Czuła, że Carol cofnęła swoje ręce z jej ramion.

„Abby jest moją starą przyjaciółką”, powiedziała. „Rozmawiam z nią o wszystkim.”

„Tak”, powiedziała Teresa.

„A więc, chce pani ze mną pojechać?”

Carol odwróciła się od niej i nagle nie miało to dla Teresy już żadnego znaczenia, ponieważ Carol powiedziała to w taki sposób, jakby było jej zupełnie obojętne, co zdecyduje. „Bardzo dziękuję, ale myślę, że akurat teraz nie mogę sobie na to pozwolić.”

„Nie będzie pani potrzebować dużo pieniędzy. Pojechałybyśmy samochodem. Ale jeśli akurat teraz otrzymałaby pani ofertę pracy, to zupełnie coś innego.”

Przecież odrzuciłaby nawet propozycję współpracy, żeby tylko móc z Carol wyjechać - podróżować z nią po kraju, którego nigdy przedtem nie widziała, przez rzeki i góry, nie wiedząc, gdzie będą, kiedy nastanie noc. Carol zdawała sobie z tego sprawę i wiedziała też, że musiała odmówić, kiedy zapytała ją o to w ten sposób. Teresa była nagle pewna, że Carol kpi sobie z niej i to dotknęło ją bardziej niż kłamstwo. Jej konsternacja ustąpiła miejsca decyzji,

że już nigdy więcej się z nią nie spotka. Spojrzała szybko na Carol, oczekującą odpowiedzi - z szyderczym wyrazem twarzy, który tylko częściowo skrywał się pod maską obojętnej miny, wyrazem, który, o czym Teresa doskonale wiedziała, wcale się nie zmieni, jeśli da odmowną odpowiedź. Teresa wstała i podeszła do stołu, żeby wziąć sobie z pudełka papierosa, ale nie było tam już nic oprócz kilku igieł gramofonowych i jednej fotografii.

„Co to?” zapytała Carol, która ją dokładnie obserwowała.

Teresa odniosła wrażenie, że Carol potrafi odczytać wszystkie jej myśli. „Zdjęcie Rindy” odrzekła.

„Rindy? Niech pani pokaże.”

Teresa obserwowała minę Carol, gdy oglądała zdjęcie małej dziewczynki o jasnoblonde włosach i poważnej twarzy, z białym bandażem na kolanie. Zdjęcie przedstawiało Harge'a stojącego w kajaku i Rindy, jak rzucała się w jego ramiona z pomostu dla wędkarzy.

„To niezbyt udane zdjęcie”, powiedziała Carol, ale jej twarz zmieniła się, złagodniała. „To było jakieś trzy lata temu. Chce pani papierosa? Rindy będzie przez następne trzy miesiące u Harge'a.”

Teresa domyśliła się tego z rozmowy z Abby w kuchni tamtego ranka. „Czy to też jest w New Jersey?”

„Tak. Rodzina Harge'a mieszka w New Jersey. Mają duży dom.” Carol jękała się. „Rozwód dostaniemy gdzieś za miesiąc, jak myślę, i od kwietnia będę miała Rindy na resztę roku.”

„Ach, tak. Ale będzie ją pani przecież widywać także przedtem, prawda?”

„Kilka razy. Prawdopodobnie niezbyt często.”

Teresa patrzyła na rękę Carol ze zdjęciem leżącą niedbale obok niej na bujaku.

„Czy ona nie będzie za panią tęsknić?”

„Zapewne, ale kocha też bardzo swego ojca.”

„Bardziej niż panią?”

„Nie. Naprawdę nie. Ale on kupił jej do zabawy kózkę. Po drodze do biura odwozi ją do szkoły i odbiera ją stamtąd o czwartej. Zaniebuje z jej powodu swoją pracę. Czegóż więcej można wymagać od mężczyzny?”

„Nie widziała jej pani w czasie świąt, prawda?”

„Nie, ponieważ zaszło coś w biurze adwokata. Adwokat Harge'a chciał spotkać się z nami tego popołudnia i Harge przyszedł z Rindy. Rindy powiedziała, że chce spędzić święta w domu Harge'a. Nie wiedziała, że mnie tam nie będzie. Na trawniku przed domem rośnie tam wielkie drzewo, które zawsze przystrajają, i Rindy cieszyła się na to. Mniejsza z tym, w

każdym razie zrobiło to na adwokacie pewne wrażenie, rozumie pani, że dziecko chce być na święta ze swoim ojcem. A ja oczywiście nie chciałam akurat przy tej okazji powiedzieć Rindy, że mnie tam nie będzie, bo byłaby bardzo rozczarowana. I tak nie mogłabym powiedzieć tego w obecności adwokata. Wystarczą już intrygi Harge'a."

Teresa stała rozgniatając nie zapalonego papierosa w palcach. Głos Carol był spokojny, taki jak Abby, pomyślała Teresa. Carol jeszcze nigdy nie opowiadała jej tyle o sobie. „Ale adwokat to zrozumiał?”

Carol wzruszyła ramionami. „To adwokat Harge'a - nie mój. Tak więc zgodziłam się na trzymiesięczną próbę, bo nie chcę, żeby dziecko było popychane od jednego do drugiego. Jeśli będę ją mogła mieć przez dziewięć miesięcy, a Harge przez trzy, to równie dobrze można to od razu wprowadzić.”

„Nie będzie jej też pani odwiedzała?”

Carol zwlekała tak długo z odpowiedzią, że Teresa już pomyślała, że jej nie udzieli. „Niezbyt często. Rodzina nie jest zbyt serdeczna. Telefonuję codziennie do Rindy. Czasami ona dzwoni do mnie.”

„Dlaczego rodzina jest mało serdeczna?”

„Oni nigdy mnie całkowicie nie zaakceptowali. Narzekają, od kiedy poznaliśmy się z Hargem na święcie debutantek. Krytykowanie leży w ich naturze. Czasami zastanawiam się, któż mógłby ich zadowolić.”

„Co oni w pani krytykują?”

„To, że miałam sklep z meblami, na przykład. Ale to trwało tylko rok. Potem, że nie gram w brydża, a w każdym razie niechętnie. Wyszukują sobie śmieszne powody, nadzwyczaj powierzchowne.”

„To straszne.”

„Oni nie są straszni. Oczekują tylko, że się im we wszystkim podporządkuję. Wiem, czego by chcieli: niezapisanej kartki. Osoba, która jest już «zapisana», okropnie im przeszkadza. Może włączymy trochę muzyki? Lubi pani słuchać radia?”

„Czasami.”

Carol oparła się o parapet. „Teraz Rindy może codziennie oglądać telewizję. Hopalong Cassidy. Najchętniej pojechałaby na zachód. To była ostatnia lalka, jaką dla niej kupiłam, Tereso. Zrobiłam to tylko dlatego, bo mówiła, że chciałaby taką. Ale ona jest już za duża na lalki.”

Z tyłu za Carol zajaśniał na niebie promień światła z lotniska i zaraz znikł.

Wydawało się, że głos Carol dźwięczy jeszcze w ciemnościach. Po jego pełniejszym,

szczęśliwszym tonie Teresa mogła poznać, jak wielka była jej miłość do Rindy, którą kochała bardziej niż kogokolwiek innego. „Harge nie ułatwia pani spotkań z nią, prawda?”

„Przecież pani wie”, powiedziała Carol.

„Nie mogę pojąć, że był w pani tak bardzo zakochany.”

„To nie miłość, to coś przymusowego. Myślę, że chciał nade mną panować. Wydaje mi się, że mogłabym być jeszcze bardziej niesforna, bylebym zawsze we wszystkim zgadzała się... rozumie mnie pani?”

„Tak.”

„Nigdy nie zrobiłam nic, co mogłoby go towarzysko skompromitować, a to jest wszystko, na czym mu zależy. Jest tam taka jedna kobieta w klubie, z nią powinien być się ożenić. Jej życie sprowadza się jedynie do wydawania wybornych przyjęć i bycia wynoszona z najlepszych barów nogami do przodu. Pomogła firmie reklamowej swego męża w osiągnięciu wielkiego sukcesu, więc on akceptuje wszystkie jej małe błędy z uśmiechem. Harge nie uśmiechałby się, jeśli miałby prawdziwy powód do pretensji. Myślę, że wyszukał mnie dla siebie tak, jak szuka się dywanu do jadalni, lecz fatalnie się przy tym pomylił. Mam poważne wątpliwości, czy on w ogóle jest zdolny kogoś kochać. On tylko stara się wszystko sobie podporządkować, a wynika to w dużym stopniu z jego ambicji. Powoli staje się to swego rodzaju chorobą, niezdolność do kochania, nie uważa pani?” Patrzyła na Teresę. „Może to wina czasów, w których żyjemy. Jeśli by się chciało, można by wyprowadzić z tego nawet przypadek masowego samobójstwa. Człowiek, który próbuje dotrzymać kroku swoim własnym, niszczycielskim maszynom.”

Teresa nie odezwała się. Wszystko to przypominało jej niezliczone rozmowy z Richardem, w których wojnę i wielki biznes, polowania na czarownice w kongresie i do tego kilku ludzi, których znał, łączył w jeden wielki obraz wroga, którego wspólnym znakiem była nienawiść, jaką się do niego odczuwało.

A teraz jeszcze i Carol! Dotknęło to Teresę najgłębiej, tam, gdzie nie ma już słów, żadnych wygodnych słów jak śmierć, umieranie albo zabijanie. Takie słowa stanowiły w jakiś sposób przyszłość, a to tutaj było terażniejszością. Jakaś niewypowiedziana tęsknota, pragnienie, żeby wiedzieć, wszystko dokładnie wiedzieć, ścisnęło jej gardło, tak że przez długą chwilę czuła, że ledwie oddycha. Czy myślisz, że to się tak zaczyna. Myślisz, że pewnego dnia zginiemy obie gwałtowną śmiercią, nagle zostaniemy wyłączone? Ale i to pytanie nie było wystarczająco kategoryczne. Może było to raczej stwierdzenie: Ale ja nie chcę umierać, nie poznawszy ciebie. Czy myślisz tak samo, Carol? Mogła to ostatnie pytanie postawić głośno, lecz nie była w stanie wypowiedzieć tego wszystkiego, co je poprzedziło.



„Wy jesteście młodą generacją”, powiedziała Carol. „I co macie na ten temat do powiedzenia?” Usiadła ponownie w bujanym fotelu.

„Myślę, że przede wszystkim nie trzeba się bać.”

Teresa odwróciła się do Carol i spojrzała na nią z uśmiechem. „Uśmiecha się pani, bo pani myśli, jak sędzę, że ja się boję.”

„Pani jest taka krucha, taka słaba jak ta zapalka.” Carol przypaliła sobie papierosa i przez chwilę trzymała w palcach palącą się zapalkę. „Lecz w odpowiedniej sytuacji byłaby pani zdolna podpalić dom, prawda?”

„Albo całe miasto.”

„A przecież boi się pani wyjechać ze mną w małą podróż. Boi się pani, bo myśli, że nie ma pani wystarczająco dużo pieniędzy.”

„Nie chodzi o to.”

„Ma pani kilka bardzo dziwnych zasad, Tereso. Zaprosiłam panią w tę podróż, gdyż sprawiłoby mi przyjemność, gdyby pani była ze mną. I, jak sędzę, zrobiłoby to dobrze i pani, i pani pracy. Ale nie, pani musi wszystko zepsuć - tylko przez tę głupią dumę z powodu pieniędzy. Bez umiaru - jak z tą torebką, którą mi pani podarowała. Dlaczego nie odda jej pani do sklepu, jeśli potrzebuje pani pieniędzy? Mnie ta torebka jest niepotrzebna. Myślę, że sprawiło pani radość, że mi ją pani podarowała. Widzi pani - ze mną jest dokładnie tak samo. Tylko, że w moim przypadku to wszystko ma sens, a w pani nie.” Carol przeszła obok niej i odwróciła się znowu w jej stronę, swobodnie, z nogą wysuniętą do przodu, z podniesioną głową, jasnymi włosami ufrizowanymi niczym u jakiejś rzeźby. „Więc według pani to śmieszne?”

Teresa uśmiechnęła się. „Pieniądze nie mają dla mnie znaczenia”, odrzekła spokojnie.

„Co chce pani przez to powiedzieć?”

„Dokładnie to”, odezwała się Teresa. „Mam dosyć pieniędzy i pojedę z panią.”

Carol patrzyła na nią. Teresa widziała, jak zniechęcenie zniknęło z jej twarzy i Carol uśmiechnęła się zaskoczona, trochę niedowierzająco.

„A więc dobrze”, powiedziała. „Cieszę się.”

Ja też się cieszę.”

„Co spowodowało tę szczęśliwą zmianę?”

Czy ona naprawdę tego nie wie? zastanawiała się Teresa. „Przecież wydaje się to dla pani ważne czy pojedę z nią, czy nie”, powiedziała Teresa po prostu.

„Naturalnie, że to dla mnie ważne. Przecież panią zaprosiłam, czyż nie?” odrzekła Carol, wciąż jeszcze się uśmiechając, ale po chwili odwróciła się i poszła do zielonego

pokoju.

Teresa patrzyła za nią. Szła z rękami w kieszeniach spodni, jej mokasyny stukwały cicho i powoli o podłogę. Patrzyła na pustą framugę drzwi. Carol wyszłaby w ten sam sposób, gdyby powiedziała jej, że nie chce z nią jechać, pomyślała.

Podniosła swoją do połowy opróżnioną filiżankę z kawą, ale zaraz ją znowu odstawiła, wyszła z pokoju i przez korytarz poszła do pokoju Carol. „Co pani robi?”

Carol siedziała pochylona przy swojej toalecie i pisała. „Go robię?” Wstała i schowała kartkę papieru do kieszeni. Teraz naprawdę się uśmiechnęła, nawet oczy jej się śmiały, tak jak wtedy w kuchni z Abby. „Coś bardzo konkretnego. Posłuchajmy trochę muzyki.”

„Dobrze.” Na twarzy Teresy pojawił się uśmiech.

„Nie szykuje się pani jeszcze do spania? Jest już późno - wie pani o tym?”

„Zawsze robi się późno, kiedy jestem razem z panią.”

„Czy to miał być komplement?”

„Nie chce mi się dzisiaj w ogóle iść do łóżka.”

Carol poszła do zielonego pokoju.

„Niech się pani kładzie. Ma pani cienie pod oczami.”

Teresa rozebrała się szybko w pokoju z dwoma łózkami. Gramofon w drugim pokoju grał *Embraceable You*. Potem zadzwonił telefon. Teresa otworzyła górną szufladę komody. Była pusta, leżało w niej jedynie kilka męskich chustek do nosa, stara szczotka do ubrań i jakiś klucz. A w rogu jakieś dokumenty.

Teresa wyjęła kartę oprawioną w przezroczystą folię. Było to stare prawo jazdy Harge'a. Harge Forster Aird. Wiek: 37. Wzrost: 1,82 m. Waga: 82 kg. Włosy: jasne. Oczy: niebieskie. To wszystko już знаła. Oldsmobile z 1950 roku. Kolor: granatowy. Teresa położyła prawo jazdy z powrotem i zasunęła szufladę. Podeszła do drzwi i nadśluchiwała.

„Przykro mi, Tessie, ale coś mi wypadło,” mówiła Carol z zalem, lecz jej głos brzmiał szczęśliwie. „Czy party jest udane?... tak, ale nie jestem ubrana, a poza tym jestem zmęczona.”

Teresa wyjęła papierosa z pudełka na nocnym stoliku, morrisa. Carol je tutaj położyła, nie służąca, gdyż Carol pamiętała, że lubi tę markę. Teresa stała naga i słuchała muzyki. Była to piosenka, której nie znała. „Dobrze, ale nie podoba mi się to”, słyszała jak Carol mówiła pół w złości, pół żartem, „ależ wcale nie.”

*...it's easy to live...when you're in love...*

„Skąd mam wiedzieć, kto tam jest?... Ohoo! A więc to tak?”

Abby. Teresa wiedziała od razu. Wypuściła dym, wachając słodkawy zapach i

pomyślała o pierwszym papierosie, jaki wypaliła w swoim życiu, też morrisie; było to na strychu nad sypialnią, były we cztery i miały jednego papierosa, którego paliły po kolei.

„Tak, jedziemy”, powiedziała Carol z naciskiem. „Tak, jestem. Nie słyhać tego?”

*...For you...maybe I'm a fool but it's fun... People say you rule me with one... wave off your hand... darling, it's grand... they just don't understand...*

Piosenka była dobra, Teresa zamknęła oczy, oparta o uchylone drzwi i nadsluchiwała głosów. W tle cicho pobrzękiwało pianino, wspierane leniwą trąbką.

Carol powiedziała właśnie: „To tylko moja sprawa, nie powinno to nikogo obchodzić... Bzdura!” Teresa aż uśmiechnęła się z powodu jej gwałtowności.

Zamknęła drzwi, gramofon zmienił płytę.

„Nie chce pani porozmawiać z Abby?”

Teresa schowała się za drzwi łazienki, gdyż była naga.

„Po co?”

„Niech pani przyjdzie”, powiedziała Carol, a Teresa szybko narzuciła szlafrok i zeszła na dół.

„Halo” odezwała się Abby, „słyszę, że pani jedzie.”

„Czy to panią zaskoczyło?”

Abby sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę rozmawiać przez całą noc. Życzyła Teresie przyjemnej podróży i rozprawiała długo na temat złego stanu dróg w zimie.

„Niech mi pani wybaczy, że byłam dziś taka nietaktowna”, powiedziała Abby po raz drugi. „Naprawdę panią lubię, Tereso.”

„Kończyć, kończyć”, zawołała Carol do słuchawki.

„Ona chce jeszcze raz rozmawiać z panią”, powiedziała Teresa.

„Niech pani powie Abigail, że jestem w wannie.”

Teresa powtórzyła to i w ten sposób uwolniła się od rozmówczynie.

Carol przyniosła do pokoju butelkę i dwa kieliszki.

„Co się dzieje z Abby?” zapytała Teresa.

„Jak to, a co się ma z nią dzieć?” Carol naląła brązowego płynu do kieliszków. „Sądzę, że trochę za dużo wypila.”

„Wiem. Ale dlaczego chciała dzisiaj zjeść ze mną obiad?”

„No cóż - prawdopodobnie było wiele przyczyn. Niech pani skosztuje tego trunku.”

„To wszystko było takie dziwne.”

„Co?”

„Ten cały obiad.”

Carol podała jej kieliszek. „Niektóre rzeczy zawsze są dziwne, kochanie.”

Po raz pierwszy Carol nazwała ją „kochanie”. „Co na przykład?” zapytała Teresa, chciała dostać odpowiedź, jasną odpowiedź.

Carol westchnęła. „Wiele rzeczy. Tych najważniejszych. Niech pani spróbuje drinka.”

Teresa wypiała jeden łyk, był słodki i ciemnobrązowy, jak kawa z lekkim dodatkiem alkoholu. „Dobre.”

„Naprawdę, smakuje pani?”

„Dlaczego pani to pije, jeśli pani tego nie lubi?”

„Bo to jest trochę inne. Za naszą podróż - z tej okazji musimy się napić czegoś innego.” Carol wykrzywiła twarz i wypiała do dna. W świetle lampy Teresa dostrzegła wyraźnie piegi na jednej części jej twarzy. Brew Carol, która wydawała się prawie biała, okalała niczym skrzydło wypukłość jej czoła. Teresa poczuła się nagle nadzwyczaj szczęśliwa.

„Co to była przed chwilą za piosenka?”

„Niech pani zanuci.”

Teresa zagwizdała kilka taktów i Carol uśmiechnęła się.

*Easy Living*, powiedziała. „Taka stara piosenka.” „Chętnie posłuchałabym jej jeszcze raz.”

„A ja chciałabym, żeby pani poszła do łóżka. Puszczę ją potem jeszcze raz.”

Carol poszła do zielonego pokoju, gdzie stał gramofon. Teresa nadsluchiwała, oparta o drzwi swego pokoju i czuła się szczęśliwa.

*...I'll never regret... the years I'm giving... they're easy to give, when you are in love... I'm happy to do whatever I do for you...*

To była jej piosenka. Dokładnie to czuła do Carol. Zanim przebrzmiały ostatnie takty, poszła do łazienki, odkręciła kurek, usiadła w wannie, a zielonkawa woda opryskiwała jej stopy.

„Hej!” zawołała Carol. „Była już pani kiedyś w Wyoming?”

„Nie.”

„No to pora, żeby poznała pani Amerykę.”

Teresa sięgnęła po namoczoną myjkę i wycisnęła ją sobie na kolanie. Wody było już tak dużo, że jej piersi pływały po powierzchni jak dwa placki. Teresa próbowała uzmysłwić sobie, co jej przypominają, poza tym, że to piersi.

„Niech pani tylko nie zaśnie w wannie”, upomniała ją Carol, a głos jej dobiegał z daleka, z czego Teresa wywnioskowała, iż siedzi na łóżku, studiując mapę.

„Nie zasnę.”

„Są ludzie, którym się to zdarza.”

„Proszę opowiedzieć mi coś więcej o Harge'u”, powiedziała wycierając się. „Co on robi?”

„Wiele rzeczy.”

„Mam na myśli zawodowo?”

„Zajmuje się nieruchomościami.”

„Jaki on jest? Czy chodzi chętnie do teatru? Lubi Ludzi?”

„Lubi mały krąg ludzi, którzy grają w golfa”, powiedziała zdecydowanie Carol. I dodała nieco głośniej: „A poza tym? Jest we wszystkim nad wyraz dokładny, nawet za dokładny. Ale zostawił swoją najlepszą maszynkę do golenia. Leży w apteczce, może ją sobie pani obejrzyć, jeśli pani chce, jak przypuszczam. Myślę, że muszę mu ją odesłać.”

Teresa otworzyła szafkę z lekarstwami i zobaczyła maszynkę do golenia. W szafce było jeszcze dużo innych męskich rzeczy - woda po goleniu, szczoteczki. „Czy to był jego pokój?” zapytała Teresa, wychodząc z łazienki. „W którym łóżku sypiał?”

Carol roześmiała się. „Nie w tym, w którym pani śpi.”

„Mogę dostać jeszcze trochę tego trunku?” zapytała Teresa, patrząc na butelkę z likierem.

„Ależ oczywiście.”

„Mogę pocałować panią na dobranoc?”

Carol składała właśnie mapę i ściągnęła usta, jakby chciała zagwizdać. „Nie”, odpowiedziała.

„Dlaczego nie?” Tej nocy wszystko wydawało się możliwe.

„Dam pani to zamiast buziaka.” Carol wyjęła rękę z kieszeni spodni. Był to czek.

Teresa odczytała wypisaną na nim sumę: dwieście dolarów. „Na co to?”

„Na podróż. Nie chcę, żeby wydawała pani pieniądze zaoszczędzone na wpisowe do związku.” Carol wzięła papierosa. „Nie będzie pani wszystkich potrzebować. Chcę tylko, żeby je pani miała.”

„Ale ja ich w ogóle nie potrzebuję”, powiedziała Teresa. „Dziękuję. Nie ma dla mnie znaczenia, że zużyję pieniądze na wpisowe.”

„Bez sprzeciwów”, przerwała jej Carol. „Zrobi mi pani przyjemność.”

„Ale ja ich nie chcę.” Zabrzmiało to szorstko, więc uśmiechnęła się lekko, kładąc czek na stole obok butelki z likierem - zbyt ostentacyjnie - i chętnie by to Carol wyjaśniła. Pieniądze były jej obojętne, ale jeśli miałyby to sprawić Carol radość, nie powinna ich tak po

prostu odrzucać. Spojrzała na nią: „Nie podoba mi się to”, powiedziała, „Niech pani wymyśli coś innego.” Carol obserwowała ją uważnie, nie miała zamiaru, co Teresa z ulgą stwierdziła, klócić się z tego powodu.

„Coś, co sprawi mi radość?”

Teresa potwierdziła i sięgnęła po kieliszek z likierem.

„Dobrze”, odrzekła Carol. „Zastanowię się nad tym. Dobranoc.” Przy drzwiach zatrzymała się.

Dziwny sposób, w taki ważny wieczór, powiedzieć „Dobranoc”, pomyślała Teresa.

„Dobranoc”, odpowiedziała.

Kiedy odwróciła się jej wzrok znowu padł na czek. Podrzeć go musi Carol sama. Wsunęła go pod kant granatowego bieżnika z lnu - poza zasięgiem wzroku.

Styczeń.

Był wszystkim naraz. I był tylko jednym - niczym masywne, ciężkie drzwi. Jego chłód zamykał całe miasto w szarej kapsule. Styczeń - to były chwile i jednocześnie cały rok. Styczeń sprawiał, że chwile przemijały deszczem i zamarzały w pamięci: kobieta, którą ujrzała, jak w świetle zapalki wpatrywała się z lękiem w tabliczki z nazwiskami w ciemnym korytarzu; mężczyzna, kreślący coś na kartce papieru, którą oddał potem swojej przyjaciółce, zanim rozstali się na chodniku; mężczyzna, biegnący wzdłuż kilku bloków za odjeżdżającym autobusem, aby go w końcu dogonić. Wszystkie ludzkie czynności wydawały się rozsiewać jakiś czar. Styczeń był miesiącem o dwóch obliczach, pobrzmiwał w błazeńskich dzwoneczkach i skrzypiał jak śniegowa pierzynka, był czysty jak każdy początek i mrukliwy jak stary człowiek, tajemniczo bliski, a jednak nieznanym, jak słowo, które można z trudem i nie do końca odcyfrować.

Młody mężczyzna o nazwisku Red Malone i łysy stolarz pracowali razem z nią nad scenografią do „Deszczyku.” Pan Donohue był z tego bardzo zadowolony.

Powiedział, że poprosił pana Baltina, żeby zobaczył jej pracę. Pan Baltin był członkiem rosyjskiej akademii i robił scenografię dla kilku teatrów w Nowym Jorku. Teresa nigdy o nim nie słyszała. Próbowowała namówić pana Donohue do zaaranżowania spotkania z Myronem Blanchardem albo Ivorem Harkerym, lecz pan Donohue nigdy niczego nie obiecywał, nie mógł obiecać, jak przypuszczała Teresa.

Pan Baltin, wysoki, lekko przygarbiony mężczyzna w czarnym kapeluszu i znoszonym płaszczu pojawił się pewnego popołudnia i obejrzał dokładnie wszystko, co mu pokazała. Przyniosła do teatru trzy lub cztery swoje projekty, najlepsze, jakie miała. Pan Baltin opowiedział jej o pewnej sztuce, której produkcja rozpocznie się za sześć tygodni. Chętnie poleci ją jako asystentkę, na co Teresa odpowiedziała, że to się wyśmienicie składa, bo do tego czasu i tak musi wyjechać. W ostatnich dniach wszystko dobrze się układało. Pan Andronich obiecał jej pracę na dwa tygodnie w połowie lutego w Filadelfii, dokładnie wtedy, kiedy wróci z podróży z Carol. Teresa zanotowała sobie nazwisko i adres znajomego pana Baltina.

„On już teraz za kimś się rozgląda, niech pani do niego zadzwoni zaraz na początku tygodnia”, powiedział pan Baltin. „To tylko praca pomocnicza, ale jego asystent, mój uczeń, pracuje teraz razem z Harkevym.”

„Naprawdę? Sądzi pan, że mógłby pan albo ten znajomy dopomóc mi w spotkaniu z Harkevym?”

„Nic prostszego. Musi pani tylko zatelefonować do jego studia i zapytać o Charlesa, Charlesa Winanta. Proszę mu powiedzieć, że rozmawiała pani ze mną. Chwileczkę - tak, niech pani zadzwoni do niego w piątek po południu, około trzeciej.”

„Świetnie. Bardzo dziękuję.” Do piątku było jeszcze tyle czasu. Harkevym nie był nieprzystępny, jak słyszała, ale znany z tego, że nigdy nie umawiał się na spotkania, a jeśli już to zrobił, nie dotrzymywał słowa, ponieważ był bardzo zapracowany. Ale może pan Baltin lepiej się orientował.

„I niech pani nie zapomni zadzwonić do Ketteringa”, dodał jeszcze pan Baltin na odchodne.

Teresa jeszcze raz przeczytała nazwisko, które jej podał: Adolph Kettering, scenografie teatralne oraz adres prywatny. „Zadzwoń do niego zaraz w poniedziałek. Bardzo panu dziękuję.”

Było to w sobotę, w dniu, w którym miała po pracy spotkać się w „Palermo” z Richardem. Był siódmy stycznia, jedenaście dni przed planowaną podróżą.

Zobaczyła Phila i Richarda stojących przy barze.

„Co tam słyhać w starym «Kocie»?” zapytał Phil podsuwając jej stołek barowy. „Pracujecie też w soboty?”

„Zespół nie pracował - tylko mój dział”, odpowiedziała.

„Kiedy premiera?”

„Dwudziestego pierwszego.”

„Spójrz”, powiedział Richard, wskazując na ciemnozieloną plamę na jej spódnicy.

„Wiem, zaplamiłam ją już przed kilkoma dniami.”

„Czego się napijesz?” zapytał Phil.

„Sama nie wiem, może piwa, dziękuję.” Richard odwrócił się plecami do Phila, który stał z jego drugiej strony i Teresa wyczuła jakieś napięcie między nimi.

„Namalowałaś coś dzisiaj?” zapytała Richarda.

Richard wyduł usta. „Musiałem zastąpić jednego kierowcę, który zachorował. Na środku Long Island zabrakło mi benzyny.”

„O, to okropne. Może wolałbyś jutro pomalować, zamiast gdzieś wychodzić?” Rozmawiali o zaplanowanym na następny dzień wyjeździe do Mobokan, gdzie mieli pospacerować i zjeść małże. Ale jutro przyjedzie do miasta Carol i obiecała, że do niej zadzwoni.



„Będę malował, jeśli będziesz mi pozować”, odezwał się Richard.

Teresa zawahała się, niezadowolona. „Nie jestem teraz w nastroju do pozowania.”

„No dobrze. To nie jest takie ważne.” Uśmiechnął się. „Ale jak mam cię namalować, jeśli nigdy mi nie pozujesz?”

„Czemu nie zrobisz tego z pamięci?”

Phil wyciągnął rękę i chwycił jej szklanę. „Nie pij tego. Zamów sobie coś lepszego. Ja to wypiję.”

„Dobrze. Spróbuję whisky z wodą.”

Phil stał teraz obok niej. Wyglądał na całkiem zadowolonego, ale pod oczami miał cienie. W ostatnim tygodniu pisał w kiepskim nastroju jakąś sztukę. W czasie noworocznego przyjęcia przeczytał z niej kilka scen. Phil określał ją jako kontynuację Kafkowskiej „Przemiany”. Teresa zrobiła w noworoczny poranek roboczą scenografię do tej sztuki i pokazała ją Philowi. Nagle domyśliła się, o co chodziło Richardowi.

„Terry, czy mogłabyś zrobić model według tego szkicu, który mi pokazałaś? Chciałbym dołączyć do tekstu przynajmniej jedną fotografię projektu scenograficznego”. Phil przysunął jej whisky i oparł się blisko niej o blat.

„To się da zrobić”, odrzekła. „Naprawdę chcesz spróbować ją wystawić?”

„Dlaczego nie?” Ciemne oczy Phila patrzyły na nią z wyzywającym uśmiechem. Strzelił palcami. „Rachunek, proszę.”

„Ja zapłacę”, odezwał się Richard.

„Nie, to moja sprawa.” Phil trzymał już w ręce swój stary portfel.

Jego sztuka pewnie nigdy nie zostanie wystawiona, może nawet jej nie skończy, pomyślała Teresa, ponieważ Phil miewał kapryśne nastroje.

„Zbieram się”, powiedział Phil. „Wpadnij wkrótce do nas, Terry. Cześć, Rich.”

Patrzyła za nim, jak wchodził po małych schodkach, jeszcze bardziej zaniedbany, w tych swoich sandałach i wypłowiałym płaszczu z wielbłądziej wełny, przy czym umiał to swoje zaniedbanie cudownie prezentować, na luzie. Jak mężczyzna, który chodzi po domu w swym ulubionym płaszczu kąpielowym, pomyślała Teresa. Pomachała mu jeszcze przez okno.

„Słyszałem, że zaniósłaś Philowi w Nowy Rok kanapki i piwo”, powiedział Richard.

„Tak. Zadzwoił do mnie i powiedział, że ma kaca.”

„Czemu mi o tym nic nie powiedziałaś?”

„Chyba zapomniałam. To nie było takie ważne.”

„Nieważne? Kiedy...” Richard machnął ręką, powoli, bez nadziei. „Kiedy spędzasz pół

dnia u jakiegoś mężczyzny w mieszkaniu, przynosisz mu kanapki i piwo? Nie przyszło ci czasem do głowy, że ja też może miałem ochotę na kanapki?”

„Jeśli tak, to miałeś przecież wielu ludzi, którzy mogli ci je przygotować. U Phila wszystko zjedliśmy i wypiliśmy - pewnie sobie przypominasz?”

Richard skinął swoją długą głową i uśmiechnął się smutnie i złośliwie. „I byłaś z nim sama? Tylko wy dwoje?”

„Ależ, Richard...” Teraz sobie przypominała - ale to było nieistotne. Dannie nie wrócił wtedy jeszcze z Connecticut. Spędzał Nowy Rok u swego profesora. Miała nadzieję, że Dannie jeszcze przyjedzie, ale Richard i tak by w to nie uwierzył, nie wpadłby na to, że bardziej lubiła Danniego niż Phila.

„Gdyby to chodziło o inną dziewczynę, pomyślałbym, że coś się między wami zaczyna i miałbym rację”, ciągnął Richard.

„Gadasz głupstwa.”

„A ty jesteś naiwna.” Richard patrzył na nią z nieporuszoną twarzą, cierpiąco i Teresa pomyślała, że nie tylko ta sprawa go denerwowała. Brał jej za złe, że nie była i nigdy nie będzie tym, czego on chciał: dziewczyną, która go namiętnie kocha i zachwycona pojedzie z nim do Europy. Taka dziewczyna, jak ona, z jej twarzą, jej ambicją, ale jednocześnie dziewczyna, która by go uwielbiała.

„Nie jesteś w typie Phila, musisz o tym wiedzieć”, powiedział.

„Kto tak powiedział? Phil?”

„Ten Heini, ten nedorobiony dyletant”, zamruczał Richard. „I miał jeszcze czelność popisywać się dzisiaj wieczorem mówiąc, że ja dla ciebie nic nie znaczę.”

„On nie ma najmniejszego prawa tak mówić. Nie rozmawiam z nim o tobie.”

„Ach, a to dopiero subtelna odpowiedź. To znaczy, że gdybyś to zrobiła, to wiedziałby, że nic dla ciebie nie znaczę.” Richard mówił zupełnie spokojnie, ale głos aż drżał mu z wściekłości.

„Co Phil ma nagle do ciebie?” zapytała.

„Nie o to chodzi!”

„No to o co?” zapytała zniecierpliwiona.

„Ach, Terry, dajmy temu spokój.”

„Po prostu nie umiesz powiedzieć, o co ci chodzi”, odrzekła, ale gdy zobaczyła, że Richard odwrócił się od niej i oparłszy łokcie na ladzie cierpiał niemalże fizycznie z powodu jej słów, poczuła nagle dla niego współczucie. To nie ta chwila, ani ta w tamtym tygodniu, tak go dotknęły, lecz cała wcześniejsza i przyszła daremność jego uczuć do niej.

Richard rzucił papierosa do popielniczki na barze. „Co chciałabyś robić dziś wieczorem?” zapytał. Opowiedzieć mu o podróży z Carol, pomyślała Teresa. Już dwukrotnie miała zamiar mu o tym powiedzieć, ale zrezygnowała. „Chciałabyś gdzieś pójść?” zaakcentowała ostatnie słowo.

„Oczywiście”, odpowiedział smutnym głosem. „Co powiesz na to, żebyśmy poszli teraz coś zjeść, a potem zadzwonili do Sama i Joan? Może będziemy mogli ich wieczorem odwiedzić?”

„Dobrze.” Poczula przy tym nieodpartą niechęć: dwoje najbardziej nudnych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkała, sprzedawca butów i sekretarka, szczęśliwe małżeństwo z Dwudziestej ulicy. Wiedziała, że Richard chce na ich przykładzie zademonstrować jej idealne pożycie małżeńskie i uświadomić jej, że i ona pewnego dnia mogłaby tak żyć. Nie cierpiała tego i w każdy inny wieczór zaprotestowałyby, ale wciąż jeszcze czuła współczucie dla Richarda, a to wywoływało w jej podświadomości nieokreślone poczucie winy i potrzebę naprawienia czegoś. Nagle przypomniała sobie dokładnie, jak kiedyś Richard leżał wyciągnięty na trawie, dłubiąc nieskończenie wolno swoim scyzorykiem przy korku od butelki z winem, podczas gdy rozmawiali... o czym? O... tak, o czym oni właściwie wtedy rozmawiali? Przypominała sobie tę chwilę zadowolenia, owo przekonanie, że tamtego dnia dzielili ze sobą coś cudownie prawdziwego i rzadkiego, a teraz zastanawiała się, gdzie podziało się to fantastyczne przekonanie. Teraz, kiedy tak stał obok niej, wydawało się, że jego długie, chude ciało nieomal namacalnie przygniata ją swym ciężarem. Próbowwała się opanować, lecz to uczucie stawało się coraz silniejsze, stawało się czymś cieleśnie uchwytnym. Spojrzała na włoskich robotników, opartych przy barze i na dwie dziewczyny w drugim końcu, które zauważyła już wcześniej i które teraz właśnie wychodziły. Przy tej okazji rzuciło się jej w oczy, że obie nosiły spodnie, a jedna z nich miała chłopięcą fryzurę. Teresa odwróciła wzrok; wiedziała, że ich unika, że nie chce być przyłapana na tym, że się na nie gapi.

„Chcesz tutaj coś zjeść? Jesteś już głodna?” zapytał Richard.

„Nie. Chodźmy gdzieś indziej.”

Wyszli z baru i udali się na północ, w kierunku mieszkania Sama i Joan.

Teresa powtarzała w myślach pierwsze słowa swej przemowy tak długo, aż straciły wszelki sens.

„Przypominasz sobie panią Aird, tę kobietę, którą wtedy u mnie spotkałeś?”

„Jasne.”

„Zaprosiła mnie w podróż samochodem na zachód, tak na kilka tygodni. Chętnie bym

pojechała.”

„Na zachód? Do Kalifornii?” zapytał Richard zaskoczony. „Jakże to?”

„Co?”

„No tak - znasz ją tak dobrze?”

„Spotkałam się z nią kilka razy.”

„Ach, tak? Nic mi o tym nie mówiłaś.” Richard szedł obok, wymachując rękami i patrzył na nią. „Tylko we dwie?”

„Tak.”

„Kiedy miałybyście wyjechać?”

„Koło osiemnastego.”

„Jeszcze w tym miesiącu? - To nawet nie zobaczysz swojej sztuki?”

Pokręciła głową. „Nie sądzę, żebym wiele straciła.”

„A więc to postanowione?”

„Tak.”

Milczał przez chwilę. „Jakim ona jest człowiekiem? Chyba nie pije czy coś takiego?”

„Nie.” Teresa uśmiechnęła się. „A wygląda tak, jakby piła?”

„Nie. Uważam, że wygląda naprawdę bardzo dobrze. Tylko zaskoczyło mnie to trochę, nic więcej.”

„Dlaczego?”

„Ty tak rzadko podejmujesz nieodwołalne decyzje. Pewnie jeszcze zmienisz zdanie.”

„Nie sądzę.”

„Może mógłbym jeszcze raz spotkać się z nią razem z tobą. Zaaranżuj coś takiego.”

„Powiedziała, że będzie jutro w mieście. Nie wiem, ile będzie miała czasu - czy rzeczywiście zatelefonuje, czy nie.”

Richard nic nie odpowiedział i Teresa również milczała. Żadne nie wspomniało już tego wieczoru o Carol.

Richard spędził niedzielne przedpołudnie malując i przyszedł do Teresy około drugiej. Krótco przedtem zadzwoniła Carol. Teresa powiedziała, że jest u niej Richard, na co Carol odrzekła: „To niech go pani weźmie ze sobą.” Jest tu niedaleko, za rogiem hotelu „Plaza”; czy nie mogliby spotkać się tam w Sali Palmowej.

Pół godziny później Teresa zobaczyła Carol w środku sali, a jej wzrok zelektryzował Teresę, prawie tak samo, jak podczas ich pierwszego spotkania; pamiętała jeszcze dokładnie tamto uczucie, które było tak strasznie silne. Carol miała na sobie ten sam czarny kostium z zielonozłotym szalem, który nosiła podczas ich pierwszego wspólnego obiadu. Ale dzisiaj

Carol zajmowała się bardziej Richardem niż nią. Cała trójka rozmawiała właściwie o niczym i Teresa była niemalże rozczarowana, widząc spokój w oczach Carol, które zwróciły się ku niej tylko raz, i nie mogąc wyczytać z twarzy Richarda nic ciekawego. Bardzo zabiegał o spotkanie z Carol ale, tak się Teresie wydawało, bardziej z powodu braku innych zajęć niż z prawdziwego zainteresowania. Zauważyła spojrzenie Richarda rzucone na wypiełgnowaną dłoń Carol z jaskrawo czerwonymi paznokciami, na pierścionek z czystym błękitnym szmaragdem i obrączkę na drugiej dłoni. Richard nie mógł sądzić, że są to bezużyteczne, gnuśne ręce z długimi paznokciami. Ręce Carol były silne, ich gesty krótkie i precyzyjne. Jej głos wznosił się ponad jednobrzmiący szmer innych głosów, kiedy wymieniała z Richardem błahostki, a raz nawet się roześmiała.

Carol patrzyła na nią. „Czy powiedziała pani Richardowi, że planujemy podróż?” zapytała.

„Tak, wczoraj wieczorem.”

„Na zachodnie wybrzeże?” zapytał Richard.

„Chętnie pojechałabym na północny zachód. To zależy od drogi.”

Teresa poczuła nagle zniecierpliwienie. Po co siedzą tutaj, konferując na temat podróży? Teraz rozprawiali o temperaturach i stanie Washington.

„Washington to moje rodzinne miasto”, powiedziała Carol, „można tak powiedzieć.”

Carol zaproponowała mały spacer po parku. Richard zapłacił za piwo i kawę, wyciągając przy tym jeden banknot ze stosu papierowych pieniędzy i monet, które wypychały kieszenie jego spodni.

Jakże był obojętny wobec Carol, pomyślała Teresa. Miała wrażenie, że jej wcale nie dostrzegał, tak jak czasami po prostu nie chciał widzieć figur na skałach albo dziwnych kształtów chmur. Jego cienkie, nieostro zaznaczone usta rozciągnęły się w obojętnym uśmiechu. Usiadł prosto, a ręką przejechał pośpiesznie po włosach.

Poszli spacerkiem w górę, od wejścia do parku przy Pięćdziesiątej Dziewiątej aż do ZOO i przez ZOO, potem dalej, pod pierwszym mostem, gdzie droga nieco opada i zaczyna się właściwy park. Powietrze było zimne i ciche pod szaro zaciągniętym niebem i Teresie wydawało się, jakby ten bezruch, ta martwa cisza kładła się ciężarem także na ich wędrujące postaci.

„Czy mam skoczyć po kilka orzechów?” zapytał Richard.

Carol przykucnęła na brzegu drogi i wyciągnęła rękę do wiewiórki. „Mam coś dla ciebie”, powiedziała cicho. Na dźwięk jej głosu wiewiórka chciała zrazu uciec, podeszła jednak bliżej, lękliwie złapała jej palce, porwała zębami okruch chleba i czmychnęła. Carol

wstała, uśmiechając się. „Miałam w kieszeni kawałek chleba ze śniadania.”

„Karmi pani wiewiórki także tam, gdzie pani mieszka?” zapytał Richard.

„Wiewiórki i chomiki”.

O jakże nudnych rzeczach oni rozmawiają, pomyślała Teresa.

Usiedli na ławce i zapalili papierosy. Teresa obserwując jak malutkie słońce rozlewało swój pomarańczowy blask wśród cienkich, czarnych gałęzi drzewa, marzyła, że jest już noc i są z Carol same. Jeśli Carol będzie musiała teraz jechać do domu, to ona zrobi sobie coś złego. Na przykład skoczy z mostu przy Pięćdziesiątej Dziewiątej albo zażyje trzy tabletki amfetaminy, które tydzień temu dostała od Richarda.

„Może napilibyście się państwo herbaty?” zapytała Carol, gdy znaleźli się w pobliżu ZOO. „Na przykład w tej rosyjskiej restauracji obok Carnegie Hall?”

„Rumpelmayers jest jeszcze bliżej”, powiedział Richard. „Lubi pani Rumpelmayers?” Teresa westchnęła. Carol jakby zwlekała. W końcu jednak tam poszli. Teresa przypomniała sobie, że była już tu kiedyś z Angelo. Nie lubiła tej kawiarni.

Jaskrawe oświetlenie sprawiało, że czuła się tak, jakby siedziała nago, poza tym nie wiadomo było nigdy czy patrzy się na prawdziwą osobę, czy też na jej lustrzane odbicia.

„Nie dla mnie”, pokręciła głową Carol, kiedy kelnerka postawiła przed nią tacę z ciastem. Richard natomiast wybrał dwa kawałki, chociaż Teresa nie chciała żadnego.

„Na co to - na wypadek, gdybym się rozmyśliła?” zapytała go, a Richard mrugnął do niej porozumiewawczo. Miał teraz znowu brudne paznokcie.

Richard zapytał Carol, jakim jeździ samochodem, a potem zaczęli wyliczać zalety różnych marek. Teresa podchwyciła spojrzenie Carol, lustrujące stoliki przed nimi. Nie podoba jej się tutaj, pomyślała Teresa, przyglądając się w lustrze mężczyźnie z tyłu za Carol. Siedział odwrócony plecami do Teresy i mówił coś żywo do towarzyszącej mu kobiety, wyrzucając przy tym w powietrze rozczapierzone palce.

Popatrzyła na szczupłą kobietę w średnim wieku, z którą rozmawiał, potem znowu na niego, zastanawiając się czy to, co wydawało jej się w nim znajome, jest prawdziwe, czy też była to tylko iluzja, jak w lustrzanym odbiciu, wspomnienie, które niczym bańka mydlana uniosło się w jej świadomości i pękło na powierzchni: To był Harge.

Teresa spojrzała szybko na Carol, ale nawet gdyby Carol go zauważyła, nie mogła wiedzieć, że odbija się w lustrze za jej plecami. Dyskretnie spojrzała przez ramię i rozpoznała profil Harge'a, zapamiętany w czasie pierwszej wizyty w domu Carol: z krótkim nosem, mocno zarysowanym podbródkiem i rzadkimi jasnymi włosami między łysiejącymi skroniami. Carol musiała go widzieć, siedział przecież tylko trzy stoły dalej, po jej lewej

stronie.

Carol przeniosła wzrok z Richarda na Teresę. „Tak”, odezwała się z lekkim uśmiechem i odwróciła się znowu do Richarda, aby kontynuować przerwana rozmowę. Nie daje nic po sobie poznać, myślała Teresa, nie jest wcale inna.

Obserwowała kobietę naprzeciw Harge'a. Mogła to równie dobrze być jakaś jego krewna.

Carol zgasila swojego długiego papierosa. Richard zamilkł i zaczęli zbierać się do wyjścia. Teresa spojrzała na Harge'a akurat w momencie, w którym dostrzegł Carol. W pierwszej chwili jego oczy zwięzły się do małych szparek i aż zamrugał z niedowierzaniem, potem powiedział coś do kobiety, z którą siedział, wstał i podszedł do Carol.

„Carol”, odezwał się.

„Halo, Harge.” I zwracając się do Teresy i Richarda: „Przepraszam na chwilę.”

Teresa stała z Richardem przy wyjściu, starając się wszystko spostrzec: próbowała przeniknąć dumę i agresywność w gorliwie pochylonej postaci Harge'a, który nie sięgał paska przy kapeluszu Carol, poprzez uspokajające skinienie Carol w odpowiedzi na to, co powiedział, nie chciała wiedzieć, o czym teraz mówią, ale o czym rozmawiali pięć, trzy lata temu, na przykład w dniu, kiedy zrobione zostało zdjęcie Rindy w kajaku. Carol kochała go kiedyś - i wspomnienie tego przychodziło jej z trudem.

„Możemy się teraz urwać, Terry?” zapytał Richard.

Carol pożegnała się skinieniem głowy z kobietą przy stoliku Harge'a. Ten popatrzył na Teresę i Richarda i odszedł, nie poznawszy jej, do swego stolika.

„Przykro mi”, powiedziała Carol podchodząc do nich.

Po drodze Teresa odciągnęła Richarda na bok, szepcząc: „Pożegnaj cię, teraz Richard. Carol chciała, żebym poszła dzisiaj wieczorem z nią do jednej znajomej.”

„Ach.” Richard zmarszczył czoło. „Ale przecież mam na dzisiaj bilety na koncert. Przecież wiesz o tym.”

Teresa przypomniała sobie nagle. „Ach tak, od Alexa. Zapomniałam o tym, przepraszam.”

„Nieważne”, odrzekł ponuro.

To rzeczywiście było nieważne. Przyjaciół Richarda, Alex, miał akompaniować komuś w koncercie wiolonczelowym i przed dwoma tygodniami, dał Richardowi dwa bilety.

„Wolisz być z nią niż ze mną, prawda?” zapytał.

Carol rozglądała się za taksówką. Opuści ich zapewne w następnej chwili. „Mogłeś rano powiedzieć choć słówko na temat tego koncertu, Richard, przynajmniej mi o tym

przypomnieć.”

„Czy to był jej mąż?” Oczy Richarda zwięzły się pod zmarszczonym czołem. „Co to wszystko znaczy, Terry?”

„Co znaczy co?”, powiedziała. „Nie znam jej męża.”

Richard kłął przez chwilę nachmurzony, ale potem jego twarz się rozjaśniła.

Uśmiechnął się, jakby chciał przyznać, że głupio się zachował. „Wybacz. Po prostu liczyłem na to, że spędzę z tobą dzisiejszy wieczór.” Podszedł do Carol.

„Dobranoc” powiedział.

Wyglądało na to, że chce odejść sam i Carol zapytała: „Idzie pan dalej w dół miasta? Może mogę pana gdzieś podwieźć?”

„Pójdę pieszo, dziękuję.”

„Myślałam, że jesteście umówieni?” zwróciła się do Teresy. Richard przestępował niezdecydowanie z nogi na nogę. Wtedy podeszła do Carol i powiedziała tak, żeby Richard nie słyszał: „Nic ważnego. Wolałabym być razem z panią.”

Taksówka zatrzymała się obok Carol - i Carol położyła rękę na klamce. „No cóż, nasze spotkanie też nie jest takie ważne - niech pani idzie dzisiaj z Richardem.”

Richard to usłyszał.

„Cześć, Tereso”, powiedziała Carol.

„Dobranoc”, zawołał do niej Richard.

„Dobranoc”, powiedziała Teresa, gdy Carol zamykała za sobą drzwi taksówki.

Teresa odwróciła się do niego. Nie pójdzie na koncert, ani nie zrobi nic szalonego. Nie przychodziło jej do głowy nic bardziej szalonego, jak wrócić szybko do domu i zająć się projektem, który chciała skończyć na czwartek dla Harkey’ego. Kiedy Richard zrobił krok w jej stronę ujrzała przed sobą cały ten wieczór w jego na pół smutnej, na pół przekornej nieodwracalności. „Wciąż nie chcę iść na ten koncert”, powiedziała.

Ku jej zaskoczeniu Richard postąpił krok do tyłu i odezwał się ze złością: „No to nie!” i odszedł. Powlókł się tym swoim niezdnym i niezgrabnym krokiem w kierunku zachodnim, podnosząc przy tym nieco prawe ramię i machając nierytmicznie rękami. Już po jego chodzie mogła poznać, że jest wściekły. Zniknął w ciemności. Przez głowę przemknęła jej odmowa Ketteringa w ostatni poniedziałek. Wpatrywała się w ciemność, w której zniknął Richard. Nie czuła się winna, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór. Zazdrościła mu jego pewności, że zawsze będzie miał jakieś miejsce, dom, pracę, jakiegoś drugiego człowieka. Zazdrościła mu tego nastawienia. Miała mu niemalże za złe, że miał ją.



To Richard zaczął tę rozmowę.

„Dlaczego ona tak bardzo ci się podoba?”

Było to pewnego wieczoru, kiedy nie dotrzymała umówionego spotkania z Richardem, gdyż istniało nieokreślone przypuszczenie, że Carol przyjedzie. Carol nie zjawiła się, za to Richard tak. Teraz, pięć po jedenastej, w ogromnej kafeterii z różnymi tapetami na ścianach przy Lexington Avenue, chciała właśnie zacząć o tym mówić, ale Richard ją uprzedził.

„Lubię z nią być, chętnie z nią rozmawiam. Lubię ludzi, z którymi mogę porozmawiać.” Przyszły jej na myśl zdania z listu do Carol, który napisała, ale nigdy nie wysłała, jakby mogły być odpowiedzią na pytanie Richarda: Mam takie uczucie, jakbym stała na pustyni z wyciągniętymi rękami, a ty padałabyś na mnie deszczem.

„Jesteś w niej po prostu po uszy zadurzona”, oznajmił Richard ze złością, jakby to było wyznanie.

Teresa wzięła głęboki oddech. Czy ma sobie ułatwić, mówiąc po prostu „tak”, czy też powinna spróbować mu to wyjaśnić? Ale nawet gdyby mówiła tysiącem języków - cóż potrafiłby z tego pojąć? „Nie zrozumiesz tego”, powiedziała. Była siebie tak całkowicie pewna. Chciałabym uwolnić cię jak muzykę, która zaplątała się w konarach drzewa...

„Co tu jest do rozumienia? Ale ona rozumie. Nie powinna tak tobą dysponować, tak się tobą bawić. To nie fair w stosunku do ciebie.”

„Nie fair w stosunku do mnie?”

„A cóż ona robi? Bawi się tobą. A potem pewnego pięknego dnia będzie miała cię dosyć i wyrzuci cię za drzwi.”

Mnie za drzwi, pomyślała Teresa, co to znaczy? Jak można wyrzucić za drzwi uczucia? Była zdenerwowana, ale nie chciała się z nim kłócić, więc nic nie odpowiedziała.

„Jesteś zupełnie oszołomiona!”

„Jestem zupełnie trzeźwa, nigdy nie byłam trzeźwiejsza.” Wzięła nóż i przesunęła kciukiem po zgrubieniu na końcu ostrza. „Czemu nie zostawisz mnie w spokoju?”

Zmarszczył czoło. „Zostawić cię w spokoju?”

„Tak.”

„Także jeśli chodzi o Europę?”

„Tak”, odrzekła.

„Posłuchaj, Terry...” Richard wiercił się na swoim krześle, pochylił się do przodu,

zwlekał, wziął następnego papierosa, zapalił go z obrzydzeniem, a zapalną rzucił na podłogę.  
„Jesteś jak w transie! Tak, gorzej...”

„Tylko dlatego, że nie chcę się z tobą kłócić?”

„To gorsze, niż gdybyś miała kłopoty miłosne, bo to jest nienaturalne. Rozumiesz mnie?”

Nie, nie rozumiała ani słowa.

„Ale za tydzień ci przejdzie. Mam nadzieję. Mój Boże!” Znowu stał się niespokojny.  
„Jak uwierzyć, choćby tylko na moment uwierzyć w to, że chcesz odejść ode mnie z powodu takiego głupiego zadurzenia się.”

„Tego nie powiedziałam. Ty to mówisz.” Patrzyła uparcie w jego napiętą twarz, chude policzki, które zaczynały się rumienić pośrodku. „Ale jak mam chcieć być z tobą, jeśli nie robisz nic innego, tylko się ze mną o to kłócisz.”

Oparł się na krzesło. „Już w środę albo w przyszłą sobotę będziesz o tym inaczej myślała. Znasz ją przecież dopiero trzy tygodnie.”

Spojrzała na drugą stronę, gdzie wzdłuż ciepłego bufetu przesuwali się ludzie, obsługując się to tu, to tam i dając się ponosić dalej, aż do zakrętu lady, gdzie się rozchodzili.  
„Równie dobrze możemy się zaraz rozstać, bo żadne z nas nigdy się nie zmieni.”

„Teresa, jesteś jak człowiek, który ma takiego bzika, iż uważa się za normalniejszego niż ktokolwiek inny.”

Dłoń Richarda z ułożonymi w białym piegowatym ciele kośćmi, leżała na stole bez ruchu, zwinięta w pięść, niczym obraz ręki, która właśnie wbiła komuś do głowy bezskuteczny, niedostłyszalny argument. „Coś ci powiem, sądzę, że twoja przyjaciółka dokładnie wie, co robi. Myślę, że ona cię uwodzi. Myślałem już o tym, żeby ją gdzieś zadenuncjować, ale nie jesteś już niestety dzieckiem. Chociaż tak się zachowujesz.”

„Dlaczego musisz tak przesadzać?” zapytała. „Jesteś zupełnie wyprowadzony z równowagi.”

„To ty posuwasz się tak daleko, że chcesz się ze mną rozstać. A co ty o niej właściwie wiesz?”

„A ty, co ty o niej wiesz?”

„Czy była kiedyś natarczywa?”

„Boże wielki!” Teresa czuła, że musiałaby powtórzyć to po kolei z tuzin razy. To oddawało wszystko, jej uwięzienie, tutaj, teraz, jeszcze. „Ty tego nie zrozumiesz.” Lecz on rozumiał to bardzo dobrze i dlatego właśnie był taki wściekły. Ale czy byłby w stanie pojąć, że jej uczucie nie byłoby wcale inne, gdyby Carol nigdy jej nie dotknęła? Nawet gdyby Carol

nigdy się do niej nie odezwała po tamtej krótkiej rozmowie o walizce dla lalek w domu towarowym? Gdyby Carol w ogóle nigdy z nią nie rozmawiała, gdyż wszystko zdarzyło się w chwili, kiedy Carol stała na środku działu i obserwowała ją. Kiedy teraz uświadomiła sobie, co stało się po tym spotkaniu, owładnęło ją niepohamowane uczucie szczęścia. To było takie łatwe dla mężczyzny i kobiety, odnaleźć się, znaleźć kogoś, kto byłby do zaakceptowania, ale że ona znalazła Carol - „Myślę, że rozumiem cię lepiej niż ty mnie. Tak naprawdę wcale nie chcesz mnie znowu zobaczyć, sam przecież powiedziałeś, że nie jestem już tą samą osobą. Jeśli będziemy się dalej spotykać, staniesz się tylko jeszcze bardziej takim, jakim po prostu jesteś.”

„Terry, zapomnij tylko na moment, że kiedykolwiek mówiłem ci, że chciałbym, abyś mnie kochała, albo że ja ciebie Kocham. Mam na myśli ciebie - ciebie jako osobę. Lubię cię. Chciałbym...”

„Czasami zastanawiam się, dlaczego uważasz, że mnie lubisz czy lubiłeś. Właśnie dlatego, że mnie wcale nie znasz.”

„Ty sama siebie nie znasz.”

„Ależ tak, znam siebie, i znam też ciebie. Pewnego dnia porzucisz malarstwo i mnie także. Tak jak zawsze - jak dalece sięgam pamięcią - rzucałeś wszystko, co kiedykolwiek zacząłeś. Ta historia z pralnią albo z używanymi samochodami...”

„To nieprawda”, powiedział kwaśno Richard.

„Ale dlaczego myślisz, że mnie lubisz? Bo też trochę maluję i możemy o tym ze sobą porozmawiać? Jako przyjaciółka jestem dla ciebie tak samo nieprzydatna jak malarstwo jako zawód.” Odczekała chwilę, a potem dokończyła. „Znasz się wystarczająco dobrze na sztuce, żeby wiedzieć, iż nigdy nie zostaniesz wielkim malarzem. Jesteś jak mały chłopiec, który wagaruje, jak długo może; cały czas dokładnie wiesz, co właściwie powinieneś robić i co w końcu będziesz robił: pracować w firmie ojca.”

Niebieskie oczy Richarda spojrzały nagle zimno, wręcz lodowato. Miał zaciśnięte usta, górna warga lekko się sfałdowała.

„Teraz wcale o to przecież nie chodzi, wiesz.”

„Ależ tak. To zupełnie w twoim stylu, upieranie się przy czymś, kiedy wiesz, że to beznadziejne i że w końcu będziesz musiał ustąpić.”

„Nie zrobię tego!”

„Richard, to nie ma sensu...!”

„Jeszcze zmienisz zdanie.”

Znała to. Zawsze ta sama śpiewka. Tydzień później Richard stał z tym samym

skwaśniałym wyrazem twarzy w jej pokoju, rozmawiając z nią w tym samym tonie. Przyszedł o niezwyklej dla niego porze, o trzeciej po południu, upierając się przy tym, że musi ją zobaczyć. Była zajęta pakowaniem torby na weekend u Carol. Gdyby jej przy tym nie zastał, byłby z pewnością w zupełnie innym humorze, pomyślała, ponieważ widziała się z nim w ostatnim tygodniu trzy razy i był wobec niej uprzejmy i taktowny, jak nigdy dotąd.

„Nie możesz mnie tak po prostu odstawić, bo ci akurat tak pasuje”, rzekł, gestykułując przy tym gwałtownie swoimi długimi rękami, ale to, co powiedział, zabrzmiało jakoś samotnie, jakby już od niej odchodził. „Zachowujesz się tak, jakbym w ogóle nic dla ciebie nie znaczył, jakbym był zupełnie bezużyteczny - to mnie boli. To nie fair, Terry. Nie mogę z nią konkurować.”

Nie, pomyślała, oczywiście, że nie może. „Wcale się z tobą nie kłóć”, odrzekła. „To ty chciałeś się ze mną kłócić z powodu Carol. Ona ci nic nie zabiera, ponieważ to nigdy nie było twoje. Ale jeśli nadal chcesz się ze mną spotykać...”

Przerwała, gdyż wiedziała, że on tego chce i że będzie dalej to robił.

„Cóż za logika”, powiedział, trąc sobie przegubem dłoni oko.

Teresa obserwowała go zupełnie pochłonięta myślą, która właśnie przyszła jej do głowy, i która, jak nagle stwierdziła, odpowiadała faktom. Czemu nie pomyślała o tym już przed dwoma dniami, tego wieczoru w teatrze? Mogła wyczytać to w setkach gestów, słów, spojrzeń w ostatnim tygodniu. Ale szczególnie pamiętała wieczór w teatrze - zrobił jej niespodziankę biletami na przedstawienie, które bardzo chciała zobaczyć - sposób, w jaki trzymał ją za rękę i ton jego głosu przez telefon, kiedy nie powiedział po prostu, spotkamy się tam i tam, lecz bardzo delikatnie spytał, czy mogłaby tak wszystko ułożyć, żeby się z nim spotkać. Nie podobało jej się to. Nie było wyrazem sympatii, ale raczej próbą przypodobania się, żeby utorować drogę dla przypadkowego pytania, jakie jej tego wieczoru niespodziewanie postawił. „Co masz na myśli mówiąc że ją lubisz - chcesz pójść z nią do łóżka?” „Sądziś, że powiedziałabym ci o tym, gdybym tego chciała?”, odpowiedziała Teresa, a kalejdoskop najróżniejszych uczuć - upokorzenia, złości, wstrętu do niego - odebrały jej głos, sprawiły, że ledwie mogła iść obok niego. I kiedy spojrzała na niego z ukosa, patrzył na nią z tym łagodnym, pustym uśmiechem, który teraz wydał jej się straszny i nienormalny. Owa nienormalność uszłaby jej uwadze, gdyby Richard tak często nie próbował przekonywać jej o tym, że to ona jest nienormalna.

Teresa odwróciła się, wrzucając do torby szczoteczkę do zębów i swoje szczotki do włosów i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że przecież u Carol ma już swoją szczoteczkę do zębów.

„Jeszcze tylko jedno - czego ty od niej chcesz, Teresa? Do czego to wszystko ma prowadzić?”

„Dlaczego cię to tak bardzo interesuje?”

Wpatrywał się w nią i przez chwilę dostrzegła za jego złością ową niepoohamowaną ciekawość, którą zauważyła już wcześniej, tak jakby obserwował jakieś interesujące zjawisko przez dziurkę od klucza. Ale czuła, że nie miał do całej tej sprawy zbyt dużego dystansu. Wręcz przeciwnie, wydawało jej się, że jeszcze nigdy tak mu na niej nie zależało jak właśnie teraz, że jeszcze nigdy nie był tak zdecydowany walczyć o nią. Przeraziło ją to. Mogła sobie doskonale wyobrazić, że ta determinacja przerodzi się któregoś dnia w nienawiść i przemoc.

Richard westchnął, obracając w rękach gazetę. „Jestem tobą zainteresowany. Nie możesz mi tak po prostu powiedzieć: Poszukaj sobie innej! Nigdy nie traktowałem ciebie tak, jak inne dziewczyny, nigdy tak o tobie nie myślałem.”

Nie odezwała się.

„Do diabła!” Richard rzucił gazetę na regał z książkami i odwrócił się do niej plecami. Gazeta uderzyła w madonnę, która przechyliła się jakby w zdumieniu na ścianę, poleciała do przodu i stoczyła się przez kant półki. Richard skoczył ku niej i złapał ją w obie dłonie. Popatrzył na Teresę, uśmiechając się mimo woli.

„Dziękuję” Teresa wzięła od niego figurkę i podniosła ją do góry, żeby postawić ją na swoim miejscu. Nagle cisnęła nią gwałtownie o podłogę.

„Terry!”

Madonna leżała rozbita na kawałki.

„Zostaw”, powiedziała Teresa. Serce waliło jej z wściekłości, jakby się z kimś pobiła.

„Ale...”

„Do diabła z tym!” krzyknęła i przesunęła nogą skorupy na bok.

Richard wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi.

Co było przyczyną, zastanawiała się Teresa, sprawa z Andronicem czy Richard? Sekretarka pana Andronicha zatelefonowała przed godziną, mówiąc, że pan Andronicz wybrał zamiast niej jednego asystenta z Filadelfii. Tak więc po powrocie z podróży nie czekała na nią żadna praca. Teresa spojrzała na rozbitą madonnę. Drewno było od wewnątrz bardzo ładne. Pękło czyściutko wzdłuż włókien.

Carol wypytywała ją tego wieczoru szczegółowo o rozmowę z Richardem. Teresę denerwowało, że Carol jest zatroskana tym, czy Richard przypadkiem nie cierpiał.

„Nie masz zwyczaju myśleć o uczuciach innych”, powiedziała Carol prosto z mostu.

Były w kuchni, przygotowując sobie późną kolację. Carol dała gosposi wychodne na

wieczór.

„Jaki miałaś konkretny powód, żeby przyjąć, iż on cię nie kocha?” zapytała Carol.

„Może po prostu nie rozumiem, jak to się u niego objawia. Ale według mnie nie ma to nic wspólnego z miłością.”

Przy kolacji, w środku rozmowy o podróży, Carol niespodziewanie powiedziała: „Nie powinnaś była w ogóle rozmawiać z Richardem.”

Po raz pierwszy Teresa powiedziała jej coś niecoś o swojej pierwszej rozmowie z Richardem w kafeterii.

„A czemu nie? Miałam go może okłamywać?”

Carol nawet nie tknęła jedzenia. Nagle gwałtownie odsunęła swoje krzesło i wstała.

„Jesteś jeszcze za młoda, żeby znać siebie samą i wiedzieć, czego chcesz. Albo co mówisz. Tak, w tym wypadku - kłamać.”

Teresa odłożyła widelec. Patrzyła, jak Carol przypalała sobie papierosa.

„Musiałam się z nim rozstać i uczyniłam to. Tak. Nie chcę go więcej widzieć.”

Carol otworzyła drzwiczki w dole biblioteczki i wyjęła butelkę. Nalała trochę do szklanki i z hukiem zamknęła drzwiczki. „Dlaczego musiałaś zrobić to teraz? I czemu wplątujesz mnie w to wszystko?”

„Wiem - myślę, że to go fascynuje.”

„Prawdopodobnie tak.”

„Ale ja go po prostu nie chcę więcej widzieć...”

Nie mogła mówić dalej. On nie ma prawa za nią łązić, szpiegować jej. Nie chciała tego powiedzieć Carol. Przypomniała sobie jednak oczy Richarda. „Myślę, że da sobie z tym spokój. Powiedział, że nie mógłby się z tobą mierzyć.”

Carol postukała się w czoło. „Nie mógłby się mierzyć!” powtórzyła. Podeszła do stołu i dołała sobie wody do whisky. „Coś takiego. Chodź, zjedz do końca. Może wyolbrzymiam to wszystko, sama nie wiem.”

Teresa nie poruszyła się. Źle to rozegrała. Lecz nawet gdyby zrobiła to dobrze, nie potrafiłaby Carol tak uszczęśliwić, jak ona ją, pomyślała już chyba po raz setny. Carol bywała szczęśliwa tylko przez moment, co Teresa spostrzegła i zatrzymywała w pamięci. Tak było, kiedy obie pakowały ozdoby choinkowe i Carol złożony łańcuch z papierowymi aniołkami schowała go między kartki jakiejś książki. „Zachowam go sobie”, powiedziała. „Jeśli czuwają nade mną dwadzieścia dwa anioły, nic złego stać mi się nie może.”

Carol spojrzała na nią jakby przez zasłonę rozdrażnienia, co je tak strasznie od siebie oddalało.

„Frazesy”, powiedziała. „Nie mogę się mierzyć. Ten frazes jest klasyczny. Setki ludzi powtarzają to samo. Są frazesy dla matek, frazesy dla córek, dla mężów, dla kochanków. «Raczej zginę». To jest ten sam teatr w różnych inscenizacjach i z różnymi aktorami. Kiedy jakaś sztuka staje się, jak się to mówi, klasyką, Tereso?”

„Klasyczne...” głos Teresy zabrzmiał jak przytłumiony i bez oddechu. „Klasyczne jest coś, co zawiera elementarną sytuację człowieka.”

Kiedy Teresa się obudziła, słońce rozjaśniało jej pokój. Leżała kilka minut, obserwując słoneczne kręgi, ślizgające się niczym woda po bładoniebieskiej kołdrze, i nadsluchiwała czy coś porusza się w domu. Zauważyła swoją bluzkę przerzuconą nieuważnie przez kant komody. Czemu była w domu Carol taka nieporządna? Carol tego nie lubiła.

Pies, który miał swoją budę gdzieś za garażem, czekał od czasu do czasu bez przekonania. Jednak zdarzyło się wczoraj wieczorem coś sympatycznego: zadzwoniła Rindy. Właśnie o wpół do dziesiątej wróciła z przyjęcia urodzinowego, chciała się dowiedzieć, czy może także urządzić party na swoje urodziny w kwietniu. Ależ oczywiście, odrzekła Carol. Po tym telefonie Carol była jak odmieniona.

Opowiadała o Europie, o wakacjach w Rapallo.

Teresa wstała, otworzyła okno i oparła się, zdrętwiała z zimna, na parapecie.

Nigdzie nie było takiego poranka, jak ten oglądany przez to okno. Trawnik za podjazdem rozświetlony słońcem wyglądał tak, jakby rozsypano na nim złote igły, wilgotne liście żywopłotu mieniły się, a niebo było świeżą, czystą krwią.

Spojrzała w dół na podjazd, tam gdzie wtedy w porannej szarości stała Abby oraz na kawałek białego ogrodzenia za żywopłotem, okalającego trawnik. Ziemia wyglądała tak, jakby oddychała, świeżo i młodo, pomimo że trawa była brązowa od zimowego chłodu. Także wokół szkoły w Montclair rosły drzewa i żywopłot, ale zieleń kończyła się zawsze przy czerwonym murze z piaskowca albo przy budynku z szarego kamienia, należącym do szkoły - izolotka, skład drewna, warsztat - i zieleń ta już na wiosnę wyglądała jak stara i zwiędła, zużyta i przekazywana dalej przez jedną generację dzieci następnej, podobnie jak wszystko inne, co należało do wyposażenia szkoły - książki czy fartuszki.

Założyła spodnie w kratę, które zabrała ze sobą i bluzkę. Było dwadzieścia po ósmej. Carol wstawała zazwyczaj koło wpół do dziewiątej, lubiła być budzona filiżanką kawy, choć Teresa nigdy nie widziała, żeby robiła to Florence.

Florence była w kuchni i właśnie zabierała się do parzenia kawy.

„Dzień dobry”, powiedziała Teresa. „Miałaby pani coś przeciwko temu, żebym ja przygotowała śniadanie?” Zazwyczaj Florence nie sprzeciwiała się.

„Proszę, panienko”, odpowiedziała. „Zrobię sobie tylko jajka sadzone. Pani zatroszczy się już o panią Aird, prawda?”, zabrzmiało to jak stwierdzenie.

Teresa wyjęła z lodówki dwa jajka i uśmiechnąwszy się powiedziała: „Tak.” Jedno jajo wrzuciła do wody, która właśnie zaczęła się gotować. Jej odpowiedź zabrzmiała trochę niepewnie, ale cóż innego miała powiedzieć? Kiedy odwróciła się, skończywszy nakrywać do śniadania, zobaczyła, że Florence wrzuciła i drugie jajko do wody. Teresa wyłowiła je palcami. „Ona chciała tylko jedno - to drugie jest na mój omlet”, powiedziała.

„Ach tak? Ona zawsze jadła dwa jajka.”

„Możliwe, ale teraz już nie.”

„Nie lepiej nastawić zegar, panienko?”, Florence obdarowała ją przyjacielskim uśmiechem eksperta. „Jest tam na górze, na kuchence.”

Teresa pokręciła głową. „Lepiej mi się udają, gdy robię to na wycucie.” Jajka dla Carol zawsze jej się udawały. Carol lubiła je nieco twardsze niż według zegara.

Kawa przefiltrowała już prawie do końca. Teresa napełniła w milczeniu jedną filiżankę, żeby zanieść ją Carol na górę.

Późnym przedpołudniem, pod nieobecność Florence posłanej po zakupy, Teresa pomagała Carol wnosić do domu białe ogrodowe meble. Harge zostawiał je zawsze przez zimę na zewnątrz, ale Carol uważała, że wyglądają później szaro i posepnie. W końcu zostało tylko jedno krzesło przy okrągłej fontannie, ładne, małe, metalowe krzesło, pomalowane na biało, z zaokrąglonym siedzeniem i ażurowymi nogami. Teresa zastanawiała się, kto też na nim lubił przesiadywać.

„Chciałabym, żeby było więcej przedstawień, które rozgrywają się na dworze”, powiedziała Teresa.

„O czym myślisz najpierw, kiedy projektujesz scenografię, od czego zaczynasz?”, zapytała Carol.

„Próbuję wczuć się w atmosferę sztuki. Co masz na myśli?”

„Czy zastanawiasz się nad tym, jaki to rodzaj sztuki czy też myślisz o czymś, co chętnie widziałabyś na scenie?”

To przypominało uwagi pana Donohue i nie przypadło Teresie do gustu.

Carol była tego ranka w kłótlwym nastroju.

„Myślę, że uważasz mnie za amatora - co?”

„Nie zawsze.” Ale Teresa zrozumiała, co Carol chciała powiedzieć.



„Musisz bardzo dużo wiedzieć, żeby móc być absolutnie subiektywną. W tych pracach, które mi pokazałaś, jesteś, jak mi się wydaje, zbyt subiektywna - nie mając do tego żadnych podstaw.”

Teresa zacisnęła dłonie w kieszeniach spodni. Miała cichą nadzieję, że Carol pochwali wszystkie jej prace bez zastrzeżeń. Była okropnie zła, kiedy kilka projektów, które jej pokazała, nie spotkało się z uznaniem. Carol nie miała żadnego pojęcia, jeśli chodzi o stronę techniczną, ale mogła jedną uwagą zniszczyć całą jej dekorację.

„Myślę, że poznanie Zachodu dobrze ci zrobi. Kiedy, mówiłaś, musisz być z powrotem? W połowie lutego?”

„No cóż - już nie, jak się wczoraj dowiedziałam.”

„Co to znaczy? Nic nie wyszło z tej pracy w Filadelfii?”

„Zadzwonili do mnie, biorą kogoś stamtąd.”

„Ach, moje biedactwo. Przykro mi.”

„Tak to już jest w tym fachu”, powiedziała Teresa. Ręka Carol gładziła ją po karku, jej kciuk pieścił miejsce za uchem. Tak jakby pieściła psa.

„Nie chciałaś mi tego mówić.”

„Ależ tak, chciałam.”

„Kiedy?”

„Kiedyś, w czasie podróży.”

„Jesteś bardzo zawiedziona?”

„Nie”, odrzekła Teresa zdecydowanie.

Odgrzały ostatnią filiżankę kawy, zaniósł ją na białe krzesło na trawniku i podzieliły się jej zawartością.

„Pojedziemy na obiad?” zapytała Carol. „Chodź, pojedziemy do klubu. Potem muszę załatwić kilka rzeczy w Nowym Jorku. Co sądzisz o żakiecie? Podobałby ci się tweedowy żakiet?”

Teresa siedziała na brzegu fontanny, jedną rękę przyciskając do ucha, które rozboleło ją z zimna. „Nie potrzebuję teraz żakietu”, powiedziała.

„Ale ja chętnie bym cię właśnie teraz w nim widziała.”

Teresa przebierała się na górze, kiedy zadzwonił telefon. Słyszała, jak Florence mówi: „Ach, dzień dobry, panie Aird. Tak, zaraz ją zawołam.” Teresa przeszła przez pokój i zamknęła drzwi. Niepokojnie zabrała się za sprzątanie, powiesiła sukienki do szary, wygładziła łóżko, już wcześniej zaścielone. Wtedy Carol zapukała do drzwi i wetknęła do środka głowę. „Harge przyjdzie za chwilę. Myślę, że długo nie zostanie.”

Teresa nie chciała się z nim spotkać. „Może pójde na spacer?”

Carol uśmiechnęła się. „Nie. Zostań na górze, poczytaj sobie, jeśli masz ochotę.”

Teresa sięgnęła po książkę, którą dzień wcześniej kupiła: *Oxford Book of English Verse* i zaczęła czytać, lecz słowa wydawały się niezrozumiałe i pozbawione sensu.

Miała niepokojące uczucie, że się ukrywa, więc otworzyła drzwi.

Carol wyszła właśnie ze swego pokoju i Teresa zauważyła przez chwilę na jej twarzy to samo niezdecydowanie, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przekraczała próg tego domu. Potem powiedziała: „Zejdź na dół.”

Samochód Harge'a nadjechał, gdy wchodziły do salonu. Carol poszła otworzyć i Teresa usłyszała, jak się przywitani. Carol serdecznie, Harge uderzająco wesoło i Carol wróciła niosąc duże pudło z kwiatami. „Harge, to jest panna Belivet. Już ją kiedyś spotkałeś” powiedziała Carol.

Harge zmrużył oczy.

„Ach tak. Dzień dobry.”

„Dzień dobry”, odparła Teresa.

Weszła Florence i Carol oddała jej kwiaty. „Może pani to gdzieś wstawić?”, powiedziała.

„Ach, oto i moja fajka. Wiedziałem.” Harge sięgnął za bluszcz na kominku i wyciągnął fajkę.

„W domu wszystko w porządku?” zapytała Carol, siadając na końcu sofy.

„Tak, owszem.” Wymuszony uśmiech Harge nie odsłaniał zębów, ale jego twarz i szybkie ruchy głowy promieniały jowialnością i samozadowoleniem. Z zadowoleniem właściciela patrzył, jak Florence wkłada kwiaty, czerwone róże, do wazonu i stawia go na ławie przed sofą. Teresa wyobraziła sobie nagle, że to ona przyniosła Carol kwiaty i przypomniała sobie te, które pewnego dnia dostała od Danniego, kiedy wpadł tak po prostu na chwilę do teatru.

Spojrzenia jej i Harge'a spotkały się, po czym on odwrócił wzrok, wodząc oczami po pokoju, jakby chciał stwierdzić jakieś zmiany. Jego zakrzywiona brew uniosła się jeszcze ostrzej. Jego wesołość może być udawana, pomyślała Teresa. A jeśli tak bardzo zależało mu na tym, żeby udawać, to musiało mu także trochę zależeć na Carol.

„Czy mogę zabrać jedną różę dla Rindy?” zapytał Harge.

„Oczywiście.” Carol wstała i chciała ułamać jeden z kwiatów, ale Harge uprzedził ją, przyłożył mały nóż do łodygi odciął go. „Są bardzo piękne. Dziękuję ci, Harge.”

Harge przytknął kwiat do nosa i zwrócony częściowo do Carol, częściowo do Teresy

powiedział: „Jaki piękny dzień. Wybieracie się na przejażdżkę?”

„Tak” odparła Carol. „A przy okazji, chętnie wpadnę do was któregoś popołudnia. Może we wtorek.”

Harge zastanawiał się przez chwilę. „Dobrze, powiem jej.”

„Z nią porozmawiam jeszcze przez telefon. Chciałam, żebyś powiedział o tym swojej rodzinie.”

Harge skinął głową i spojrzał na Teresę. „Tak, przypominam sobie panią. Oczywiście. Była pani tutaj jakieś trzy tygodnie temu, przed świętami.”

„Tak, w sobotę.” Teresa wstała. Chciała zostawić ich samych. „Pójdę na górę”, oznajmiła. „Do widzenia, panie Aird.”

Harge skłonił się lekko. „Do widzenia.”

Idąc po schodach słyszała, jak Harge mówił: „A więc, serdeczne życzenia Carol. Chciałem ci złożyć gratulacje, chyba się na mnie za to nie gniewasz?”

Carol ma urodziny, pomyślała Teresa. Naturalnie. Carol nie chciała jej o tym powiedzieć.

Zamknęła za sobą drzwi i rozglądając się po pokoju, uświadomiła sobie, że szuka jakiejś oznaki tego, że spędziła w nim noc. Nic nie znalazła. Stała przed lustrem i wpatrywała się w nie przez chwilę ze ściągniętym czołem. Nie była już taka blada, jaką widział ją Harge trzy tygodnie temu, nie czuła się już jak owa przerażona, zdeprimowana, mała istota, którą wtedy spotkał. Z górnej szuflady wyjęła swoją torebkę i sięgała akurat po szminkę, gdy usłyszała jak Harge zapukał do drzwi, więc szybko zasunęła szufladę.

„Proszę.”

„Przepraszam panią. Muszę coś zabrać.” Szybkim krokiem przeszedł przez pokój do łazienki i uśmiechając się wrócił z maszynką do golenia w ręce. „Była pani w sobotę z Carol w restauracji, prawda?”

Teresa potwierdziła.

„Carol mówi, że jest pani scenografem?”

„Tak.”

Jego wzrok przesunął się po niej uważnie i dokładnie. „Mam nadzieję, że będzie pani uważała, żeby Carol często wychodziła na świeże powietrze”, powiedział. „Wygląda pani młodo i żwawo. Niech pani pilnuje, żeby chodziła na spacer.”

Podszedł szybko do drzwi, zostawiając po sobie lekki zapach wody po goleniu. Teresa rzuciła szminkę na łóżko i przejechała wierzchem dłoni po bluzce. Zastanawiała się, dlaczego Harge starał się dać jej do zrozumienia, że domyśla się, iż ona spędza z Carol dużo czasu.

„Teresa!” zawołała nagle Carol. „Zejdź na dół!”

Carol siedziała na sofie i paliła; delikatny uśmiech igrał w kącikach jej ust.

Harge już poszedł. Potem zjawiła się Florence i Carol powiedziała: „Florence, niech pani postawi te kwiaty gdzieś indziej. W jadalni.”

„Tak jest, madame.”

Carol mrugnęła do Teresy.

Nikt nie korzystał z jadalni, Teresa o tym wiedziała. Carol jadła chętniej gdzie indziej.

„Dlaczego nie powiedziałaś mi, że dziś są twoje urodziny?” zapytała Teresa.

„Ach” - Carol roześmiała się. „Bo nie są. To nasza rocznica ślubu. Weź płaszcz, wychodzimy.”

Kiedy wyjeżdżały z podjazdu na ulicę, Carol powiedziała: „Jeśli czegoś nie znoszę, to właśnie zakłamanie.”

„Co on powiedział?”

„Nic ważnego.” Carol wciąż się uśmiechała.

„Ale mówisz, że jest hipokrytą.”

„Par excellence.”

„A więc ten dobry nastrój to była gra?”

„To też - po części.”

„Czy mówił coś o mnie?”

„Powiedział, że wyglądasz na miłą dziewczynę. Czy to cię zaskoczyło?” Carol popędziła wąską drogą do wsi. „Powiedział, że sprawa rozwodowa potrwa o jakieś sześć tygodni dłużej, niż myśleliśmy, z powodu jakichś dodatkowych formalności. To jest ta nowina. On ciągle ma nadzieję, że jednak zmienię zdanie. To jest zakłamanie. Myślę, że lubi robić z siebie błazna.”

Czy życie, ludzkie stosunki, zawsze były takie, zastanawiała się Teresa. Nigdy stałego gruntu pod nogami, zawsze żwir, który się ugina tak głośno, że cały świat musi to słyszeć. Że też zawsze nasłuchuje się głośnych, skrzypiących kroków intruza.

„Carol, wiesz, że nigdy nie przyjąłabym czeku”, zauważyła nagle Teresa. „Wsunęłam go pod serwetę na nocnym stoliku.”

„Dlaczego teraz o tym mówisz?”

„Chcesz, żebym go podarła? Byłam gotowa to zrobić, tamtego wieczoru.”

„Jeśli się przy tym upierasz”, odrzekła Carol.

Teresa spojrzała na duży papierowy karton. „Nie wezmę go teraz.” Obie ręce miała zajęte. „Mogę powiedzieć pani Osborne, żeby wyjęła jedzenie, a reszta może tu zostać.”

„Zanieś to na dół”, powiedziała Carol podchodząc do drzwi. Wynosiła ostatnie drobiazgi, książki i kurtki, na które Teresa zdecydowała się w ostatniej chwili.

Teresa poszła jeszcze raz na górę, żeby przynieść paczkę. Przed godziną przyniósł ją posłaniec - mnóstwo kanapek owiniętych w papier śniadaniowy, butelka wina z jagód, ciasto i pudełko z białą sukienką, którą pani Semco obiecała Teresie. Richard nie miał z tą paczką nic wspólnego, bo wówczas byłaby w niej książka i kilka słów od niego.

Sukienka, której nie chciała zabrać ze sobą, leżała jeszcze na tapczanie, róg dywanu był zagięty, lecz Teresie paliło się już do wyjścia. Zatrzasnęła drzwi i zbiegła z paczką na dół, mijając drzwi Kellych, którzy wyszli już do pracy, i drzwi mieszkania pani Osborne. Przed godziną pożegnała się z nią, zapłaciwszy czynsz za następny miesiąc.

Teresa zamykała właśnie drzwi samochodu, kiedy pani Osborne zawołała do niej ze schodów: „Telefon!”, więc z niechęcią - myśląc, że to Richard - wysiadła.

Był to Phil McElroy, który telefonował, żeby się dowiedzieć, jak przebiegło jej spotkanie z Harkevym. Opowiedziała o tym Danniemu w czasie ostatniego obiadu. Harkey nie obiecał jej żadnej pracy, ale zaproponował, żeby pozostali w kontakcie i Teresa odniosła wrażenie, że mówił to poważnie.

Powiedział, żeby przyszła do teatru za kulisy, gdzie właśnie ogląda dekoracje do „Zimowego miasteczka”. Przypiął do ściany trzy z jej papierowych modeli i oglądał je bardzo uważnie, uznając jeden za zbyt ułożony oraz wskazując na kilka praktycznych braków w drugim. Najbardziej podobała mu się dekoracja w rodzaju hali, którą Teresa zaczęła projektować po swej pierwszej wizycie u Carol. Był pierwszym człowiekiem który jej niekonwencjonalne projekty brał poważnie. Natychmiast zadzwoniła do Carol, żeby opowiedzieć jej o tym spotkaniu.

Także Phila poinformowała, nie nadmieniając jednak, że nic nie wyszło z jej pracy u Andronicha, gdyż nie chciała, żeby Richard się o tym dowiedział.

Teresa poprosiła Phila, żeby ją zawiadomił, do jakiej sztuki Harkey będzie robił następną scenografię, gdyż dał jej do zrozumienia, że wciąż nie może się zdecydować na jedną z dwóch propozycji. Szansa, że wybierze ją na swoją asystentkę, była większa w wypadku angielskiej sztuki, o której wczoraj mówił.

„Nie mogę podać ci jeszcze żadnego adresu”, powiedziała Teresa. „Wiem tylko, że jedziemy do Chicago.”

Phil zaproponował, że mógłby wysłać list na pocztę główną do Chicago.

„Czy to Richard dzwonił?” zapytała Carol, kiedy wróciła.

„Nie. Phil McElroy.”

„A więc Richard się nie odezwał?”

„Nie, przez ostatnie dni nie. Dziś rano przysłał telegram.” Teresa ociągała się trochę, ale potem wyjęła go z kieszeni i przeczytała.

*„NIE ZMIENIŁEM SIĘ! TY TEŻ NIE! NAPISZ DO MNIE. KOCHAM CIĘ. RICHARD”.*

„Uważam, że powinnaś do niego zatelefonować”, powiedziała Carol. „Zadzwoń do niego ode mnie z domu.”

Chciały spędzić noc u Carol i wyjechać skoro świt.

„Załóżysz tę sukienkę dziś wieczorem?” zapytała Carol.

„Przymierzę ją. Wygląda jak suknia ślubna.”

Teresa ubrała sukienkę przed kolacją. Sięgała do kostek, a w talii podtrzymywały ją długie białe wstążki, przyszyte z przodu i wyhaftowane. Zeszła na dół, żeby zaprezentować się Carol, która siedziała w salonie i pisała list.

„Spójrz”, rzekła Teresa i uśmiechnęła się.

Carol patrzyła na nią długo, a potem podeszła bliżej, żeby obejrzeć haft w talii.

„To muzealny egzemplarz. Wyglądasz czarująco. Zostaniesz w niej dzisiaj, dobrze?”

Jest artystycznie wykonana.” Nie chciała w niej zostać, gdyż przypominała jej o Richardzie.

„W jakim to jest stylu, do diabła - rosyjskim?”

Teresa roześmiała się. Lubiła sposób, w jaki Carol - zawsze zupełnie mimochodem - przeklinała, kiedy nikt oprócz niej tego nie słyszał.

„Zgadza się?”, zapytała Carol ponownie.

„Co się zgadza?”, Teresa była już na schodach.

„Gdzie się przyzwyczaiłaś nie odpowiadać na pytania?”, głos Carol zabrzmiał nagle szorstko z rozdrażnienia. Również w jej oczach pojawiły się te płomyki złości, które Teresa już raz odkryła, kiedy nie chciała zagrać na pianinie. A to, co Carol teraz zezłościło, było podobną drobnostką.

„Przepraszam, Carol. Musiałam się przesłyszeć.” „Idź już”, powiedziała Carol i odwróciła się. „No już, idź na górę i przebierz się.”

To na pewno z powodu Harge’a, pomyślała Teresa. Stała przez chwilę zwlekając, a potem poszła na górę. Rozwiązała wstążki, spojrzała w lustro i zawiązała z powrotem. Jeśli Carol chciała, żeby w niej została, to w niej zostanie.

Same przygotowały sobie kolację, gdyż Florence miała akurat trzytygodniowy urlop. Otworzyły kilka weków, które Carol przechowywała na specjalne okazje i przyrządziły sobie przed kolacją dwa mocne coctaille. Teresa myślała już, że zły humor Carol minął, ale kiedy chciała sobie dolać drinka, Carol zauważyła krótko: „Myślę, że nie powinnaś więcej tego pić.”

Teresa ustąpiła z uśmiechem. Lecz zły nastrój trwał nadal. Nic nie można było na to poradzić. Teresa przypisała tej niechcianej sukience całą winę za to, że nie przychodziło jej do głowy nic, co zdołałoby rozweselić Carol. Zaniosły marynowane w koniaku kasztany i kawę na werandę, ale w panującym tam półmroku rozmawiały ze sobą jeszcze mniej i Teresa poczuła się śpiąca i bardzo przygnębiona.

Następnego ranka Teresa znalazła na progu przed tylnym wejściem papierową torebkę. W środku była zabawka - wypchany osiołek o szarobiałej sierści. Teresa pokazała go Carol.

„O mój Boże!” powiedziała łagodnie Carol i uśmiechnęła się. „Jacopo.” Wzięła osiołka i potarła palcem wskazującym jego lekko przybrudzone białe policzki.

„Abby i ja zawsze miałyśmy go zawieszzonego z tyłu w samochodzie”, powiedziała.

„Czy to Abby go przyniosła? Wczoraj wieczorem?”

„Tak przypuszczam.” Carol poszła z walizką i osiołkiem do auta. Teresa przypomniała sobie, jak obudziła się z lekkiej drzemki w bujanym fotelu. Było zupełnie cicho, a Carol siedziała w ciemności, zapatrzona przed siebie. Carol musiała słyszeć samochód Abby. Teresa pomogła jej załadować walizki i koc do bagażnika.

„Dlaczego nie weszła do domu?” zapytała Teresa.

„Ach, taka właśnie jest Abby”, odrzekła Carol z uśmiechem, z tą lekką nieśmiałością, która zaskakiwała Teresę za każdym razem. „Czemu nie zadzwonisz do Richarda?”

Teresa westchnęła. „Teraz to i tak niemożliwe. O tej porze nie ma go w domu.”

Była ósma czterdzieści, a jego szkoła zaczynała się o dziewiątej.

„No, to zadzwoń do jego rodziny. Nie podziękujesz im za paczkę?”

„Właściwie to miałam zamiar do nich napisać.”

„Zadzwoń do nich teraz, to nie będziesz musiała pisać. Poza tym zawsze przyjemniej jest zatelefonować.”

„Richard akurat wyszedł”, powiedziała pani Semco. „Będzie czuł się bardzo samotny. Już teraz się smuci.” Ale śmiała się, jej serdeczny, jasny śmiech, wypełniał kuchnię, rozlegał się w całym domu aż po pusty pokój Richarda na górze. „Ale z tobą i Richardem wszystko w porządku, prawda?” spytała pani Semco z lekką nutą podejrzliwości w głosie, chociaż Teresa mogłaby przysiąc, że wciąż się uśmiechała.

Teresa potwierdziła i obiecała napisać. Ta rozmowa zdecydowanie poprawiła jej samopoczucie.

Carol zapytała, czy zamknęła okno na górze i Teresa wróciła jeszcze raz do mieszkania, aby to sprawdzić. Ani nie zamknęła okna, ani nie pościeliła swego łóżka, ale teraz nie było już na to czasu.

Florence posprząta, jak wróci w poniedziałek, żeby zamknąć dom.

Carol była przy telefonie, kiedy Teresa zeszła na dół. Spojrzała z uśmiechem na Teresę i przystawiła jej do ucha słuchawkę. Od pierwszego tonu wiedziała, że to Rindy.

„...u.. o jej - pana Byrona. To taka farma. Byłaś tam kiedyś, mam?”

„Gdzie, kochanie?” zapytała Carol.

„No, u pana Byrona. On ma konie, ale nie takie, jakie ty lubisz.”

„Aha - czemu nie?”

„No, bo one są grube.”

Teresa starała się w tym bardzo dźwięcznym, całkiem rzeczowym dziecięcym głosie wyłowić coś, co przypominałoby głos Carol, ale bez skutku.

„Hallo”, powiedziała Rindy, „Mama?”

„Jestem.”

„Muszę kończyć. Tatuś jest już gotowy, wychodzimy.” I zakaszła.

„Masz kaszel?”

„Nie.”

„No, to nie kasłaj do telefonu.”

„Chciałabym, żebyś zabrała mnie w tę podróż.”

„Nie mogę, przecież musisz chodzić do szkoły. Ale wyjedziemy sobie w lecie.”

„Możesz do mnie jeszcze zadzwonić?”

„Z podróży? Oczywiście, że tak. Codziennie.” Carol odchyliła się z telefonem do tyłu, ale w ciągu tych kilku minut, kiedy rozmawiała, Teresa nie spuszczała jej z oczu.

„Ma taki poważny głos”, odezwała się.

„Opowiedziała mi wszystko o wczorajszym wielkim dniu. Harge pozwolił jej zagrać w hokeja.”



Carol widziała Rindy przed dwoma dniami, przypomniała sobie Teresa.

Były to z całą pewnością przyjemne odwiedziny, jak ją Carol poinformowała przez telefon, nie opowiadając jednak żadnych szczegółów i Teresa nie pytała o nie.

Tuż przed wyruszeniem, Carol wpadła na pomysł, żeby raz jeszcze zadzwonić do Abby.

W samochodzie było zbyt zimno, żeby w nim zostać. „Nie znam żadnych małych miast w Illinois”, mówiła właśnie Carol. „Dlaczego Illinois?...Dobrze, Rockford... zapamiętam, pomyślę o Roquefort... Oczywiście, że będę na niego dobrze uważać.

Wolałaby, żebyś weszła do środka, ty głuptasie... no, to się bardzo mylisz.”

Teresa wypła łyk z filiżanki Carol, przytknęła usta tam, gdzie był ślad jej szminki.

„Ani słowa”, powiedziała Carol, przeciągając wyrazy. „Nikt, o ile wiem, nawet Florence nie... Dobrze, zrób to, kochanie. Do zobaczenia.”

Pięć minut później opuściły miasto i wjechały na autostradę, oznaczoną na mapie na czerwono, po której będą jechały aż do Chicago. Niebo było zachmurzone. Teresa oglądała krajobraz, który dobrze już poznała, gęste lasy, przez które wiodła droga do Nowego Jorku, w oddali wysokie drzewce chorągwi, symbol klubu Carol.

Teresa wpuściła przez okno trochę Świeżego powietrza. Było bardzo zimno i ogrzewanie, skierowane na nogi, dobrze jej robiło. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał za kwadrans dziesiątą. Nagle przyszedł jej na myśl ludzie, którzy pracowali u Frankenberga. O tej porze byli już tam zamknięci, i dzisiaj, i jutro, i pojutrze, a wskazówki zegarów panowały nad każdym ich ruchem.

Natomiast wskazówki zegara w samochodzie nie znaczyły dla niej, ani dla Carol zupełnie nic. Będą spać lub nie, jak im się będzie podobało. Pomyślała o pani Robichek, która w tej chwili sprzedawała swetry na trzecim piętrze i dla której zaczął się tam następny rok, jej piąty.

„Jesteś taka milcząca?” zapytała Carol. „Co się stało?”

„Nic.” Nie miała ochoty rozmawiać. Czuła, że tysiące słów próbuje wydobyć się z jej jakby zasznurowanej krtani; może jedynie oddalenie, może tylko tysiące kilometrów uwolnią ją od tego. A może była to też wolność, która groziła jej uduszeniem.

Gdzieś w Pensylwanii jechały w bladym blasku słońca, ale już po południu zaczęło padać. Carol przeklinała, lecz szum deszczu, który tak w nieregularnych odstępach stukał o szyby i dach, był przyjemny.

„Wiesz, czego zapomniałam?” odezwała się Carol. „Płaszcz od deszczu. Muszę sobie kupić po drodze.”

I w tym momencie również Teresa uświadomiła sobie, że nie zabrała książki, którą właśnie zaczęła czytać. Był w niej list do Carol, kartka papieru, wystająca z góry i z dołu z książki. Cholera. Leżała osobno, nie z innymi jej książkami i dlatego jej zapomniała, zostawiła na stole obok łóżka. Miała tylko nadzieję, że Florence go nie przeczyta. Na próżno starała się sobie przypomnieć, czy wymieniła w liście imię Carol. I czek! Zapomniała go podrzeć.

„Carol, wzięłaś czek?”

„Ten, który ci dałam? Powiedziałaś, że go podrzesz.”

„Nie zrobiłam tego. Leży wciąż pod serwetą.”

„No, cóż”, powiedziała Carol, „to nie takie ważne.”

Kiedy się zatrzymały, żeby zatankować paliwo, Teresa chciała kupić w sklepie przy stacji benzynowej portera, którego Carol czasami piła, ale mieli tylko jasne. Kupiła tylko jedną puszkę, bo Carol za takim nie przepadała. Potem wjechały na wąską drogę, stanowiącą zjazd z autostrady i zatrzymały się.

Otworzyły pudełko z kanapkami, przygotowanymi przez matkę Richarda. Były tam także marynowane ogórki i kawałek mozzarelli oraz kilka jaj ugotowanych na twardo. Teresa zapomniała zapytać o otwieracz do konserw i teraz nie miała czym otworzyć swojej puszki piwa, ale w termosie była kawa. Położyła więc piwo na podłodze w tyle samochodu.

„Kawior. Jak miło z jej strony!” powiedziała Carol, rozkładając kanapkę. „Lubisz kawior?”

„Nie. Niestety nie.”

„Dlaczego Niestety?”

Teresa przyglądała się, jak Carol odgryza mały kawałek chleba, z którego zdjęła górną kromkę, ten kawałek, gdzie było najwięcej kawioru. „Ponieważ wszyscy - jeśli go w ogóle lubią - uważają, że kawior jest wspaniały”, odrzekła Teresa.

Carol uśmiechnęła się i dalej jadła swój chleb. „Kawior zasmakował mi dopiero po jakimś czasie. Takie zamięłowania sprawiają więcej radości - i bardzo ciężko jest się odzwyczaić.”

Teresa naląła kawę do kubka. Ona na przykład rozwinęła w sobie zamięłowanie do czarnej kawy.

„Ale byłam zdenerwowana, kiedy trzymałam ten kubek po raz pierwszy. Naląłaś mi wtedy kawy, pamiętasz?”

„Tak, pamiętam.”

„Jak to się stało, że tego dnia dodałaś śmietanki do kawy?”

„Sądziłam, że tak lubisz. Dlaczego byłaś tak zdenerwowana?”

Teresa obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. „Przez ciebie”, powiedziała, podnosząc kubek do góry. Spojrzała jeszcze raz na Carol i dostrzegła nagłą ciszę, jakby szok, na twarzy Carol. Już wcześniej zauważyła to dwa albo trzy razy, gdy mówiła coś podobnego na temat swoich uczuć do niej lub gdy powiedziała jej jakiś szczególny komplement. I Teresa nie umiała powiedzieć, czy Carol lubiła to czy nie. Obserwowała, jak Carol zawinęła drugą kromkę chleba z kawiozem w papier.

Pani Semco włożyła do paczki także ciasto, lecz Carol nie miała na nie ochoty.

Był to brązowawy placek z przyprawami, jaki często jadła u Richarda w domu. Z niezwykłą starannością, która Teresę u każdego innego wyprowadziłaby z równowagi, Carol wkładała wszystko z powrotem do torby, w której leżały jeszcze papierosy i butelka whisky.

„Czy nie mówiłaś, że pochodzisz ze stanu Waszyngton?” zapytała Teresa.

„Urodziłam się tam, a mój ojciec do dziś tam mieszka. Napisałam do niego, że może go odwiedzę, jeśli tak daleko zajedziemy.”

„Jest podobny do ciebie?”

„Czy ja jestem do niego podobna? Tak - bardziej niż do matki.”

„Trudno mi wyobrazić sobie ciebie z rodziną.” „Dlaczego?”

„Bo dla mnie jesteś zupełnie kimś wyjątkowym. Sui generis.”

Carol podniosła głowę i uśmiechnęła się. „Wspaniale. Tylko tak dalej.”

„A rodzeństwo?” zapytała Teresa.

„Jedna siostra. Jak się domyślam, chcesz także i o niej wszystko wiedzieć? Nazywa się Elaine, ma troje dzieci i mieszka w Virginii. Jest starsza ode mnie, i nie wiem, czy byś ją polubiła. Prawdopodobnie wydałaby ci się nudna.”

Tak, Teresa mogła ją sobie doskonale wyobrazić: lustrzane odbicie Carol, tyle tylko, że nieco osłabiona, rozmyta wersja.

Późnym popołudniem zatrzymały się przed wiejską restauracją przy drodze, z miniaturką holenderskiej wioski w oknie wystawowym. Teresa stanęła całkowicie zatopiona w tym małym świecie. Była tam rzeczka, wypływająca z rury i uchodząca do owalnego basenu. Wiatrak poruszał skrzydłami. Malutkie figurki w holenderskich strojach ludowych stały we wsi na małych kępkach prawdziwej trawy. Pomyślała o elektrycznej kolejce w dziale z zabawkami u Frankenberga i o wściekłości, z jaką pędziła po owalu torów, który był mniej więcej tak duży, jak tutejszy basen.

„Nigdy nie opowiadałam ci o kolejce elektrycznej u Frankenberga”, odezwała się Teresa. „Zauważyłaś ją, kiedy...”

„Kolejka elektryczna...?” przerwała Carol.

Teresa powiedziała to z uśmiechem, lecz serce jej się ścisnęło. To było zbyt skomplikowane, żeby się w to wdawać i tak rozmowa na ten temat ucichła.

Carol zamówiła zupę dla nich obu. Były zmarznęte i zeszywniały od jazdy.

„Nie jestem pewna, czy ta podróż naprawdę sprawi ci radość”, powiedziała Carol. „O wiele bardziej wolisz rzeczy odbite w lustrze - prawda? Masz zupełnie osobiste wyobrażenie wszystkiego. Na przykład ten wiatrak - dla ciebie znaczy on tyle samo, co bycie w Holandii. Zastanawiam się, czy ty w ogóle chcesz oglądać prawdziwe góry i prawdziwych ludzi.”

Teresa poczuła się tak przybita, jakby Carol posądziła ją o kłamstwo. Carol uważała zapewne, że Teresa ma też swoje całkiem osobiste wyobrażenie o niej, i to bardzo ją zabolalo. Prawdziwi ludzie? Pomyślała nagle o pani Robichek. Uciekła od niej, ponieważ była brzydka.

„Jak możesz w ogóle oczekiwać, że coś odkryjesz, jeśli nawet twoje doświadczenia pochodzą z drugiej ręki?” zapytała Carol. Jej głos był łagodny i spokojny, ale bezlitosny.

Carol dawała jej poczucie, że ona nigdy niczego nie dokona, była niczym, niczym innym jak tylko dźwiękiem i dymem. Carol żyła jak ludzka istota, wyszła za mąż, miała dziecko.

Stary mężczyzna stojący za ladą podszedł do nich. Kulał. Stał przy ich stoliku z założonymi rękami. „Były panie już kiedyś w Holandii?” zapytał uprzejmie.

Carol odpowiedziała: „Nie, ja nie. Domyślam się, że pan tam był. Czy to pan zbudował tę wioskę na wystawie?”

Skinął głową. „Kosztowało mnie to pięć lat pracy.”

Teresa spojrzała na kościste palce mężczyzny, chude ramiona z niebieskimi żyłami, rozgałęziającymi się pod skórą. Wiedziała lepiej od Carol, ile pracy musiał włożyć w zbudowanie tej małej wioski, ale nie odezwała się ani słowem.

Mężczyzna zwrócił się do Carol: „Tam obok mamy dobre kiełbaski i szynkę, jeśli chce pani coś prawdziwie pensylwańskiego. Hodujemy własne świnie, które są tu na miejscu szlachtowane, marynowane i wędzone.” Poszły do pomalowanego na biało sklepu obok restauracji, w którym pachniało wspaniale wędzonymi szynkami, palącym się drewnem i przyprawami.

„Weźmy coś, czego nie trzeba gotować”, powiedziała Carol, stając przed ladą chłodniczą z wystawionymi produktami.

„Proszę trochę tego”, powiedziała do młodego mężczyzny w nausznikach.

Teresa myślała o tym, jak pani Robichek stała w sklepie spożywczym i kupowała te cienkie plasterki salami i pasztetowej. Plakat na ścianie oznajmiał, że tutejsze towary

wysyłane są na cały świat i przyszło jej na myśl, żeby wysłać pani Robichek jedną z tych dużych kielbas zawiniętych w folię. Wyobraziła sobie radość na twarzy pani Robichek, kiedy swymi drżącymi rękami będzie otwierać paczkę i znajdzie w środku kielbasę. Ale czy naprawdę powinna uczynić taki gest, zastanawiała się Teresa, który może spowodowany był współczuciem albo wyrzutami sumienia lub jakimś innym, niezbyt szczerym uczuciem? Teresa zmarszczyła czoło. Czuła się tak, jakby pływała w jeziorze, bez kierunku i siły ciężkości, jedynie w przeświadczeniu, że nie może ufać swoim własnym impulsom.

„Teresa...”

Teresa odwróciła się i piękność Carol znowu ją uderzyła, jakby stała przed pomnikiem Nike z Samotraki. Carol pytała, czy ma kupić całą szynkę.

Mężczyzna przesunął wszystkie zakupy na ladę i wziął od Carol banknot dwudziestodolarowy. A Teresa znowu pomyślała o pani Robichek, jak ta owego wieczoru podawała drżącymi rękami swoją jednodolarówkę przez ladę.

„Widzisz coś jeszcze?” zapytała Carol.

„Myślałam o tym, że mogłabym komuś coś posłać. Jednej kobiecie, która pracuje w domu towarowym. Jest biedna i zaprosiła mnie kiedyś do siebie na kolację.”

Carol sięgnęła po resztę. „Jaka kobieta?”

„Jednak lepiej nic jej nie wysłać.” Teresa zapragnęła nagle wyjść ze sklepu.

Carol przyglądała się jej ze zmarszczonym czołem poprzez dym papierosa.

„Zrób to.”

„Nie chcę. Chodźmy stąd, Carol.” Znowu ten koszmar, jak wtedy, gdy nie mogła wyjść od tamtej kobiety.

„Wyślij jej coś”, powiedziała Carol. „Zamknij drzwi i każ jej coś posłać.”

Teresa zamknęła posłusznie drzwi, wybrała kielbasę za sześć dolarów i napisała na kartce: „Pozdrowienia z Pensylwanii. Mam nadzieję, że to wystarczy na kilka sobotnich poranków. Wszystkiego dobrego, Teresa Belivet.”

Później w samochodzie Carol zapytała ją o panią Robichek i Teresa odpowiedziała jak zwykle zwięźle i z tą mimowolną szczerością, która ją potem przygnębiła. Pani Robichek i świat, w którym żyła, były tak różne od świata Carol, jakby opisywała życie istoty jakiegoś innego gatunku, jakiegoś wstrętnego dziwoląga, żyjącego na innej planecie. Carol nie skomentowała tego ani słowem, tylko wypytywała ją dalej podczas jazdy. Nie odezwała się też, kiedy już nie było o co więcej pytać, ale napięty, zamyślony wyraz, z jakim jej słuchała, nie zniknął z jej twarzy, nawet wtedy, gdy zaczęły rozmawiać na inny temat. Teresa zacisnęła pięści. Dlaczego dopuściła, żeby pani Robichek ją prześladowała? A teraz jeszcze

opowiedziała to wszystko Carol i już nigdy nie będzie mogła tego cofnąć.

„Proszę, nie mów o niej nigdy więcej, Carol. Obiecuj mi to.”

Carol podreptała boso, pojękując z zimna, pod prysznic, znajdujący się w kącie pokoju. Miała pomalowane na czerwono paznokcie u nóg, a niebieska piżama była na nią za duża.

„To twoja wina - za bardzo otworzyłaś okno”, powiedziała Teresa.

Carol zaciągnęła zasłonę prysznic i Teresa słyszała, jak woda silnym strumieniem popłynęła w dół. „Ach, bosko gorąco!” zawołała Carol, „lepiej niż wczoraj wieczorem.”

Był to luksusowy apartament z grubym dywanem i obitymi drewnem ścianami oraz całym wyposażeniem - od zapakowanych w celofan ściereczek do obuwia po telewizor.

Teresa siedziała w szlafroku na swoim łóżku z mapą rozłożoną na kolanach i odmierzała ręką odległości. Półtorej piędzi oznaczało jeden dzień podróży, przynajmniej teoretycznie, nawet jeśli tego najprawdopodobniej nie zrealizują.

„Mogłybyśmy dzisiaj zrobić całą trasę w poprzek aż do Ohio”, powiedziała.

„Ohio. Znane ze swych rzek, gumy i kolei. Po lewej słynny most Chilicothezug, gdzie kiedyś dwudziestu ośmiu Huronów wyrznęło w pień stu wariatów.”

Teresa roześmiała się.

„I gdzie kiedyś Lewis i Clark rozbili swoje obozy wojskowe”, dodała Carol. „Ubiorę dziś chyba długie spodnie. Mogłabyś zobaczyć, czy są w mojej walizce? Jeśli nie, to muszę pójść do auta. Nie te cienkie, myślałam o tych granatowych z gabardyny.”

Teresa podeszła do walizki Carol, leżącej w nogach jej łóżka. Była wypakowana swetrami, bielizną i butami - ale nie było w niej żadnych spodni. Za to jakaś niklowana rura, stercząca z jednego ze swetrów. Teresa wyjęła go. Był ciężki.

Kiedy go rozłożyła przebiegł ją dreszcz; o mały włos wypadłby jej z rąk: był to rewolwer z białą rękojeścią.

„Są tam?” zapytała Carol.

„Nie.” Teresa zawinęła rewolwer z powrotem w sweter i włożyła tam, gdzie go znalazła.

„Kochanie, zapomniałam ręcznika kąpielowego. Leży chyba na krześle.”

Teresa podała jej ręcznik; speszona i zmieszana, jak to ona, spuściła wzrok, który przesunął się, kiedy podawała Carol ręcznik, z jej twarzy poprzez piersi w dół; gdy spojrzała w górę, zauważyła na twarzy Carol wyraz zdziwienia. Teresa zmrużyła oczy i poszła powoli z powrotem do swego łóżka, ale pod jej zamkniętymi powiekami migotał wciąż obraz nagiego

ciała Carol.

Teresa weszła pod prysznic, a gdy skończyła, Carol stała już prawie gotowa przed lustrem.

„Co jest?”

„Nic.”

Czesząc włosy, które mokre wydawały się nieco ciemniejsze, Carol odwróciła się do niej. Jej usta, z papierosem między wargami, połyskiwały od świeżej szminki.

„Czy zdajesz sobie sprawę, ile razy dziennie muszę cię o to pytać?” powiedziała. „Nie uważasz, że to trochę nietaktowne?”

Przy śniadaniu Teresa zapytała: „Dlaczego zabrałaś rewolwer, Carol?”

„Ach, to cię niepokoi. To broń Harge’a, jeszcze jedna rzecz, którą zostawił.” Głos Carol brzmiał obojętnie. „Pomyślałam, że lepiej go zabrać ze sobą, niż zostawić w domu.”

„Jest naładowany?”

„Tak, jest naładowany. Harge ma pozwolenie na broń, bo kiedyś mieliśmy włamanie do domu.”

„Umiesz się z nim obchodzić?”

Carol uśmiechnęła się do niej. „Nie nazywam się Annie Oakley. Umiem się obchodzić z bronią. Martwi cię to, prawda? Nie sądzę, żebym musiała go użyć.”

Teresa nie powiedziała nic więcej. Ale myśl o rewolwerze nie dawała jej spokoju.

Także następnego wieczoru pomyślała o nim, kiedy chłopiec hotelowy bardzo niedelikatnie postawił walizkę na chodniku. Zastanawiała się, czy taki gwałtowny manewr nie mógłby spowodować nieoczekiwanego wystrzału.

W Ohio zrobiły kilka zdjęć, a ponieważ wywołany film mogły odebrać już następnego ranka, spędziły długi wieczór i noc w miejscowości, która nazywała się Defiance, chodząc uliczkami, oglądając wystawy sklepowe, spacerując po spokojnych dzielnicach z domami, w których pokojach, wychodzących na ulicę, paliły się światła, a domy były przytulne i ciepłe niczym ptasie gniazda.

Teresa obawiała się, że Carol będzie się nudziła, wędrując tak bez celu ulicami, lecz to właśnie ona zaproponowała, żeby poszły jeszcze kawałek dalej, aż na wzgórze, żeby zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie. Carol opowiadała o sobie i Harge’u. Teresa usiłowała ująć jednym słowem to, co ich rozdzieliło, lecz wszystkie wyrazy, jakie przychodziły jej do głowy, zaraz odrzucała. Nuda, złość uraza, obojętność. Carol opowiedziała jej, jak Harge zabrał kiedyś Rindy w podróż samochodem i przez cały dzień nie dawał znaku życia. Miała to być kara za to, że Carol nie chciała spędzić z nim urlopu w jego



rodzinnym domu. To wyszło od nich obojga. Tylko, że od tego się nie zaczęło.

Następnego ranka Carol włożyła do portfela dwa zdjęcia: pierwsze jeszcze z początku filmu, przedstawiało Rindy w bryczesach i czapeczce jeździeckiej, na drugim była Teresa z papierosem w ustach i włosami rozwianymi przez wiatr. Było tam też jedno niezbyt udane zdjęcie Carol, jak stała zmarznięta, owinięta w płaszcz i Carol powiedziała, że wysła je Abby, ponieważ jest takie złe.

Do Chicago dotarły późnym popołudniem; wlokąc się za ciężarówką jakiejś firmy rzeźnickiej, wpłynęły w szary, daleko rozciągnięty chaos. Teresa siedziała z twarzą przyklejoną do szyby. Była już kiedyś w tym mieście ze swoim ojcem, ale niczego nie potrafiła sobie przypomnieć. Carol zdawała się znać Chicago tak dobrze jak Manhattan. Pokazała jej słynną pętlę kolejową i zatrzymały się, aby popatrzeć na pociągi i tłum podróżnych w godzinę szczytu. Chicago nie mogło się mierzyć z domem wariatów, jakim był o tej porze dnia Nowy Jork.

Na poczcie głównej Teresa odebrała kartkę od Danniego, nie było nic od Phila, ale za to list od Richarda. Teresa szybko przeleciała wzrokiem list, i stwierdziwszy, że zaczyna się miłymi słowami, przestała czytać. Dokładnie tego się spodziewała: że Richard wydobędzie od Phila jej adres i napisze do niej list miłosny. Wsadziła go do torebki, zanim wróciła do Carol.

„Było coś?”

„Tylko kartka od Danniego. Zdał egzaminy.”

Carol pojechała do hotelu „Drake.” Podłoga w holu była w czarno-białą szachownicę, co bardzo spodobało się Teresie. Na górze w pokoju Carol zdjęła płaszcz i rzuciła się na jedno z małżeńskich łóżek.

„Znam tu kilku ludzi. Odwiedzimy kogoś?”, zapytała śpiącym głosem.

Ale zanim zdołała się ostatecznie zdecydować, Carol zasnęła.

Teresa patrzyła przez okno na otoczone światłami jezioro i na spiczaste, obce sylwetki wieżowców pod szaro zaciągniętym niebem. Sprawiało to wrażenie chaosu i monotonii zarazem - jak obraz Pissarra. Porównanie, które nie spodobałoby się Carol, pomyślała. Oparła łokcie na parapecie, wpatrzona w to wielkie miasto i obserwowała, jak daleko sięgają światła samochodu, rozłożone na małe punkciki i kreski świetlne, kiedy przejeżdża wśród drzew. Była szczęśliwa.

„Czemu nie zamówisz dla nas jakiegoś cocktailu?” usłyszała za sobą głos Carol.

„Na co miałabyś ochotę?”

„A ty?”

„Na martini.”

Carol zagwizdała przez zęby. „Dwa podwójne Gibsony”, przerwała jej, gdy Teresa podniosła słuchawkę telefonu. „I talerz kanapek. Możemy równie dobrze od razu zamówić cztery martini.”

Teresa przeczytała list od Richarda, gdy Carol brała prysznic. Cały list był bardzo czuły. Nie jesteś jak inne dziewczęta, pisał. Czekaj i będzie dalej czekać, bo jest całkowicie przekonany o tym, że mogliby być ze sobą szczęśliwi.

Chciałby, żeby pisała do niego codziennie, przynajmniej kartkę. Opowiadał, jak pewnego dnia usiadł i przeczytał wszystkie trzy listy, które do niego napisała, kiedy ostatniego lata był w Kingston. Ten list był tak sentymentalny, że zupełnie nie pasował do Richarda. Pierwszą myślą Teresy było, że tylko mydli jej oczy. Może po to, żeby później dopiero jej naprawdę wygarnąć. Drugą jej reakcją była niechęć. Potem zaś najmniej bolesną drogą, żeby to wszystko zakończyć, wydało jej się mimo wszystko nieodpisywanie mu, niedawanie w ogóle żadnego znaku życia.

Przyniesiono cocktaile i Teresa zapłaciła gotówką zamiast podpisać rachunek.

Jedynie poza plecami Carol udawało jej się pokryć jakiś rachunek.

„Włożysz swój czarny kostium?” zapytała, gdy Carol wyszła z łazienki.

Carol spojrzała na nią. „Mam się przebić aż do dna?”, zapytała, podchodząc do walizki. „Wyjąć go, wyczesać, a potem jeszcze przez pół godziny odparowywać?”

„Na razie i tak jesteśmy zajęte pić drinków. Potrwa przecież z pół godziny, zanim wszystko wypijemy.”

„Nie umiem oprzeć się twojej sztuce perswazji.” Carol wyjęła kostium, zaniósła go do łazienki i odkręciła gorącą wodę nad wanną.

Był to ten sam kostium, który miała na sobie podczas ich pierwszego wspólnego obiadu.

„Czy zdajesz sobie sprawę, że to mój pierwszy drink, od kiedy wyjechałyśmy z Nowego Jorku?” zapytała Carol. „Oczywiście, że nie. A wiesz dlaczego? Jestem szczęśliwa.” „Jesteś piękna”, powiedziała Teresa.

Carol uśmiechnęła się w ten lekceważąco odpychający sposób, który Teresa tak w niej lubiła i podeszła do toaletki. Zarzuciła na ramiona żółty jedwabny szal, zawiązując go w luźny węzeł i zaczęła czesać szczotką włosy. Światło lampy otoczyło ją jak ramy obrazu i Teresa odniosła wrażenie, że już to wszystko kiedyś widziała. Nagle przypomniała sobie: kobieta w oknie czesząca swoje długie włosy, przypomniała sobie poszczególne cegły w murze, wilgotne pasmo deszczu tamtego ranka.

„Kropelkę perfum?” zapytała Carol, podchodząc do niej z buteleczką. Jej palce

dotknęły czoła Teresy, dokładnie w tym miejscu u nasady włosów, gdzie pocałowała ją tamtego dnia.

„Przypominasz mi pewną kobietę, którą kiedyś widziałam” powiedziała Teresa. „Gdzieś w bocznej ulicy od Lexington Avenue.” Teresa zamilkła, ale Carol czekała na dalszy ciąg historyjki. Carol wciąż czekała, lecz Teresa nie potrafiła dobrać odpowiednich słów, aby wyrazić to, co chciała. „To było wczesnym rankiem w drodze do pracy - i pamiętam, że zaczynało padać”, podjęła zacinając się. „Zobaczyłam ją w oknie.” Przecież naprawdę nie mogła opisywać, jak stała tam może trzy lub cztery minuty, pragnąc ze wszystkich sił poznać tę kobietę, i żeby ona, kiedy podejdzie do jej drzwi i zapuka, przywitała ją serdecznie i żeby zamiast tego nie musiała iść do swojej pracy w Pelican Press.

„Moja ty sierotko”, rzekła Carol.

Teresa uśmiechnęła się. Nie było w tym nic uwłaczającego, żadnego ciernia w słowie, którego użyła Carol.

„Jak wygląda twoja matka?”

„Miała czarne włosy”, odpowiedziała szybko Teresa. „W ogóle nie była do mnie podobna.” Teresa stwierdzała za każdym razem, że mówiła o swojej matce w czasie przeszłym, choć ona przecież jeszcze żyła, gdzieś tam w Connecticut.

„Naprawdę nie sądzisz, że ona chciałaby cię kiedyś znowu zobaczyć?”

„Myślę, że nie.”

„A co z rodziną twego ojca? Przecież mówiłaś, że miał brata?”

„Nigdy go nie widziałam. Był chyba geologiem i pracował w jakimś towarzystwie wiertniczym. Nie wiem, gdzie mieszka.” Łatwiej było jej mówić o tym wuju, którego nigdy nie spotkała.

„Jak nazywa się twoja matka?”

„Esther - pani Nicolas Strully.” To nazwisko nie znaczyło dla niej więcej niż pierwsze lepsze nazwisko w książce telefonicznej. Spojrzała na Carol i nagle pożałowała, że podała jej nazwisko matki. Carol mogłaby któregoś dnia... Owładnęło ją nagle uczucie jakby straconej szansy i bezradności. Ostatecznie tak mało wiedziała o Carol.

Carol spojrzała na nią szybko. „Nigdy więcej nie wymienię tego nazwiska, nigdy więcej”, powiedziała. „Lepiej nie pij tego drugiego cocktailu. Nie chcę, żebyś była dziś wieczorem na rauszu.”

Z restauracji, w której jadły, rozciągał się widok na całe miasto. Urządziły sobie prawdziwy bankiet z szampanem i koniakiem na koniec. Po raz pierwszy w życiu Teresa była lekko wstawiona, to znaczy, dużo bardziej, niż to dawała po sobie poznać. Zawsze będzie

pamiętać Lakeshore Drive jako szeroką aleję, otoczoną dużymi willami, podobnymi do Białego Domu w Waszyngtonie. Na zawsze zachowa w pamięci głos Carol, opowiadającej coś o tym czy innym domu, w którym kiedyś bywała i owo niepokojące uczucie, że to wszystko stanowiło kiedyś jej świat, podobnie jak Rapallo, Paryż czy inne miejsca, których Teresa nie знаła, a które przez pewien czas tworzyły ramy tego wszystkiego, co robiła Carol.

Tego wieczoru Carol siedziała na brzegu łóżka i paliła papierosa zanim zgasła światło. Teresa leżała w swoim, obserwując ją sennym wzrokiem i starała się wyjaśnić niespokojny, przestraszony wyraz oczu Carol, które spoczęły na chwilę na jakimś przedmiocie w pokoju, aby zaraz powędrować dalej. Czy myślała o niej, a może o Harge'u albo Rindy? Carol zamówiła budzenie na siódmą, żeby mogła jeszcze zatelefonować do Rindy, zanim ta pójdzie do szkoły. Teresa przypomniała sobie ich rozmowę z Defiance. Rindy pobila się z jakąś drugą małą dziewczynką i Carol musiała przez piętnaście minut nakłaniać ją, żeby zrobiła pierwszy krok i przeprosiła koleżankę. Teresa czuła wciąż działanie szampana, który tak boleśnie przybliżał jej Carol. A gdyby tak po prostu zapytać, pomyślała, czy Carol pozwoliłaby jej dzisiaj spać z nią w jednym łóżku? Ale bardziej niż tego, pragnęła ją całować, czuć swoje ciało całkiem blisko przy ciele Carol. Teresa pomyślała o dwóch dziewczynach z baru „Palermo”.

Robiły to, i jeszcze więcej. Czy Carol odepchnęłaby ją nagle z obrzydzeniem, gdyby chciała ją tylko wziąć w ramiona? I czy sympatia, którą Carol teraz ją darzyła - nieważne, jakiego była rodzaju - nie zniknęłaby, jak za podmuchem powietrza? Myśl, że Carol zimno rozkazałaby jej wyjechać, zmiotła całą jej odwagę. Jednak odwaga ta powróciła powoli na nowo, kiedy zaczęła się zastanawiać, czy nie mogłaby po prostu poprosić Carol, żeby spały w jednym łóżku.

„Carol, czy miałabyś coś przeciwko temu...”

„Rano wybierzemy się do stajni”, powiedziała w tym samym momencie Carol i Teresa wybuchnęła śmiechem. „A co w tym takiego strasznie komicznego?” zapytała Carol, gasząc papierosa i też się roześmiała.

„Tak po prostu. To jest strasznie śmieszne”, odrzekła Teresa, wciąż się śmiejąc i owym śmiechem pozbyła się całego swego pożądanego i swych zamiarów na dzisiejszą noc.

„Całkiem zgłupiałeś od tego szampana”, skomentowała Carol i zgasła światło.

Późnym popołudniem wyjechały z Chicago i skierowały się do Rockford. Carol powiedziała, że może tam być list od Abby, choć nie przypuszcza, bo Abby jest leniwa do pisania. Teresa poszła do szewca, żeby naprawił jej mokasyny, a kiedy wróciła, zastała Carol czytającą list od Abby.

„Którą autostradą pojedziemy?” Twarz Carol wyglądała szczęśliwiej.

„Dwudziestą, na zachód.”

Carol włączyła radio i kręciła gałką w tę i z powrotem, aż natrafiła na stację nadającą muzykę. „Jakie miasto przed Minneapolis będzie odpowiednie na nocleg?”

„Dubuque”, stwierdziła Teresa, patrząc na mapę. „Albo Waterloo. Wygląda na większą miejscowość, ale leży jakieś dwadzieścia kilometrów dalej.”

„Damy radę.”

Pojechały do Freeport i Galeny, która - jako miasto rodzinne Ulyssesa S. Granta - zaznaczona była na mapie gwiazdką.

„Co pisze Abby?”

„Nic szczególnego. Po prostu miły list.”

Carol niewiele mówiła podczas jazdy, a także w kawiarni, gdzie zrobiły sobie przerwę na kawę. Carol stanęła przed szafą grającą i powoli wrzuciła pięciocentówkę.

„Chciałabyś, żeby Abby tu przyjechała, prawda?”

„Nie”, odrzekła Carol.

„Jesteś inna, od momentu kiedy dostałaś ten list od niej.”

Carol popatrzyła na nią ponad stołem. „Kochanie, to jest po prostu głupi, mały list. Możesz go sobie nawet przeczytać, jeśli chcesz.” I Carol sięgnęła do torebki, ale nie wyjęła jednak listu.

Teresa przysnęła i obudziła się dopiero wtedy, gdy światła jakiegoś miasta oświetliły jej twarz. Carol zmęczonym gestem oparła oba ramiona na kierownicy. Stały na światłach.

„Tu przenocujemy”, powiedziała Carol.

Teresa jeszcze zaspana powlokła się przez hol hotelowy. Jechała windą do góry i uświadomiła sobie z całą wyrazistością, że Carol była obok niej, jak we śnie, w którym Carol była ego i jednocześnie jedyną osobą. Na górze w pokoju położyła na krześle swoją walizkę, otworzyła ją i tak zostawiła, a potem stanęła przed Carol przy biurku. Uczucia, jakie tłumiała w sobie przez wszystkie te godziny i dni, owładnęły nią teraz z podwójną siłą, gdy patrzyła na Carol, którą otworzyła walizkę, wyjęła jak zwykle najpierw swoją skórzaną kosmetyczkę i rzuciła ją na łóżko. Patrzyła na ręce Carol, na jej loki, spadające na luźno wokół głowy związane szal, na zadrapanie na czubku buta, które zrobiła dzień wcześniej.

„Co tak stoisz?”, zapytała Carol. „Idź do łóżka, ty śpiochu.”

„Carol, kocham cię.”

Teresa wpatrywała się w nią bez przerwy swymi zaspanymi oczami, aż w końcu wyjęła z walizki swoją piżamę, zamknęła wieko i wyprostowała się. Carol zbliżyła się i

położyła jej ręce na ramionach, objęła ją tak mocno, jakby chciała uzyskać od niej jakieś przyrzeczenie lub tylko się upewnić, czy to, co Teresa powiedziała, jest rzeczywiście prawdą. Potem pocałowała Teresę w same usta, tak jakby całowały się już przedtem tysiące razy.

„Czy nie wiesz, że cię kocham?”

Z piżamą pod pachą poszła do łazienki i stanęła na chwilę przed umywalką, zadumana, ze spuszczonego wzrokiem.

„Wyjdę jeszcze na chwilę”, powiedziała Carol. „Zaraz wracam.”

Teresa czekała przy stole, a czas niepostrzeżenie - albo też wcale nie - przemijał, aż drzwi otworzyły się i Carol weszła do środka. Postawiła na stole papierową torbę i Teresa zrozumiała, że wychodziła tylko po to, aby przynieść karton mleka, jak to obie często wieczorami robiły.

„Czy mogę z tobą spać?” zapytała Teresa.

„Widziałaś łóżko?”

Było to podwójne łóżko. Siedziały w piżamach na brzegu, piły mleko i podzieliły się pomarańczą. Carol nie zjadła swojej części, gdyż właśnie oczy zamknęły się jej ze zmęczenia. Teresa odstawiła karton po mleku na podłogę i przyglądała się Carol, leżącej na brzuchu, z ramionami zarzuconymi za głowę, zupełnie tak samo, jak ona zawsze zasypiała. Teresa zgasiła światło. Wtedy ramię Carol zsunęło się na jej kark, a ich ciała przywarły do siebie na całej długości, harmonizując ze sobą, jakby były dla siebie stworzone. Uczucie szczęścia wzrosło w niej niby zielony krzak winogron, wypuszczało delikatne pędy, rozwijało kwiecie w jej ciele. Widziała przed sobą błądzący kwiat, który wyłaniał się świetliście jakby z ciemności lub z wody. Czemu ludzie mówili o niebie, zastanawiała się.

„Spij teraz”, odezwała się Carol.

Teresa miała nadzieję, że ona nie zaśnie. Ale kiedy poczuła, jak ręka Carol ześlizguje się po jej ramionach, wiedziała, że usnęła. Zmierzchało. Palce Carol wczepiły się w jej włosy, Carol całowała ją w usta i pożądanie wezbrało w niej, tak, jakby chwila, kiedy Carol wczoraj wieczorem położyła rękę na jej szyi, trwała dalej. Kocham cię, chciała znowu powiedzieć Teresa, lecz musujące podniecenie wymazało słowa i rozeszło się falami od warg Carol po jej karku, ramionach i nagle ogarnęło ją całą. Objęła Carol mocno, czując tylko ją i nic więcej. Ręka Carol, wędrująca po jej biodrach, włosy Carol, pieszczące jej nagie piersi, i nagle wydało się jej, jakby jej ciało rozplynęło się w koncentrycznych kręgach, które rozchodziły się coraz szerzej, dalej niż mogła to objąć myśl.

Podczas gdy tysiące wspomnień i chwil rozbłyskiwało w jej świadomości niczym ogon komety - słowa, pierwsze „kochanie”, drugi raz, gdy Carol spotkała ją w domu towarowym,

tysiące obrazów twarzy Carol, wspomnień jej głosu, chwil pełnych złości i śmiechu. A potem wszystko było niebiesko bladą dalą i przestrzenią, oddalającą się przestrzenią, przez którą nagle odpływała niczym strzała. Strzała wydawała się przelatywać bez najmniejszego wysiłku przez niezwykle szeroki wąwóz, coraz wyżej i wyżej, jakby nie chciała się nigdy zatrzymać. Uświadomiła sobie, że wciąż obejmuje Carol, że drży gwałtownie - że sama była tą strzałą. Jeden z jasnych loków Carol spoczywał na jej oczach i czuła jej ciało zupełnie blisko obok siebie. Nie musiała się zastanawiać, czy to było dobre, nikt nie musiał jej tego mówić, gdyż nic nie mogło być lepsze i doskonalsze. Przytuliła Carol jeszcze mocniej do siebie i poczuła jej wargi na swoich śmiejących się ustach. Teresa leżała bez ruchu, potem spojrzała w twarz Carol, oddaloną tylko o centymetr od swojej, w szare oczy, które były tak spokojne, jak nigdy przedtem, jakby pozostało w nich coś z tej dalekiej przestrzeni, z której właśnie się wynurzyły. I dziwnym wydawało się, że była to wciąż twarz Carol, z piegami od słońca, o łukowatych jasnych brwiach, które znała, ustach, które były tak spokojne jak jej oczy, twarz, którą Teresa oglądała tyle razy przedtem.

„Mój aniele”, powiedziała Carol, „zbiegły z wszechświata!”

Teresa popatrzyła w rogi pokoju, które były teraz dużo jaśniejsze, na komodę z pofałdowanym frontem i okuciami na szufladach, gdzie umocowane były uchwyty, na lustro bez ram z oszlifowanymi brzegami, na zasłony w oknach w zielone wzory i na dwie ostre szare krokwie, sterczące ponad parapetem.

„Co to za miasto?”, zapytała.

Carol roześmiała się. „To tutaj? Waterloo.” Sięgnęła po papierosa. „Czy to nie okropne?”

Teresa uniosła się na łokciach i uśmiechnęła się. Carol włożyła jej do ust papierosa. „Widocznie w każdym państwie jest mnóstwo miast o nazwie Waterloo”, powiedziała Teresa.

Podczas gdy Carol się ubierała, Teresa poszła po gazety. Weszła do windy i obróciła się dokoła dokładnie na środku. Czowała się jakoś niepewnie, jakby odległości nie były takie same, jakby wszystko się poprzesuwało. Przeszła przez hol do kiosku z gazetami w kącie.

„Proszę *Courier* i *Tribune*”, powiedziała do sprzedawcy, podając mu gazety, a wypowiedzenie słów było tak samo dziwne jak tytuły gazet, które kupiła.

„To będzie osiem centów”, powiedział sprzedawca i Teresa stwierdziła, patrząc na resztę, którą jej wydał, że dwudziestopięciocentówka nadal tak samo różni się od ośmiocentówki.

Przeszła powoli z powrotem przez hol, spoglądając przez szklane drzwi do salonu fryzjerskiego, gdzie kilku mężczyzn poddawało się goleniu, a czarny chłopiec czyścił im buty. Wysoki mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem i butach, jakie zwykło nosić się na Zachodzie, przeszedł obok niej. Na zawsze zachowa w pamięci ten hol, tak samo jak ludzi, i staromodnie wyglądające drewniane ozdoby na dole portierni oraz mężczyznę w ciemnym płaszczu obok marmurowej kolumny o czarnych i śmietankowych barwach, który przyglądał się jej znad swojej gazety, a potem wsunął się głębiej w fotel, kontynuując lekturę.

Kiedy Teresa otworzyła drzwi pokoju, widok Carol poraził ją jak ból. Stała przez chwilę z ręką na klamce.

Carol spoglądała na nią z łazienki, a grzebień nad jej głową zawisł w powietrzu.

Popatrzyła na nią z góry na dół. „Nie rób tego nigdy publicznie”, powiedziała.

Teresa rzuciła gazety na łóżko i podeszła do niej. Nagle Carol objęła ją. Stały tak, trzymając się mocno w objęciach, jakby nie chciały się rozstać. Teresa poczuła zimny dreszcz i łzy napłynęły jej do oczu. Trudno było znaleźć słowa, tak mocno przytulona do Carol, bliższa jej niż kiedy się całowały.

„Dlaczego tak długo czekałaś?” zapytała Teresa.

„Bo - myślałam, że coś takiego nie zdarzy się po raz drugi, i że nie będę tego chciała. Ale to nieprawda.”

Teresa pomyślała o Abby i jakby mały ślad goryczy wsunął się pomiędzy nie.

Carol puściła Teresę.

„I było jeszcze coś - mianowicie to, że ciągle mi o tym przypominałaś i że byłoby to, jak cię znałam, takie łatwe. Wybacz mi. Nie było to fair wobec ciebie.”

Teresa zacisnęła zęby. Patrzyła na Carol, jak przemierzała pokój, widziała, jak



odległość między nimi stawała się coraz większa i wspomniała ten pierwszy raz, gdy w domu towarowym patrzyła jak Carol powoli odchodziła, jakby miało to być już na zawsze. Carol kochała także Abby i żałowała tego.

Czy któregoś dnia będzie żałować, że i ją kochała, zastanawiała się Teresa. Zrozumiała teraz, dlaczego te tygodnie w grudniu i w styczniu były tak pełne nerwów i niezdecydowania, dlaczego była na zmianę odrzucana i rozpieszczana. Ale pojęła również i to, że, niezależnie od tego, jakich słów użyje Carol, nie było już między nimi żadnych barier i niezdecydowania. I nie było też już Abby tego ranka, obojętnie, co zaszło kiedyś między nią i Carol.

„No?”

„Uszczęśliwiasz mnie, od kiedy cię znam”, powiedziała Teresa.

„Myślę, że nie potrafisz tego ocenić.”

„Mogę ocenić ten ranek.”

Carol nic nie odrzekła, jedyną odpowiedzią był trzask zamykanych drzwi. Teraz były same. Teresa podeszła do niej, prosto w jej ramiona.

„Kocham cię”, powiedziała tylko po to, żeby usłyszeć te słowa. „Kocham cię, kocham cię.”

Ale Carol postanowiła widocznie nie zwracać na nią tego dnia uwagi. W sposobie trzymania papierosa, w tym, jak zjechała z krawężnika, klnąc przy okazji nie tylko dla uciechy, było więcej arogancji niż zwykle.

„Nie zwariowałam, żeby ładować centa w zegar parkingowy, kiedy cała preria rozciąga się tuż przede mną”, blefowała Carol, ale z szelmowskim błyskiem w oczach, co stwierdziła Teresa patrząc na nią z ukosa. Carol naśmiewała się z niej, kiedy przed automatem z papierosami położyła głowę na jej ramieniu, albo gdy pod stołem dotknęła jej nóg. Złościło to Teresę i obezwładniało jednocześnie. Myślała o ludziach, którzy w kinie trzymają się za ręce - dlaczego ona i Carol nie miałyby tego robić? Ale gdy tylko ujęła ją za ramię, kiedy kupowały coś w sklepie ze słodyczami, Carol zamruczała: „Przestań.”

Teresa wysłała z Minneapolis jedno pudełko czekoladek dla pani Robichek, a drugie dla Kellych. Matce Richarda posłała nawet podwójną luksusową bombonierkę z drewnianą przegródką w środku, w której potem pani Semco będzie mogła przechowywać swoje przybory krawieckie.

„Czy robiłaś to kiedyś z Abby?” zapytała Teresa wprost tego wieczoru w samochodzie.

Oczy Carol nagle pojęły i zamrugała. „Ale masz pytania...” powiedziała. „Naturalnie.”

Naturalnie. Wiedziała. „A teraz?”

„Tereso...”

„Czy było tak jak ze mną?” zapytała sztywno.

Carol uśmiechnęła się. „Nie, kochanie.”

„Nie uważasz, że daje to więcej przyjemności niż spanie z mężczyznami?”

Carol uśmiechała się, lekko rozbawiona. „Niekoniecznie. To zależy. Kogo miałaś poza Richardem?”

„Nikogo.”

„A więc - może lepiej wypróbowałabyś jeszcze kilku innych?”

Teresa zaniemówiła na chwilę, ale starała się opanować, stukając palcami po książce, którą trzymała na kolanach.

„Mam na myśli kiedyś tam, kochanie, masz jeszcze wiele lat przed sobą.”

Teresa milczała. Nie mogła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek rozstanie się z Carol. Ale inne straszne pytanie, które przeleciało jej przez myśl jeszcze na samym początku, drażyło uparcie jej świadomość i dopominało się o odpowiedź: Czy Carol kiedyś zechce ją opuścić? „Myślę, że to, z kim się śpi, zależy w dużym stopniu od przyzwyczajień”, ciągnęła Carol. „A ty jesteś jeszcze zbyt młoda, żeby się jednoznacznie określić. Albo wyrobić sobie przyzwyczajenia.”

„Więc masz być tylko przyzwyczajeniem?” zapytała Teresa z uśmiechem, lecz sama dostrzegła strapienie w swoim głosie. „Chcesz powiedzieć, że to nic więcej?”

„Tereso - czy teraz jest rzeczywiście odpowiedni moment na melancholię?”

„Nie jestem melancholijna”, zaprzeczyła, czując znowu pod nogami cienki lód, niepewność.

A może było tak, że zawsze chciała mieć więcej, niż miała, obojętne, ile tego było? „Przecież Abby też cię kocha?” rzekła impulsywnie.

Carol ruszyła lekko, zdejmując nogę z gazu. „Abby kochała mnie właściwie przez całe swoje życie - również tak jak ty.”

Teresa nie spuszczała z niej wzroku.

„Kiedyś ci o tym opowiem. Cokolwiek się zdarzyło - to już skończone. Miesiące za miesiącami”, powiedziała tak cicho, że Teresa ledwo mogła zrozumieć.

„Tylko miesiące?”

„Tak.”

„Opowiedz mi o tym teraz.”

„To nie jest odpowiednie miejsce ani czas.”

„Odpowiedni czas nigdy nie nadejdzie”, powiedziała Teresa. „Czyż sama nie mówiłaś,

ze nie ma żadnego odpowiedniego momentu?”

„Tak, powiedziałam coś takiego? Do czego się to odnosiło?”

Ale przez chwilę żadna z nich się nie odezwała, gdyż świeży poryw wiatru zaciął deszczem niczym tysiącami kul po dachu i szybach samochodu, tak że przez moment nic innego nie słyszały. Nie nastąpił żaden grzmot, jakby bóg grzmotów tam na górze skromnie odstąpił od walki z bogiem deszczu. Czekwały pod niewystarczającą osłoną wzniesienia na skraju drogi.

„Mogę opowiedzieć ci środek całej historii”, odezwała się Carol, „bo jest śmieszna i - uświadamia ironię losu. Zdarzyło się to ostatniej zimy, kiedy prowadziłyśmy wspólnie sklep z meblami. Ale nie mogę zacząć, nie opowiadając ci pierwszej części, a to było, kiedy byłyśmy jeszcze dziećmi. Nasze rodziny mieszkały w New Jersey, bardzo blisko siebie i widywałyśmy się podczas ferii. Abby zawsze była trochę we mnie zadurzona, już jak miałyśmy po sześć czy osiem lat. Potem napisała do mnie kilka listów, kiedy w wieku czternastu lat wyjechała do internatu. Akurat wtedy dowiedziałam się o dziewczynach, które lubiły inne dziewczyny. Ale w książkach pisano, że to mija, gdy się trochę podrośnie.” Robiła przerwy między słowami, tak jakby coś opuszczała.

„Chodziłaś razem z nią do szkoły?”

„Nie, nigdy. Ojciec posłał mnie do innej szkoły, poza miastem. Potem Abby, gdy miała szesnaście lat, wyjechała do Europy, a kiedy wróciła, nie było mnie w domu. Spotkałam ją kiedyś na przyjęciu, mniej więcej w tym czasie, kiedy wychodziłam za mąż. Abby wyglądała wtedy zupełnie inaczej - już nie jak jakiś dziki hultaj. Potem wyprowadziliśmy się z Hargem do innego miasta, i nie widziałam jej przez całe lata, aż do przyścia na świat Rindy. Od czasu do czasu zjawiała się w szkółce jeździeckiej, gdzie Harge i ja zazwyczaj bywaliśmy. Kilka razy jeździliśmy konno we trójkę. Potem zaczęłyśmy z Abby grywać razem w tenisa, w sobotnie popołudnia, kiedy Harge grał w golfa. Abby i ja zawsze czułyśmy się dobrze w swoim towarzystwie - wydorosłałyśmy w tym czasie i tak dużo się wydarzyło. To, że była kiedyś we mnie zadurzona w ogóle nie przychodziło mi do głowy. Wpadłam na ten pomysł ze sklepem, ponieważ nie chciałam tak dużo czasu spędzać z Hargem. Uważałam, że zaczynamy się ze sobą nudzić, i że to mogłoby nam pomóc. A więc zapytałam Abby, czy chciałaby zostać moją partnerką i wystartowałyśmy ze sklepem. Po kilku tygodniach zauważyłam ku mojemu zdziwieniu, że wydaje mi się pociągająca”, mówiła Carol tym samym spokojnym głosem. „Nie mogłam tego zrozumieć i trochę się bałam, szczególnie, kiedy wspominałam Abby z dzieciństwa i uświadamiałam sobie, że jej uczucia do mnie albo uczucia nas obu prawdopodobnie się nie zmieniły. A więc starałam się nie dać

jej nic poznać i myślę, że mi się to zupełnie nieźle udawało. Ale ostatniej zimy - i tu nastąpi śmieszna część opowieści - doszło w końcu do wspólnej nocy u Abby w domu. Poprzedniego wieczoru śnieg zasypał wszystkie drogi i matka Abby uparła się, żebym przenocowała z Abby w jej pokoju - po prostu dlatego, że łóżko w pokoju, gdzie przedtem spałam, nie było przygotowane, a było już bardzo późno. Obie zaprotestowałyśmy. Abby powiedziała, że w takim razie zaścieli to łóżko na nowo, ale jej matka nie ustąpiła.” Carol roześmiała się cicho, spoglądając z boku na Teresę, lecz Teresie wydawało się, że ona wcale jej nie widzi. „No i zostałam u Abby. Nic by się nie zdarzyło, gdyby nie ta noc, jestem tego całkowicie pewna, gdyby nie było tam wtedy jej matki - i to jest właśnie cała ironia, ponieważ ona nic o tym nie wie. Ale stało się i odebrałam to podobnie jak ty, byłam tak samo szczęśliwa.” Carol wyrzuciła z siebie ostatnie słowa, ale jej głos pozostał spokojny, niewzruszony żadnym uczuciem.

Teresa wpatrywała się w nią, nie wiedziała czy to zazdrość, czy może wściekłość lub przerażenie, wyprowadziły ją tak nagle z równowagi. „I co potem?”

„Potem wiedziałam, że jestem w Abby zakochana. Nie wiem, dlaczego nie można by nazwać tego miłością. Miało wszystkie jej cechy. Ale trwało tylko dwa miesiące - jak choroba, która przychodzi i mija.” I zmienionym tonem Carol dodała: „Kochanie, to nie ma z tobą nic wspólnego, i jest już skończone. Wiedziałam, że będziesz chciała się tego dowiedzieć, ale nie widziałam potrzeby, żeby ci o tym wcześniej opowiedzieć. To jest tak nieważne.”

„Ale przecież czułaś do niej to samo...”

„Przez dwa miesiące”, odrzekła Carol. „Kiedy ma się męża i dziecko, wiesz, to jest zupełnie inaczej.”

Inaczej niż w jej przypadku, uważała Carol, bo ona nie ponosi żadnej odpowiedzialności. „Naprawdę? A więc coś takiego można ot, tak sobie zacząć i potem przerwać?”

„Jeśli nie ma dla ciebie szansy”, odrzekła Carol.

Ulewa zmniejszyła się, lecz tylko o tyle, iż wyglądała teraz jak deszcz, a nie jak sztywne srebrzyste prześcieradła. „Nie mogę w to uwierzyć.”

„Ty w ogóle nie potrafisz nic na ten temat powiedzieć.”

„Dlaczego jesteś taka cyniczna?”

„Cyniczna? A jestem taka?”

Teresa nie czuła się dość pewna, żeby odpowiedzieć. Co znaczyło kochać kogoś, czym dokładnie była miłość i dlaczego się kończyła albo też i nie? To były prawdziwe pytania - ale

któż potrafiłby na nie odpowiedzieć? „Przechodzi”, powiedziała Carol. „Jak sądzisz, pojedziemy dalej i wstąpimy gdzieś po drodze na lampkę dobrego koniaku? Albo może znajdziemy w tym stanie jakiś suchy ką?”

Pojechały do następnej miejscowości, gdzie natrafiły na zupełnie pusty bar w dużym hotelu. Koniak był wyborny, tak że zamówiły dwie następne lampki.

„To francuski koniak”, powiedziała Carol. „Wyberzemy się kiedyś do Francji.”

Teresa obracała w palcach swój kieliszek. Na końcu baru tykał zegar. Z daleka dobiegał gwizd lokomotywy. Carol odchrząknęła. Najzwyczajniejsze odgłosy, pomimo że ta chwila wcale nie była zwyczajna. Żadna chwila nie była „zwyczajna” od czasu ranka w Waterloo. Teresa wpatrywała się w złocisto połyskujący koniak w swoim kieliszku i nagle pozbyła się wszelkich wątpliwości co do tego, iż pewnego dnia pojedzie z Carol do Francji. Wtedy z błyszczącego słonecznego brązu w kieliszku wynurzyła się twarz Harge’a, usta, nos i oczy.

„Harge wie o Abby, prawda?”, zapytała Teresa.

„Tak. Kilka miesięcy temu spytał o nią mimochodem - i opowiedziałam mu całą historię - od początku do końca.”

„Rzeczywiście...” Pomyślała o Richardzie, wyobrażając sobie, jaka byłaby jego reakcja. „Czy to stało się powodem rozvodu?”

„Nie. To nie ma z rozводом nic wspólnego. I w tym jest następna ironia losu - że opowiedziałam to Harge’owi, kiedy wszystko było już skończone. Taka błędna próba bycia szczerym, gdy między mną i Hargem nic już nie można było uratować. Już rozmawialiśmy o rozwodzie. Nie przypominaj mi o moich błędach!”, poprosiła Carol ponuro.

„Myślisz - on przecież na pewno był zazdrosny.”

„Tak. I jakkolwiek bym mu tego nie przedstawiała, zawsze wychodziło na to, że Abby była dla mnie przez pewien czas ważniejsza niż on kiedykolwiek. W pewnym momencie chciałam wszystko rzucić - nawet pomimo Rindy - i pójść z Abby. Nie wiem, jak to się stało, że jednak tego nie uczyniłam.”

„Zabrałaś Rindy ze sobą?”

„Nie wiem. Wiem tylko, iż fakt, że była Rindy, powstrzymał mnie wtedy od opuszczenia Harge’a.”

„Żałujesz tego?”

Carol pokręciła powoli głową. „Nie. Nic by z tego nie wyszło. To się nie udało i może o tym wiedziałam. Byłam zbyt przestraszona z powodu rozpadu małżeństwa, zbyt słaba.” Jąkała się.

„Czy teraz też się boisz?”

Carol milczała.

„Carol...”

„Nie boję się”, powiedziała zdecydowanie i podniosła głowę, zaciągając się papierosem.

Teresa obserwowała jej profil w mrocznym świetle. A co teraz z Rindy? Chciała zapytać, co się z nią stanie? Czuła jednak, że Carol mogła w każdej chwili stracić cierpliwość i odpowiedzieć jej bardzo powierzchownie lub wcale. Innym razem, pomyślała, nie teraz. Jej pytanie mogło wszystko zniszczyć.

Teresa powiodła kciukiem od pachy Carol w dół aż do talii.

„Pamiętam, jak Harge był wyjątkowo zły z powodu pewnej małej wyprawy, jaką podjęłam z Abby do Connecticut. Pojechaliśmy tam, żeby kupić kilka rzeczy do sklepu. To była tylko dwudniowa podróż, ale on powiedział: „Musiałś uciec za moimi plecami.” Głos Carol brzmiał gorzko, gdy powtarzała te zarzuty i było to raczej samo obwinianie się niż naśladowanie słów Harge’a.

„Czy on wciąż jeszcze o tym mówi?”

„Nie. O czym tu mówić? Z czego można być tu dumnym?”

„To znaczy, że trzeba się tego wstydzić?”

„Tak. Przecież wiesz”, powiedziała Carol swoim spokojnym, jasnym głosem. „W oczach świata jest to coś obrzydliwego.”

Teresa nie mogła się normalnie uśmiechnąć, słysząc te słowa. „Przecież w to nie wierzysz!”

„Ale za to tacy ludzie jak rodzina Harge’a.”

„Oni nie są całym światem.”

„Już oni wystarczą. A żyć trzeba w tym świecie. Mam ciebie na myśli - i tym samym nie chcę jeszcze nic powiedzieć o tym, kogo zdecydujesz się pokochać.”

Popatrzyła na Teresę i nareszcie, powoli, uśmiech pojawił się w jej oczach, oddając ją jej z powrotem. „Mam na myśli odpowiedzialność wobec świata, w którym żyją inni ludzie i który być może nie jest twoim światem. Obecnie nim nie jest i dlatego byłam w Nowym Jorku nieodpowiednią osobą dla ciebie - bo cię rozpieszczam i przeszkadzam ci stać się dorosłą.”

„Czemu nie przestaniesz?”

„Spróbuję. Ale najgorsze jest to, że lubię cię rozpieszczać.”

„Jesteś dokładnie odpowiednią osobą dla mnie”, powiedziała Teresa.

„Tak?”

Na ulicy Teresa powiedziała: „Sądzę, że nie spodobałoby się Harge’owi, gdyby się dowiedział, że pojechaliśmy razem, prawda?”

„Nie dowie się.”

„Ciągle jeszcze chcesz jechać do Waszyngtonu?”

„Koniecznie, jeśli tylko masz wystarczająco dużo czasu. Możesz zostać ze mną przez cały luty?”

Teresa skinęła głową. „Jeśli tylko nie dostanę żadnej wiadomości w Salt Lake City. Prosiłam Phila, żeby tam napisał. Ale szanse są niewielkie.” Phil pewnie nawet nie napisze, pomyślała Teresa. Jednak, jeśli istniała choćby najmniejsza szansa na otrzymanie pracy w Nowym Jorku, powinna wrócić. „Pojechałabyś beze mnie do Waszyngtonu?”

Carol spojrzała na nią szybko. „Szczerze mówiąc, nie”, odrzekła z uśmiechem w kącikach oczu.

Kiedy wróciły tego wieczoru do hotelu, w pokoju było tak gorąco, że musiały na chwilę otworzyć okna. Carol stała oparta o parapet, przeklinając upał, co wspaniale bawiło jej przyjaciółkę. Uznała, że Teresa chyba salamandrą, jeśli potrafi to znieść. Potem ni stąd, ni zowąd zapytała: „Co napisał Richard?”

Teresa nawet nie przypuszczała, że Carol wiedziała o jego ostatnim liście.

„Niewiele”, odparła. „List tylko na jedną stronę. Wciąż chce, żebym do niego napisała. A ja nie mam zamiaru.” Wyrzuciła ten list, lecz miała go w głowie: „Nic od ciebie nie dostałem i powoli zaczyna mi świtać, co z ciebie za niewiarygodna mieszanina sprzeczności. Jesteś subtelna i jednocześnie tak nieczuła, pełna wyobraźni i zarazem całkowicie jej pozbawiona... zawiadom mnie, kiedy twoja kapryśna przyjaciółka gdzieś cię porzuci, przyjadę po ciebie. To nie będzie długo trwało, Terry. Wiem coś na ten temat. Widziałem Danniego i pytał, czy coś o tobie słyszałem i co robisz. Co byś powiedziała, gdybym mu o tym opowiedział? Ze względu na ciebie nie powiedziałem nic, bo pewnego dnia będziesz się wstydzić, jak sądzę. Wciąż jeszcze cię kocham, przyznaję. Przyjadę do ciebie i pokażę ci prawdziwą Amerykę - pod warunkiem, że jestem dla ciebie tak ważny, że napiszesz do mnie i mi to powiesz...”

Była to zniewaga dla Carol i Teresa podarła list. Siedziała na łóżku, rękami oplótła kolana, a dłonie wsadziła w rękawy szlafroka. Carol przesadziła trochę z wietrzeniem i w pokoju zrobiło się zimno. Wiatry Minnesoty wzięły pokój w posiadanie, rozwiewając dym z papierosa Carol i wymiatając go całkowicie na zewnątrz. Teresa przyglądała się, jak Carol spokojnie myje zęby nad umywalką.

„Jesteś pewna, że już więcej do niego nie napiszesz? Tak zdecydowałaś?”

„Tak.”

Teresa patrzyła, jak Carol wypłukała szczoteczkę do zębów, odwróciła się od umywalki w jej stronę i zaczęła wycierać ręcznikiem twarz. Nic, co dotyczyło Richarda, nie było dla niej tak ważne jak sposób, w jaki Carol wycierała sobie twarz.

„Nie mówmy już o tym.”

Wiedziała, że Carol nic już na ten temat nie powie. I wiedziała też, że Carol aż do tej chwili wciąż popychała ją w jego ramiona. Teraz wydawało się, że chodziło tylko o tę jedną chwilę, gdyż Carol odwróciła się i podeszła do niej, a jej serce podskoczyło gwałtownie do góry.

Jechały dalej na zachód, przez Sleepy Eye, Tracy i Pipestone, wybierając z powodu jakiegoś kaprysu okrężną drogę. Zachód rozciągał się niby zaczarowany dywan, skropiony czystymi domami farmerów, stodołami i silosami, których istnienia domyślały się już pół godziny wcześniej zanim do nich dotarły. Raz zatrzymały się przed takim domem, żeby zapytać, czy dostaną tyle benzyny, żeby spokojnie dojechać do następnej stacji. Dom pachniał jak świeży, zimny ser.

Ich kroki dźwięczały pusto i samotnie na brązowych, grubych, drewnianych deskach i Teresa pomyślała w nagłym przypływie patriotyzmu: oto Ameryka! Na ścianie wisiał obraz: kogut, cały zrobiony z kolorowych łątek, stał na czarnym podłożu i spokojnie nadawał się do powieszenia w jakimś muzeum. Farmer ostrzegł je przed gołoledzią na drogach prowadzących na zachód, więc wybrały autostradę wiodącą na południe.

W miasteczku, które nazywało się Sioux Falls, odkryły tego samego wieczoru mały cyrk przy torach kolejowych. Artyści nie byli zbyt dobrzy. Siedziały w pierwszym rzędzie na dwóch skrzynkach po pomarańczach. Po przedstawieniu jeden z akrobatów zaprosił je do namiotu artystów, upierając się, żeby Carol przyjęła od niego cały plik cyrkowych plakatów, jako że bardzo się jej podobały. Carol posłała kilka z nich Abby i Rindy, której wysłała także zielonego kameleona w papierowej skrzynce. Był to dla Teresy niezapomniany wieczór i inaczej niż większość takich wieczorów, stał się niezapomniany jeszcze nim się skończył.

Złożyły się nań i torebka popcornu, którym się podzieliły, i poszczególne numery cyrkowe, i pocałunek od Carol za przepierzeniem w namiocie dla artystów. Było to za przyczyną tego szczególnego czaru, który emanował od Carol i - chociaż dla niej wszystkie jej dobre chwile były oczywiste - wydawał się oddziaływać na wszystko dookoła. I było tak, ponieważ wszystko szło gładko, bez rozczarowań i przeszkód, tak jak tego pragnęły.

Teresa wlokła się zamyślona z cyrku. „Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś będę



chciała coś stworzyć”, powiedziała.

„Jak to?”

„Mam na myśli - cóż innego niż to próbowałam kiedykolwiek robić? Jestem szczęśliwa.”

Carol chwyciła jej ramię i ścisnęła je, a potem wgniotła w nie swój kciuk tak mocno, że Teresa krzyknęła. Carol spojrzała do góry na drogowskaz i powiedziała: „Piąta do Nebraski - myślę, że pojedziemy w tym kierunku.”

„Co będzie, gdy wrócimy do Nowego Jorku? Przecież tam nie może być tak samo jak tu!”

„Ależ tak”, powiedziała Carol. „Aż będziesz miała mnie dosyć.”

Teresa roześmiała się, słyszała lekkie łopotanie szala Carol na wietrze.

„Może nie będziemy razem mieszkać, ale będzie dokładnie tak samo.”

O tym, że nie będą mogli mieszkać razem z Rindy, Teresa wiedziała. Nie miało sensu o tym marzyć. Ale wystarczyło jej to, co obiecała Carol, że będzie tak samo.

W pobliżu granicy pomiędzy Nebraska i Wyoming zatrzymały się, żeby zjeść kolację w dużej wiejskiej restauracji, która wyglądała jak myśliwska szopa wbudowana w sosnowy las. W dużej jadalni były prawie jedynymi gośćmi i wybrały sobie stolik w pobliżu kominka. Rozwinęły mapę i postanowiły pojechać dalej prosto do Salt Lake City. Zatrzymają się tam na kilka dni, oświadczyła Carol, ponieważ jest to interesująca miejscowość i nie miała już ochoty dalej jechać.

„Lusk”, powiedziała Teresa, patrząc na mapę. „Co za seksowna nazwa.”

Carol odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. „Gdzie to jest?”

„Po drodze.”

Carol podniosła kieliszek z winem i powiedziała: „Chateau Neuf-du-Pape w Nebrasce. Za co wypijemy?”

„Za nas.”

Było trochę tak, jak tamtego ranka w Waterloo, pomyślała Teresa, zbyt doskonale i gładko, żeby mogło być prawdziwie, a jednak wszystko było rzeczywiste, nie tylko jak rekwizyty z jakiejś sztuki - ich koniakówki na kominku, rzędy rogów nad nimi, ogień w kominku. Ale chwilami czuła się jak aktorka, jedynie od czasu do czasu, z uczuciem zaskoczenia, uzmysławiała sobie, kim jest, jakby w ostatnich trzech dniach grała czyjąś rolę, kogoś innego, kto był niewiarygodnie szczęśliwy. Spojrzała na gałązki sosnowe, umocowane na belkach pod sufitem, na mężczyznę i kobietę, rozmawiających cicho przy stoliku pod ścianą, na mężczyznę siedzącego z gazetą po drugiej stronie i palącego powoli papierosa.

Musiała pomyśleć o mężczyźnie, który siedział z gazetą w hotelu w Waterloo.

Czyi nie miał on takich samych bezbarwnych oczu i długich zmarszczek po obu stronach ust? A może tylko ta chwila jej świadomości tak podobna była do tamtej? Spędziły noc w Lusk, sto kilometrów dalej.

„Pani H.F. Aird?” przeczytał recepcjonista, kiedy Carol wypełniła formularz meldunkowy. „Czy pani Carol Aird?” Podniósł na nią wzrok.

„Tak.”

„Wiadomość dla pani.” Odwrócił się i wyjął coś z półki. „Telegram.”

„Dziękuję.” Carol spojrzała na Teresę i zanim otworzyła telegram uniosła brwi ze zdziwienia. Przeczytała go ze zmarszczonym czołem i zwróciła się do recepcjonisty. „Gdzie jest hotel «Belvedere?»,,

Mężczyzna objaśnił jej drogę.

„Muszę odebrać drugi telegram”, powiedziała do Teresy. „Poczekasz tutaj?”

„Od kogo?”

„Abby.”

„Ach tak. Jakieś złe wiadomości?”

Wzrok Carol był wciąż zamyślony. „Nie wiem, zanim nie przeczytam drugiego. Abby donosi tylko, że drugi telegram czeka na mnie w «Belvedere.»

„Mam zanieść walizki do pokoju?”

„Lepiej z tym zaczekaj. Samochód jest zaparkowany.”

„Mogę pójść z tobą?”

„Oczywiście, jeśli masz ochotę. Pójdziemy na piechotę. To kilka kroków stąd.”

Carol szła szybko. Zimno było dokuczliwe. Teresa rozglądała się po niskim, zadbanym mieście i przypominała sobie, jak Carol mówiła, że Salt Lake City to najczystsze miasto w Stanach Zjednoczonych. Kiedy ujrzały „Belvedere” powiedziała: „Prawdopodobnie Abby wpadła na spontaniczny pomysł, żeby wsiąść do samolotu i do nas dołączyć.”

W „Belvedere” Teresa kupiła gazetę, a Carol poszła do recepcji. Kiedy Teresa odwróciła się w jej stronę, Carol upuściła właśnie przeczytany telegram. Jej twarz sprawiała wrażenie odurzonej. Powoli podeszła do Teresy, a tej przeleciało przez myśl, że Abby nie żyje, że ta druga wiadomość nadeszła od jej rodziców.

„Co się stało?” zapytała Teresa.

„Nic, to znaczy, jeszcze nie wiem.” Carol popatrzyła szybko dookoła i postukała telegramem po palcach. „Muszę zatelefonować. To może trochę potrwać.” Spojrzała na zegarek.

Była za piętnaście druga. Mężczyzna w recepcji powiedział, że połączenie z New

Jersey może uzyskać za około dwadzieścia minut. Carol chciała się w tym czasie czegoś napić. Znalazły bar hotelowy.

„Co się dzieje? Czy Abby jest chora?”

Carol uśmiechnęła się. „Nie, wszystko ci później opowiem.”

„Czy coś z Rindy?”

„Nie!” Carol wypila swój koniak.

Podczas gdy Carol telefonowała z budki, Teresa spacerowała po holu. Widziała, jak Carol kilka razy kiwnęła głową, potem grzebała w torebce szukając zapalniczki, żeby przypalić sobie papierosa, ale zanim Teresa doszła do niej z zapalkami, już ją znalazła i dała jej znak, żeby się odsunęła. Carol rozmawiała jeszcze trzy lub cztery minuty, potem wyszła z budki i zapłaciła za rozmowę. „O co chodzi, Carol?”

Carol stanęła przy wejściu do hotelu i wyjrzała na zewnątrz.

„Pójdziemy teraz do hotelu «Temple Square»,” powiedziała.

Tam odebrała trzeci telegram. Otworzyła go i rzuciwszy nań okiem podarła go na strzępy i wróciła do wejścia.

„Myślę, że nie zostaniemy tutaj na noc”, powiedziała. „Wracajmy do auta.”

Poszły do hotelu, w którym Carol odebrała pierwszy telegram. Teresa nic nie mówiła, ale czuła, że stało się coś, co oznaczało, iż Carol musiała bezzwłocznie wracać na wschód. Carol anulowała rezerwację pokoju.

„Chciałabym zostawić adres na wypadek, gdyby nadeszły dla mnie jeszcze jakieś wiadomości”, powiedziała. «Brown Palace» w Denver.”

„Tak jest.”

„Bardzo dziękuję, ten adres jest ważny przynajmniej przez cały następny tydzień.”

W samochodzie Carol zapytała: „Jakie jest następne miasto na zachód?”

„Na zachód?” Teresa spojrzała na mapę. „Wendover. To po drodze. 150 kilometrów stąd.”

„Jezu!” wyrwało się Carol. Zahamowała gwałtownie, przyciągnęła mapę do siebie i zaczęła ją dokładnie studiować.

„A co z Denver?” zapytała Teresa.

„Nie chcę do Denver.” Carol złożyła mapę i ruszyła. „Dobra, mamy radę. Zapal mi papierosa, dobrze, kochanie? I wypatruj następnej miejscowości, gdzie mogłybyśmy coś przegryźć.”

Nie jadły jeszcze obiadu, choć było już po trzeciej. Poprzedniego wieczoru rozmawiały o tej drodze, bezpośredniej drodze z Salt Lake City przez pustynię Great-Salt-

Lake. Benzyny miały dosyć, stwierdziła Teresa, a i teren nie był też z pewnością tak zupełnie pustynny, tylko że Carol czuła się zmęczona. Były w drodze od szóstej rano. Carol jechała szybko. Czasami wciskała do końca pedał gazu, trzymając tak dobra chwilę, zanim cofnęła nogę. Teresa obrzucała ją zatroskanym spojrzeniem. Miała przytłaczające uczucie, że ona przed czymś ucieka.

„Czy jedzie ktoś za nami?” zapytała Carol.

„Nie.” Teresa zdołała odcyfrować fragment telegramu, który wystawał z torebki Carol, leżącej pomiędzy nimi na siedzeniu...TO OTRZYMASZ: JACOPO - to wszystko, co mogła odczytać. Przypomniała sobie, że Jacopo to imię małego pluszowego osiołka, który leżał z tyłu w samochodzie.

Podjechały do kawiarni z kolumnami, stojącej zupełnie samotnie, niczym wielka brodawka pośrodku płaskiego krajobrazu. Całkiem prawdopodobne, że były pierwszymi osobami, jakie od kilku dni tędy przejeżdżały. Carol popatrzyła na nią ponad stołem, przykrytym białym plastikowym obrusem i opadła na krzesło z wysokim oparciem. Zanim jeszcze zdołały coś powiedzieć, z kuchni na tyłach wyszedł mężczyzna w fartuchu, oznajmiając, że może im podać tylko jajecznicę na boczku. Zamówiły więc jajecznicę i kawę. Potem Carol zapaliła papierosa i pochyliła się do przodu ze wzrokiem spuszczonego na stół.

„Wiesz, co się stało?” powiedziała. „Harge wynajął detektywa, który śledzi nas od Chicago.”

„Detektywa? Po co?”

„Nie domyślasz się?”, powiedziała Carol prawie szeptem.

Teresa ugryzła się w język. Oczywiście, że tak. Harge dowiedział się, że wyjechały razem. „Abby ci o tym powiedziała?”

„Abby to odkryła.” Palce Carol ześliznęły się po papierosie i oparzyła się. Kiedy wyjęła papierosa z ust, z dolnej wargi pociekła krew.

Teresa rozejrzała się dookoła. Sala była pusta. „Śledzi nas?” zapytała. „Jedzie za nami?”

„Być może jest teraz w Salt Lake City. Rozpytuje o nas we wszystkich hotelach. To bardzo brudny zawód, kochanie. Tak mi przykro.” Carol oparła się niespokojnie na krześle. „Może lepiej wsadzić cię do następnego pociągu i odesłać do domu.”

„Dobrze - jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej.”

„Nie chcę, żebyś była w to wszystko wplątana. Niech jadą za mną nawet na Alaskę, jeśli chcą. Nie wiem, czego się dotychczas dowiedzieli. Myślę, że niewiele.”

Teresa siedziała sztywno na brzegu krzesła. „Co on właściwie robi - sporządza jakies

notatki o nas?”

Stary mężczyzna podszedł do stolika przynosząc szklanki i wodę.

Carol skinęła głową. „Jest jeszcze taki trik z pluskwą”, dodała, kiedy mężczyzna się oddalił. „Nie wiem, czy posuną się aż tak daleko.” Kąciki jej ust drżały.

Zapatrzyła się na plamę na zużyтым plastikowym obrusie. „Zastanawiam się, czy mogli mieć tyle czasu, żeby założyć podsłuch w Chicago. To jedyne miejsce, gdzie zatrzymałyśmy się dłużej niż na dziesięć godzin. Mam nadzieję, że nie, to byłoby takie absurdalne. Pamiętasz Chicago?” „Naturalnie.” Teresa usiłowała mówić spokojnie, ale był to blef. Tak jak się blefuje i udaje opanowanie, kiedy mężczyzna, którego się kocha, umiera na naszych oczach. Będą musiały się tutaj rozstać. „A co z Waterloo?” Mimowolnie pomyślała o mężczyźnie z holu hotelowego.

„Przyjechałyśmy tam późnym wieczorem. To nie byłoby takie łatwe.”

„Carol, ja tam kogoś zauważyłam - nie jestem pewna, ale myślę, że widziałam go dwa razy.”

„Gdzie?”

„W holu hotelowym w Waterloo po raz pierwszy. A potem zdawało mi się, że widziałam tego samego mężczyznę w restauracji z kominkiem.” W tej restauracji były dopiero wczoraj wieczorem.

Carol kazała Teresie dokładnie opowiedzieć o obu spotkaniach i szczegółowo opisać tego mężczyznę. Nie było to łatwe, ale wysiliła swój umysł, żeby wycisnąć z niego nawet najmniejszy szczegół, aż po kolor jego butów. Było to dla niej niezwykle i jednocześnie zaskakujące doświadczenie, wydobyć coś, co było pewnie tylko wytworem jej wyobraźni i połączyć to z sytuacją, która była całkowicie realna. Najprawdopodobniej przedstawiła Carol same kłamstwa, rozmyślała, zauważywszy jak oczy Carol stawały się coraz większe i większe.

„Co o tym sądzisz?” zapytała Teresa.

Carol westchnęła. „A cóż można o tym sądzić? Musimy po prostu za trzecim razem rozejrzeć się za nim.”

Teresa patrzyła na swój talerz. Nie mogła nic przełknąć. „Chodzi o Rindy, prawda?”

„Tak.” Carol odłożyła widelec, zanim jeszcze cokolwiek ugryzła i zapaliła papierosa. „Harge chce ją - całkowicie i wyłącznie dla siebie. Może myśli, że w ten sposób to osiągnie.”

„Tylko dlatego, że razem podróżujemy?”

„Tak.”

„Powinnam cię opuścić.”

„Do diabła”, powiedziała Carol ze stoickim spokojem, kierując niepewnie wzrok w odległy kąt sali.

Teresa czekała. Ale co ją tutaj jeszcze zatrzymywało? „Może mogłabym pojechać autobusem i dostać się do jakiegoś pociągu?”

„Chciałabyś odjechać?” zapytała Carol.

„Oczywiście, że nie. Myślę tylko, że tak byłoby najlepiej.”

„Boisz się?”

„Bać się? Nie.” Czuła na sobie wzrok Carol, sprawdzający ją tak ostro, jak wtedy w Waterloo, gdy powiedziała, że ją kocha.

„No to nie wyjeżdżaj, do cholery. Chcę cię mieć przy sobie.”

„Mówisz poważnie?”

„Tak. Zjedz swoją jajecznicę i przestań pleść głupstwa.” Carol zdołała się nawet lekko uśmiechnąć. „Pojedziemy do Reno, tak jak planowałyśmy?”

„Dokąd tylko zechcesz.”

„Powoli, mamy czas.”

Wkrótce potem, już w drodze, Teresa znowu zaczęła: „Wiesz, wciąż jeszcze nie jestem pewna, że za drugim razem był to ten sam mężczyzna.”

„A ja myślę, że jesteś”, powiedziała Carol. Potem zatrzymała nagle samochód na długiej, prostej drodze. Przez chwilę siedziała i milczała ze wzrokiem wpatrzonym w dal. Nagle odezwała się, spoglądając z boku na Teresę: „A więc do Reno nie mogę pojechać. To by znaczyło, że posunęliśmy się za daleko. Znam pewne cudowne miejsce nieco na południe od Denver.”

„Denver?”

„Denver”, powtórzyła Carol z naciskiem i zawróciła samochód.

Słońce już od dawna świeciło w ich pokoju, kiedy leżały rano mocno przytulone.

Promienie słoneczne grzały przez hotelowe okno w tym prowincjonalnym miasteczku, którego nazwy nawet nie znała. Na zewnątrz przed drzwiami leżał śnieg.

„W Estes Park będzie śnieg”, odezwała się Carol. „Co to jest Estes Park?”

„Spodoba ci się. Różni się od Yellowstone Park. Jest otwarty przez cały rok.”

„Carol - w ogóle się nie martwisz?”

Carol przyciągnęła ją do siebie. „A zachowuję się tak, jakbym się martwiła?”

Teresa już się więcej nie przejmowała. Pierwsza panika minęła. Była ostrożna, ale już nie tak spięta jak wczoraj po południu zaraz za Salt Lake City. Carol chciała, żeby przy niej była, i niech się dzieje co chce, sprostą temu, nie będzie uciekać.

Jak to było możliwe, kochać i bać się, myślała Teresa. To nie pasowało do siebie. I jak to było możliwe, żeby się bać, kiedy obie stawały się z każdym dniem coraz silniejsze? I z każdą nocą. Każda noc, każdy ranek były inne. Jakiś cud zdarzył się z nimi obiema.

Droga do Estes Park lekko skręcała. Po obu stronach piętrzyły się zwały nawianego śniegu, coraz wyżej i wyżej, a potem ukazały się światła rozwieszane wzdłuż sosen i nad drogą. Była to wioska z brązowymi, drewnianymi domkami, sklepami i hotelami. Grała muzyka, a ludzie chodzili po oświetlonych ulicach jak zaczarowani, z twarzami zwróconymi ku niebu.

„Bardzo mi się tu podoba!” powiedziała Teresa.

„Co nie oznacza, że nie masz uważać na naszego małego mężczyznę.”

Wniosły do swego pokoju walizkowy gramofon i puściły kilka płyt, które właśnie kupiły, a także kilka starych z New Jersey. Teresa nastawiała parę razy „Easy Living”, podczas gdy Carol siedziała ze skrzyżowanymi rękami na oparciu fotela w drugim kącie pokoju, przyglądając się jej.

„Wszystko ci psuję, prawda?”

„Ach, Carol” - Teresa próbowała się uśmiechnąć. To tylko jeden z nastrojów Carol, tylko chwila. Lecz czyniła Teresę bezradną.

Carol spojrzała przez okno dookoła. „Czemu od razu nie pojechałyśmy do Europy? Do Szwajcarii. Albo przynajmniej nie przyleciałyśmy tutaj.”

„Wcale bym tego nie chciała.” Teresa dostrzegła żółtą zamszową koszulę, którą Carol dla niej kupiła i która zwisała teraz na oparciu krzesła. Carol posłała Rindy taką samą, tylko



zieloną. Ona zaś kupiła parę srebrnych kolczyków, kilka książek i butelkę Tripla Sec. Jeszcze pół godziny temu włączyły się razem szczęśliwe po ulicach. „To przez tę whisky, którą wypiałś na dole”, powiedziała Teresa. „Whisky wywołuje u ciebie depresję.”

„Naprawdę?”

„Bardziej niż koniak.”

„Zabiorę cię do najpiękniejszego miejsca, jakie znam po tej stronie Sun Valley”, rzekła Carol.

„A co z Sun Valley?” Wiedziała, że Carol lubi jeździć na nartach.

„Sun Valley nie jest po prostu odpowiednim miejscem”, powiedziała Carol tajemniczo. „To miejsce leży niedaleko Colorado Springs.”

W Denver Carol sprzedała u jubilera swój zaręczynowy pierścionek z brylantem.

Teresa była tym trochę oburzona, lecz Carol powiedziała, że pierścionek nie ma dla niej żadnego znaczenia, a brylantów i tak nie znosi. A poza tym, tak było szybciej, niż gdyby musiała telegraficznie podjąć pieniądze ze swego banku.

Carol chciała przenocować w hotelu oddalonym kilka kilometrów od Colorado, w którym już raz była, ale kiedy tam dojechały, rozmyśliła się. Za bardzo przypominał ośrodek wypoczynkowy, uznała i pojechały do innego hotelu, który położony był tyłem do miasta a frontem do gór.

Ich pokój stanowił podłużne pomieszczenie z kwadratowymi, sięgającymi podłogi oknami, wychodzącymi na ogród, za którym rozciągał się widok na czerwone i białe góry. W ogrodzie, upstrzonym pojedynczymi białymi kleksami, stały dziwne kamienne piramidy oraz pomalowane na białą ławeczki i krzesła.

Ogród wyglądał śmiesznie na tle tego wspaniałego krajobrazu, tej wielkiej płaszczyzny, wznoszącej się ku górom i wypełniającej cały horyzont. Meble w pokoju były jasne, przypominały trochę kolor włosów Carol, znajdowała się wśród nich biblioteczka, tak gładka, o jakiej marzyła Teresa, a pośród zgromadzonych rupieci znalazło się nawet kilka książek, chociaż Teresa dobrze wiedziała, że nie przeczyta żadnej z nich podczas pobytu tutaj. Nad biblioteczką wisiał obraz, przedstawiający kobietę w czarnym kapeluszu i czerwonym szalu, a na ścianie obok drzwi rozciągnięta była brązowa skóra, nie jakaś prawdziwa skóra zwierzęcia, tylko po prostu kawałek brązowego zamszu. Ponad nią wisiała cynowa latarenka ze świecą w środku. Carol wynajęła również sąsiedni pokój, który miał przejściowe drzwi, aczkolwiek nie skorzystała z niego nawet po to, by wstawić tam swoje bagaże. Chciały zatrzymać się tu na tydzień albo i dłużej, jeśli będzie się im podobało.

Kiedy rankiem następnego dnia Teresa wróciła z kontrolnego spaceru po piętrach

hotelu, zastała Carol pochyloną nad nocnym stolikiem. Carol sprawdzała ją dokładnie od spodu, a potem jeszcze długą wbudowaną w ścianę szafę.

„Załatwione”, powiedziała. „Nie myślmy już więcej o tym.”

Teresa wiedziała, czego Carol szuka. „Już więcej o tym nie myślałam”, odrzekła. „Czuję, że się go pozbyliśmy.”

„Tylko że on w tym czasie dotarł prawdopodobnie do Denver”, powiedziała spokojnie Carol. Uśmiechnęła się, lecz kąciki jej ust drżały. „Prawdopodobnie pojawi się i tutaj.”

I tak się też stało. Zachodziło przecież nikle prawdopodobieństwo, że detektyw widział je, jak jechały z powrotem przez Salt Lake City i ruszył za nimi. Jeśli wpadł na ich trop w Salt Lake City, na pewno wypytywał o nie w hotelach.

Wiedziała, że Carol specjalnie podała w Denver adres dla korespondencji. Teresa opadła na fotel. Patrzyła na Carol. Oto Carol zadawała sobie trud, żeby znaleźć aparat podsłuchowy, ale poza tym jej zachowanie było aroganckie. Jeszcze więcej: tą podróżą sprowokowała los. I wyjaśnienie, że rozwikłanie wszystkich tych sprzecznych faktów było tylko i wyłącznie jej sprawą, dawało się zauważyć jako niemożliwe, w jej powolnych, bezradnych krokach, w niedbałym sposobie trzymania głowy i w nerwowej linii brwi, które stroszyły się znienacka w złości, aby już w następnej sekundzie znowu się wygładzić. Teresa rozejrzała się po tym dużym pokoju z wysokim sufitem i wielkim kwadratowym, prostym łóżem. Przy całej swej nowoczesności zachował coś dziwnie staromodnie przestronnego, co Teresie kojarzyło się z wyobrażeniem o amerykańskim zachodzie, podobnie jak olbrzymie siodła, na dole w stajni. A jednocześnie pewnego rodzaju czystość. I właśnie ten pokój rewidowała Carol, ciągle jeszcze w piżamie i szlafroku, w poszukiwaniu aparatu podsłuchowego! Teresa chciała spontanicznie wziąć ją w ramiona i pociągnąć na łóżko. Nie zrobiła tego jednak od razu i dlatego poczuła mrowie w całym ciele, z trudnością ukrywając podniecenie.

Carol wypuściła dym z papierosa. „Jest mi wszystko jedno. Mam tylko nadzieję, że prasa się o tym dowie i Harge utopi się w swoim własnym bagnie. Chciałabym, żeby stracił na to przynajmniej z pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A właśnie, wybierzemy się dzisiaj po południu na przejażdżkę, na której język angielski będzie zupełnie nieprzydatny? Pytałaś już panią French?”

Panią French poznały poprzedniego wieczoru w hotelowej restauracji. Nie miała auta i Carol zapytała ją, czy pojedzie dzisiaj z nimi na małą wycieczkę.

„Pytałam”, odpowiedziała Teresa. „Będzie gotowa zaraz po obiedzie.”

„Załóż swoją zamszową koszulę.” Carol ujęła twarz Teresy w obie dłonie, Ścisnęła ją

za policzki i pocałowała. „Ubierz ją zaraz.”

Była to sześcio - czy siedmiogodzinna jazda do kopalni złota w Cripple Creek, przez przełęcz Ute i potem z góry. Pani French jechała z nimi i bez przerwy mówiła. Była to siedemdziesięcioletnia kobieta, o marylandzkim akcencie i z aparatem słuchowym, w każdej chwili gotowa wysiąść z auta i wspinać się na wszystkie szczyty, chociaż trzeba jej było pomagać prawie przy każdym kroku.

Teresa bardzo się o nią troszczyła, pomimo że dotykanie jej nie było dla niej przyjemne. Gdyby pani French upadła, pomyślała, rozleciałaby się na tysiąc kawałeczków. Carol i pani French rozmawiały o stanie Waszyngton, który pani French dobrze знаła, jako że mieszkała tam od kilku lat u swego syna. Carol stawiała jej pytania, a pani French opowiadała jej wszystko o swoich podróżach, jakie odbyła w ciągu ostatnich dziesięciu lat, po śmierci męża, i o swoich obu synach, tym z Waszyngtonu i tym drugim, który mieszkał na Hawajach i pracował w firmie eksportującej ananasy. I pani French była naturalnie zachwycona Carol, i będą się jeszcze z nią często widziały. Była prawie jedenasta w nocy, kiedy wróciły do hotelu. Carol zaprosiła panią French na późną kolację do baru, lecz ta powiedziała, że jest zbyt zmęczona, aby zjeść coś innego niż swoją owsiankę z gorącym mlekiem, a to zrobi w swoim pokoju.

„Ale się cieszę”, powiedziała Teresa, kiedy tamta poszła. „Wolałam być z tobą sama.”

„Naprawdę panno Belivet? Co pani przez to rozumie?” zapytała Carol, przytrzymując jej drzwi do baru. „Proszę usiąść przy mnie i powiedzieć!”

Lecz nie zostały same dłużej niż pięć minut. Dwóch mężczyzn - jeden nazywał się Dave, a imienia drugiego Teresa nie usłyszała i nie przywiązywała do tego wagi - podeszło do ich stolika, pytając, czy mogliby się przysiąść. Już poprzedniego wieczoru zagadnęli je w restauracji pytając, czy nie miałyby ochoty na Gin Rummy. Wczoraj wieczorem Carol odmówiła. Teraz powiedziała: „Oczywiście, proszę usiąść.” Carol i Dave od razu nawiązali rozmowę, która wydawała się bardzo zajmująca, ale Teresa siedziała niezbyt korzystnie, i nie mogła w niej uczestniczyć. A mężczyzna obok niej chciał rozmawiać o czymś zupełnie innym, o przejażdżce konnej, którą właśnie odbył dookoła Steamboat Springs. Po kolacji Teresa oczekiwała od Carol jakiegoś sygnału do wyjścia, ale ta była wręcz pochłonięta rozmową. Teresa czytała kiedyś o wyjątkowej przyjemności, jaką niektórzy ludzie znajdują w tym, że osoba, którą kochają, również w oczach innych uchodzi za atrakcyjną. Jej było to po prostu obce. Carol spoglądała na nią od czasu do czasu, mrugając porozumiewawczo. Tak więc Teresa siedziała tam półtorej godziny, zmuszając się do uprzejmego przysłuchiwania się rozmowie, ponieważ wiedziała, że Carol tego od niej oczekiwała. Ludzie, którzy w barze lub

czasami także w restauracji dosiadali się do nich, nie działali jej nawet w połowie tak bardzo na nerwy, jak pani French, która prawie codziennie gdzieś z nimi jeździła. W takich momentach Teresa - chociaż się tego wstydziła - potajemnie brała to ludziom za złe, gdyż przeszkadzali jej w obcowaniu sam na sam z Carol.

„Kochanie, czy myślałaś już kiedyś o tym, że też będziesz miała siedemdziesiąt jeden lat?”

„Nie,” odpowiedziała Teresa.

Ale w następne dni jeździły w góry same, wybierając bez zastanowienia drogę, którą akurat zobaczyły. Pewnego razu dotarły do małej miejscowości, która tak im się spodobała, że spędziły tam noc, bez piżam i szczoteczki do zębów, bez przeszłości i przyszłości, i ta noc stała się jedną z owych wysp w czasie, jakie zachowuje się doskonale i bez uszczerbku gdzieś na dnie w sercu albo w pamięci. A może nie było to nic innego jak po prostu szczęście, doskonale szczęście, myślała Teresa, jakie zdarza się tak rzadko, że tylko nieliczni mogą go doświadczyć. Lecz jeśli było to szczęście, to przeszło wszelkie granice i stało się czymś innym, czymś tak okrutnie obciążającym, że już nawet ciężar filiżanki z kawą w ręce lub szybkość, z jaką kot przebiegał przez ogród, czy głucho zderzenie dwóch chmur wydawało się jej czymś nie do wytrzymania. I tak samo, jak przed miesiącem nie mogła zrozumieć, że nagle aż pieje z radości, tak teraz nie pojmowała, jak to wszystko mogło się tak nagle zmienić. Częściej chciało jej się płakać niż śmiać i zaczęła się poważnie obawiać, że coś z nią jest niedobrze. Czasami ogarniał ją lęk, jakby musiała biegać dookoła ze złamanym kręgosłupem. Ale gdy spontanicznie chciała zwierzyć się z tego Carol, słowa, zanim jeszcze zaczęła mówić, rozplywały się w lęku i jej typowej nieufności do własnych reakcji, w strachu, że jej reakcje okazałyby się inne niż u pozostałych ludzi i że z tego powodu nawet Carol nie mogłaby jej zrozumieć.

Jeździły zazwyczaj w góry, zostawiały samochód i wspinały się na jakieś wzniesienie. Krążyły bez celu po krętych drogach, łączących niczym białe linie jeden szczyt z drugim. Z pewnej odległości można było zobaczyć, jak chmury otaczały góry, a sterczące szczyty wydawały się płynąć w przestworzach, bliżej nieba niż ziemi. Na autostradzie, powyżej Cripple Creek, gdzie droga znienacka wspinała się brzegiem olbrzymiej przepaści, Teresa miała swoje ulubione miejsce. Setki metrów w dół rozpościerał się maleńki, barwny nieład jakiegoś opuszczonego miasteczka przy kopalni. W tym miejscu oczy i rozum płatały sobie nawzajem figle, gdyż nie sposób było wyobrazić sobie, jak tam w dole naprawdę wygląda, było to niemożliwe przy pomocy żadnej ludzkiej miary. Jej własna dłoń mogła na wyciągnięcie ręki wydawać się niezmiernie mała albo też niewiarygodnie olbrzymia. I to

górniczne miasteczko, tam w dole, stanowiło jedynie skrawek wielkiej muldy ziemi, tak jak jednostkowe doświadczenie, pojedyncze, całkiem zwyczajne zdarzenie, które zachodzi tylko w konkretnym, niewymierzalnym obszarze ducha. Jej spojrzenie, szybujące w przestrzeni, powróciło do miejsca, które wyglądało niczym pudełko zapalek rozjechane przez samochód, zatrzymując się na spowodowanym ludzką ręką nieładzie, w którym leżało miasteczko.

Teresa bez przerwy miała się na baczności przed mężczyzną z głębokimi bruzdami wokół ust, Carol zaś wcale. Od drugiego dnia pobytu w Colorado Springs nawet o nim nie napomknęła, choć minęło już dziesięć dni. Ponieważ restauracja hotelowa służyła w całej okolicy, co wieczór pojawiały się w niej nowe twarze, które Teresa potajemnie obserwowała - właściwie nie dlatego, że go oczekiwała, lecz dlatego, że ostrożność stała się już jej nawykiem. Carol zaś zwracała uwagę tylko na Waltera, swego kelnera, który pytał ją, na jaki cocktail miałyby dzisiaj ochotę. Wielu ludzi oglądało się za Carol, gdyż prawie zawsze była najatrakcyjniejszą kobietą w całej sali. I Teresa czuła się bardzo szczęśliwa, że może być tu razem z nią, tak dumna z niej, że nie zwracała na nikogo innego uwagi. Kiedy zagłębiała się w lekturze menu, Carol, żeby ją rozśmieszyć, nadeptywała jej pod stołem delikatnie, ale jednoznacznie na nogę.

„Co byś powiedziała na Islandię w lecie?” pytała na przykład, jako iż stało się już regułą, że jeśli nie miały innego tematu, rozmawiały przy jedzeniu o podróżach.

„Czy zawsze musisz wybierać takie zimne okolice? Kiedy właściwie będę pracować?”

„Nie bądź taka przygnębiona. Zaprosimy panią French? Jak myślisz, zgorszy się, jeśli będziemy trzymały się za ręce?”

Któregoś ranka dostały trzy listy - od Rindy, Abby i od Danniego. To drugi list od Abby, od której do tej pory nie nadeszły dalsze wiadomości, pomimo że Carol zawiadomiła ją telegraficznie o zmianie trasy. Teresa zauważyła, że Carol otworzyła najpierw list od Rindy. Dannie pisał, że wciąż jeszcze czeka na wyniki swoich rozmów związanych z pracą i donosił, że według Phila, Harkevy przygotowuje w marcu scenografię do angielskiej sztuki „Omdlące serce”

„Posłuchaj tego”, powiedziała Carol. «Czy Widziałas w Colorado pancerniki? Możesz mi jednego przysłać? Bo kameleon gdzieś się zgubił. Szukaliśmy go z tatusiem po całym domu. Ale jak przyślesz mi pancernika - on jest za duży, żeby się zgubić.» Nowy akapit. «Dostałam piątkę z dyktanda, ale i trójkę z rachunków. Nie znoszę rachunków. I nie cierpię tego nauczyciela. Muszę kończyć. Ściskam cię, pozdrawiam ciebie i Abby. Ps. Bardzo dziękuję za koszulę z zamszu, tatuś podarował mi na Gwiazdkę prawdziwy duży rower, do którego, jak mówi, jestem za mała, ale ja nie jestem. To piękny rower.» No cóż, Harge

zawsze mnie pokona.” Carol odłożyła list Rindy i sięgnęła po list od Abby.

„Dlaczego Rindy pozdrawia ciebie i Abby?” zapytała Teresa. „Czy ona myśli, że jesteś razem z Abby?”

„Nie.” Drewniany nóż do papieru zatrzymał się w połowie koperty. „Sądzę, że myślała, iż do niej napiszę”, odrzekła Carol i rozcięła kopertę do końca.

„Chyba Harge nic jej nie powiedział?”

„Nie, kochanie”, powiedziała Carol z rozdrażnieniem, czytając list od Abby.

Teresa wstała, podeszła do okna i spojrzała na góry. Powinna natychmiast napisać do Harkevy’ego z zapytaniem, czy nie znalazłby dla niej pracy jako asystentki w swoim zespole na marzec. Zaczęła w głowie układać list. Góry spoglądały na nią niczym majestatyczne czerwone lwy, zezujące na grzbiety swoich nosów. Słyszała, jak Carol dwukrotnie się roześmiała, lecz nie przeczytała na głos żadnego fragmentu listu Abby.

„Coś nowego?” zapytała Teresa, gdy tamta skończyła.

„Nie, nic.”

Na drogach u podnóża gór, które prawie nigdy nie przejeżdżały samochody, Carol uczyła ją prowadzić samochód. Teresa uczyła się tego szybciej, niż czegokolwiek przedtem i po kilku dniach Carol pozwoliła jej prowadzić przez Colorado Springs. W Denver złożyła egzamin i otrzymała prawo jazdy. Będzie mogła, jeśli zechce, prowadzić przez pół drogi do Nowego Jorku, powiedziała Carol.

Pewnego wieczoru w porze kolacji siedział sam przy stoliku z lewej strony za Carol. Teresa zakrztusiła się i odłożyła widelec. Serce waliło jej jak młot. Jak mogła zjeść prawie połowę kolacji, nie zauważywszy go? Spojrzała na Carol i zobaczyła, że się jej przygląda, jej szare oczy patrzyły badawczo na jej twarz. Carol urwała w połowie zdania.

„Zapał sobie papierosa”, powiedziała i podała jej ogień. „On nie przeczuwa, że go rozpoznałaś, prawda?”

„Nie.”

„Dobrze, nie daj nic po sobie poznać.” Carol uśmiechnęła się do niej i zapaliła papierosa, a potem popatrzyła w przeciwnym niż detektyw kierunku. „Nie denerwuj się”, dodała tym samym spokojnym głosem.

Łatwiej było to powiedzieć niż zrobić, albo też wyobrazić sobie, że powinna go zignorować, kiedy spotka się z nim po raz trzeci, ale po co miałyby na niego patrzeć, skoro było to tak, jakby ktoś strzelił jej prosto w twarz z pistoletu.

„Nie ma dziś zapiekanych łososi? O, serce mi pęknie”, powiedziała Carol patrząc w kartę. „Wiesz, co sobie zamówimy?” zawołała kelnera „Walter!”

Walter pośpieszył z uśmiechem jak co wieczór: „Tak, madame.”

„Dwa Remy Martin, proszę, Walterze”, zamówiła Carol.

Koniak pomógł niewiele, właściwie wcale. Detektyw nie spojrzał na nie ani razu.

Czytał książkę opartą na stole o srebrną obręcz do serwetek, i nawet teraz podobnie jak w tej kawiarni za Salt Lake City, ogarnęły Teresę wątpliwości, czy to rzeczywiście był on - niepewność, która była nawet straszniejsza od całkowitej pewności.

„Musimy przechodzić obok niego, Carol?” zapytała Teresa. Drzwi za nimi prowadziły do baru.

„Tak. Dokładnie tamtędy wyjdziemy.” Carol uśmiechnęła się, unosząc lekko brwi, jak to czyniła co wieczór. „Chyba nie spodziewasz się, że wyciągnie rewolwer?”

Teresa podążyła za nią, mijając mężczyznę z głową pochyloną nad książką w odległości niespełna dwudziestu centymetrów. Widziała, jak Carol pochyliła się serdecznie nad panią French, siedzącą samotnie przy swoim stoliku.

„Dlaczego nie przysiadła się pani do nas?” zapytała Carol i Teresa przypomniała sobie, że obie kobiety, które zazwyczaj siedziały z panią French, dzisiaj wyjechały.

Carol zatrzymała się na chwilę, żeby porozmawiać z panią French.

Teresa była zaskoczona, lecz sama nie była w stanie zostać i poszła dalej do windy, gdzie zaczęła na Carol.

Na górze w pokoju Carol odkryła mały aparacik, przymocowany w kącie pod nocnym stolikiem. Wzięła nożyczki i obiema rękami przecięła drut, biegnący pod dywanem.

„Czy wpuścił go tutaj ktoś z personelu hotelu?” zapytała z przerażeniem Teresa.

„Pewnie miał jakąś legitymację.” Carol wyrwała jednym szarpnięciem aparat spod stolika i rzuciła go na dywan, małą skrzyneczkę ze zwisającym drutem. „Popatrz tylko jak szczer”, powiedziała. „To cały Harge.” Nagle jej twarz poczerwieniała.

„Dokąd prowadzi ten drut?”

„Pewnie do jakiegoś pokoju, gdzie wszystko jest nagrywane. Błogosławione niech będą wykładziny dywanowe w tym hotelu!”

Carol kopnęła aparat podsłuchowy na środek pokoju.

Teresa patrzyła na małe prostokątne pudełko i myślała o tym, jak wczorajszej nocy pochłaniało jej namiętne słowa. „Zastanawiam się, jak długo to już tutaj jest?”

„A jak myślisz, od jak dawna on tutaj jest, niezauważony przez ciebie?”

„W najgorszym razie od wczoraj.” Ale przecież wiedziała, że mogła się mylić. Nie sposób było przyjrzeć się wszystkim twarzom w hotelu.

Carol pokręciła głową. „Czyżby potrzebował prawie dwóch tygodni na to, żeby

wyśledzić nas od Salt Lake City aż tutaj? Nie, on po prostu postanowił dziś wieczorem zjeść razem z nami.” Carol, z lampką koniaku w ręce, odwróciła się od biblioteczeki i spojrzała na nią. Rumieniec zniknął z jej twarzy. Teraz nawet uśmiechała się lekko do Teresy. „Cóż za fajtłapa, nieprawdaż?” Usiadła na łóżku, podsunęła pod plecy poduszkę i oparła się wygodnie. „No tak, byliśmy tu i tak wystarczająco długo, nie sądzisz?”

„Kiedy wyjeżdżamy?”

„Może jutro. Spakujemy się z rana i po obiedzie możemy ruszać, jak myślisz?”

Później zeszły na dół i przejechały się kawałek w ciemnościach. Nie dotrzemy już zbyt daleko na zachód, pomyślała Teresa. Nie potrafiła całkowicie stłumić paniki, jaka szalała w jej sercu i którą przypisywała czemuś zupełnie innemu, co przedtem już zniknęło, czemuś co wydarzyło się przed wielu laty, nie teraz i nie tutaj. Czuła się nieswojo, w przeciwieństwie do Carol. Carol nie udawała swojej zimnej obojętności, ona naprawdę się nie bała. Cóż on w końcu mógłby zrobić, ale nie życzyła sobie, żeby ją szpiegowano.

„Jeszcze jedno”, powiedziała Carol. „Spróbuj dowiedzieć się, jaki ma samochód.”

Kiedy tego wieczoru, pochylone nad mapą, omawiały jutrzejszą trasę tak rzeczowo, jak dwoje obcych sobie ludzi, Teresa pomyślała, że ta noc z całą pewnością nie będzie już taka jak poprzednie. Lecz jednak później w łóżku, gdy całowały się na dobranoc, Teresa poczuła, jak nagle się odprężyły, czuła, jak się w nich coś gwałtownie poruszyło, tak jakby ich ciała zrobione były z substancji, które natychmiast, gdy tylko się dotkną, wytwarzają pożądanie.



Teresa nie zdołała się dowiedzieć, jakim autem jeździł, gdyż wszystkie samochody stały w osobnych zamkniętych boksach i chociaż z ich werandy widać było garaże, nie zauważyła, żeby dzisiaj wychodził z hotelu. Również w czasie obiadu nigdzie go nie dostrzegły. Kiedy pani French dowiedziała się, że wyjeżdżają, nie dała się odwieść od zaproszenia ich do swego pokoju na kieliszek poprawiającego krążenie likieru. „Musimy się napić na pożegnanie”, powiedziała do Carol. „I nie mam jeszcze pani adresu!”

Teresa przypomniała sobie, że obie panie umawiały się na wymianę cebulek kwiatowych. Pamiętała długą rozmowę w samochodzie na ten temat, która przypieczętowała ich przyjaźń. Carol była do samego końca uosobieniem cierpliwości. Nikt, kto widniałby ją siedzącą na sofie u pani French z małym kieliszkiem w ręce, który pani French ciągle dopełniała, nie uwierzyłby, że śpieszno jej było stamtąd wyjść. Przy pożegnaniu pani French pocałowała obie w policzek.

W Denver wjechały na drogę prowadzącą na północ, w kierunku Wyoming.

Zatrzymały się na kawę w skromnej wiejskiej knajpce, którą tak polubiły, z barem i grającą szafą. Wrzuciły monetę, ale nie było już tak samo. Także pozostała część podróży, Teresa czuła to wyraźnie, nie będzie już taka jak przedtem, chociaż Carol jeszcze teraz mówiła, że pojedą do Waszyngtonu, a może nawet i do Kanady. Jej właściwym celem był Nowy Jork.

Pierwszą noc spędziły na campingu, zbudowanym w kształcie koła, z okrągłymi indiańskimi namiotami. Podczas gdy się rozbierały, Carol wodziła znudzonym wzrokiem po sklepieniu namiotu: „Ileż trudu zadają sobie niektórzy idioci”, i Teresie wydało się to z jakiegoś powodu bardzo śmieszne. Śmiała się, aż Carol miała tego wreszcie dość i zagroziła, że wyleje na nią całą szklanek koniaku, jeśli nie przestanie. Teresa stała z kieliszkiem koniaku w ręce przy oknie, czekając kiedy Carol wyjdzie spod prysznic. Śmiała się wciąż jeszcze, gdy przed duży namiot recepcji zajechał samochód. Mężczyzna, który wszedł do biura, ukazał się wkrótce na zewnątrz i zaczął chodzić w ciemnościach po terenie campingu.

Właśnie jego skradający się krok przyciągnął jej uwagę i sprawił, że nagle była pewna, iż jest to detektyw - nawet nie widząc jego twarzy.

„Carol!” krzyknęła.

Carol odsunęła zasłonę prysznic, spojrzała na nią i przestała się wycierać. „Czy to...?”

„Nie wiem, ale myślę, że tak”, powiedziała Teresa i zobaczyła, jak wściekłość powoli

rozlewa się na twarzy Carol. W okamgnieniu Teresa wytrzeźwiała, jakby pojmując, że jest to zniewaga dla Carol albo dla niej.

„Do diabła!” parsknęła Carol, rzucając ręcznik na podłogę. Naciągnęła szlafrok i zapięła pasek. „No więc - co on robi?”

„Wygląda na to, że tutaj zostanie.” Teresa odsunęła się na krok od okna. „W każdym razie jego auto stoi wciąż jeszcze przed recepcją. Jak zgasimy światło, będę widzieć dużo lepiej.” Carol jęknęła. „Ach, daj spokój.” I rozdrażniona, ze wstrętem dodała: „Mam już dosyć.”

Teresa wykrzywiła usta, żeby znowu nie parsknąć śmiechem, bo to na pewno zdenerwowałoby Carol. Potem zobaczyła, jak samochód znika u wejścia do namiotu garażowego. „Tak, zostaje tu. Jeździ dwudrzwiowa czarna limuzyna.”

Carol usiadła z westchnieniem na łóżku. Posłała Teresie uśmiech, zmęczony, znudzony uśmiech, z którego przebijała rezygnacja, bezradność i wściekłość.

„Weź prysznic i ubierz się!”

„Nie mogę przysiąc, że to on.”

„I to jest właśnie najgorsze, kochanie.”

Teresa umyła się i w ubraniu położyła się obok Carol. Carol zgasła światło. Po ciemku paliła jednego papierosa po drugim, nie odzywając się ani słowem, aż wreszcie dotknęła jej ramienia i powiedziała: „Jedźmy.” Było wpół do czwartej, kiedy opuszczały camping. Rachunek zapłaciły z góry. Nigdzie nie paliły się światła, więc jeśli detektyw nie zgasił światła u siebie, żeby móc je obserwować, to nikt ich nie zauważył.

„Co chcesz teraz zrobić - przespać się gdzie?” zapytała Carol.

„Nie, a ty?”

„Nie. Zobaczymy, ile drogi uda nam się nadrobić.” Ruszyła. Droga w zasięgu reflektorów była wolna i gładka.

O brzasku zatrzymała je policja drogowa z powodu nadmiernej prędkości i Carol musiała zapłacić dwadzieścia dwa dolary mandatu, w mieście o nazwie Central City w Nebrasce. Zrobiły trzydziestokilometrowy objazd, jako że musiały jechać za policją do tego małego miasta, ale Carol wykonywała polecenia bez komentarza, zupełnie inaczej niż tamtego dnia, kiedy Teresa była świadkiem, jak flirtując z policjantem, przekonała go, żeby darował jej karę za przekroczenie prędkości - i to policjanta z drogówki z New Jersey.

„Irytujące”, powiedziała Carol, gdy znów wsiadły do auta. I to było wszystko, co

usłyszała z jej ust w ciągu kilku godzin.

Teresa zaproponowała, że ją zmieni przy kierownicy, ale Carol wolała sama prowadzić.

Przed nimi rozciągała się płaska preria Nebraski z żółtawymi ścierniskami pszenicznymi, poprzedzianymi łąkami brązowej ziemi i kamieniami, które wyglądały zwodniczo ciepło w zimowym słońcu. Ponieważ jechały teraz trochę wolniej, Teresa wyobraziła sobie z lękiem, że wcale się nie posuwają do przodu, jakby ziemia uciekała im spod nóg, a one stały w miejscu. Rozglądała się za następnym wozem policyjnym, za samochodem detektywa oraz za bezimiennym i bezkształtnym przedmiotem, który, jak się jej zdawało, podążał za nimi od Colorado Springs. Obserwowała nic nie znaczące zjawiska na niebie i na ziemi, którym jej umysł uparcie przypisywał jakieś znaczenie: na przykład myszołowowi, kreślącemu kręgi na niebie, kierunkowi, w jakim wiatr nagiął do ziemi krzewy i zielska albo temu czy z komina wylatywał dym, czy nie. Około ósmej na powiekach ciążyło jej tak nieodparte zmęczenie i tak bardzo zaćmiło jej głowę, że nie była wcale zaskoczona, kiedy odkryła za nimi samochód, którego wypatrywała: ciemną dwudrzwiową limuzynę.

„Jedzie za nami jakiś samochód”, powiedziała, „z żółtą rejestracją.”

Carol milczała przez minutę, ale zerknęła we wsteczne lusterko i z jej zaciśniętych ust wydobył się urywany oddech. „Wątpię w to. Jeśli tak jest, to nie doceniłam tego faceta.” Zmniejszyła prędkość. „Zdołasz go rozpoznać, gdy pozwolę mu nas wyprzedzić?”

„Tak.” Czyż teraz nie wystarczy już tylko pobieżne spojrzenie? Carol jechała tak wolno, że prawie stanęły na drodze, sięgnęła po mapę i rozłożywszy ją na kierownicy, wbiła w nią wzrok. Samochód zbliżył się i przejechał obok. To był on.

„Tak”, powiedziała Teresa. Mężczyzna nawet nie odwrócił głowy.

Carol nacisnęła pedał gazu. „Jesteś całkowicie pewna?”

„Zupełnie.” Teresa widziała, jak szybkościomierz wskazał sto i przeszedł dalej. „Co chcesz zrobić?”

„Porozmawiać z nim.”

Kiedy nadrobiły odległość dzielącą je od samochodu, Carol zredukowała prędkość, zjechała ze swego pasa i zrównała się z nim. Detektyw odwrócił głowę i spojrzał na nie, szerokie, proste usta stanowiły nieruchomą linię, oczy, dwa szare punkty - tak samo bez wyrazu jak usta. Carol dała mu znak, żeby zwolnił. Auto wytraciło prędkość.

„Odkręć okno”, rozkazała Carol Teresie. Samochód detektywa zjechał na pobocze i zatrzymał się.

Carol stanęła obok, tylnymi kołami jeszcze na jezdni i zapytała go ponad Teresą: „Tak bardzo ceni pan nasze towarzystwo; o co chodzi?”

Mężczyzna wysiadł i zamknął drzwi samochodu. Tylko jakieś trzy metry dzieliły auta od siebie. Detektyw przeszedł połowę tej odległości i zatrzymał się. Jego martwe, małe oczy z ciemnymi brzegami wokół szarych tęczówek, były jak puste, nieruchome oczy lalki. Był niemłody. Jego wygarbowana przez pogodę twarz wyglądała na zmęczoną, do tego był nieogolony, co pogłębiało jeszcze pionowe bruzdy po obu stronach ust.

„Wykonuję swoją pracę, pani Aird”, powiedział.

„Widzę. Obrzydliwa praca, nieprawdaż?”

Detektyw postukał papierosem o paznokcie swego kciuka i jakby z wystudiowaną powolnością zapalił go na porywistym wietrze. „Przynajmniej jest już prawie wykonana.”

„No, to czemu nie zostawi nas pan w spokoju?” zapytała Carol, a głos jej był tak napięty jak ramię, które opierała na kierownicy.

„Bo mam zlecenie, żeby śledzić panią w tej podróży. Ale jeśli wróci pani do New Jersey, nie będę musiał dalej tego robić. Radzę pani wracać, pani Aird. Pojedzie pani teraz?”

„Nie, nie pojedę.”

„Otrzymałem informację, według której, powiedziałbym, byłoby dla pani lepiej, gdyby pani wróciła i była ostrożna.”

„Bardzo dziękuję”, odrzekła Carol cynicznie. „Dziękuję za wiadomość. Nie mam zamiaru wracać już teraz. Ale mogę podać panu moją trasę, żeby zostawił nas pan w spokoju i nadrobił swój stracony sen.”

Detektyw spojrzał na nią z fałszywym i pustym uśmiechem, nie jak człowiek, lecz jak automat, który został nakręcony i wprawiony w ruch. „Sądzę, że pojedzie pani z powrotem do New Jersey. Mogę pani to tylko doradzić. Chodzi o pani dziecko, wie pani o tym?”

„Moje dziecko jest moją własnością!”

Zmarszczka na jego policzku drgnęła. „Żadna ludzka istota nie jest niczyją własnością, pani Aird.”

„Będzie pan dalej za nami jechał?”

„A zawróci pani do New Jersey?”

„Nie.”

„Myślę, że jednak pani to zrobi”, powiedział detektyw i zaczął iść powoli do auta.

Carol wcisnęła sprzęgło. Szukając pocieszenia chwyciła Teresę za rękę i ścisnęła ją, potem ruszyła ostro do przodu. Teresa siedziała z łokciami opartymi na kolanach, ściskając

dłońmi czoło, pokonana przez szok i wstyd, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła, a który starała się ukryć przed detektywem.

„Carol!”

Carol łkała cichutko. Teresa widziała wykrzywione w dół kąciki ust, tak nie pasujące do Carol, podobne raczej do grymasu płaczącego dziecka. Z niedowierzaniem wpatrywała się w pojedyncze łzy, turlające się po jej policzkach.

„Daj mi papierosa”, poprosiła Carol.

Kiedy Teresa podawała jej zapalonego papierosa, Carol starła łzy i już wszystko minęło. Carol jechała przez chwilę powoli, paląc papierosa.

„Przesuń się na tylne siedzenie i podaj mi rewolwer”, powiedziała.

Teresa znieruchomiała na moment na swoim siedzeniu.

Carol spojrzała na nią. „Zrób to, proszę.”

Teresa zwinnie prześliznęła się przez oparcie i wciągnęła niebieską walizkę na tylne siedzenie. Odpięła klamry i wyjęła sweter z rewolwerem.

„Podaj go do przodu”, powiedziała spokojnie Carol. „Chcę go mieć w bocznej kieszeni.” Wyciągnęła rękę do tyłu przez plecy i Teresa podała jej rewolwer, kładąc go białą rękkojeścią na jej dłoni, po czym przeszła z powrotem na przednie siedzenie.

Detektyw cały czas jechał za nimi, w odległości pół kilometra, za końskim wozem, który wyjechał z bocznej drogi na autostradę. Carol trzymała Teresę za rękę i prowadziła lewą. Teresa patrzyła na obsypane piegami palce, wpijające się zimnymi opuszkami w jej dłoń.

„Chcę jeszcze raz z nim porozmawiać”, powiedziała Carol, dodając równomiernie gazu. „Jeśli wolałabyś wysiąść, wysadzę cię przy następnej stacji benzynowej albo gdzieś tutaj i potem wrócę po ciebie.”

„Nie chcę cię zostawiać samej”, odrzekła Teresa. Carol chciała zażądać od detektywa taśm z nagraniami i Teresa już miała przed oczami obraz rannej Carol, wyobraziła sobie, jak mężczyzna ze zwinnością zawodowca wyciągnął rewolwer i strzelił do Carol, zanim ta zdołała nacisnąć spust. Ale to się nie może stać, pomyślała zaciskając zęby. Ścisnęła palcami rękę Carol.

„No dobrze. Nie martw się, chcę z nim tylko porozmawiać.” Nagle zjechała z autostrady na lewo, skręcając w boczną drogę. Prowadziła ona wśród lekko wznoszących się pól, potem zakrecała i biegła dalej przez las. Carol jechała szybko, choć droga była zła. „Jedzie za nami, prawda?”

„Tak.”

Po chwili wynurzył się jakiś dom farmerski, ukryty wśród falujących wzgórz, a potem rozciągał się już tylko skalisty, pokryty krzakami krajobraz i droga, ginąca na zakrętach. Kiedy droga wijąc się schodziła ze wzniesienia, Carol skręciła gwałtownie za zakrętem i zatrzymała samochód beztrąsko w poprzek drogi.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła rewolwer. Odbezpieczyła go i Teresa mogła rozpoznać naboje. Carol patrzyła przed siebie, przez szybę, rękę z rewolwerem opuściła na łono. „Lepiej to zostawić.” I po chwili znowu - „lepiej zostawić” - i schowała rewolwer z powrotem do kieszeni. Po czym zaparkowała samochód jak należy, równolegle do wzniesienia. „Zostań w środku”, powiedziała do Teresy i wysiadła.

Teresa usłyszała nadjeżdżający samochód detektywa. Carol szła powoli naprzeciw temu pomrukowi, samochód wjechał w zakręt, niezbyt szybko, ale opony zapiszczały i Carol zesłała na bok. Teresa uchyliła nieco drzwi i wychyliła się przez okno.

Mężczyzna wysiadł. „Co to ma znaczyć?” Mówił głośno przekrzykując wiatr.

„A jak pan myśli?” Carol podeszła kawałek w jego stronę. „Chcę wszystko, co pan o mnie ma - taśmy i resztę.”

Detektyw uniósł lekko brwi nad bladymi nieruchomymi oczyma. Stał oparty o przedni błotnik auta, a jego wąskie usta rozciągnęły się w wymuszonym uśmiechu. Popatrzył szybko na Teresę, a potem znowu na Carol. „Wszystko wysłałem. Nie mam nic poza kilkoma notatkami. Daty i miejsca.”

„Dobrze. Chcę je mieć.”

„To znaczy, chce je pani kupić?”

„Tego nie powiedziałam, powiedziałam, że chcę je mieć. Woli pan je sprzedać?”

„Nie jestem kimś, kto dałby się kupić.”

„To dlaczego pan to robi, jeśli nie dla pieniędzy? Ile pan chce za to, co pan ma?”

Skrzyżował ręce. „Powiedziałem już, wszystko wysłałem. Straci pani tylko pieniądze!”

„Nie wierzę, że wysłał pan już taśmy z Colorado Springs”, powiedziała Carol.

„Nie?”, odparł sarkastycznym pytaniem.

„Nie. Dam panu tyle, ile pan zażąda.”

Spojrzał na Carol z góry na dół, rzucił wzrokiem na Teresę i znowu wykrzywił usta.

„Niech pan to przyniesie - taśmy, raporty i co pan tam jeszcze ma”, powiedziała Carol i mężczyzna ruszył.

Obszedł swój samochód i stanął przed bagażnikiem. Teresa usłyszała brzęk kluczyków, kiedy go otwierał. Niezdolna dalej siedzieć w samochodzie, wysiadła, podeszła

do Carol i zatrzymała się kilka kroków przed nią. Detektyw wygrzebał coś z bagażnika. Kiedy się wyprostował, kłapa od bagażnika strąciła mu z głowy kapelusz, przydeptał jego brzeg, żeby wiatr go nie porwał. Trzymał coś w ręce, lecz było to zbyt małe, aby Teresa mogła rozpoznać, co to jest.

„Tu są dwie”, odezwał się. „Myślę, że są warte pięćset dolarów. Byłyby jeszcze droższe, gdyby nie to, że w Nowym Jorku są też inne.”

„Jest pan sprytnym handlarzem. Nie wierzę panu”, powiedziała Carol.

„Dlaczego? Bardzo się śpieszono w Nowym Jorku.” Podniósł kapelusz i zatrzasnął bagażnik. „Ale teraz pani zapotrzebowanie zostało pokryte. Mówię pani przecież, byłoby lepiej, gdyby wróciła pani do Nowego Jorku, pani Aird.” Wgniółł papierosa w uliczny brud. „Więc jak, pojedzie pani do domu?”

„Nie zmienię moich planów”, odparła Carol.

Detektyw wzruszył ramionami. „Nie trzymam z żadną stroną. Im szybciej pojedzie pani do Nowego Jorku, tym szybciej będziemy kwita.”

„Zaraz możemy być kwita. Jak tylko odda mi pan te rzeczy, może pan odjechać w przeciwną stronę.”

Detektyw wyciągnął do niej powoli zaciśniętą w pięść rękę, jakby chodziło o jakąś zgadywanke i równie dobrze mogło tam nic nie być. „Jest pani gotowa dać mi za to pięćset?” zapytał.

Carol spojrzała na jego rękę, potem otworzyła swoją torebkę. Wyjęła portfel i książeczkę czekową.

„Wolę gotówkę”, powiedział.

„Nie mam przy sobie.”

Znowu wzruszył ramionami. „No dobrze. Wezmę czek.”

Carol położyła książeczkę czekową na błotniku jego auta.

Kiedy pochylił się nad Carol, zaglądając jej przez plecy, Teresa dostrzegła mały czarny przedmiot w jego ręce. Podeszła bliżej. Mężczyzna literował swoje nazwisko. Gdy Carol wręczyła mu czek, upuścił oba małe pudełeczka na jej rękę.

„Jak długo już pan to zbiera?” zapytała Carol.

„Niech pani przesłucha, to się pani dowie.”

„Nie przyjechałam tu, żeby żartować!” powiedziała Carol ostro.

Mężczyzna złożył czek uśmiechając się. „Tylko proszę nie mówić, że pani nie ostrzegąłem. To, co pani dałem, to nie jest cały materiał. Reszta znajduje się w Nowym Jorku.”

Carol zamknęła torebkę i odwróciła się do auta nie patrząc na Teresę.

Zatrzymała się i spojrzała znowu na detektywa. Jeśli w Nowym Jorku mają już wszystko, czego chcieli, to może pan przecież teraz wyrzucić to świństwo. Obieca mi pan?”

Stał z ręką na drzwiach samochodu i obserwował ją. „Nie wypełniłem jeszcze swojego zlecenia, pani Aird, wciąż jeszcze pracuję dla mego biura. Chyba że wsiądzie pani w samolot i poleci do domu. Albo gdziekolwiek indziej. Niech mi pani powie. Muszę cokolwiek przekazać do biura - po tym jak spędziłem kilka ostatnich dni w Colorado Springs - coś bardziej interesującego niż to.”

„Ach, to niech pan wymyśli coś interesującego!”

Detektyw uśmiechnął się, odsłaniając zęby. Potem wsiadł do samochodu. Włączył wsteczny bieg, wysunął głowę przez okno i spojrzawszy do tyłu, zakręcił i skierował się na autostradę.

Warkot jego samochodu zamilkł wkrótce. Carol wróciła wolnym krokiem do auta i usiadła za kierownicą. Siedziała tak wpatrzona przez szybę na jałowy nasyp kilka metrów przed nią. Krew odpłynęła jej z twarzy, jakby była nieprzytomna.

Teresa pośpieszyła do auta. Objęła ją za ramiona, czując materiał jej płaszcza pod palcami i wydała się sobie tak niepotrzebna, jak jakaś zupełnie obca osoba.

„Ach, myślę, że większość z tego to blef, powiedziała Carol.

Lecz jej twarz była poszarzała, a głos bezsilny.

Rozwarła dłoń i popatrzyła na dwa okrągłe małe pudełeczka. „To miejsce jest tak samo dobre jak każde inne.” Wsiadła, a Teresa poszła za jej przykładem.

Carol otworzyła pudełko i wyjęła zrolowaną taśmę, wyglądającą jak celuloid.

„Maleńka, co? Na pewno dobrze się pali. Chodź, spalmy to!”

Teresa zapaliła zapalstkę chowając się za samochód. Taśma paliła się szybko, Teresa rzuciła ją na ziemię, gdzie wiatr zagasił ogień. Nie ma powodu do nerwów, zauważyła Carol, siedząc znów z papierosem za kierownicą, resztę mogą wyrzucić do rzeki.

„Która godzina?” spytała.

„Za dwadzieścia dwunasta.” Teresa wsiadła do auta i Carol natychmiast ruszyła z powrotem na autostradę.

„Z Omaha zadzwonię do Abby i do mojego adwokata...” Teresa spojrzała na mapę. Omaha będzie następnym większym miastem, jeśli skierują się nieco na południe. Carol wyglądała na zmęczoną, a jej uparte milczenie oznaczało, że gniew jeszcze nie minął. Samochód podskakiwał na wybojach i Teresa słyszała, jak puszka z piwem tłucze się pod tylnym siedzeniem - puszka, którą pierwszego dnia na próżno próbowała otworzyć. Była



głodna, już od pewnego czasu czuła mdłości z głodu.

„Może cię zmienię?”

„Dobrze”, zgodziła się Carol i wycieńczona, zdana na łaskę losu oparła się plecami o siedzenie. Nacisnęła hamulec. Teresa prześliznęła się przed nią do kierownicy. „Może byśmy najpierw zjadły śniadanie?”

„Nie mogę nic jeść.”

„A może małego drinka?”

„W Omaha, proszę.”

Teresa przyspieszyła do osiemdziesięciu i potem utrzymywała prędkość nieco poniżej setki. Zjechały z autostrady na drogę do Omaha.

Drugorzędna szosa. „Nie wierzysz w to, co powiedział o taśmach w Nowym Jorku, prawda?”. „Nie mów już o tym - to mnie wykańcza!”

Teresa najpierw kurczowo ścisnęła kierownicę, ale wkrótce się przemogła i odprężyła. Czuła, że czekało je jeszcze wiele przykrości, wisiały nad nimi jak miecz Damoklesa, pod którego ostrze prosto podążały. Miała przed oczami twarz detektywa, której wyrazu nie potrafiła jasno określić. Nagle pojęła, co tak niepokoiło ją w jego uśmiechu. Był przebiegły, nawet gdy mówił, że nie stoi po żadnej stronie; czuła, że kryło się za tym jego osobiste pragnienie rozdzielenia ich, jak tylko się przekonał, że są razem. Detektyw zademonstrował to, co dotychczas jedynie niewyraźnie przeczuwała, mianowicie, że cały świat sprzysiągł się przeciwko nim, i nagle to, co łączyło ją z Carol nie było już uczuciem szczęścia czy miłości, lecz jakimś potworem, który stał między nimi, trzymając je obie w swoich pięściach, jak w więzieniu.

„Cały czas nie mogę przestać myśleć o tym czeku”, powiedziała Carol.

Nowy ciężar spadł na jej duszę. „Sądysz, że będą przeszukiwać mieszkanie?” zapytała Teresa.

„Możliwe. Całkiem możliwe.”

„Nie wierzę, że go znajdą. Leżał pod serwetą.” Ale był przecież jeszcze ten list w książce. Jakaś dziwna дума poprawiła jej na chwilę samopoczucie i zaraz znikła. Był to piękny list i wolałaby, żeby go znaleźli zamiast czeku, chociaż oba miały zapewne tę samą wartość jako materiał obciążający, więc wykorzystają zarówno jeden, jak i drugi w swoich brudnych poczynaniach. Ów list, którego nigdy nie dała Carol i ten czek, którego nigdy by nie zrealizowała. Bardziej prawdopodobne było, że znajdą list. Teresa nie była w stanie powiedzieć o nim Carol i nie wiedziała, czy było to zwykłe tchórzostwo czy pragnienie oszczędzenia jej akurat teraz dalszych cierpień. Przed nimi ukazał się most. „Tam z przodu

jest rzeka”, powiedziała. „Jak sądzisz?”

„Dobrze się składa.” Carol podała jej oba pudełeczka. Tę do połowy zwęgloną taśmę też zapakowała.

Teresa wysiadła, rzuciła je po prostu przez barierkę do wody i odwróciła się.

Patrzyła na młodego mężczyznę w dresie, który szedł z drugiej strony mostu, pełna odrazy do swej własnej bezsensownej wrogości wobec niego.

Carol telefonowała z hotelu w Omaha. Abby nie było w domu i Carol zostawiła wiadomość, że zadzwoni znowu o szóstej wieczorem, gdyż o tej porze Abby powinna już wrócić. Carol uznała, że nie ma sensu dzwonić teraz do adwokata, ponieważ ma do drugiej przerwę obiadową. Chciała się trochę odświeżyć i czegoś napić.

W milczeniu piły dwa Old Fashioned w barze hotelowym. Teresa chciała zamówić jeszcze po jednym, ale Carol powiedziała, żeby raczej coś zjadła. Jednakże kelner poinformował jednak, iż w barze nie podają posiłków.

„Ale ona chciałaby coś zjeść”, powiedziała Carol stanowczo.

„Restauracja znajduje się za holem, madame i jest też kawiarnia...”

„Mogę zaczekać, Carol”, zaprotestowała Teresa.

„Mógłby pan przynieść kartę? Ona woli zjeść tutaj”, powiedziała Carol patrząc na kelnera.

Kelner zwlekał przez chwilę, a potem powiedział: „Tak, madame” i poszedł po kartę.

Podczas gdy Teresa jadła jajecznicę z kielbasą, Carol piła trzeciego drinka. W końcu zapytała zmęczonym głosem, kryjąc twarz w dłoniach: „Kochanie, czy mi wybaczysz?”

Ton, jakim to powiedziała, zabolął Teresę bardziej niż samo pytanie.

„Przecież cię kocham, Carol.”

„Ale widzisz, co to oznacza?”

„Tak, ale nie rozumiem, dlaczego ma zawsze to oznaczać. Nie godzę się z tym, że to może wszystko zniszczyć”, powiedziała z powagą.

Carol cofnęła rękę i oparła się na krześle. I pomimo zmęczenia wyglądała tak, jak Teresa ją zawsze widziała: te oczy, które, gdy spoczywały na niej badawczo, mogły patrzeć jednocześnie czule i srogo, te usta, które były delikatne i zdecydowane, nawet jeśli górna warga drżała teraz niedostrzegalnie.

„Czy ty się z tym godzisz?” zapytała Teresa, uświadamiając sobie nagle, że było to ważne pytanie - równie decydujące jak to, które Carol zadała jej bez słów w tamtym pokoju w Waterloo. W gruncie rzeczy to samo pytanie.

„Nie. Myślę, że masz rację”, odrzekła Carol. „Uświadomiłaś mi to.”

Carol poszła zatelefonować. Była trzecia. Teresa zapłaciła rachunek i czekała, zastanawiając się, kiedy to się wreszcie skończy, czy wiadomość od adwokata Carol lub od Abby będzie pocieszająca czy też dojdzie do czegoś jeszcze gorszego, zanim się coś zmieni się na lepsze. Carol nie było już pół godziny.

„Mój adwokat o niczym nie słyszał”, poinformowała ją po powrocie. „Nic mu nie opowiedziałam. Nie potrafię. Muszę do niego napisać.”

„Tak też myślałam.”

„Ach tak - naprawdę?” Carol uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. „Co byś powiedziała na to, żeby wynająć tutaj pokój? Nie mam ochoty na dalszą jazdę.”

Carol zamówiła obiad do pokoju. Położyły się, żeby trochę pospać, ale gdy Teresa obudziła się za kwadrans piąta, Carol nie było w pokoju. Teresa rozejrzała się dookoła, odkryła czarne rękawiczki Carol na toalecie i jej mokasyny stojące równo pod fotelem. Teresa westchnęła, drżała, sen wcale jej nie odświeżył.

Otworzyła okno i spojrzała w dół. Było to siódme lub ósme piętro, nie mogła dokładnie wyliczyć. Przed hotelem przejeżdżał tramwaj, a ludzie na chodniku podążali w różnych kierunkach, niczym głowonogi, i nagle przeleciało jej przez myśl, żeby skoczyć w dół. Jej wzrok powędrował ku smutnym szarym sylwetkom domów i musiała zamknąć oczy. Kiedy się odwróciła, Carol stała w drzwiach i obserwowała ją.

„Gdzie byłaś?”

„Napisałam ten przekłety list.”

Podeszła do Teresy i przytuliła ją do siebie. Teresa czuła przez zakiet paznokcie Carol na swoich plecach.

Kiedy Carol znowu poszła dzwonić, Teresa wyszła z pokoju i powlokła się przez hol do wind. Usiadła niedaleko recepcji i zaczęła czytać w „Cornrower’s gazette” artykuł o szkodnikach kukurydzy. Zastanawiała się, co też Abby wie na temat chrząszczy zbożowych. Zegar miała w zasięgu wzroku. Po dwudziestu pięciu minutach wróciła na górę.

Carol leżała z papierosem na łóżku. Teresa czekała, aż się odezwie.

„Kochanie, muszę wracać do Nowego Jorku”, powiedziała Carol.

Teresa dobrze o tym wiedziała. Stała w nogach łóżka. „Czy Abby powiedziała coś jeszcze?”

„Spotkała znowu tego Boba Havershama.” Carol podparła się na łokciach. „Ale on aktualnie nie wie na pewno więcej ode mnie. Wydaje się, że nikt nic nie wie, poza tym, że szykuje się tam niezłe piekło. Nie może się zbyt wiele wydarzyć, dopóki się tam nie pojawię. Ale muszę wracać.”

„Oczywiście.” Bob Haversham był tym przyjacielem Abby, który pracował w firmie Harge’a w Newark. Żaden bliski przyjaciel - ani Abby, ani Harge’a. Ot, taki słaby łącznik między nimi, jedyna osoba, która mogła się czegoś dowiedzieć o poczynaniach Harge’a, na przykład, rozpoznając detektywa albo podsłuchując rozmowę telefoniczną w biurze Harge’a. To nie miało prawie żadnego znaczenia, uważała Teresa.

„Abby spróbuje odnaleźć czek”, powiedziała Carol siadając na łóżku i sięgając po mokasyny.

„Czy ona ma klucz?”

„Chciałabym, żeby tak było. Musi wziąć go od Florence. Ale to da się zrobić. Poradziłam jej, żeby wyjaśniła Florence, że chce dostać mi parę rzeczy.”

„Możesz jej powiedzieć, żeby zabrała również list? Zostawiłam w moim pokoju list do ciebie. Przepraszam, że ci o tym wcześniej nie powiedziałam. Nie wiedziałam, że poprosisz Abby, żeby tam poszła.”

Carol spojrzała na nią marszcząc czoło. „Coś jeszcze?”

„Nie. Wybacz, że nie powiedziałam ci o tym wcześniej.”

Carol westchnęła i wstała. „Ach, przestań, nie będziemy się już więcej martwić. Wątpię, żeby zajęli się domem, ale na wszelki wypadek powiem Abby o tym liście. Gdzie on leży?”

„W *Oxford Book of English Verse*. Zostawiłam tę książkę na biurku, tak mi się wydaje.” Widziała, jak Carol błądzi wzrokiem po pokoju, patrząc na wszystko tylko nie na nią.

„Jednak nie chcę tutaj nocować” powiedziała Carol.

Pół godziny później były w samochodzie, jadąc na wschód. Carol chciała dotrzeć jeszcze tego wieczoru do Des Moines. Po godzinie milczenia zatrzymała niespodziewanie auto na skraju drogi, zwiesiła głowę i rzekła: „Do diabła!”

W świetle przejeżdżających samochodów Teresa widziała ciemne kręgi pod oczyma Carol. Poprzedniej nocy prawie nie spała. „Zawróćmy do ostatniego miasteczka”, powiedziała Teresa, „do Des Moines jest jeszcze całe 120 kilometrów.”

„Chciałabyś pojechać do Arizony?” spytała Carol tak, jakby wystarczyło tylko zawrócić.

„Ach, Carol - czemu musimy o tym rozmawiać?” Ogarnęło ją nagle uczucie zwątpienia. Ręce jej drżały, kiedy zapalała papierosa. Podała go Carol i zapaliła drugiego dla siebie.

„Bo ja chcę o tym mówić. Możesz zrobić sobie wolne jeszcze na następne trzy

tygodnie?”

„Oczywiście.” Oczywiście, oczywiście. A o cóż innego chodziło, jak nie tylko o to, żeby być razem z Carol - gdziekolwiek, jakkolwiek? Sztuka, do której Harkey przygotowywał scenografię, ma być wystawiana w marcu, to wszystko nie było pewne, a Carol była.

„Nie zostanę w Nowym Jorku dłużej niż tydzień, gdyż termin rozwodu jest ustalony, powiedział mi Fred, mój adwokat. Czemu więc nie miałybyśmy spędzić kilku tygodni w Arizonie albo w New Mexico? Nie chcę spędzać reszty zimy w Nowym Jorku.” Carol jechała powoli. Jej oczy zmieniły się. Znowu się ożywiły, tak jak i jej głos.

„Oczywiście, uważam, że to wspaniale. Gdziekolwiek to nie będzie.”

„Dobrze. No to dalej. Pojedźmy do Des Moines. Mogłabyś mnie przez chwilę zmienić?”

Zamieniły się miejscami. Było krótko przed północą, kiedy przybyły do Des Moines i znalazły pokój.

„Co właściwie przemawia za tym, żebyś jechała ze mną do Nowego Jorku?” zapytała Carol. „Mogłabyś zatrzymać samochód i poczekać gdzieś na mnie - na przykład w Tuscon albo w Santa Fe - a ja przyleciałabym z powrotem samolotem.”

„I miałabym cię zostawić?” Teresa odwróciła się od lustra, przed którym szczotkowała włosy.

Carol uśmiechnęła się. „Co to znaczy «zostawić»?” Teresa poczuła się pokonana. I do tego zauważyła w twarzy Carol coś, co, pomimo że Carol intensywnie się w nią wpatrywała, spowodowało, iż poczuła się wyłączona, jakby Carol wcisnęła ją w jakiś odległy kąt swej świadomości, żeby zrobić miejsce na ważniejsze rzeczy.

„Myślałam, że może wolałabyś zostać gdzieś na zachodzie. Chyba, że chciałabyś przez ten czas załatwić coś w Nowym Jorku.” Głos Carol brzmiał obojętnie.

„Nie, nie chcę.” Bała się zimnych dni na Manhattanie, kiedy Carol będzie zbyt zajęta, żeby się z nią spotkać. I pomyślała też o detektywie. Jeśli Carol poleci do Nowego Jorku, przestanie ją prześladować myśl, że ją szpieguje. Już teraz próbowała sobie to wyobrazić: Carol, wróciwszy sama na wschód, zostaje skonfrontowana z czymś, na co nie mogła być przygotowana. Wyobraziła sobie, że czeka w Santa Fe na telefon albo list od Carol. Ale nie było wcale tak łatwo wyobrazić sobie, że będzie od Carol daleko o trzy tysiące kilometrów.

„Tylko tydzień, Carol?” zapytała, odrzucając na bok swoje długie, ładne włosy.

Przytyła, ale zauważyła, że jej twarz zmizerniała, i to jej się spodobało.

Wyglądała dorosłej.

Widziała w lustrze, że Carol stanęła za nią i nie padła żadna odpowiedź, nie było nic poza radością. Carol objęła ją ramionami, i to sprawiło, że nie potrafiła już myśleć. Teresa odwróciła się szybciej niż zamierzała, stanęła przy brzegu toaletki i patrzyła na Carol, zmieszana nagle ulotnością tego wszystkiego, o czym rozmawiały - czasu i przestrzeni i tego jednego metra, jaki je teraz rozdzielał i owych trzech tysięcy kilometrów, jakie wkrótce będą je rozdzielały. Jeszcze raz przejechała szczotką po włosach. „Tylko jeden tydzień?”

„Już powiedziałam”, odrzekła Carol, i jej oczy się uśmiechnęły, lecz Teresa usłyszała w jej odpowiedzi tę samą ostrość, jaka brzmiała w jej własnym pytaniu, tak jakby wymieniały ciosy. „Jeśli to dla ciebie zbyt obciążające, żeby zatrzymać samochód, każę go dostarczyć na wschód.”

„To mnie nie obciąża.”

„I nie martw się z powodu detektywa. Zatelegrafuję do Harge’a, że jestem w drodze.”

„Nie martwię się z tego powodu.” Jak Carol mogła być taka zimna, zastanawiała się Teresa, żeby myśleć o wszystkim innym tylko nie o ich pożegnaniu? Odłożyła szczotkę na toaletkę.

„Tereso, czy myślisz, że to wszystko jest dla mnie przyjemne?”

I Teresa pomyślała wtedy o detektywach, o rozwodzie, o wrogości - o tym wszystkim, z czym Carol się spotka. Carol dotknęła najpierw swego policzka, potem przycisnęła mocno obie dłonie do policzków, tak że jej usta rozchyliły się jak u ryby i Teresa musiała się roześmiać. Stała wciąż przy toalecie i patrzyła na Carol, śledząc każdy ruch jej rąk, jej nóg, kiedy zdejmowała pończochy i znowu wkładała mokasyny. Potem nie było już żadnych słów. Cóż mogły sobie jeszcze wyjaśnić słowami czy pytaniami albo obietnicami? Nie musiały nawet patrzeć sobie w oczy. Teresa widziała, jak Carol podniosła słuchawkę telefonu, a potem leżała z twarzą przyciśniętą do poduszki, podczas gdy Carol zamawiała bilet lotniczy na następny dzień: jeden bilet, zwykły lot, jutro, jedenasta przed południem.

„Dokąd pojedziesz, jak myślisz?” zapytała Carol.

„Południowa Dakota?” Carol uśmiechnęła się do niej. „Nie wolałabyś do Santa Fe? Tam jest cieplej.”

„Lepiej zaczekam i obejrzę to razem z tobą.”

„Nie Colorado Springs?”

„Nie!” Teresa zaśmiała się, wstała i poszła do łazienki ze szczoteczką do zębów. „Może znajdę sobie nawet jakąś pracę na tydzień.”

„Jaką pracę?”

„Jakakolwiek. Żebym nie musiała bez przerwy o tobie myśleć, rozumiesz.”

„Ale ja chcę, żebyś o mnie myślała. Tylko żadnej pracy w domu towarowym.”

„Nie.” Teresa stanęła w drzwiach łazienki i widziała, jak Carol zdjęła majtki i nałożyła szlafrok.

„I nie zaprzataj sobie znowu głowy pieniędzmi, słyszysz?”

Teresa włożyła ręce do kieszeni szlafroka i przestąpiła z nogi na nogę. „Jest mi obojętne, kiedy zabraknie mi pieniędzy. Dopiero wtedy zacznę się denerwować.”

„Zostawię ci jutro parę setek na samochód.” Carol przechodząc obok, dała jej, prztyczka w nos. „I nie wolno ci zabierać obcych do auta.” Z tymi słowami Carol weszła do łazienki i odkręciła prysznic.

Teresa poszła za nią. „Wydawało mi się, że pierwsza zajęłam łazienkę.”

„A teraz ja ją zajmuję, ale wpuszczę cię do środka.”

„Och, bardzo dziękuję.” Teresa także zdjęła szlafrok.

„No?” powiedziała Carol.

„No?” Teresa stanęła pod prysznicem „Ty to masz nerwy!” Carol stanęła obok i wykręciła Teresie rękę do tyłu. Ale Teresa parsknęła śmiechem. Chciała ją objąć, pocałować, lecz jej wolna ręka chwyciła Carol kurczowo, przyciągnęła jej głowę do siebie, pod strumień wody i rozległ się straszny łoskot - jakby ktoś się pośliznął.

„Przestań, wywrócimy się!” krzychała Carol. „Na Boga, czy dwoje ludzi nie może w spokoju wziąć razem prysznic?”

Sioux Falls Teresa zajęła pod hotel, w którym już raz nocowała z Carol, pod „Warrior.”

Było wpół do dziesiątej wieczorem. Carol powinna już od godziny być w domu.

Umówiły się, że Teresa zadzwoni do niej o północy.

Wynajęła pokój, kazała zanieść walizki na górę i postanowiła spacerować się po głównej ulicy. Było tam kino i uświadomiła sobie, że nigdy nie była z Carol w kinie. Weszła do środka. Ale nie miała nastroju do oglądania filmu, chociaż występowała w nim aktorka, która miała podobny głos do Carol, całkiem inny niż te niskie, nosowe głosy wokół niej. Jej myśli koncentrowały się na Carol, odległej o trzy tysiące kilometrów, myślała o tym, że będzie dziś sama spać, wstała i wyszła znowu na ulicę. Był tam sklep, w którym Carol kupiła wtedy odświeżające serwetki i pastę do zębów. U zbiegu ulic Carol spojrzała do góry i przeczytała ich nazwy: Piąta i Nebraski. Kupiła paczkę papierosów w tym samym sklepie i wróciła do hotelu, usiadła w holu, delektując się pierwszym papierosem od wyjazdu Carol, delektowała się zapomnianym stanem samotności. Był to tylko stan fizyczny. W rzeczywistości nie czuła się naprawdę samotna. Przez chwilę czytała gazety, potem wyjęła z torebki listy od Danniego i od Phila, które nadeszły w ostatnich dniach do Colorado Springs, i przebiegła je wzrokiem.

*Przedwczoraj wieczorem spotkałem w «Palermo» Richarda, był sam, pisał Phil.*

*Zapytałem o ciebie i powiedział, że nie będzie już więcej do ciebie pisał.*

*Wnioskuje stąd, że coś się między wami popsulo, ale nie wypytywałem go dalej.*

*Nie był w nastroju do rozmowy. A poza tym, w ostatnim czasie nie możemy się jakoś porozumieć, jak wiesz... Przekonałem do ciebie jednego anioła o nazwisku Francis Puctett, który chce zebrać pięćdziesiąt tysięcy, jeśli pewna sztuka nadejdzie w kwietniu z Francji. Będę cię bieżąco informował, gdyż nie ma jeszcze producenta... Dannie pozdrawia cię z pewnością serdecznie. Prawdopodobnie wkrótce gdzieś się przeniesie, już to po nim widzę, i wtedy będę musiał rozejrzeć się za nowym mieszkaniem albo poszukać innego współlokatora...*

*Otrzymałaś wycinki prasowe o Deszczyku, które ci wysłałem?*

*Wszystkiego dobrego, PM.*



Także list Danniego był krótki: *Droga Tereso, możliwe, że pod koniec miesiąca pojedę na zachodnie wybrzeże, żeby podjąć pracę w Kalifornii. Mam do wyboru dwie oferty: pracę w laboratorium w Kalifornii albo w firmie chemicznej w Maryland. Jeśli mógłbym spotkać się z tobą w Colorado, wyjechałbym trochę wcześniej. Chyba wezmę tę pracę w Kalifornii.*

*Byłoby fajnie spędzić z tobą gdzieś kilka dni, jeśli twoja przyjaciółka nie miałaby nic przeciwko temu. Do 28 lutego będę w każdym razie w Nowym Jorku.*

*Serdeczności, Dannie.*

Nie odpisała mu. Jutro, jak tylko znajdzie tutaj w mieście jakiś pokój, wyśle mu swój adres; zaś co do odwiedzin, to musiałaby o tym porozmawiać z Carol. Lecz kiedy będzie to możliwe? Zastanawiała się, co też Carol zastała dziś wieczorem w New Jersey, i odwaga ją opuściła. Sięgnęła po gazetę i spojrzała na datę - piętnasty lutego. Dwadzieścia dziewięć dni od kiedy opuściła z Carol Nowy Jork. Czy to naprawdę mogło być tylko tyle dni? W pokoju zamówiła rozmowę do Carol, wykapała się i przebrała w piżamę. Wtedy zadzwonił telefon.

„Hal-loo”, powiedziała Carol, tak jakby od dawna czekała. „Jak nazywa się hotel?”

„«The Warrior». Ale nie zostanę tu.”

„Nie sprowadziłaś nikogo obcego z ulicy?”

Teresa roześmiała się. Powolny głos Carol przyprawił ją o dreszcz, tak jakby Carol ją dotknęła. „Co nowego?” zapytała Teresa.

„Dziś wieczorem? Nic. W domu jest lodowato zimno, a Florence może przyjść dopiero pojutrze. Abby tu jest. Chcesz się z nią przywitać?”

„Chyba nie stoi obok ciebie?”

„Nie, nie. Jest na górze w zielonym pokoju i drzwi ma zamknięte.”

„Właściwie nie mam ochoty teraz z nią rozmawiać.”

Carol chciała wiedzieć wszystko: co przez cały dzień robiła, jakie były ulice i czy ma na sobie żółtą czy niebieską piżamę.

„Będzie mi dzisiaj ciężko zasnąć bez ciebie.”

„Tak.” Nagle, jak grom z jasnego nieba, łzy napłynęły Teresie do oczu.

„Czy możesz choć raz powiedzieć coś innego, a nie ciągle tylko tak?”

„Kocham cię.”

Carol zagwizdała. Potem milczenie. „Abby znalazła czek, kochanie, ale listu nie. Nie dostała mojego telegramu, ale w każdym razie nie ma tu żadnego listu.”

„Znalazłyście książkę?”

„Tak, ale nic w niej nie było.”

Teresa zastanawiała się, czy list nie mógł jednak zostać u niej w mieszkaniu.

Miała go jednak przed oczami na konkretnym miejscu w książce. „Czy sądzisz, że ktoś przeszukiwał mieszkanie?”

„Nie. Mogę poznać to po różnych rzeczach. Nie martw się tym, proszę, słyszysz?”

Wkrótce potem Teresa wskoczyła do łóżka i zgasiła światło. Carol prosiła ją, żeby jutro wieczorem znowu zadzwoniła. Przez chwilę brzmiał jej jeszcze w uszach głos Carol, a potem zauważyła, że staje się melancholijna. Leżała tak, z rękami wzdłuż ciała, z poczuciem pustki dookoła. Później zasnęła.

Następnego ranka Teresa znalazła w pewnym domu przy ulicy na wzgórzu pokój, który jej odpowiadał. Był to duży pokój od frontu, z wykuszem pełnym kwiatów i białymi firankami w oknach, z łóżkiem z baldachimem i owalnym haftowanym dywanem na podłodze. Właścicielka powiedziała, że pokój kosztuje siedem dolarów tygodniowo, lecz Teresa nie była pewna czy zostanie cały tydzień i uznała, że wolałaby płacić za każdy dzień.

„To wyjdzie tyle samo”, odpowiedziała kobieta. „Skąd pani pochodzi?”

„Z Nowego Jorku.”

„Chce pani dłużej zostać?”

„Nie, czekam tu tylko na przyjaciółkę. Czy w garażu z tyłu jest jeszcze miejsce? Przyjechałam samochodem.”

Kobieta powiedziała, że są wolne dwa garaże i nie chciała żadnej dodatkowej opłaty, ponieważ Teresa jest jej sublokatorką. Nie była jeszcze stara, ale chodziła lekko przygarbiona i sprawiała wrażenie bardzo kruchej istoty. Nazywała się Elisabeth Cooper. Opowiadała, że od piętnastu lat ma sublokatorów, a dwoje spośród trzech, z którymi zaczynała, do dziś u niej mieszkają.

Tego samego dnia Teresa poznała Dutcha Hubera i jego żonę, którzy prowadzili jadłodajnię w pobliżu miejscowej biblioteki. On był wysokim chudym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, o małych, ciekawskich, niebieskich oczach. Jego żona Edna gotowała, była gruba, i mówiła dużo mniej od niego. Dutch pracował przed laty przez pewien czas w Nowym Jorku. Wypytywał ją o różne dzielnice, których w ogóle nie знаła, a ona wymieniała mu takie, o których on z kolei nigdy nie słyszał albo już zapomniał i oboje śmiali się z tej wytrwale kontynuowanej rozmowy. Dutch zapytał ją, czy chciałaby wybrać się z nim i jego żoną na wyścigi motorów, rozgrywające się w sobotę kilka mil za miastem i Teresa przyjęła zaproszenie.

Kupiła papę i glinę i pracowała nad pierwszym modelem, który zamierzała pokazać

Harkevy'emu po powrocie do Nowego Jorku. Był już prawie gotowy, kiedy o wpół do dwunastej poszła do „Warriora”, żeby zatelefonować do Carol.

Carol nie było w domu i nikt nie odbierał telefonu. Teresa próbowała do pierwszej, a potem wróciła do domu pani Cooper.

Dodzwoniła się następnego ranka około wpół do jedenastej. Przyjaciółka opowiedziała jej, jak poprzedniego dnia uzgodniła wszystko ze swoim adwokatem, i że ani ona, ani adwokat nie mogą podjąć żadnych kroków, zanim się nie dowiedzą, jakie będzie następne posunięcie Harge'a. Carol śpieszyła się, gdyż miała w porze obiadowej spotkanie w Nowym Jorku, a przedtem musiała napisać jeszcze jakiś list. Po raz pierwszy wydawała się lękać tego, co zrobi Harge.

Dwa razy próbowała się do niego dodzwonić, ale nie mogła go zastać. Jednak tym, co Teresę najbardziej poirytowało, był jej opryskliwy ton.

„Chyba nie zmieniłaś swojej decyzji?”

„Ależ oczywiście, że nie, kochanie. Jutro wieczorem wydaję przyjęcie. Będzie mi ciebie brakowało.”

Wychodząc Teresa potknęła się na progu hotelu i poczuła, jak ogarnia ją pierwsza wielka fala samotności. Co będzie robić jutro wieczorem? Siedzieć w bibliotece aż do dziewiątej, kiedy zamykają? Czy może pracować nad następną dekoracją? Przebiegła w myślach nazwiska osób, które miały przyjść na przyjęcie do Carol: Max i Clara Tibbet, prowadzący ogrodnictwo przy autostradzie w okolicy, których Teresa raz kiedyś spotkała, Tessie, przyjaciółka Carol, której nie poznała, oraz Stanley McVeigh, ten mężczyzna, z którym Carol była owego wieczoru, gdy wybrały się do Chinatown. Abby nie wymieniła.

I nie prosiła też, żeby jutro znowu do niej zadzwoniła.

Idąc dalej przypomniała sobie nagle ten moment, kiedy widziała Carol po raz ostatni, i poczuła się tak, jakby Carol właśnie teraz na jej oczach wsiadała do samolotu na lotnisku w Des Moines, machała do niej stojąc w drzwiach dla pasażerów, już mała i daleka, gdyż Teresa musiała zostać za barierką, biegnącą w poprzek lotniska. Rękaw do samolotu już zabrano, ale zostało jeszcze kilka sekund do zamknięcia drzwi i wtedy Carol znowu się pojawiła, żeby stanąć na sekundę w drzwiach, odszukać ją w tłumie i przesłać jej ręką pocałunek. To, że raz jeszcze podeszła do drzwi, miało dla niej ogromne znaczenie.

W sobotę Teresa pojechała na wyścigi motorowe, zabierając Dutcha i Ednę ze sobą, gdyż samochód Carol był większy. Potem oboje zaprosili ją na kolację do siebie do domu, ale odmówiła. Tego dnia nie nadszedł od Carol żaden list, a oczekiwała przynajmniej jakiejś krótkiej wiadomości. Niedziela zdeprymowała ją i nawet popołudniowa przejażdżka do Dell

Rapis wzdłuż Sioux River nie pomogła jej otrząsnąć się z wewnętrznego napięcia.

Poniedziałkowe przedpołudnie spędziła w bibliotece, czytając jeden dramat za drugim. Około trzeciej, kiedy tłok w restauracji Dutcha zmniejszył się, wstąpiła tam i popijając herbatę gawędziła z Dutchem, a z szafy grającej rozlegały się songi, które zawsze puszczały z Carol. Powiedziała Dutchowi, że samochód należy do przyjaciółki, na którą czeka. I kolejne pytania Dutcha doprowadziły do tego, że opowiedziała mu, że Carol mieszka w Nowym Jorku, że przyleci samolotem i że planują pojechać do New Mexico.

„Naprawdę?” zapytał Dutch i odwrócił się do niej polerując szklanekę.

Teresa poczuła jakiś dziwny żal, że wymieniła imię Carol i postanowiła nigdy więcej, z nikim tutaj o niej nie rozmawiać.

W czwartek nadszedł list od Carol, tylko krótka wiadomość, informująca o tym, że Fred, jej adwokat, jest optymistycznie nastawiony i wygląda na to, że teraz musi się już tylko zająć rozwodem i prawdopodobnie dwudziestego czwartego lutego będzie mogła wyjechać. Teresę ucieszyła ta wiadomość. Chciała gdzieś wyjść, żeby uczcić z kimś tę radosną nowinę, lecz nikogo takiego nie było, nie pozostało jej więc nic innego, jak tylko przespacerować się kawałek i potem, przy samotnym drinku w barze hotelu „Warrior”, myśleć o Carol, której nie było już od pięciu dni. Nie było nikogo, kogo chciałaby teraz mieć przy sobie, może tylko Danniego. Albo Stellę Overton. Stella była wesołą osobą i nawet jeśli nie mogłaby z nią rozmawiać o Carol - a z kimże by mogła? - to spotkanie z nią dobrze by jej zrobiło. Już przed kilkoma dniami chciała wysłać do Stelli pocztówkę, jednak wciąż jeszcze tego nie uczyniła.

Późno w nocy napisała do Carol.

*Wiadomości są wspaniałe. Świętują je samotnym Daiquiri w „Warriorze”. Nie jestem staromodna - ale czy wiedziałaś, że jeden drink może działać jak trzy, kiedy jesteś sama?... Kocham to miasto, ponieważ wszystko tu przypomina mi ciebie. Wiem, że ty nie lubisz go bardziej od innych miast, ale nie o to chodzi.*

*Chcę przez to powiedzieć, że jesteś tu obecna, akurat na tyle, na ile mogę znieść to, że cię tutaj nie ma...*

A Carol odpisała: *Nigdy nie lubiłam Florence. Chcę to od razu zaznaczyć. Wygląda na to, że Florence znalazła twój liścik do mnie i przehandlowała go Harge'owi - za znaczną sumę. To także jej sprawka, że Harge wiedział, dokąd my, albo przynajmniej ja zamierzam jechać - jest to dla mnie zupełnie oczywiste. Nie wiem, czy coś zostawiłam w domu, czy też*

*mogła coś usłyszeć. Myślałam, że jest bardzo dyskretną osobą, ale jeśli Harge zadał sobie trud, żeby ją przekupić - a tego jestem pewna - trudno przewidzieć, co jeszcze może z tego wyniknąć. W każdym razie śledzono nas już od Chicago. Moja kochana, nie miałam przecież pojęcia, jak dalece posunie się cała ta sprawa. Żebyś mogła sobie mniej więcej przedstawić sytuację: nikt mi nic nie mówi, tylko niespodziewanie coś zostaje odkryte. Jeśli ktoś zna fakty, to tylko Harge. Rozmawiałam z nim przez telefon, ale nie chciał mi nic powiedzieć, co oczywiście sprowadza się do tego, żeby przycisnąć mnie tak do muru, abym się poddała zanim jeszcze rozpocznie się walka. Jeszcze mnie poznają, wszyscy razem wzięci, jeśli myślą, że dam się zapędzić w kozi róg. Bój toczy się, rzecz jasna, o Rindy; tak, kochanie, obawiam się, że do tego dojdzie, a wtedy nie będę mogła wyjechać dwudziestego czwartego. Tyle powiedział mi Harge, kiedy dziś rano przez telefon nieoczekiwanie napomknął o liście. Oceniam, że ten list mógłby stać się jego największą bronią (podsluch wprowadzono dopiero od Colorado Springs, jeśli dobrze rozumiem), dlatego poinformował mnie o tym. Ale mogę sobie wyobrazić, co to jest za list, który napisany był jeszcze przed naszym wyjazdem, a przecież nawet to, co Harge jest w stanie z niego zrozumieć, ma też swoje granice. Harge chce mnie tylko nastraszyć - na swój sposób, przez milczenie - mając nadzieję, że ustąpię w końcu przez wzgląd na Rindy. Tego nie zrobię, więc dojdzie do próby sił. Ale Fred jest na wszystko przygotowany. On jest wspaniały, to jedyny człowiek, który szczerze ze mną rozmawia, ale niestety, wie o tym wszystkim najmniej.*

*Pytasz, czy tęsknię za tobą. Myślę o twoim głosie, twoich rękach, twoich oczach, kiedy patrzysz prosto na mnie. Myślę o twojej odwadze, jakiej się po tobie nie spodziewałam, i ona dodaje mi sił. Zadzwoń do mnie, kochanie? Ja wołałabym nie dzwonić do ciebie, bo twój telefon jest na korytarzu. Zamów do mnie błyskawiczną, najlepiej koło siódmej wieczorem, to będzie o szóstej twojego czasu.*

Teresa chciała do niej zadzwonić tego samego dnia, ale otrzymała telegram:

**NIE DZWOŃ DO MNIE NA RAZIE. WYJAŚNIĘ PÓŹNIEJ. WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO,  
KOCHANIE, CAROL.**

Pani Cooper przyglądała się jej, gdy czytała telegram na korytarzu.

„Od przyjaciółki?” zapytała.

„Tak.”

„Mam nadzieję, że nic złego?” Pani Cooper miała taki sposób podglądania ludzi, że Teresa podniosła zdecydowanie głowę.

„Nie, przyjedzie później”, powiedziała. „Coś ją zatrzymało.”

Albert Kennedy - przyjaciele nazywali go Bert - mieszkał w pokoju wychodzącym na tyły domu i był jednym z pierwszych lokatorów pani Cooper. Miał czterdzieści pięć lat, pochodził z San Francisco i miał w sobie więcej z nowojorczyka niż wszyscy inni, których Teresa spotkała w tym mieście. Już ten fakt sprawił, że Teresa schodziła mu z drogi. Zapraszał ją często do kina, ale poszła z nim tylko raz. Była zaniepokojona i wolała spacerować w samotności, najczęściej tylko po to, żeby się porozglądać i pomyśleć, gdyż na rysowanie w plenerze było zbyt zimno i wietrznie. A sceny, które się jej zrazu podobały, spowszedniały z czasem od zbyt długiego oglądania, zbyt długiego czekania, aby je rysować. Teresa chodziła prawie co wieczór do biblioteki, siadała przy jednym z długich stołów nad tuzinem książek i wracała potem okrężną drogą do domu.

Wracała tylko po to, aby po jakimś czasie znowu wyjść; opierając lub poddając się porywistym powiewom wiatru wałęsała się po ulicach, po których w innej sytuacji w ogóle by nie chodziła. W jednym z oświetlonych okien zobaczyła dziewczynkę siedzącą przy pianinie, w następnym śmiejącego się mężczyznę, w trzecim jakąś kobietę, która szła coś pochylona. To przypomniało jej, że nie może nawet zadzwonić do Carol, że nie wie nawet, co Carol w tej chwili robi, czuła się bardziej pusta niż wiatr. Carol nie napisała w swoim liście wszystkiego, najgorsze przemilczała.

W bibliotece przeglądała albumy o Europie, o marmurowych fontannach na Sycylii, o greckich ruinach w promieniach słońca, i zastanawiała się, czy naprawdę kiedyś tam z Carol pojedzie. Było jeszcze tyle rzeczy, których wspólnie nie zrobiły, jak chociażby przepłynięcie Atlantyku. Czy przeżyją jeszcze taki ranek, gdziekolwiek, że gdy podniesie głowę nad poduszki, zobaczy twarz Carol i będzie wiedziała, że ten dzień należy do nich i że nic już nie zdoła ich rozdzielić.

Nagle zatrzymała się na ulicy, na której nigdy przedtem nie była, stanęła jak wryta przed sklepem z antykami. Jeden przedmiot na mrocznej wystawie przyciągnął jej wzrok i wrzucił serce. Teresa wpatrywała się weń, jakby znalazła wreszcie to, czego podświadomie szukała. Był to maleńki świecznik z porcelany, pomalowany błyszczącą emalią w kolorach królewskiego błękitu, głębokiej czerwieni i zieleni w małe romby, które obramowane były pozłotką i mieniły się spod cienkiej warstwy kurzu niczym jedwabny haft. Z boku umocowany był złoty pierścień na palec. Któż mógł wykonać to delikatne cacko i dla kogo, zastanawiała się? Następnego ranka wróciła tam i kupiła go dla Carol w prezencie.

Tego samego ranka nadszedł list od Richarda, skierowany tutaj przez pocztę z Colorado Springs. Teresa usiadła na kamiennej ławce na ulicy, gdzie znajdowała się biblioteka i otworzyła go. Był napisany na papierze firmowym: *Semco-Bottled-Gas-Company*. *Gotuje - grzeje - mrozi*. Na górze widniało nazwisko Richarda jako kierownika filii w Port Jefferson.

*Droga Tereso, zawdzięczam Danniemu, że wiem, gdzie jesteś. Może uznasz ten list za zbyt cenny, i może tak w istocie jest. Być może ciągle jeszcze jesteś w tym stanie zamroczenia, w jakim byłaś, gdy tamtego wieczoru rozmawialiśmy w kawiarni. Ale jedno muszę ci uświadomić, mianowicie to, że nie czuję już tego, co przed dwoma tygodniami. Ten list, który ci ostatnio napisałem, stanowił tylko ostatni rozpaczliwy wysiłek i wiedziałem, że mi nie odpiszesz i nawet tego nie chciałem. Zrozumiałem wtedy, że już cię nie Kocham a uczucie, jakie teraz do ciebie żywię, to przede wszystkim wstręt. To, że związałaś się z tą kobietą, wykluczając wszystkich innych, ta znajomość, która stała się na pewno brudna i patologiczna, napawa mnie obrzydzeniem. Wiem, że to nie potrwa długo, mówiłem to od samego początku. Można jedynie żałować, że ty sama będziesz potem czuła do tego wstręt - w takim samym stopniu, w jakim teraz niszczysz z nią swoje życie. Ten związek jest niesłychany i infantylny, tak jakby żyło się samymi kwiatami lotosu albo jakimiś wstrętnymi cukierkami zamiast chlebem i ciałem prawdziwego życia. Często rozmyślałem o tym pytaniu, które postawiłaś mi w dniu, gdy puszczałyśmy latawiec. Żałuję, że nie zareagowałem, zanim było za późno, bo wtedy kochałem cię jeszcze na tyle, żeby próbować cię ratować.*

*Ludzie wciąż jeszcze pytają mnie o ciebie. Co oczekujesz, że im powiem? Mam zamiar powiedzieć im prawdę. Tylko w ten sposób mogę się od tego wszystkiego uwolnić, bo już dłużej nie mogę tego w sobie dusić. Kilka rzeczy, które zostawiłaś u nas w domu, odesłałem do twego mieszkania. Najmniejsze wspomnienie, najmniejszy kontakt z tobą deprymuje mnie i nie chcę mieć do czynienia ani z tobą, ani z czymkolwiek, co ciebie dotyczy. Ale mówię rozsądnie i dlatego zapewne nie zrozumiesz z tego ani słowa.*

*Z wyjątkiem być może tego: Nie chcę cię znać.*

*Richard.*

Widziała przed sobą wąskie, miękkie usta Richarda, jak je zapewne zaciskał, pisząc ten list - w jedną prostą linię, która jednak nie zdołała ukryć lekkiego drżenia górnej wargi. Przez chwilę widziała wyraźnie jego twarz, która potem zniknęła wywołując mały dreszcz,



lecz przytłumiony i z oddalenia, niczym pogłos gwałtownego listu Richarda. Podniosła się, włożyła list z powrotem do koperty i poszła dalej. Miała nadzieję, że uda mu się z niej „oczyścić”. Ale mogła sobie go doskonale wyobrazić, jak będzie opowiadał o niej innym, tak zapalczywie jak tego doświadczyła w Nowym Jorku, gdy mówił o jej wyjeździe. Wyobraziła sobie, jak Richard któregoś wieczoru w barze „Palermo”, opowiada o tym Philowi, a potem Kellym.

Było jej to obojętne, niech mówi co chce.

Zastanawiała się, co Carol może robić teraz o dziesiątej - a jedenastej w New Jersey. Czy wysłuchuje oskarżeń jakichś obcych ludzi? Czy myśli o niej - czy znalazła na to w ogóle czas? Był piękny słoneczny dzień, zimno, prawie bezwietrznie i słonecznie. Mogła wziąć auto i pojechać dokądkolwiek. Nie korzystała z samochodu już od trzech dni.

Nagle stwierdziła, że nie chce go używać. Dzień, w którym wzięła auto i popędziła 160 na godzinę drogą do Dell Rapids, przepełniona radością z powodu listu Carol, wydawał się tak bardzo odległy.

Pan Brown, inny z lokatorów, siedział na frontowej werandzie, kiedy wróciła do domu pani Cooper. Siedział na słońcu, z nogami owiniętymi w koc i czapką naciągniętą na oczy, jakby spał, ale nagle zawołał: „Hej - co słychać u mojej dziewczynki?”

Zatrzymała się i porozmawiała z nim trochę, zapytała o jego artretyzm, starając się być uprzejmą, tak jak Carol w stosunku do pani French. Coś ich rozśmieszyło i uśmiech rozpromieniał jeszcze jej twarz, gdy wchodziła po schodach do swojego pokoju. Widok geranium rozwiął go natychmiast.

Podlała roślinkę i usiadła na końcu parapetu, tam gdzie słońce świeciło najdłużej.

Nawet najmniejsze listeczki dostały brązowych plam na brzegach. Carol kupiła ją dla niej w Des Moines na krótko przed odlotem. Bluszcz w doniczce już zwiędł - sprzedawca ostrzegł ją, że jest bardzo wrażliwy, ale Carol chciała go koniecznie mieć i Teresa miała wątpliwości czy geranium to przetrzyma.

Natomiast pstrokate kwiaty pani Cooper w niszy okiennej kwitły i były zdrowe.

*Robię te swoje wieczne obchody po mieście, pisała Teresa do Carol, pragnąc przy tym iść wciąż tylko w jednym kierunku, na wschód, i w końcu dojść do ciebie. Kiedy możesz wyjechać, Carol? A może ja przyjadę do ciebie? Naprawdę nie mogę już wytrzymać, być tak długo bez ciebie...*

Następnego ranka dostała odpowiedź. Czek wyfrunął z listu Carol na korytarz pani Cooper. Opiewał na ponad dwieście pięćdziesiąt dolarów. List Carol - długie zawijasy jej pisma sprawiały wrażenie ulotniejszych i bardziej pustych, litery T rozciągały jeszcze długość słów - donosił, że nie może przyjechać w ciągu następnych dwóch tygodni, a i potem nie jest to pewne. Przysyła czek, żeby Teresa mogła przylecieć do Nowego Jorku i zlecić transport samochodu na wschód. *Wolałabym, żebyś wracała samolotem. Wracaj teraz i dłużej nie czekaj*, brzmiał ostatni akapit.

Carol pisała ten list w pośpiechu, prawdopodobnie wyrwała jedną chwilę ze swego wypełnionego czasu, aby go napisać, ale był w nim jakiś chłód, który przeraził Teresę. Wyszła z domu i jak odurzona powędrowała na koniec ulicy, gdzie mimo wszystko wrzuciła do skrzynki list, który wczoraj wieczorem napisała, ciężki list z trzema znaczkami na kopercie. Za dwanaście godzin mogłaby zobaczyć się z Carol. Ta myśl nie przyniosła jej ukojenia. Czy powinna wyjechać natychmiast, czy może dopiero po południu? Co oni Carol zrobili? Zastanawiała się, czy to by ją zdenerwowało, gdyby teraz do niej zatelefonowała, czy i tak już napięta sytuacja nie przybrałaby rozmiarów katastrofy? Gdzieś przy stoliku, z kawą i sokiem pomarańczowym przed nosem, wygrzebała z torebki inny list. Z trudem rozszyfrowała koślawy napis w lewym górnym rogu kartki. Był to list od pani Robichek.

*„Droga Tereso, Bardzo dziękuję za wspaniałą kielbasę, którą otrzymałam w ubiegłym miesiącu. Jest pani miłą, kochaną dziewczyną i przy okazji tego listu chcę pani bardzo podziękować. To bardzo miło z pani strony, że pomyślała pani o mnie w czasie swej długiej podróży. Cieszę się z pięknych pocztówek, szczególnie z tej wielkiej z Sioux Falls. Nigdy nie miałam okazji dużo podróżować, poza wyjazdem do Pensylwanii. Jest pani szczęściarą, taka młoda i ładna, i serdeczna! Jeśli o mnie chodzi, to wciąż jeszcze pracuję. W domu towarowym jak zwykle. Wszystko jest jak zwykle, tylko zimniej. Proszę, niech mnie pani odwiedzi po powrocie.*

*Ugotuję dla pani coś smacznego - nie ze sklepu na rogu. Jeszcze raz serdeczne dzięki za kielbasę. Przez wiele dni nią żyłam, naprawdę coś wyjątkowego i doskonałego. Z najlepszymi pozdrowieniami pani Ruby Robichek.*”

Teresa ześliznęła się z krzesła, zostawiła trochę pieniędzy na ladzie i wybiegła.

Pędziła przez całą drogę do hotelu „Warrior”, wykręciła numer Carol i czekała ze słuchawką przy uchu. Nikt nie odbierał. Odczekała dwadzieścia sygnałów, ale wciąż nikt się

nie zgłaszał. Pomyślała, żeby zadzwonić do adwokata Carol, Freddiego Haymesa, ale jednak zrezygnowała. Również do Abby wołała nie telefonować.

Tego dnia padał deszcz. Teresa leżała w swoim pokoju na łóżku, zapatrzona w sufit i czekała, aż będzie trzecia, wtedy spróbuje jeszcze raz dodzwonić się do Carol. Koło południa pani Cooper przyniosła jej tacę z jedzeniem. Myślała, że jest chora. Lecz Teresa nie była w stanie nic przełknąć. O piątej wciąż jeszcze próbowała dodzwonić się do Carol. Wreszcie sygnał ustał i dało się słyszeć zamieszanie na łączach, głosy z poczty i pierwsze słowa Carol, jakie Teresa usłyszała były: „Tak, do diabła!” Teresa poczuła, jak ból w jej ramionach ustępuje.

„Halo” zawołała Carol raz jeszcze.

„Halo?” Było bardzo źle słycać. „Dostałam list, ten z czekiem. Co się stało, Carol?...Co?”

I zmęczony głos powtórzył przez stukot zakłóceń na linii: „Myślę, że ten aparat jest na podsłuchu, Tereso... U ciebie wszystko dobrze? Przyjedziesz do domu? Nie mogę teraz za długo rozmawiać.”

Teresa zmarszczyła czoło oniemiała. „Tak, myślę, że mogę dzisiaj stąd wyjechać.” Potem wyrwało się z niej: „Co się dzieje, Carol? Naprawdę nie mogę tego znieść, że nic nie wiem?”

„Tereso!” Carol rozciągnęła jej imię nad wszystkim, co Teresa mówiła, jakby chciała to wymazać. „Czy wrócisz do domu, żebym mogła z tobą porozmawiać?”

Teresie zdawało się, że słyszy jak Carol niecierpliwie westchnęła. „Ale ja muszę to wiedzieć. Możesz się ze mną w ogóle spotkać, kiedy wrócę?”

„Sama musisz wiedzieć, co robisz, Tereso.”

Czy tak ze sobą rozmawiały? Czy używały takich sformułowań? „Ale powiedz - możesz?”

„Nie wiem”, odrzekła Carol.

Wstrząsnął nią zimny dreszcz aż do palców, trzymających słuchawkę. Miała wrażenie, że Carol jej nienawidzi. Ponieważ to była jej wina, ten głupi błąd z listem, który znalazła Florence. Coś się wydarzyło, kto wie, może Carol nie mogła albo nie chciała jej już więcej widzieć. „Czy rozprawa przed sądem już się rozpoczęła?”

„Lada dzień. Pisałam ci o tym. Nie mogę teraz dłużej rozmawiać. Do widzenia, Tereso.”

Carol czekała, aż Teresa coś powie: „Muszę już kończyć.”

Teresa powoli odłożyła słuchawkę na widełki. Stała w holu hotelowym i wpatrywała

się w zamazane postaci przy recepcji. Ponownie wyjęła list Carol z torebki i przeczytała go jeszcze raz, ale głos Carol pytający niecierpliwie: „Przyjedziesz do domu, żebym mogła z tobą porozmawiać?” był bliżej. Wyjęła czek i obejrzawszy go ze wszystkich stron powoli podarła.

Strzępy papieru wrzuciła do mosiężnej sopluchaczki.

Łzy przyszły dopiero, gdy znalazła się znowu w domu i zobaczyła swój pokój, podwójne łóżko z garbem na środku, stos listów od Carol na biurku. Nie mogła zostać tu ani jednej nocy dłużej.

Przeprowadzi się na jedną noc do hotelu, a jeśli list, o którym wspominała Carol nie nadejdzie jutro rano, pojedzie i tak. Teresa wyciągnęła spod szafy walizkę i rzuciła ją na łóżko. Z bocznej kieszeni wystawał róg złożonej białej chusteczki.

Teresa wyjęła ją i przytknęła do nosa, wspominając ranek w Des Moines, gdy Carol wacikiem skropionym perfumami, i drwiącą uwagę, którą przy tym uczyniła, rozśmieszyła Teresę. Teraz jedna ręka na oparciu krzesła, druga zaciśnięta w pięść wznosiła się bezradnie i opadała. I to, co odczuwała, było tak samo niewyraźne, jak biurko i listy przed jej oczyma, na które spoglądała ze zmarszczonym czołem. Potem sięgnęła nagle po list, który opierał o książkę z tyłu biurka. Zrazu go nie zauważyła, chociaż był widoczny. Teresa rozerwała kopertę. Był to list, o którym Carol napomknęła. Długi list, atrament był na kilku stronach jasny - a na innych ciemnoniebieski, i niektóre słowa były poskreślane. Najpierw przebiegła wzrokiem szybko pierwszą stronę, potem przeczytała ją jeszcze raz.

*Moje kochanie, nie muszę nawet stawić się przed sądem. W czasie prywatnego posiedzenia zapoznano mnie z tym, co Harge zamierza przeciwko mnie przedstawić. Mają istotnie kilka taśm, głównie z Waterloo, i byłoby niepotrzebne prezentować je przed sądem. Wstydziłabym się, o dziwo nie ze względu na siebie, ale ze względu na moje dziecko, nie mówiąc już o tym, że nie chcę, abyś i ty musiała zeznawać przed sądem. Wszystko poszło gładko dzisiaj rano. Po prostu skapitulowałam.*

*Najważniejsze jest teraz to, co będę robić w przyszłości, powiedzieli adwokaci. Od tego zależy, czy będę mogła kiedykolwiek zobaczyć moje dziecko, gdyż Harge z łatwością otrzyma wyłączone prawo opieki nad nią. Zapytali mnie, czy przestanę się zadawać z tobą (i innymi „twego pokroju”, jak się wyrazili!). Nie zostało to tak dosłownie sformułowane. Tuzin twarzy rozwarło usta i mówiło jak sędziowie na Sądzie Ostatecznym - przypominali mi o moich obowiązkach, mojej pozycji, mojej przyszłości. (Jak uregulowali moją przyszłość? Czy*

*sprawdzą mnie za pół roku?) Powiedziałam im, że się z tobą więcej nie zobaczę. Zastanawiam się, czy potrafisz to zrozumieć, jesteś taka młoda i nigdy nie znalazłaś matki, która cię rozpaczliwie kochała. Za tę obietnicę obdarzyli mnie swoim wspaniałym gestem - łaską spotkania się z moim dzieckiem przez kilka tygodni w roku.*

*W kilka godzin później.*

*Abby tu jest. Rozmawiamy o tobie - pozdrawia cię serdecznie, ja także. Abby przypomina mi o wszystkim, co już wiem: że jesteś bardzo młoda i podziwiasz mnie. Abby sądzi, że nie powinnam pisać tego listu, lecz powiedzieć ci to wszystko, kiedy wrócisz do domu. Właśnie pokłóciłyśmy się bardzo z tego powodu. Powiedziałam jej, że nie zna cię tak dobrze jak ja, i teraz myślę, że mnie też nie zna tak dobrze jak ty w pewnym sensie, mianowicie w odniesieniu do uczuć. Nie jestem dziś zbyt szczęśliwa, moja słodka. Popijam swoją whisky i powiedziałabyś, wiem, że to działa na mnie deprymująco. Ale nie byłam przygotowana na te dni tutaj po tygodniach spędzonych z tobą - to były szczęśliwe tygodnie - wiedziałas to lepiej niż ja. Chciałam w tym liście spróbować powiedzieć ci, że nie znasz całej prawdy i być może nigdy jej nie poznasz, to znaczy, nie powinnaś jej poznać - nie nadajesz się do tego. Nigdy się nie kłóciłyśmy, nie miałyśmy okazji wynieść z takiej kłótni nauki, że nie chcieliśmy niczego innego, jak tylko być razem - w niebie czy w piekle. Ale to wszystko do tego należy, a to, co razem przeżyliśmy jest tylko początkiem. I miałyśmy tak mało czasu. Dlatego to wszystko nie będzie w tobie tak głębokie.*

*Mówisz, że mnie kochasz, taką jaką jestem, nawet kiedy przeklinam. Ja mówię, że Kocham cię nadal, człowieka jakim jesteś i jakim będziesz. Powiedziałabym to przed sądem, gdyby miało to dla tych ludzi jakieś znaczenie i mogło cokolwiek zmienić, bo nie słów się boję. Myślę, że muszę wysłać ci ten list, Kochanie, i że zrozumiesz, dlaczego, tak jak i to, dlaczego powiedziałam wczoraj adwokatom, że się już więcej z tobą nie zobaczę, dlaczego musiałam to zrobić. I sądzę, że bym cię nie doceniła, gdybym uznała, że nie potrafiłabyś tego zrozumieć albo wolałabyś, żebym z tym poczekała.*

Teresa wypuściła list z rąk, wstała i powoli podeszła do biurka. Tak, rozumiała, dlaczego Carol przysłała jej ten list: bo kochała swoje dziecko bardziej niż ją. I z tego powodu adwokaci byli w stanie złamać jej opór, zmusić ją, żeby zrobiła dokładnie to, czego chcieli. Teresa nie mogła wyobrazić sobie takiej Carol, która zostanie do czegoś zmuszona. A jednak - było to napisane jej własną ręką. To była kapitulacja, i Teresa nie potrafiła wyobrazić sobie sytuacji, w której chodziłoby o nią i chciano by odebrać jej Carol. Na moment opanowało ją

dziwne przekonanie, że Carol dała jej tylko część siebie i nagle cała rzeczywistość tych ostatnich tygodni pękła jak olbrzymie kłamstwo i zapadła się w sobie. Już jednak w następnej chwili Teresa nie chciała w to wierzyć. Jednak fakt, że Carol zrezygnowała z niej na rzecz swego dziecka, pozostał faktem.

Wpatrywała się w list Richarda, leżący na biurku i czuła jak wszystko, co chciała mu powiedzieć, czego nigdy mu nie powiedziała, wzbiera w niej niczym górski potok. Jakim prawem rozpisuje się o tym, kogo ona kocha i jak? Co on o niej wie? Cóż wiedział o niej kiedykolwiek?

*...przesadnie i jednocześnie bagatelizująco (przeczytała na innej stronie listu Carol). Ale pomiędzy zmysłową przyjemnością pocałunku a tym, co uprawiają w łóżku mężczyzna i kobieta, wydaje się zachodzić wymierna różnica. Pocałunku, na przykład, nie należy bagatelizować, jego wartość nie powinna być oceniana przez nikogo innego. Zastanawiam się, czy ci mężczyźni swoją rozkosz wyceniają zależnie od tego, czy następstwem tego, co robią w łóżku, będzie dziecko - i czy to wszystko jest wtedy dla nich bardziej podniecające? W końcu chodzi przecież o zmysłowość, i jaki sens ma porównywanie przyjemności odczuwanej przy jedzeniu lodów z przyjemnością oglądania meczu piłkarskiego albo słuchania kwartetu Beethovena z Moną Lisą. Zostawiam to filozofom. Oni natomiast sądzili, że albo musiałam zwariować, albo byłam zaślepiona (do czego, jak sądzę, doszedł swego rodzaju żal, że taka dosyć atrakcyjna kobieta nie oddaje się prawdopodobnie mężczyznom). Potem padło w rozmowie słowo „estetyka” - skierowane oczywiście przeciwko mnie. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście chcieli o tym dyskutować - była to jedyna chwila wesołości w czasie całej konfrontacji. Ale nie wymieniłam najważniejszego punktu, i w ogóle nikt o tym nie pomyślał mianowicie, że stosunki między dwoma mężczyznami lub dwiema kobietami mogą być tak absolutne i tak doskonale, jak nigdy między mężczyzną i kobietą, i że niektórzy ludzie właśnie tego chcą, tak samo jak inni wolą niepokój i niepewność, jaka panuje między mężczyznami i kobietami. Wczoraj powiedziano także - albo przynajmniej po cichu przyjęto - że moja obecna droga doprowadziłaby mnie niechybnie na manowce ludzkich występków i perwersji.*

*Tak, w dużym stopniu pograżyłam się, od kiedy mi ciebie zabrali. I to prawda, że jeśli będę dalej tak postępować, jeśli będę szpiegowana i atakowana, jeśli nie będę mogła mieć żadnego człowieka na tak długo, Żeby poznanie go nie było tylko powierzchowne - to byłaby perwersja. Żyć przeciw swej naturze - tak definiuje się perwersję.*

*Kochanie, zwiierzam się przed Tobą z tego wszystkiego (następne linijki zostały*

skreślone). *Ty bez wątpienia pokierujesz swoją przyszłością lepiej niż ja swoją.*

*Niech będę dla Ciebie przestrogą. Jeśli czujesz się teraz dotknięta, że nie możesz znieść więcej niż przypuszczałaś, i jeśli doprowadzi to do tego, że teraz albo kiedyś później mnie znieńawidzisz - a to właśnie powiedziałam do Abby - nie będę żalować. Byłam tą, którą spotkać było ci przeznaczone, jak to sama powiedziałaś, i to jedyną, i możesz to wszystko ostatecznie rzucić. Ale jeśli pomimo tych wszystkich niepowodzeń i przygnębienia nie zrobisz tego teraz, nie znieńawidzisz mnie, to będę wiedziała, że to, co powiedziałaś tamtego popołudnia, było prawdą: Nie musi tak być. Tak bardzo chciałabym znów z Tobą porozmawiać, gdy wrócisz - jeśli tego chcesz - chyba, że nie jesteś w stanie tego zrobić.*

*Twoje kwiaty mają się dobrze na tylnej werandzie. Podlewam je codziennie...*

Teresa nie mogła dalej czytać. Usłyszała, jak ktoś przed jej drzwiami schodził powoli po schodach, a potem szedł szybszym krokiem przez korytarz na dole.

Kiedy kroki ucichły, otworzyła drzwi, walcząc przez chwilę z impulsem, żeby po prostu wyjść z domu i zostawić wszystko za sobą. Potem zeszła na dół i zapukała do drzwi pani Cooper na tyłach domu.

Właścicielka wyjrzała przez drzwi i Teresa powiedziała jej, że zdecydowała się wieczorem wyjechać. Obserwowała twarz pani Cooper, która zdawała się nie słuchać tego, co mówiła, lecz reagowała tylko na wyraz jej twarzy. Ukazała się jej nagle jako jej własne odbicie, od którego nie mogła się odwrócić.

„Bardzo mi przykro z tego powodu, panno Belivet. Przykro mi, jeśli pani plany się nie powiodły”, powiedziała, a na jej twarzy malowały się tylko przestrasz i ciekawość.

Teresa wróciła do swego pokoju i zaczęła się pakować. Na dnie walizki ułożyła złożone modele, a na nich książki. Po kilku minutach usłyszała, jak pani Cooper ostrożnie, jakby coś niosła, zbliża się do jej drzwi i Teresa pomyślała, że jeśli wejdzie z tacą pełną jedzenia, to zacznie głośno wrzeszczeć. Pani Cooper zapukała.

„Gdzie mam odsyłać pani pocztę, skarbie, na wypadek, gdyby nadeszły kolejne listy?” zapytała.

„Tego jeszcze nie wiem. Napiszę do pani.” Kiedy się wyprostowała, zakręciło się jej w głowie i poczuła mdłości.

„Chyba nie chce pani wracać teraz, tak późno w nocy, do Nowego Jorku?” Dla pani Cooper po godzinie szóstej była już noc.

„Nie”, powiedziała Teresa. „Chcę pojechać tylko kawałek dalej.” Pragnęła zostać

sama. Patrzyła na rękę pani Cooper opartą w talii na pasku od fartucha w szarą kratę, na olbrzymie, miękkie pantofle, zdarte od chodzenia po tych korytarzach, pantofle, w których dreptała przez lata, zanim ona tu przybyła, i dalej będzie dreptać po tych samych śladach, gdy ona wyjedzie.

„No dobrze. Da mi pani na pewno znać, jak poszło?”

„Tak.”

Pojechała do innego hotelu, nie tam, skąd telefonowała do Carol. Nie mogła wysiedzieć w pokoju i poszła na spacer, unikając wszelkich ulic, po których chodziła razem z Carol. Właściwie mogłabym pojechać do innego miasta, pomyślała i zatrzymała się, już prawie zdecydowana, żeby wrócić do auta. Jednak po chwili ruszyła dalej nie troszcząc się już więcej o to, gdzie jest. Chodziła tak, aż zmarzła, a najbliższym miejscem, gdzie mogłaby się ukryć i trochę ogrzać, była biblioteka. Mijając lokal Dutcha, spojrzała przez okno do środka. Dutch zobaczył ją, schylił głowę w znany jej już sposób, jakby jakaś niewidoczna belka zasłaniała mu widok i pokiwał do niej. Jej ręka automatycznie pomachała w jego stronę i nagle pomyślała o swoim pokoju w Nowym Jorku, gdzie na tapczanie wciąż jeszcze leżała sukienka i róg dywanu był odgięty. Gdyby tylko mogła z tego miejsca pociągnąć za dywan, żeby go wyprostować, pomyślała.

Wpatrywała się w wąską, zadbaną aleję z kulistymi lampami. Jakaś samotna postać szła jej naprzeciw. Teresa weszła na schody prowadzące do biblioteki.

Pani Graham, bibliotekarka, pozdrowiła ją jak zwykle, chociaż tym razem Teresa nie udała się do czytelnicy, w której siedziało akurat dwoje czy troje ludzi, także łysy mężczyzna w okularach z czarnymi oprawkami przy środkowym stole. Jakże często siedziała w tej sali z listem od Carol w torebce! Z Carol obok siebie.

Weszła po schodach, minęła pokój z książkami z dziedziny historii i sztuki na drugim piętrze i doszła aż na trzecie, gdzie jeszcze nigdy dotąd nie była.

Znajdował się tam tylko jeden duży pokój, który sprawiał wrażenie jakby był pokryty kurzem; dookoła stały oszklone szafy z książkami, wisiało kilka olejnych obrazów i parę marmurowych popiersi stało na cokółkach.

Teresa usiadła przy stole i jej ciało odprężyło się boleśnie. Położyła ręce na stole, a na nich głowę. Poczula się nagle zmęczona i śpiąca, ale zaraz odsunęła krzesło i wstała. Ze strachu włosy zjeżyły się jej na głowie. Do tej chwili wszystko robiła tak, jakby Carol nie odeszła, jakby miała ją znowu zobaczyć po powrocie do Nowego Jorku, i jakby wszystko miało być tak jak dawniej.

Rozejrzała się nerwowo dookoła, szukając czegoś, co mogłoby to wszystko zmienić,



przywrócić do dawnego stanu. Przez chwilę czuła, że jej ciało rozpadnie się zaraz na kawałki, albo że rzuci się z okna na końcu sali. Patrzyła na bielejące popiersie Homera, jego badawczo uniesione brwi, obramowane kurzem. Odwróciła się do drzwi i wtedy po raz pierwszy jej wzrok padł na obraz wiszący ponad framugą.

Był tylko podobny, nie był to ten sam obraz, nie, nie ten sam, ale to podobieństwo bardzo ją uderzyło i stało się jeszcze głębsze; jej wspomnienie ożyło, mając ją, że to jednak ten sam obraz, tylko dużo większy od tego, który jako małe dziecko często widziała na korytarzu przed pokojem muzycznym, zanim go pewnego dnia nie zdjęto - obraz uśmiechniętej kobiety w bogatym dworskim stroju, z dłonią na szyi i odwróconą lekko dumną głową, jakby malarz uchwycił ją w ruchu, tak że nawet perłowe kolczyki w jej uszach zdawały się jeszcze drżeć. Znała te szerokie, mocno wymodelowane policzki, pełne usta koralowej barwy, z igrającym w kącikach uśmiechem, owe jakby w drwinie spuszczone do połowy powieki, mocne, niezbyt wysokie czoło, uwypuklające się ponad żywymi oczyma, które wszystko już z góry wiedziały i mogły spoglądać współczująco i drwiąco zarazem. To była Carol. Teraz, w tej długiej chwili, gdy nie była w stanie się odwrócić, usta te uśmiechały się, a oczy obserwowały ją z czystą drwiną. Uchyliła się ostatnia zasłona i nie ukazało się nic poza szyderstwem i radością z cudzego cierpienia - absolutne zadowolenie z doskonałego oszustwa.

Teresa wzdrygnęła się i z trudem łapiąc powietrze przebiegła pod obrazem, wypadła na korytarz, a potem schodami w dół. Na parterze pani Graham coś do niej zawołała, zabrzmiało to jak zatroskane pytanie i Teresa usłyszała swoją odpowiedź niczym jękaninę jakiejś idiotki, gdyż wciąż jeszcze sapała, łapiąc oddech i minąwszy panią Graham wybiegła z budynku.

Gdzieś w środku między blokami pchnęła drzwi wejściowe do jakiejś kawiarni, ale grano tam właśnie piosenkę, której wszędzie słuchała razem z Carol, więc puściła drzwi i pobiegła dalej. Muzyka żyła, lecz świat był martwy. Także ta piosenka umrze pewnego dnia - ale czy świat kiedyś znowu ożyje? Jak miałby odzyskać znów cały powab? Wróciła do hotelu. Na górze w swoim pokoju zmoczyła ręcznik w zimnej wodzie i położyła go na oczach. W pokoju było zimno, zdjęła więc sukienkę i buty i wsunęła się do łóżka.

Na zewnątrz czyjś przeraźliwy, zniekształcony przez pustkę głos wołał: „Uwaga! Chicago Sun-Times!”

Potem zapadła cisza. Walczyła ze snem, a ołowiane zmęczenie ogarniało ją niczym upojenie. Z korytarza dobiegały poirytowane głosy, chodziło o zagubiony bagaż. I gdy tak leżała, z ręcznikiem pachnącym lekarstwami na spuchniętych oczach, zmogło ją uczucie przemijania. Głosy kłóciły się i czuła, jak jej odwaga i wola znikają, więc ogarnięta paniką próbowała skoncentrować się na myśli o świecie tam, na zewnątrz, o Danniem i pani Robichek, Frances Cotter z Pelican Press i o pani Osborn, a także o swoim pokoju, który wciąż jeszcze miała w Nowym Jorku. Lecz jej umysł wzbraniał się przed dokładnym postrzeganiem wszystkiego lub rezygnacją, tworzył teraz jedność z jej sercem i wzbraniał się przed rezygnacją z Carol. W jej pamięci zamazywały się twarze, tak jak głosy z zewnątrz. Była wśród nich również twarz siostry Alicji oraz matki. Ostatni pokój, w którym spała będąc w szkole. Ów rano, kiedy wymknąwszy się bardzo wcześnie z sypialni, biegła po trawniku niczym młody, oszołomiony wiosną zwierzak i widziała, jak siostra Alicja równie błazeńsko biega po polu, a jej białe buty lśnią w wysokiej trawie jak kaczkę, i dopiero po kilku minutach Teresa zrozumiała, że siostra Alicja goni za uciekającym kurczaczkiem. I wreszcie ta chwila w domu przyjaciółki matki, gdy sięgając po kawałek ciasta, strąciła na podłogę talerzyk i matka uderzyła ją w twarz. Znowu miała przed oczami ten obraz ze szkolnego korytarza, oddychał i poruszał się teraz jak Carol, drwiąco i okrutnie, ostatecznie kończąc z nią, tak jakby jakiś od dawna planowany zły zamiar wreszcie się spełnił. Ciało Teresy napięło się. Głosy na korytarzu sprzeczały się dalej w bezwzględny sposób, przenikając do jej uszu ostrymi niepokojącymi trzaskami pękającego lodu.

„Co pan z tym zrobił...”

„Nie...”

„Gdyby pan tak uczynił, walizka stałaby na dole w przechowalni bagażu... Ale

powiedziałam już panu...”

„I pan chce, żebym zapomniała o mojej walizce, bo inaczej straci pan swoją posiadłość!”

Jej umysł wyławiał sens zdanie po zdaniu, niczym powolny tłumacz, który kuśtyka z tyłu i w końcu nie może nadążyć.

Usiadła na łóżku, w głowie kołatały się wciąż sceny z sennego koszmaru. W pokoju było już prawie ciemno, cienie zalegające w kątach stały się nieprzenikliwe. Wymacała kontakt i oślepią światłem zmrużyła oczy. Wrzuciła dwadzieścia pięć centów w otwór w radiu na ścianie i przy pierwszym dźwięku podkręciła je na cały regulator. Najpierw odezwał się męski głos, potem nadawano muzykę, jakiś rytmiczny, orientalnie brzmiący kawałek, ze zbioru płyt do wychowania muzycznego w szkole. Na *perskim rynku*, przypomniała sobie automatycznie i porywający rytm, który zawsze przywodził jej na myśl poruszającego się wielbłąda, przeniósł ją znowu do małego pokoju muzycznego w internacie, którego ściany ponad drewnianą boazerią ozdobione były obrazami z oper Verdiego. Czasami słuchała tego utworu w Nowym Jorku, jednak nigdy razem z Carol, a od kiedy ją poznała, nie słyszała go ani o nim nie myślała. A teraz muzyka ta była jak most, rozciągnięty ponad czasem i nie stykający się z nim w żadnym miejscu. Wzięła ze stołu nóż do papieru, drewniany nóż Carol, który przy pakowaniu zaplątał się w jej walizce. Objęła palcami rękojeść, a kciukiem przesunęła wzdłuż ostrza, jednak ten konkretny przedmiot zdawał się nie mieć z Carol nic wspólnego, nie przybliżał jej wcale; nie był w stanie jej wyczarować, tak jak ta muzyka, której przecież nigdy razem nie słuchały. Myślała o Carol z pewną wrogością - jak o jakimś odległym miejscu milczenia i ciszy.

W łazience Teresa umyła twarz zimną wodą. Powinna poszukać jakiejś pracy, najlepiej już jutro. Taki miała zamiar, zatrzymując się tutaj. Dość rozpaczania w hotelowym pokoju. Powinna napisać do pani Cooper, choćby przez uprzejmość, i podać jej swój adres w hotelu. Była to jedna ze spraw, jakie musiała załatwić, nawet jeśli nie miała na to ochoty. Czy miało sens jeszcze raz napisać do Harkevy'ego, po tym jak w Sioux Falls otrzymała od niego uprzejmą, ale jednoznaczną wiadomość? *chętnie spotkam się z panią po jej powrocie do Nowego Jorku*, brzmiała jego odpowiedź, *ale nie mogę pani nic obiecać na przyszłą wiosnę. Radzę skontaktować się z panem Nedom Bernsteinem, koproducentem, jak tylko pani wróci. On lepiej poinformuje panią o tym, co dzieje się w pracowniach scenograficznych...* Nie, nie będzie już do niego pisać.

Na dole w hotelu kupiła pocztówkę znad jeziora Michigan i skreśliła kilka serdecznych słów do pani Robichek. Wydało się jej to wprawdzie zakłamanie, lecz w drodze powrotnej od skrzynki na listy uświadomiła sobie nagle swoją własną siłę, swoje elastyczne palce, swój

młodzieńczy entuzjazm, napędzający krew w jej żyłach, kiedy się szybciej poruszała i wiedziała już, że w porównaniu z panią Robichek jest wolna i szczęśliwa, i że to, co do niej napisała, wcale nie było zakłamanie, ponieważ stać ją było na te pocieszające słowa. Nie była ani powykrzywiana, ani na wpół niewidoma, nie cierpiała żadnych boleści. Przed wystawą domu towarowego szybko zacisnęła wargi. Gwałtownym ruchem oparła się porywowi wiatru, który o mało jej nie przewrócił, i pomimo jego chłodu poczuła pierwszy powiew wiosny, niczym ciepłe, młode serce.

Jutro rozejrzy się za jakąś pracę. Musi sobie poradzić, wyżyć za to, co jej jeszcze zostało, a wszystko, co zarobi, odkładać na bilet do Nowego Jorku.

Mogłaby oczywiście kazać przesłać sobie pieniądze ze swego konta w banku, lecz nie brała tego w ogóle pod uwagę. Chciała przez dwa tygodnie popracować wśród ludzi, których nie zna, podobnie jak to czynią miliony innych. Chciała wśliznąć się w skórę kogoś innego. Odpowiedziała na ogłoszenie, w którym poszukiwano sekretarki do przyjmowania i rejestracji towarów. Wydawało się, że ją zaakceptowano i tak cały pierwszy ranek spędziła na zaznajamianiu się z magazynem. Potem, po obiedzie, przyszedł jeden z jej przełożonych, oznajmiając, że potrzebuje kogoś ze znajomością stenografii. Tego Teresa nie potrafiła. W szkole uczyła się pisania na maszynie, ale nie stenotypii, więc nic z tego nie wyszło.

Po południu jeszcze raz przejrzała ogłoszenia, poszukujące pracowników pomocniczych. Wtem przypomniała sobie plakat na płocie przy składzie drewna, niedaleko hotelu. „Szukamy młodej kobiety do pracy w biurze i magazynie. Czterdzieści dolarów tygodniowo.” Jeśli nie żądają znajomości stenografii, mogłoby się udać. Było koło czwartej, gdy skręciła w wietrzną ulicę, przy której znajdował się skład drewna. Wyciągnęła szyję, żeby wiatr zwał jej włosy z twarzy. Przypomniała sobie słowa Carol: „Lubię patrzeć, jak chodzisz. Kiedy widzę cię z oddalenia, mam wrażenie, że masz jakieś dziesięć centymetrów wzrostu i spacerujesz po mojej dłoni.” Miała wrażenie, że w poszumie wiatru doszedł ją cichy głos Carol i nagle cała zeszywniała, z goryczy i lęku. Przyśpieszyła, pobiegła kilka kroków, jakby w ten sposób mogła uciec od tego chaosu miłości, nienawiści i urażenia, w jaki nagle wpadł jej umysł.

Po jednej stronie placu składowego stał drewniany barak - biuro. Weszła do środka i została przyjęta przez pana Zambrowskiego, zrównoważonego, łysego mężczyznę ze złotym łańcuszkiem od zegarka na brzuchu. Jeszcze zanim Teresa zdążyła zapytać go o stenografię, sam nadmienił, że tego nie wymaga. Powiedział, że dzisiejsze popołudnie i jutrzejszy ranek będą stanowiły okres próbny. Następnego dnia zgłosiły się jeszcze dwie inne kobiety w sprawie pracy, ale pan Zambrowski powiedział jej jeszcze przed obiadem, że ją przyjmie.

„Jeśli nie sprawi pani kłopotu przychodzenie tutaj na ósmą rano”, dodał.

„To żaden kłopot.” Dziś przyszła wprawdzie dopiero o dziewiątej, ale jutro mogłaby się zjawić choćby o czwartej rano, jeśli będzie trzeba.

Jej praca trwała od ósmej do czwartej trzydzieści i polegała tylko na tym, żeby ładunki z tartaku porównać w jardach z zamówieniami i pisemnie potwierdzić odbiór. Znad swego biurka nie widziała zbyt dużo drewna, ale jego zapach unosił się w powietrzu, tak świeży, jakby piły właśnie teraz rozcinały powierzchnię białych, jodłowych desek; dochodził ją stukot i warkot ciężarówek, zajeżdżających na podwórze. Lubiła tę pracę, lubiła pana Zambrowskiego, drwali i kierowców ciężarówek, którzy przychodzili do biura ogrzać sobie ręce przy ogniu. Jeden z drwali, atrakcyjny młody mężczyzna ze złotawym zarostem na twarzy, zapraszał ją kilka razy na obiad do kafeterii w mieście. Poprosił ją też o spotkanie w sobotę wieczorem, ale Teresa nie chciała jeszcze spędzać z nim ani z kimkolwiek innym całego wieczoru.

Pewnej nocy zadzwoniła Abby.

„Czy pani wie, że musiałam dwa razy dzwonić do Dakoty, żeby panią odnaleźć?” zapytała Abby zdenerwowana. „Co pani tam robi? Kiedy pani wróci?”

Głos Abby przybliżył jej Carol, jakby to ona sama była przy telefonie. Znowu coś ścisnęło ją w gardle i przez chwilę nie mogła wydobyć głosu.

„Teresa?”

„Czy Carol jest u pani?”

„Jest w Vermont. Była chora”, powiedziała Abby spokojniejszym głosem, w którym nie słychać było przydatności. „Odpoczywa tam.”

„Czy jest zbyt chora, żeby do mnie zadzwonić? Dlaczego mi pani tego nie powie, Abby? Czuje się lepiej czy gorzej?”

„Lepiej. Czemu nie próbowała pani zatelefonować i dowiedzieć się?”

Palce Teresy zacisnęły się na słuchawce. Tak, dlaczego tego nie zrobiła? Bo myślała o obrazie zamiast o Carol.

„Co się jej stało? Czy jest...”

„Mądre pytanie. Przecież Carol napisała pani, co się stało?” „Tak.”

„No, więc - oczekuje pani, że ona będzie jak ta gumowa piłeczka znowu skakać do góry? Albo popędzi za panią przez całą Amerykę? Uważa pani, że to zabawa w chowanego?”

Przypomniała sobie znowu rozmowę z Abby wtedy, przy obiedzie. Według Abby, ona była wszystkiemu winna. Ten list, znaleziony przez Florence, był rozstrzygający.

„Kiedy pani wróci?” zapytała Abby.

„Za jakieś dziesięć dni. Chyba, że Carol potrzebuje auto wcześniej.”

„Nie potrzebuje. Za dziesięć dni nie będzie jej jeszcze w domu.”

Teresa musiała się przemóc, żeby wypowiedzieć następne zdanie: „Co z listem, który napisałam, znaleziono go przed czy po?”

„Przed czy po czym?”

„Po tym, jak nasłano na nas detektywa?”

„Został znaleziony później”, powiedziała Abby wzdychając.

Teresa zagryzła zęby. Ale nieważne było, co Abby o niej sądzi, tylko to, co myśli Carol.

„Gdzie leży Vermont?”

„Gdybym była na pani miejscu, nie dzwoniłabym do niej”.

„Ale pani nie jest, a ja chcę do niej zadzwonić.”

„Niech pani da spokój. Mogę pani tylko tyle powiedzieć: przekażę jej każdą wiadomość - o to właśnie chodzi.” Potem nastąpiła zimna cisza. „Carol chciałaby wiedzieć, czy potrzebuje pani pieniędzy i co z samochodem.”

„Nie potrzebuję pieniędzy, a samochód jest w porządku”. Musiała zadać jeszcze jedno pytanie. „Czy Rindy wie o tym wszystkim?”

„Wie, co oznacza słowo rozwód. Chciała zostać przy Carol. To wcale nie ułatwiło Carol całej sprawy.”

Bardzo dobrze, bardzo dobrze, chciała powiedzieć Teresa. Nie będzie Carol niepokoić telefonami, pisanem czy jakimiś innymi wiadomościami, chyba że chodziłoby o samochód. Drżała na całym ciele, kiedy odkładała słuchawkę. I natychmiast znowu ją podniosła. „Tu pokój sześćset jednaście”, powiedziała. „Nie będę przyjmowała więcej rozmów zamiejscowych - żadnych.”

Spojrzała na leżący na nocnym stoliku nóż do papieru i ukazała się jej Carol, jak z krwi i kości, z piegami od słońca i małym ubytkiem w linii brzegowej jednego z zębów. Czy była coś winna Carol, jej osobie? Przypomniała sobie słowa Carol: „Jeśli masz męża i dziecko, to jest zupełnie inaczej.” Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w nóż do papieru, nie mogąc zrozumieć, dlaczego stał się nagle po prostu zwykłym nożem do papieru, dlaczego było jej obojętne czy go zachowa, czy wyrzuci.

Dwa dni później przyszedł list od Abby z czekiem na sto pięćdziesiąt dolarów, które, jak się wyraziła, „są bez znaczenia”. Abby pisała dalej, że rozmawiała z Carol i że Carol ucieszyłaby się z wiadomości od niej, i Teresa zanotowała sobie adres Carol. Był to naprawdę zimny list, ale ten gest z czekiem nie był zimny.

To nie Carol ją do tego namówiła, Teresa wiedziała.

*Dziękuję za czek, odpisała Teresa. To bardzo miło z pani strony, ale nie skorzystam z niego, nie potrzebuję go. Prosi mnie pani, żebym napisała do Carol. Nie sądzę, żebym mogła lub powinna to zrobić.*

Kiedy pewnego popołudnia wróciła z pracy do hotelu, na dole w holu siedział Dannie. Zrazu nie mogła uwierzyć, że ten ciemnooki, młody mężczyzna, który podniósł się z uśmiechem z fotela i szedł powoli w jej stronę, to on. Ale zaraz te jego ciemne kręcone włosy, które postawiony kołnierz płaszczka jeszcze bardziej rozczochrał, ten jego szeroki uśmiech były znowu tak znajome, jakby widziała go zaledwie wczoraj.

„Halo, Teresa”, powiedział. „Zaskoczona?”

„Tak, bardzo. Spisałam cię już na straty. Nie odezwałeś się - od dwóch tygodni.”

Przypomniała sobie, że dwudziesty ósmy to był dzień, w którym miał zamiar opuścić Nowy Jork, i dzień, w którym przybyła do Chicago.

„To ja ciebie już spisałem na straty”, odrzekł śmiejąc się Dannie. „Coś mnie zatrzymało w Nowym Jorku. Na szczęście, jak sądzę, gdyż próbowałem się do ciebie dodzwonić i twoja gospodyni dała mi ten adres.” Dannie ujął ją pod łokieć i poszli razem do windy. „Wyglądasz wspaniale, Tereso.”

„Naprawdę? Strasznie się cieszę, że cię widzę.” Winda otworzyła się przed nimi. „Wstąpisz na górę?”

„Chodźmy gdzieś coś zjeść. A może za wcześnie? Nie jadłem jeszcze obiadu.

„No, to na pewno nie jest za wcześnie.”

Poszli do restauracji, o której Teresa wiedziała, że dawali tam dobre steki. Dannie zamówił nawet cocktail, chociaż zazwyczaj nie pił.

„Jesteś tu całkiem sama?” zapytał. „Twoja gospodyni z Sioux Falls powiedziała, że wyjechałaś sama.”

„Carol ostatecznie nie mogła przyjechać.”

„Ach tak, i zdecydowałaś się zostać dłużej?”

„Tak.”

„Do kiedy?”

„Do teraz. Wracam w następnym tygodniu.”

Dannie słuchał jej i jego ciepłe, ciemne oczy uważnie przyglądały się jej twarzy.

„Czemu nie udasz się na zachód zamiast na wschód i nie spędzisz trochę czasu w Kalifornii? Mam pracę w Oklahomie. Pojutrze muszę tam być.”

„Co to za praca?”

„Badawcza - dokładnie to, czego chciałem. Egzaminy poszły mi lepiej niż przypuszczałem.”

„Byłeś najlepszy?”

„Nie wiem. Wątpię w to. Metoda oceniania była inna. Ale nie odpowiedziałas jeszcze na moje pytanie.”

„Chcę wracać do Nowego Jorku, Dannie.”

„Ach tak,” uśmiechnął się, przyglądał się jej włosom, jej ustom, i Teresie przyszło do głowy, że jeszcze nigdy nie widziała go tak zadbanym. „Wyglądasz tak dorośle”, powiedział. „Zmieniłaś fryzurę, prawda?”

„Tak, trochę.”

„Nie wyglądasz już na zastraszoną ani tak bardzo poważną.”

„Cieszy mnie to.” Czuła się przy nim nieco skrępowana, ale jednocześnie dziwnie z nim spoufalcona. Była to poufalość, mająca w sobie coś, czego nigdy nie odczuwała przy Richardzie. Coś podniecającego, co sprawiało jej radość. Po prostu trochę czaru, pomyślała. Widziała rękę Danniego na stole, silne mięśnie jego kciuka. Przypomniała sobie, jak położył jej rękę na ramieniu, tamtego dnia w jego pokoju. Było to miłe wspomnienie.

„Powiedz, tęskniłaś za mną troszkę, Terry?”

„Oczywiście.”

„Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, czy czujesz coś do mnie - na przykład tak, jak do Richarda?” zapytał z odcieniem zdziwienia w głosie, jakby to również dla niego było zupełnie niedorzeczne pytanie.

„Nie wiem”, odrzekła szybko.

„Ale o Richardzie już nie myślisz - prawda?”

„Przecież wiesz.”

„Więc kto to jest? Carol?”

Poczuła się przed nim nagle zupełnie naga. „Tak. To była ona.”

„Ale teraz już nie jest?”

Teresa była zdziwiona, że mógł to wszystko powiedzieć tak bez żadnego zaskoczenia i bez żadnego krygowania się. „Nie. To znaczy - nie mogę o tym z nikim rozmawiać, Dannie”, powiedziała na koniec, a jej głos brzmiał w jej uszach głęboko i spokojnie, jak głos kogoś innego.



„Nie chcesz o niej zapomnieć, teraz, kiedy wszystko skończone?”

„Nie wiem. Co masz dokładnie na myśli?”

„Zastanawiam się, czy to cię boli?”

„Nie. Czy zrobiłabym to jeszcze raz? Tak.”

„To znaczy z nią czy z kimś innym?”

„Z nią!” powiedziała Teresa. Kąciki jej ust rozciągnęły się w uśmiechu.

„Ale koniec był fiaskiem.”

„Tak. To znaczy, przetrzymałabym jeszcze raz także i koniec.”

„I robisz to wciąż jeszcze.”

Teresa nie odezwała się.

„Czy znowu ją zobaczysz? Denerwuje cię, że zadaję ci te wszystkie pytania?”

„Nie, to mnie nie denerwuje”, powiedziała. „Nie, nie spotkam się z nią. Nie chcę.”

„Ale z kimś innym?”

„Z inną kobietą?” Teresa pokręciła głową. „Nie.”

Dannie spojrzał na nią i uśmiechnął się. „To się liczy. Albo lepiej, sprawia to, że to się tak bardzo nie liczy.”

„Co masz na myśli?”

„Myślę, że jesteś bardzo młoda, Tereso. Zmienisz się, zapomnisz.”

Nie czuła się młoda. „Czy Richard z tobą rozmawiał?”

„Nie. Raz, pewnego wieczoru chyba chciał, ale mu przerwałem, zanim się rozkręcił.”

Czuła gorzki uśmiech na swoich ustach i zaciągnąwszy się jeszcze raz dopalającym się papierosem, zgmiotła go. „Mam nadzieję, że znajdzie kogoś, kto go wysłucha. On potrzebuje słuchaczy.”

„Ma uczucie, że go porzuciłaś. Cierpi z powodu swojej urażonej próżności. Nie myśl tylko, że jestem taki jak Richard. Uważam, że ludzie sami muszą wiedzieć, co jest dla nich dobre i jak chcieliby urządzić swoje życie.”

Przyszło jej na myśl coś, co kiedyś powiedziała Carol. Każdy dorosły człowiek ma tajemnice. To zdanie, powiedziane ot, tak sobie, jak zawsze u Carol, zakodowało się mocno, nie do wymazania, w jej umyśle, jak adres, który raz zapisała sobie na kartce u Frankenberga. Kusilo ją, żeby Danniemu wszystko opowiedzieć - o obrazie w bibliotece, o obrazie w szkole. I o Carol, która nie była obrazem, lecz kobietą z dzieckiem i mężem, z piegami na rękach i która miała w zwyczaju przeklinać, by po chwili poddać się melancholii, i która miała złą skłonność do przebijania głową murów. O kobiecie, która dużo więcej wycierpiała w Nowym Jorku niż sama Teresa w Południowej Dakocie. Spojrzała Danniemu w oczy, na jego brodę z

dołkami. Wiedziała, że do tej chwili była jak zaczarowana, a czar ten nie pozwalał jej dostrzec na świecie nikogo innego poza Carol.

„Powiedz, o czym myślisz?” zapytał.

„O tym, co raz powiedziałeś w Nowym Jorku - o używaniu i wyrzucaniu rzeczy.”

„Czy ona zrobiła tak z tobą?”

Teresa uśmiechnęła się. „Ja tak zrobię.”

„No, to spróbuj znaleźć kogoś takiego, kogo nigdy nie będziesz chciała wyrzucić.”

„Takiego, którego nie miałoby się dosyć?”

„Napiszesz do mnie?”

„Tak, oczywiście.”

„Napisz do mnie za trzy miesiące.”

„Za trzy miesiące?” I nagle zrozumiała, co miał na myśli. „Wcześniej nie?”

„Nie.” Patrzył na nią spokojnie. „To chyba wystarczająco dużo czasu na zastanowienie, nie uważasz?”

„Tak, dobrze. Obiecuję.”

„Obiecuj mi jeszcze coś. Weź sobie jutro wolne, żebyś mogła być ze mną. Mam czas do jutra do dziewiątej wieczór.”

„Nie mogę, Dannie. Praca musi być zrobiona - i tak muszę mu powiedzieć, że wyjeżdżam z końcem następnego tygodnia.” Wiedziała, że nie to było prawdziwą przyczyną. I być może wiedział też o tym Dannie. Nie chciała nazajutrz spędzić z nim całego dnia, to byłoby zbyt intensywne, zbyt mocno przypominałby jej ją samą, a na to nie była jeszcze gotowa.

Dannie przyszedł nazajutrz koło południa do magazynu. Chcieli pójść razem na obiad, ale zamiast tego spacerowali całą godzinę tam i z powrotem po Lake Shore Drive i rozmawiali. Wieczorem o dziewiątej Dannie odleciał samolotem na zachód.

W tydzień później Teresa odjechała do Nowego Jorku. Miała zamiar wyprowadzić się z domu pani Osborne, możliwie jak najszybciej... Chciała odszukać kilka osób spośród tych, przed którymi uciekła zeszłej jesieni, a przede wszystkim poznać innych, nowych ludzi. Na wiosnę pójdzie do szkoły wieczorowej. I od podstaw odnowi swoją garderobę. Te sukienki, które wisiały w jej nowojorskiej szafie, wydały się jej zbyt młodzieżowe, jak te, które należały do niej przed wieloma laty. W Chicago rozglądała się po butikach i strasznie podobały jej się ciuchy, na które nie było jej stać. Wszystko, na co mogła sobie pozwolić, to nowa fryzura.

Kiedy Teresa weszła do swego starego pokoju, najpierw rzuciło się jej w oczy, że róg dywanu jest wygładzony. I jakże maleńko i smutnie wyglądał ten pokój! A jednak był jej, z niedużym radiem na regale i poduszkami na tapczanie, tak osobisty jak notatka, którą dawno temu napisała i zapomniała. Także modele sceniczne na ścianach, których świadomie unikała wzrokiem, należały do tego pokoju.

Poszła do banku i wybrała połowę z dwustu dolarów, jakie jej pozostały na koncie i kupiła za nie czarną suknię i parę butów.

Jutro zadzwoni do Abby, żeby rozmówić się w sprawie samochodu Carol.

Jeszcze tego samego popołudnia umówiła się z Nedom Bernsteinem, koproducentem angielskiego przedstawienia, do którego Harkeyy miał zrobić dekoracje. Zabrała trzy z modeli, jakie zrobiła na zachodzie oraz zdjęcia z „Deszczyku”, żeby mu pokazać. Stanowisko asystentki u Harkeyy’ego nie dawało tyle pieniędzy, żeby móc wyżyć, ale istniały jeszcze inne źródła zarobku niż praca w domu towarowym, na przykład telewizja.

Pan Bernstein obejrzał jej prace bez szczególnego zainteresowania. Teresa powiedziała, że nie rozmawiała jeszcze z panem Harkeyy i zapytała go, czy może wie, czy tamten przyjmie jeszcze pomocników. Pan Bernstein odrzekł, że to sprawa Harkeyy’ego, ale o ile się orientuje, to nie potrzeba mu więcej asystentów. Nie umiał jej też powiedzieć, czy inne warsztaty scenografów kogoś potrzebują. Teresa pomyślała o sukni za sześćdziesiąt dolarów i o pozostałych stu dolarach na koncie. Poza tym powiedziała pani Osborne, że może w każdej chwili wynająć jej mieszkanie, gdyż się przeprowadza. Nie miała jeszcze pojęcia dokąd. Pożegnała się i podziękowała z uśmiechem panu Bernsteinowi za to, że zadał sobie trud, aby obejrzeć jej prace.

„A może w telewizji?” zapytał. „Próbowała już pani? Tam jest łatwiej się dostać.”

„Spotykam się dzisiaj po południu z kimś od Dumonta.” Pan Donohue dał jej w styczniu całą listę nazwisk, a pan Bernstein dodał do nich jeszcze kilka innych.

Następnie zadzwoniła do biura Harkeyy’ego. Harkeyy powiedział, że właśnie wychodzi, ale niech zostawi swoje modele w studio, to nazajutrz je obejrzy.

„Poza tym, jutro o piątej teatr wydaje w «St.Regis» cocktail-party dla Genevieve Cranell. Nie miałaby pani ochoty przyjść?”, zapytał Harkeyy z tym swoim akcentem staccato, który czynił jego cichy głos tak matematycznie precyzyjnym, „W każdym razie zobaczymy się na pewno jutro rano. Może pani przyjść?”

„Tak. Chętnie przyjdę. Gdzie w «St.Regis»?”

Odczytał z zaproszenia: „Apartament D. Od piątej do siódmej. Będę tam koło szóstej.”

Wyszła z budki telefonicznej taka szczęśliwa, jakby Harkevy właśnie zaproponował jej współpracę. Przeszła na piechotę dwanaście ulic do jego biura i zostawiła swoje modele młodemu mężczyźnie. To nie był ten sam co w styczniu.

Harkevy często zmieniał asystentów. Rzuciła bogobojne spojrzenie na jego pracownię, zanim zamknęła za sobą drzwi. Może każe jej wkrótce przyjść. Może już jutro się dowie. Ze sklepu na Broadwayu zatelefonowała do Abby do New Jersey. Głos Abby brzmiał zupełnie inaczej niż w Chicago. Carol musi się już czuć znacznie lepiej, pomyślała Teresa. Ale nie zapytała o nią, jej telefon dotyczył samochodu.

„Mogę przyjechać po niego, jeśli pani chce”, powiedziała Abby. „Niechże pani sama zadzwoni do Carol. Wiem, że chętnie z panią porozmawia.”

„A więc...” Teresa nie chciała dzwonić do Carol. Ale właściwie czego się bała? Głosu Carol? Jej samej? „Więc dobrze. Sama przywiozę jej auto, chyba że ona tego nie chce. W takim razie oddzwonię.”

„Kiedy? Dziś po południu?”

„Tak, za kilka minut.”

Teresa wyszła na moment przed drzwi sklepu i popatrzyła w zamyśleniu na reklamę cameli z olbrzymią twarzą, która wydmuchiwała kółka dymu, wielkie jak pączki, spoglądała na niskie, sprawiające wrażenie zniechęconych taksówki, manewrujące w popołudniowym korku niczym rekiny, na znajomą pstrokacizną szyldów restauracyjnych i barowych, markiz i wystaw, na brązowo czerwono upstrzoną ulicę, jakich setki było w Nowym Jorku. Przypomniała sobie, jak pewnego razu szła ulicą na Upper Westside wzdłuż fasad z piaskowca, na które spoglądały całe generacje ludzi, i za którymi zaczynało się i kończyło życie, i przypomniała sobie owo przytłaczające uczucie, które w niej wywołały oraz to, jak śpieszno jej było wtedy wrócić znowu na Avenue. Było to dopiero niespełna trzy miesiące temu. Teraz na widok podobnej ulicy ogarnęło ją dziwne odurzenie. Najchętniej rzuciłaby się w ten tłum śpieszących się ludzi i podążyła chodnikiem wzdłuż owych szyldów i markiz, wiszących nad wejściami do teatrów. Odwróciła się i weszła do budki telefonicznej.

Po chwili usłyszała głos Carol.

„Kiedy przyjechałaś, Tereso?”

Krótkie, drżące przerażenie przy pierwszym dźwięku jej głosu, a potem już nic więcej. „Wczoraj.”

„Jak się czujesz? Wyglądasz wciąż tak samo?” Carol wydawała się speszona, jakby

ktoś u niej był, ale Teresa była całkowicie pewna, że Carol jest sama.

„Niezupełnie. A ty?”

Carol odczekała chwilę. „Wydajesz się inna.”

„Bo i jestem.”

„Czy mogę się z tobą spotkać? A może nie chcesz? Jeden raz.”

To był głos Carol, ale nie jej słowa, takie ostrożne i niepewne. „Może dzisiaj po południu? Jesteś samochodem?”

„Dziś po południu muszę spotkać się z kilkoma ludźmi. Nie będę miała czasu.” Czy kiedykolwiek odmówiła Carol, gdy ta chciała ją zobaczyć? „Chciałabyś, żebym odwiozła ci jutro samochód?”

„Nie, mogę po niego przyjechać. Nie jestem inwalidką. Czy sprawował się przyzwoicie?”

„Jest zupełnie w porządku”, powiedziała Teresa. „Żadnych zadrapań.”

„A ty?” zapytała Carol, lecz Teresa nie odpowiedziała. „Zobaczę cię jutro? Masz czas po południu?”

Umówiły się o wpół do piątej w barze „Ritz Tower” na Pięćdziesiątej Siódmej i Teresa odłożyła słuchawkę.

Carol spóźniła się piętnaście minut. Teresa czekała przy stoliku, z którego miała widok na szklane drzwi wejściowe, w końcu zobaczyła, jak Carol otwiera je i wtedy całe napięcie załamało się w jeden znużony, mały ból.

Carol miała na sobie to samo futro, te same zamszowe czółenka, jak w dniu, kiedy Teresa ujrzała ją pierwszy raz, ale teraz jej zadartą do góry jasną głowę otulał czerwony szal. Teresa dostrzegła zaskoczony uśmiech, jaki pojawił się na zmizerowanej twarzy Carol, gdy ją zobaczyła.

„Hallo”, powiedziała Teresa.

„Nie poznałam cię na początku”. I Carol stała przez chwilę przy stoliku, patrząc na nią, zanim usiadła. „To miło z twojej strony, że przyszłaś.”

„Nie mów tego, proszę.”

Przyszedł kelner, Carol zamówiła herbatę i mechanicznie to samo dla Teresy.

„Nienawidzisz mnie, Tereso?”

„Nie.” Teresa poczuła lekki zapach perfum Carol, tę znajomą słodycz, która teraz wydała się jej dziwnie obca, bo nie wywoływała już tego uczucia, co kiedyś. Wypuściła z ręki zgniecione pudełko zapalek. „Jakże mogłabym cię nienawidzić, Carol?”

„Sądzę, że mogłabyś. I przez pewien czas tak było, prawda?” Carol powiedziała to w

taki sposób, jakby informowała ją o jakimś fakcie.

„Nienawidzić ciebie? Nie.” Może nie tyle nienawidzić, powinna była powiedzieć. Ale wiedziała, że Carol wyczytała to z jej twarzy.

„A teraz? Stałaś się całkiem dorosła - z dorosłą fryzurą i dorosłymi strojami.”

Teresa popatrzyła w jej szare oczy, które były poważne, zamyślane, pomimo pewnego siebie sposobu trzymania dumnej głowy, i odwróciła wzrok, niezdolna zgłębić tych oczu. Jest piękna, pomyślała i boleśnie odczuła stratę. „Nauczyłam się co nieco”, powiedziała Teresa.

„Co?”

„Że ja...” zająknęła się, rozsądek wziął górę, ponieważ w myślach przesunęły się wspomnienia o portrecie w Sioux Falls.

„Czy wiesz, że wyglądasz wspaniale”, powiedziała Carol, „nagle jesteś cała sobą. Czy to wynik rozstania ze mną?”

„Nie”, odrzekła szybko Teresa. Zmarszczywszy czoło patrzyła na dno filiżanki herbaty, której wcale nie chciała. Sformułowanie Carol „jesteś cała sobą” skojarzyło się jej z narodzinami i to ją zakłopotало. Tak, narodziła się, kiedy opuściła Carol, w momencie, gdy zobaczyła ten obraz w bibliotece i jej przytłumiony krzyk był pierwszym krzykiem dziecka, wyciąganego wbrew jego woli na świat. Spojrzała na Carol. „W bibliotece w Sioux Falls był taki obraz”, zaczęła. I potem opowiedziała Carol wszystko, tak prosto i rzeczowo, jakby opowiadała jej historię, która wydarzyła się komuś innemu. A Carol słuchała, nie spuszczając z niej wzroku. Przyglądała się jej jak komuś, komu nie jest w stanie pomóc. „Dziwne”, rzekła spokojnie. „I przerażające.”

„Tak, takie właśnie było.” Teresa wiedziała, że Carol zrozumiała. Dostrzegła współczucie w jej oczach i uśmiechnęła się, lecz Carol nie odwzajemniła uśmiechu. Wpatrywała się w nią jeszcze intensywniej. „O czym myślisz?” zapytała Teresa.

Carol sięgnęła po papierosa. „A jak sądzisz? O tamtym dniu w domu towarowym.”

Teresa uśmiechnęła się znowu. „To było takie cudowne, gdy podeszłaś do mnie. Dlaczego właśnie do mnie?”

Carol odczekała chwilę. „Z zupełnie banalnego powodu. Byłaś jedyną ekspedientką, która nie była tak strasznie zajęta. Poza tym nie miałaś na sobie fartucha, o ile sobie przypominam.”

Teresa wybuchnęła śmiechem. Carol uśmiechnęła się lekko, ale nagle znowu była sobą, jak w Colorado Springs, zanim to wszystko się wydarzyło. Nagle Teresa przypomniała sobie o świeczniku, który miała w torebce. „Coś ci przywiozłam”, mówiąc to podała go Carol. „Znalazłam go w Sioux Falls.”

„Jest piękny”, powiedziała Carol. „Wygląda zupełnie tak, jak ty.”

„Dziękuję. Myślałam, że jest podobny do ciebie.” Teresa spojrzała na dłoń Carol, której kciuk i palec środkowy trzymały delikatny świecznik, tak jak kiedyś spodeczek - w Colorado, Chicago i w innych zapomnianych miejscach. Teresa zamknęła oczy.

„Kocham cię”, powiedziała Carol.

Teresa otworzyła oczy nie podnosząc wzroku.

„Wiem, że twoje uczucia do mnie nie są już takie same. Prawda?”

Teresa chciała temu spontanicznie zaprzeczyć, ale czyi mogła to zrobić? Nie odczuwała już tego samego. „Nie wiem, Carol.”

„To na jedno wychodzi.” Głos Carol był cichy, pełen oczekiwania; oczekiwała potwierdzenia lub zaprzeczenia.

Teresa wpatrywała się w trójkątny tost na talerzu między nimi. Myślała o Rindy.

Pytanie o nią wciąż odsuwała od siebie. „Czy widziałaś Rindy?”

Carol westchnęła. Teresa widziała, jak jej ręka wypuściła świecznik. „Tak, w ostatnią niedzielę, przez niecałą godzinę. Prawdopodobnie będzie mogła odwiedzać mnie kilka razy w roku, popołudniami, niestety bardzo rzadko. Przegrałam na całej linii.”

„Myślałam, że mówiłaś o kilku tygodniach w roku.”

„No cóż, wydarzyło się jeszcze parę innych rzeczy - prywatnych, pomiędzy mną i Hargem. Nie zgodziłam się złożyć kilku przyrzeczeń, tak jak sobie życzył. No i oczywiście włączyła się jeszcze rodzina. Nie zgodziłam się żyć według listy przepisów, którą ułożyli niczym wykaz grzechów - nawet gdyby to miało oznaczać, że odbiorą mi Rindy całkowicie, jakbym była jakimś potworem. I miało to takie następstwa. Harge powiedział wszystko swoim adwokatom - wszystko, o czym jeszcze nie wiedzieli.”

„Wielki Boże”, wyszeptała Teresa. Mogła sobie wyobrazić, co to oznaczało, kiedy Rindy przyszła któregoś popołudnia w odwiedzinach w towarzystwie przezornej opiekunki, której opowiedziano wszystko o Carol i zalecono, żeby nie spuszczała dziecka z oczu. Jakaż radość mogła być z takiego spotkania? Harge - Teresa nie chciała wypowiedzieć jego imienia. „Nawet sąd był łagodniejszy.”

„W istocie nawet przed sądem niczego nie przyrzekłam. Tam też się nie zgodziłam.”

Teresa musiała uśmiechnąć się mimo woli, gdyż była zadowolona, że Carol się nie zgodziła, że posiadała jeszcze tyle dumy.

„To właściwie nie była rozprawa, a raczej rozmowa przy okrągłym stole. Czy wiesz, w jaki sposób zrobiono nagrania w Waterloo? Wbił metalowe ostrze przez ścianę.”

„Metalowe ostrze?”

„Przypominam sobie, że słyszałam odgłos wbijania czegoś w ścianę. Myślę, że było to wtedy, gdy wychodziłyśmy spod prysznic. Pamiętasz?”

„Nie.”

Carol uśmiechnęła się. „Metalowe ostrze przenosi dźwięki na aparat podsłuchowy. Zajmował sąsiedni pokój.”

Teresa nie mogła przypomnieć sobie stukania w ścianę, ale brutalność tego wszystkiego wezbrała w niej, druzgocąco, niszcząco. „Wszystko minęło”, powiedziała Carol. „Wiesz, już raczej wolałabym w ogóle nie widywać Rindy. Nigdy nie będę żądać spotkania z nią, jeśli ona nie będzie chciała mnie zobaczyć. Decyzję zostawię jej.”

„Trudno mi sobie wyobrazić, że ona kiedykolwiek mogłaby nie chcieć się z tobą widywać.”

Carol uniosła brwi. „A czyż można przewidzieć, w jaki sposób Harge na nią wpłynie?”

Teresa milczała. Przeniosła wzrok z Carol na wiszący na ścianie zegar. Było wpół do szóstej. Przed szóstą powinna być na cocktail-party, rozważała, czy w ogóle chce tam pójść. Wystroiła się na tę okazję - w nową czarną suknię z białym szalem, nowe buty, czarne rękawiczki. Jakże nieważny wydał się jej teraz cały ten strój. Pomyślała nagle o zielonych wełnianych rękawiczkach od siostry Alicji. Czy wciąż jeszcze leżą na dnie jej walizki, zawinięte w stary, jedwabny papier? Musi je wyrzucić.

„Można wiele wytrzymać”, powiedziała Carol.

„Tak.”

„Sprzedajemy z Hargem nasz dom, wynajęłam sobie mieszkanie przy Madison Avenue. I, wierz lub nie, mam też pracę. Będę pracować jako zaopatrzeniowiec dla salonu meblowego przy Madison Avenue. Kilku moich przodków musiało być stolarzami.” Spojrzała na Teresę. „W każdym razie będę miała swoją pensję i będzie mi się to podobało. Mieszkanie jest bardzo duże - wystarczająco duże na dwie osoby. Miałam nadzieję, że zamieszkaasz w nim razem ze mną, ale, jak sądzę, nie zechcesz.”

Serce Teresy podskoczyło, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy Carol zatelefonowała do niej do domu towarowego.

Coś poruszyło się w niej mimowolnie, wywołując uczucie szczęścia i dumy. Była dumna z tego, że Carol miała odwagę tak postępować, tak mówić, że zawsze będzie ją miała. Przypomniała sobie, jak odważnie wystąpiła przeciw detektywowi, tam na szosie. Teresa próbowała uspokoić rozszalałe serce. Carol nawet na nią nie spojrzała. Wodziła niedopałkiem papierosa po popielniczce. Życ z Carol? Kiedyś było to niemożliwe, choć wtedy pragnęła tego bardziej niż cegokolwiek innego na świecie. Życ z nią i wszystko z nią dzielić, rok po



roku, razem chodzić na spacer i razem czytać, razem podróżować. I przypomniał jej się ten dzień, gdy nienawidziła Carol, wyobrażając sobie, że jeśli ją o to zapyta, to ona odpowie: nie.

„Chciałabyś tego?” Carol spojrzała na nią.

Teresa czuła, że porusza się po wąskiej ścieżce. Nienawiść zniknęła. Tylko decyzja leżała przed nią niczym napięta lina, nic, co mogłaby pociągnąć lub odsunąć. Balansowała pomiędzy Carol i wielkim znakiem zapytania. Teraz byłoby z Carol inaczej, ponieważ obie się zmieniły. Ów nowy świat byłby dla niej tak samo nieznanym, jak ten miniony, gdy wchodziła weń pierwszy raz. Teraz nie było już żadnych przeszkód. Teresa pomyślała o perfumach Carol, które nie miały dziś dla niej żadnego znaczenia. Mogłyby otworzyć nową kartę, powiedziałyby do Carol.

„No więc?” zapytała Carol, uśmiechając się niecierpliwie.

„Nie”, odpowiedziała Teresa. „Nie, myślę, że nie.” Bo znowu byś mnie oszukała. Właśnie to pomyślała sobie w Sioux Falls, to chciała jej napisać albo powiedzieć.

Ale przecież Carol jej nie oszukała. Carol kochała ją bardziej niż swoje dziecko.

I to również był powód, dlaczego niczego nie przyrzekła. Grała teraz wysoko, tak jak tamtego dnia na szosie, żeby wszystko wydobyć od detektywa i wtedy także przegrała. I Teresa zauważyła, jak ledwie dostrzegalny cień przemknął po twarzy Carol, postrzegła te maleńkie oznaki zdziwienia i przerażenia, tak niepozorne, że być może tylko ona jedna potrafiła je dostrzec i przez chwilę nie mogła myśleć o niczym innym.

„A więc taka jest twoja decyzja”, powiedziała Carol.

„Tak.”

Carol wpatrywała się w swoją zapalniczkę na stole. „No, to i wszystko.”

Teresa patrzyła na nią i wciąż jeszcze pragnęła wyciągnąć ręce i dotknąć włosów Carol, pogłaskać je palcami. Czyżby Carol nie dosłyszała wahania w jej głosie? Nagle Teresa zapragnęła uciec, wypaść przez drzwi i pobiec ulicą. Była za kwadrans szósta. „Muszę iść na przyjęcie. To ważne, może dostanę pracę. Harkevy tam będzie.” Harkevy na pewno miał dla niej jakieś zajęcie. Dzwoniła do niego w środę pytając o modele, które zostawiła u niego w studio. Okazało się, że wszystkie mu się podobały. „Wczoraj dostałam też zlecenie z telewizji.”

Carol podniosła głowę i uśmiechnęła się. „Moje małe duże zwierzątko, teraz wyglądasz tak, jakbyś potrafiła zrobić coś dobrego. Wiesz, nawet twój głos brzmi inaczej.”

„Naprawdę?” Teresa zawahała się, pozostawanie tutaj przychodziło jej coraz trudniej. „Carol, możesz pójść ze mną na to party, jeśli masz ochotę... To duże przyjęcie w apartamencie hotelowym - party powitalne dla kobiety, która w sztuce Harkevy’ego gra

główną rolę. Jestem pewna, że nikt nie miałby nic przeciwko temu, gdybym kogoś ze sobą przyprowadziła.” Właściwie nie wiedziała, dlaczego ją o to zapytała, czemu uznała, że Carol chętniej niż ona poszłaby teraz na cocktail-party.

Carol pokręciła głową. „Nie, dziękuję, kochanie, lepiej będzie, jeśli pójdziesz tam sama. Poza tym za kilka minut mam spotkanie w «Elysée».” Teresa sięgnęła po rękawiczki i torebkę. Spojrzała na ręce Carol, gdzie brakowało teraz obrączki, na blade piegi na grzbiecie jej rąk i w jej oczy. Ogarnęło ją takie uczucie, jakby miała jej już nigdy więcej nie zobaczyć. Za dwie minuty albo i prędzej rozstaną się na chodniku. „Samochód stoi na lewo od wyjścia. A tu są kluczyki.”

„Wiem, widziałam go.”

„Zostajesz tu jeszcze? Ja ureguluję rachunek.”

„Zostaw to mnie”, powiedziała Carol. „Idź już, jeśli musisz.”

Teresa wstała. Nie mogła zostawić Carol tak po prostu przy stoliku, siedzącej nad obiema filiżankami i zgniecionym papierosem w popielniczce. „Nie zostawaj tu. Wyjdz razem ze mną.”

Carol spojrzała na nią ze zdziwieniem na twarzy. „Dobrze”, powiedziała. „Masz u mnie w domu jeszcze kilka swoich rzeczy. Czy mam...”

„To nieważne” przerwała jej Teresa.

„I twoje kwiaty. Twoje rośliny.” Carol zapłaciła rachunek, przyniesiony przez kelnera. „Co stało się z kwiatami, które ci podarowałam?”

„Kwiaty? Zwiędły.”

Na sekundę ich spojrzenia spotkały się i potem Teresa odwróciła głowę.

Rozstali się na chodniku przy rogu Park Avenue i Pięćdziesiątej Siódmej. Teresa zdążyła jeszcze przebiec przez jezdnię, zanim światła zmieniły się na zielone i zgraja samochodów ruszyła do przodu, przesłaniając jej widok Carol, kiedy na drugiej stronie ulicy odwróciła się za nią. Carol oddalała się powoli, minęła wejście do „Ritz Tower” i poszła dalej. Tak właśnie miało być, pomyślała Teresa, bez czułego uścisku rąk, bez oglądania się za siebie. Potem, gdy Carol wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi samochodu, Teresa przypomniała sobie o puszcze z piwem, która wciąż leżała pod przednim siedzeniem, o tym jak pobrzękiwała, gdy wjeżdżając do Nowego Jorku wspinała się na rampę, pokonawszy Tunel Lincoln. Pomyślała wtedy, że musi ją wyjąć zanim odda Carol auto, ale zapomniała. Teresa pośpieszyła do hotelu.

Przez oba wejścia ludzie tłoczyli się właśnie do holu i jakiś kelner z trudem przepychał swój wózek z kubelkami z lodem do salonu. W pomieszczeniach panował hałas, i Teresa nie

mogła nigdzie dojrzeć ani Bernsteina, ani Harkevy'ego. Nie знаła tu prawie nikogo, poza jednym mężczyzną, z którym przed paroma miesiącami rozmawiała gdzieś na temat pracy, z której potem i tak nic nie wyszło. Teresa odwróciła się. Jakiś nieznajomy wcisnął jej do ręki wysoką szklankę.

„Mademoiselle”, powiedział z przesadnym gestem, „miała pani ochotę na coś takiego?”

„Dziękuję.” Nie zatrzymała się przy nim. Zdawało się jej, że w rogu naprzeciwko zobaczyła Bernsteina. Kilka kobiet w dużych kapeluszach zagradzało jej drogę.

„Jest pani aktorką?” zapytał ten sam mężczyzna, przepychając się z nią przez tłum.

„Nie, scenografem”.

To rzeczywiście był pan Bernstein i Teresa przeciskała się do niego między poszczególnymi grupkami ludzi. Pan Bernstein stanął przed kaloryferem, na którym przedtem siedział i wyciągnął do niej serdecznie swoją niezgrabną rękę. „Panna Belivet!” zawołał głośno. „Pani Crawford, charakteryzatorka”

„Tylko bez fachowych uproszczeń!” zapiszczała pani Crawford.

„Pan Stevens, pan Fenelon”, prezentował dalej Bernstein, aż ukłoniła się całemu tuzinowi ludzi, i co najmniej połowie z nich uściśnęła dłonie. „I Ivor - Ivor!” wołał pan Bernstein.

Harkevy, szczupły mężczyzna o drobnej twarzy i z małym wąsikiem, uśmiechnął się, potrząsając jej ręką. „Hallo”, powiedział, „cieszę się, że panią widzę. Tak, podobają mi się pani prace. Dostrzegam pani niepokój.” Roześmiał się lekko.

„Czy to wystarczy, żeby zostać przyjętą?”

„Chce pani to wiedzieć. Tak, przyjmuję panią. Proszę przyjść jutro o jedenastej do mojego studia. Odpowiada pani?”

„Tak.”

„Zobaczymy się później. Muszę jeszcze pożegnać to towarzystwo.” I odszedł.

Teresa postawiła swoją szklankę na brzegu stolika i zaczęła szukać w torebce papierosów. Udało się. Spojrzała w kierunku drzwi. Kobieta o jasnych, zaczesanych do góry włosach i lśniących niebieskich oczach weszła właśnie do sali, wywołując ogólne poruszenie. Szybkimi, zdecydowanymi gestami pozdrawiała zebranych, ścisnęła im ręce i Teresa domyśliła się, że to Genevieve Cranell, angielska aktorka, mająca w sztuce Harkevy'ego kreować główną rolę. Wyglądała inaczej niż na kilku zdjęciach. Miała twarz, która, żeby wydawać się atrakcyjną, musiała być w ruchu.

„Hallo wszystkim!” zawołała w końcu do zebranych, a Teresa spostrzegła, że wzrok

aktorki zatrzymał się na niej przez chwilę i przejęło ją podobne uczucie jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzała Carol. W niebieskich oczach tej kobiety rozbliżyło to samo zainteresowanie, które wówczas zrodziło się w niej. Dzisiaj Teresa była tą, która wytrzymała spojrzenie, a ta druga kobieta tą, która przeniosła swój wzrok w inną stronę i odwróciła się.

Teresa spoglądała na szklankę w swojej dłoni, czując nagły płomień na twarzy i w koniuszkach palców, i szum w swoim wnętrzu, który nie pochodził ani jedynie od krwi, ani też z samych myśli. Wiedziała, jeszcze zanim zostały sobie przedstawione, że to taka kobieta jak Carol. I jest piękna. I nie wygląda jak ten obraz z biblioteki. Teresa z uśmiechem umoczyła usta w swoim drinku.

Potem, żeby się opanować, pociągnęła spory łyk.

„Kwiat dla pani, madame?” Kelner zaprezentował przed nią tacę pełną białych orchidei.

„Dziękuję.” Teresa wzięła jedną. Miała trudności z przypięciem jej i ktoś - pan Fenelon, a może pan Stevens - pośpieszył jej z pomocą. „Bardzo dziękuję”, odrzekła.

Genevieve Cranell, prowadzona przez pana Bernsteina, podeszła do niej. Aktorka przywitała się z mężczyzną obok Teresy, jakby go dobrze знаła.

„Czy mogę przedstawić panią pani Cranell?” zwrócił się pan Bernstein do Teresy.

Teresa spojrzała na kobietę. „Nazywam się Teresa Belivet.” Kobieta podała jej rękę.

„Dobry wieczór - więc pani jest działem scenografii?”

„Nie. Jedynie jego częścią.” Czowała uścisk jej dłoni jeszcze po tym, jak kobieta puściła jej rękę. I ogarnęło ją dzikie, głupie podniecenie.

„Czy ktoś mógłby przynieść mi drinka?” zapytała głośno pani Cranell. Pan Bernstein zatroszczył się o to. Zapoznał ją z pozostałymi ludźmi, stojącymi dookoła. Teresa usłyszała, jak opowiadała komuś, że dopiero co wysiadła z samolotu, a cała góra jej bagaży leży jeszcze w recepcji. Teresa widziała, jak mówiąc to, spojrzała na nią kilka razy ponad plecami mężczyzn. Ten zabawny profil głowy, ów swobodny łuk jej perkatego nosa wydał się Teresie w podniecający sposób pociągający - zresztą był to jedyny swobodny rys w jej szczupłej, klasycznej twarzy. Jej wargi były bardzo wąskie. Sprawiała wrażenie wyjątkowo ożywionej i jednocześnie opanowanej. A jednak Teresa miała niejasne przeczucie, że Genevieve Cranell już więcej się do niej nie odezwie, być może z tego prostego powodu, że najprawdopodobniej chętnie by to uczyniła.

Teresa podeszła do lustra, wiszącego na ścianie, spojrzała w nie, sprawdzając czy jej fryzura i makijaż są jeszcze w porządku.

„Tereso”, powiedział ktoś obok, „czy lubi pani szampana?”

Teresa odwróciła się i stanęła naprzeciw Genevieve Cranell. „O, tak.”

„To proszę przyjść za kilka minut do pokoju 619. To mój apartament. Urządzamy tam party w małym gronie.”

„Czuję się bardzo zaszczycona”, powiedziała Teresa.

„Więc niech pani nie psuje swego pragnienia przez whisky. Gdzie kupiła pani tę czarującą suknię?”

„U Bonwit Teller - była grzesznie droga.”

Genevieve Cranell roześmiała się. Miała na sobie niebieski, wełniany kostium, wyglądający rzeczywiście na grzesznie drogi. „Wygląda pani tak młodo, myślę, że nie weźmie mi pani za złe, jeśli spytam, ile pani ma lat?”

„Dwadzieścia jeden.”

Panna Cranell przewróciła oczami. „Niewiarygodne. Czy naprawdę można mieć dopiero dwadzieścia jeden lat?”

Ludzie obserwowali aktorkę. Teresie bardzo to schlebiało, i to uczucie schlebiana sobie zderzyło się z jej uczuciami do Genevieve Cranell - lub z tym, co mogłaby do niej czuć.

Pani Cranell podała jej papierosa. „Najpierw pomyślałam, że jest pani jeszcze małoletnia.”

„Czy to przestępstwo?”

Aktorka patrzyła na nią, a jej niebieskie oczy uśmiechały się poprzez płomień zapalniczki. Kiedy odwróciła głowę, aby przypalić sobie papierosa, Teresa zrozumiała nagle, że Genevieve Cranell nie będzie dla niej nigdy nic znaczyła, nic poza tą półgodziną na przyjęciu, że podniecenie, jakie teraz odczuwała nie będzie długo trwało i nie rozpali się na nowo w innym czasie i w innym miejscu. Skąd to wiedziała? Teresa patrzyła na ostry łuk jej jasnych brwi, podczas gdy z jej papierosa wydobył się pierwszy dym, lecz nie uzyskała odpowiedzi. I nagle ogarnęło Teresę uczucie jakiegoś tragizmu, napelniając ją niemalże żalem.

„Czy pani pochodzi z Nowego Jorku?” zapytała pani Cranell.

„Vivy!”

Nowi ludzie, którzy właśnie przybyli, zgromadzili się wokół Genevieve Cranell porywając ją ze sobą. Teresa wysączyła swoją whisky, czując jak scotch rozplywa się w niej uspokajającym ciepłem. Rozmawiała z mężczyzną, którego poznała kiedyś przelotnie w biurze pana Bernsteina oraz z innym, którego w ogóle nie знаła, spoglądając przy tym poprzez salę w kierunku drzwi, na pusty w tej chwili prawy kąt i pomyślała o Carol. To byłoby w jej stylu, przyjść tutaj jednak i zapytać ją jeszcze raz. Dużo bardziej byłoby to w

stylu dawnej Carol, nie tej dzisiejszej. Carol miała teraz spotkanie w „Elysée”. Z Abby? Ze Stanleyem McVeigh? Teresa odwróciła wzrok jakby z obawy, że pojawi się w nich Carol i będzie musiała jej odmówić po raz drugi. Kazała podać sobie jeszcze jedną whisky i czuła, że pustka w niej wypełnia się powoli przekonaniem, że z Genevieve Cranell będzie widywać się tak często, jak tylko będzie chciała, może będzie przez nią nawet kochana, nie musząc się z nią całkowicie wiązać.

Jeden z mężczyzn obok niej zapytał: „Kto robił scenografię do «Przegranego Mesjasza», Tereso? Pamięta pani?”

„Blanchard?” odrzekła bez zastanowienia, gdyż myślami była jeszcze przy Genevieve Cranell, i z uczuciem niechęci, wstydu z powodu tego, co jej właśnie przyszło do głowy i co, jak wiedziała, nigdy się nie stanie. Przysłuchiwała się rozmowie o Blanchardzie i kimś jeszcze, nawet zabierała głos, lecz jej świadomość zaplątana była w jakimś pogmatwanym kłębku, w którym krzyżowały i zaplątywały się tuziny nitek. Jedną był Dannie. Drugą była Carol. Następną Genevieve Cranell. Jedna nić ciągnęła się dalej i dalej, ale w tym miejscu górę wziął rozsądek. Pochyliła się, żeby odpalić papierosa, ktoś podał jej ogień, czuła, jak zapada jeszcze głębiej w ten kokon i sięga po Danniego. Lecz mocna, czarna nić prowadziła donikąd. Wiedziała, jakby za sprawą jakiegoś wewnętrznego głosu, że z Danniem nie zajdzie daleko, i znów ogarnęła ją samotność niczym zimny poryw wiatru, tak dziwny jak nagle wezbrane lzy, które przesłoniły jej wzrok, kiedy podniosła głowę i spojrzała ponownie w kierunku drzwi.

„Proszę nie zapomnieć!” Genevieve Cranell stała obok niej, dotknęła lekko jej ramienia i dodała szybko: „619. Przenosimy się teraz.” Już odchodząc odwróciła się i podeszła znowu. „Ale przyjdzie pani? Harkey też tam będzie.”

Teresa pokręciła głową. „Bardzo dziękuję, myślałam, że będę mogła, ale, niestety, przypomniałam sobie, że muszę pójść jeszcze w jedno miejsce.”

Kobieta spojrzała na nią pytającym wzrokiem. „Co się stało, Tereso? Czy coś się nie powiodło?”

„Nie.” Teresa uśmiechnęła się i skierowała do drzwi. „Bardzo dziękuję, że mnie pani zaprosiła. Na pewno się jeszcze spotkamy.”

„Na pewno”, odrzekła aktorka. Teresa poszła do pokoju obok salonu i wyciągnęła swój płaszcz ze sterty okryć na łóżku.

Pośpieszyła korytarzem, mijając ludzi czekających na windę, wśród nich Genevieve Cranell, i było jej obojętne, czy ją widzi schodzącą szybko po szerokich schodach, jakby przed czymś uciekała. Teresa uśmiechnęła się do siebie. Powietrze przyjemnie chłodziło jej

czoło, a wiatr pieścił ją wokół uszu, niczym delikatny dotyk skrzydeł i miała wrażenie, że płynie ponad ulicami i krawężnikami - na spotkanie z Carol. I być może Carol w tej chwili też już o tym wiedziała, gdyż ona zawsze coś takiego przewidywała. Przebiegła przez następną ulicę i stanęła przed „Elysée.”

We foyer zagadnął ją kelner, a ona odrzekła: „Szukam kogoś” i skierowała się do baru.

Zatrzymała się przy wejściu, wodząc oczyma ponad ludźmi przy stolikach w sali, w której ktoś grał na pianinie. Światła były przyciemnione i nie dostrzegła jej od razu, bo siedziała w cieniu, całkiem z tyłu. Również Carol jej nie widziała.

Naprzeciwko niej siedział mężczyzna, którego Teresa nie знаła. Carol uniosła powoli rękę odgarniając włosy z twarzy i Teresa uśmiechnęła się na widok tego typowego dla Carol gestu i dlatego, że ją kochała i zawsze będzie kochać.

Kochać zupełnie inaczej, ponieważ się zmieniła. I było tak, jakby spotkała Carol po raz pierwszy, a jednak to była Carol i tylko ona. To zawsze będzie Carol - w tysiącach miast, w tysiącach domów, w obcych krajach, dokąd razem pojedą, w niebie i w piekle. Teresa czekała. Wtem, gdy już zdecydowała się podejść, Carol ją spostrzegła. Przez chwilę wydawała się patrzeć na nią z niedowierzaniem, potem stopniowo na jej twarzy rozkwitł uśmiech, jeszcze zanim podniosła rękę i pokiwała do Teresy tak szybko i z taką nadzieją, jakiej jeszcze nigdy u niej nie widziała. I Teresa podeszła do niej.

KONIEC

## Posłowie

Pomysł tej książki przyszedł mi do głowy z końcem 1948 roku. Mieszkałam wtedy w Nowym Jorku. Skończyłam właśnie powieść *Nieznajomi z pociągu*, która jednak miała ukazać się dopiero w 1949. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, byłam jakaś zdeprymowana i nie miałam pieniędzy. Żeby trochę zarobić, przyjąłam w okresie świątecznych zakupów - na około cztery tygodnie, pracę sprzedawczyni w wielkim domu towarowym na Manhattanie. Wytrzymałam tam, jeśli dobrze pamiętam, dwa i pół tygodnia.

W domu towarowym przydzielono mnie do działu z zabawkami, a dokładnie, do lalek. Było tam wiele rodzajów lalek, drogie i niezbyt drogie, z prawdziwymi i ze sztucznymi włosami, ale wielkość i ubranka były najważniejsze. Dzieci, których nosy ledwie sięgały brzegu szklanej gabloty, przesuwały się z matkami lub ojcami albo z obojgiem rodziców do przodu, porażone taką ilością nowiutkich lalek, które potrafiły stać, płakać, otwierać i zamykać oczy, no i oczywiście chciały być bez przerwy przebierane. Panował straszny tłok i ja oraz pozostałe cztery czy pięć młodych kobiet, które stały wraz ze mną za ladą, nie miałyśmy od wpół do dziewiątej do przerwy obiadowej czasu, żeby usiąść. A i nawet wtedy nie zawsze! Po południu było tak samo.

Pewnego ranka pojawiła się w tym zgiełku jasnowłosa kobieta w futrze.

Widocznie niezdecydowana, dała się ponieść w kierunku stoiska z lalkami - ma kupić lalkę czy może lepiej coś innego? I wydaje mi się, że pamiętam jak z rozdrażnieniem uderzyła lekko rękawiczkami w swoją dłoń. Być może dlatego zwróciłam na nią uwagę, że była sama i że futro z norek było rzadkością, albo też z powodu jej błyszczących jasnych włosów. Wciąż jeszcze zatopiona w swoich myślach wybrała jedną z dwóch lub trzech lalek, jakie jej pokazałam, i zapisałam jej nazwisko i adres na kwicie, gdyż lalka miała zostać wysłana do sąsiedniego miasta. To była czysta rutyna, kobieta zapłaciła i odeszła. Ja jednak czułam się dziwnie oszołomiona, bliska omdlenia, jednocześnie jednak i uwznioślona, jakbym doznała jakiejś wizji.

Wróciłam jak zwykle po pracy do swego małego mieszkania, w którym żyłam samotnie. Tego samego wieczoru napisałam opowieść o eleganckiej jasnowłosej kobiecie w futrze. Zajęła około ośmiu stron w moim starym notatniku. Była to cała historia o Carol. Powieść o niezwyklej miłości. Spływała mi z pióra, skądś tam - początek, środek i koniec. Potrzebowałam na to dwóch godzin, może nawet i mniej.

Następnego ranka czułam się jeszcze dziwniej i zauważyłam, że mam gorączkę. To



musiała być niedziela, gdyż pamiętam, że jechałam metrem (wtedy pracowało się jeszcze w niedzielne przedpołudnia, a w okresie przedświątecznych zakupów nawet popołudniami). Przypominam sobie również, że o mało nie zemdlałam. Przyjaciółka, z którą byłam umówiona, znała się trochę na medycynie, więc powiedziałam jej, że czuję się bardzo źle, a rano przy kąpieli odkryłam mały pęcherzyk na brzuchu. Przyjaciółka rzuciła tylko okiem na pęcherzyk i powiedziała: ospa wietrzna. Tak się głupio złożyło, że nie przechodziłam tej choroby wieku dziecięcego, chociaż miałam wszystkie inne. Ospa wietrzna jest dla dorosłych nieprzyjemna, gdyż gorączka wzrasta do 39 stopni albo i wyżej.

Co gorsza: twarz, całe ciało, ramiona, nawet uszy i nozdrza usiane są strupami, które swędzą i pękają, a nie można ich drapać, nawet we śnie, bo inaczej pozostawiają blizny i dziury. Przez cztery tygodnie chodzi się z widocznymi, krwawiącymi punkcikami na twarzy i wygląda tak, jakby oberwało się pełnym ładunkiem śrutu.

Musiałam w poniedziałek zawiadomić dom towarowy, że nie mogę więcej przychodzić do pracy. Jedno z tych zasmarkanych, małych dzieci musiało zarazić mnie chorobą, jednocześnie przekazując mi w pewnym stopniu zarodek tej książki. Gorączka pobudza wyobraźnię. Nie od razu zaczęłam pisać. Wolę, żeby idea dojrzewała najpierw przez parę tygodni. A poza tym mój wydawca i mój agent, po tym jak powieść *Nieznajomi z pociągu* wkrótce po ukazaniu się na rynku sprzedana została Alfredowi Hitchcockowi, który zamierzał zrobić z tego film, uważali: „Proszę napisać następną książkę w tym samym rodzaju, to wzmocni pani sławę jako...” Tak, jako kogo? *Nieznajomi z pociągu* ukazali się u Harper & Bros, jak wtedy nazywał się dom wydawniczy, w serii thrillerów. W ten sposób w ciągu jednej nocy stałam się autorką thrillerów, chociaż moja pierwsza książka nie należała moim zdaniem do żadnego gatunku, była po prostu ciekawą historią. Jeśli napiszę teraz powieść o związku lesbijskim - to czy zostanę uznana za autorkę książek o lesbijkach? To wydawało się całkiem możliwe, nawet jeśli nigdy więcej w swoim życiu nie napisałabym podobnej książki. Tak więc zdecydowałam się wydać ją pod pseudonimem. W roku 1951 książka była gotowa.

Nie mogłam jej tak po prostu odłożyć na dziesięć miesięcy i robić coś innego, jedynie dlatego, że z komercyjnego punktu widzenia mądre byłoby napisanie następnego thrillera.

Harper & Bros nie przyjęli *Carol*, więc musiałam ku memu ubolewaniu poszukać innego amerykańskiego wydawcy. Nienawidzę zmieniać wydawców. Kiedy *Carol* ukazała się w twardej okładce, otrzymała kilka poważnych i całkiem niezłych recenzji. Właściwy sukces nadszedł jednak w rok później, po wydaniu kieszonkowym, z którego sprzedano prawie milion egzemplarzy i które zapewne przeczytało jeszcze więcej ludzi. Poczta od fanów

adresowana była do Claire Morgan na ręce wydawnictwa kieszonkowego. Pamiętam, że przez całe miesiące po kilka razy w tygodniu przysyłano mi koperty z dziesięcioma, piętnastoma listami. Odpowiedziałam na wiele z nich, lecz bez standardowej formuły odpowiedzi nie można było sobie z nimi poradzić, do czego zresztą nie doszło. Młoda bohaterka mojej książki może wydawać się dziś skromną, niedojrzałą istotą, jednak trzeba sobie wyobrazić, że barami, w których spotykali się homoseksualiści były wówczas ciemne bramy na Manhattanie, i że ich bywalcy, aby nie zwracać na siebie uwagi, woleli wysiadać o jeden przystanek dalej lub bliżej od miejsca, skąd łatwo było dostać się do owych barów. *Carol* odbiła się tak mocnym echem, ponieważ kończy się happy endem dla bohaterek, albo dlatego, że przynajmniej chciały spróbować żyć razem w przyszłości. Aż do ukazania się tej książki, występujący w amerykańskich powieściach homoseksualiści obojga płci, musieli odpokutowywać za swoje odmienne skłonności podcinając sobie żyły, topiąc się w basenach albo „przestawiając się”, jak się to wtedy określało, na stosunki heteroseksualne, bądź też popadając w nędzy i w opuszczeniu w bolesne depresje. Wiele listów, jakie dostałam, zawierało takie wypowiedzi, jak: „Pani książka jest pierwszą tego rodzaju, która się dobrze kończy! My w żadnym wypadku nie popełniamy wszyscy samobójstwa, i wielu z nas bardzo dobrze się wiedzie.” Inni pisali: „Dziękuję, że pani napisała tę historię. Jest podobna do mojej...” Lub: „Mam osiemnaście lat i mieszkam w małym miasteczku. Czuję się taka samotna, gdyż nie mam z kim porozmawiać...” Czasami doradzałam autorom lub autorkom listów, żeby przeprowadzili się do większego miasta, gdzie szansa poznania innych ludzi jest większa. Jak sobie przypominam, tyle samo listów przychodziło od mężczyzn, co od kobiet, i uznałam to za dobry omen dla mej książki. I miałam rację. Przez całe lata otrzymywałam wciąż nowe listy, nawet jeszcze teraz przychodzi jakiś raz czy dwa razy do roku. Nigdy więcej nie napisałam książki tego rodzaju. Następną był *Fuszer*. Ja sama unikam etykietek, ale amerykańscy wydawcy cenią je ponad wszystko.

*Particia Highsmith*